

Uznaną nagrodą Pulitzera reporterka
opracująca zbrodniczą rzeczywistość w literacką formę

EDNA BUCHANAN



**NIKT NIE ŻYJE
WIECZNIE**



Edna Buchanan

Nikt nie żyje wiecznie

(Nobody Lives Forever)

Przełożyła Elżbieta Zawadowska-Kittel

*Dla Mamy,
która czytała moje pierwsze opowiadanie*

*Człowiek zrodzony z kobiety
wiedzie na tym świecie żywot krótki i pełen trosk.*

Prolog

Nad Miami zaświecił księżyc w pełni. Strzelanina rozpoczęła się wcześnie.

Krewki kierowca zaczął wymachiwać bronią, żeby odstraszyć nieznanomych mężczyzn, którzy zajęchali mu drogę. Okazało się, że są to tajniacy, którzy ścigali rabusia. Przypuszczając, że mężczyzna jest jego współnikiem oddali do niego pięć celnych strzałów.

Kompletnie wyprowadzona z równowagi kobieta zakończyła awanturę ze swoim mężem wypalając przez okno z pistoletu. Kula trafiła ich sąsiada.

Łomotanie do drzwi wyrwało z głębokiego snu mężczyznę, który pomyślał, że znowu go napadnięto. Chwycił za strzelbę, otworzył ogień i rozniósł intruza w pył. Wtedy przypomniał sobie, że jego żona czeka na pielęgniarkę.

Kierowca taksówki szarpał się z bandytą, chcąc wyrwać mu jego broń. Wyszedł z tego zwycięsko, gdyż ocaliła go kamizelka kuloodporna, ale jego pozbawione kontroli auto wpadło na samochód dostawczy, który rąbnął prosto w lampę uliczną. Latarnia runęła na sąsiedni budynek i cała okolica pograżyła się w ciemnościach.

Obłąkany nauczyciel szkoły średniej wspiął się na słup wysokiego napięcia, cisnął ubraniem w przechodnia i zażądał sześciu milionów dolarów od policjantów, którzy usiłowali nakłonić go do zejścia na dół. Kiedy nadjechał wóz strażacki z pięćdziesięciostopową drabiną, mężczyzna wdrapał się jeszcze wyżej i chwycił przewód.

– Spadał, skręcony jak serpentyna – oświadczył z kamienną powagą

szeft straży pożarnej w wywiadzie udzielonym reporterom wiadomości telewizyjnych.

Przy Sunshine Turnpike mężczyźni uzbrojeni w karabiny maszynowe typu MAC 10 ostrzeliwali się z samochodów, wrzeszcząc coś po hiszpańsku. Ci, którzy przeżyli, odmówili składania zeznań.

Rywalizujący ze sobą handlarze kokainą zakończyli dyskusję za pomocą obrzynów, a ustawieni w szereg bojowy pracownicy często rabowanego baru w centrum handlowym wyszli zwycięsko ze strzelaniny rodem z Dzikiego Zachodu. Napastnicy uciekli.

Kubańskie gangi napadły na Portorykańczyków, czarnoskórzy Amerykanie walczyli z Haitańczykami, a biali robotnicy wojowali z czarnymi i Latynosami. Mężczyzna uprawiający jogging miał nóż za pasem i pomyślał, że dobrze by było kogoś zgwałcić. Zwolnił kroku na widok kobiety, która właśnie wyjmowała z samochodu zakupy w cichej, spokojnej dzielnicy willowej. Na lotnisku międzynarodowym w Miami Jose Lopez Gomez, turysta z Kolumbii, przeszedł przez odprawę celną i rozpaczliwie szukał taksówki. Był mokry od potu, miał gorączkę i zaczął odczuwać skurcze w brzuchu.

Parę mil stamtąd, w nieciekawej okolicy, ktoś popełnił nieostrożność. Błąd okazał się zgubny w skutkach. Iskry z nieosłoniętej osadki żarówki zapaliły przechowywany w beczce rozcieńczalnik służący do produkcji kokainy. Barak eksplodował, siła podmuchu uniosła dach, ziemia zadrżała, a w sąsiednich domach szyby powypadały z okien. Siła wybuchu i deszcz spadających odłamków spowodował, że J. L. Sly przerwał trening kung-fu. Popatrzył w niebo, po czym wrócił do walki z tajemniczymi cieniami, które pojawiły się właśnie za rogiem w Overtown.

Miasto w pełni księżyca, który zaświecił w pewien gorący, letni piątek wysoko na niebie, budziło lęk policjantów. Wraz z rosnącą temperaturą namiętności sięgały zenitu, a upalny wieczór przeistoczył się nagle w jedną z takich nocy, które wymagają wzmożonych wysiłków od policji i pogotowia. Z minuty na minutę rosła liczba trupów. Coraz więcej ludzi błagało o pomoc.

Policjanci z wydziału zabójstw pracujący na dzienną zmianę musieli zostać po godzinach. Ci, którym wypadł dyżur nocny, zostali wezwani wcześniej na służbę. Laurel Trevelyn znowu była sama w domu. W cichej willowej dzielnicy, w poświacie księżyca i blasku świateł odbijających się w wodach zatoki, czuło się jakieś ukryte zagrożenie. Laurel przemierzała smętnie pokój i czuła, że ogarnia ją coraz większy niepokój, strach i wściekłość. Wiedziała, że przestaje nad sobą panować. Wiedziała również, że ilekroć zostaje sama na całą noc, zawsze dzieje się coś złego.

Rozdział pierwszy

Wkraczając w noc tracił oddech tak, jakby wślizgiwał się do głębokiej, czarnej studni. Alex uwielbiał te powitalne szepty dochodzące z czubków palm i ciepło promieniujące z wciąż jeszcze rozgrzanego o północy chodnika. Ciemność dawała mu poczucie wolności i wprawiała go w podniecenie. Krytyczne i wścibskie spojrzenia, jakie towarzyszyły mu za dnia, skrywały się pod zamkniętymi powiekami. Szedł ostrożnie, ale śmiało. Gniew i ból opadły z niego jak zbędne odzienie. Wdychał delikatne i słodkie powietrze nocy. Miał wyostrzone zmysły, odczuwał mrowienie skóry. Gdzieś na drugim brzegu szczeknął i natychmiast potem zaskowyczał pies. Woń świeżo skoszonej trawy i zapach kwitnącego w nocy jaśminu zmieszała się z delikatną bryzą wiejącą z nad Biscayne Bay. Na ciemnym niebie zebrały się grafitowe chmury, które mknęły szybko przed siebie zasłaniając rozświetlone pełnią oblicze księżyca. Przeszedł przez nieogrodzone podwórze, obszedł uważnie niedawno obsadzoną warzywami grządkę i pochylił się lekko, żeby ominąć niemalże niewidoczny, plastikowy sznurek do bielizny rozciągający się ze wschodu na zachód. Czasem nocą zdarza się tak, że umykający przed pościgiem włóczędzy lub podglądacze biegną na oślep przed siebie, wpadają na takie linki i zahaczają o nie grdyką. Pomyślał, że kiepsko by było skończyć w takiej pułapce ze sznurem przecinającym skórę na gardle.

Szedł bezszelestnie przez pogrążone w ciszy podwórza, przepojone delikatną wonią ciężkich od owoców drzew grejpfrutowych i pomarańczowych, wtapiając się w rzucane przez nie cienie. Minął dom w starym hiszpańskim stylu, gdzie błyski kolorowego ekranu telewizora

tworzyły tęczę w oknach na pierwszym piętrze. Ciężka, metalowa skrzynka pocztowa, umieszczona wysoko na słupie, stała jak samotna strażnica przy bramie, podczas gdy w środku David Letterman chłonił stworzoną w filmie iluzję prawdziwego życia.

Telewizja śmieszyła Alexa. Jedyne dostępne afrodyzjak w wielu sypialniach. A ilu milionom ludzi przytulonym do swych pilotów śniły się kolorowe reklamy piwa i samochodów?

Miał ochotę krzyknąć:

– Zbudźcie się! To ja, Alex! Tu na zewnątrz jest prawdziwe życie! Zamiast tego przyspieszył i podążył wilgotnym chodnikiem wąskiej uliczki w stronę rozciągającego się przed nim ranczo. O tej porze na dwupasmówce nie było żadnego ruchu, nie widać było świateł samochodowych reflektorów. Żeglował po morzu nocy samotnie i pewnie. Przez chwilę towarzyszyła mu mewa kołująca z chichotem nad jego głową. Później odleciała w stronę zatoki. Odrzutowiec zamrugał światłami gdzieś ponad wierzchołkami drzew i pomknął w stronę lotniska międzynarodowego w Miami. Tuż przy ziemi błyszczały chytrze czyjeś czujne oczy. Wścibiśki, pręgowany kot odwrócił wzrok i znikł wśród australijskich sosen.

W domu było cicho i ciemno. Gdy stanął na progu, poczuł ucisk w żołądku i w gardle. Chwila wahania i już jego osłonięte rękawiczkami dłonie popchnęły zręcznie siatkę na drzwiach zewnętrznych tuż ponad zamkiem. Obluzowane zabezpieczenie oderwało się łatwo od zbutwiałej framugi. Teraz trzeba tylko sięgnąć głębiej, nacisnąć zabezpieczenie zamka i otworzyć zasuwkę. Drzwi otworzyły się z piskiem; na górnej wardze wystąpiły mu krople potu, a tętno wzrosło. Zamek zabezpieczający

drzwi wewnętrzne miał prymitywną, typową konstrukcję. Wyjął kartę kredytową z kieszeni džinsów, wsunął ją między drzwi a framugę, przesunął wzdłuż zamka i wyjął z powrotem przez szparę. Nie drżały mu ręce. Zamek odskoczył z cichym trzaskiem. Włożył troskliwie kartę z powrotem do kieszeni i powolutku otworzył drzwi, krzywiąc się na jęk i skrzypienie zawiasów.

Cisza. Wszedł do środka, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Wysilając wzrok, by dojrzeć coś w ciemnościach, wdychał przez chwilę zapachy tłuszczu i kawy dolatujące z kuchni. Nagły szelest i gardłowe warczenie, które raptownie doszły do niego spod stołu, spowodowały, że stanął w miejscu jak wryty i omal nie wrzasnął. Zapomniał o tym cholernym psie. Płowy, krótkowłose kundel o smutnym pysku stał przed nim na sztywnych łapach, a z jego gardła wydobywał się charchot.

– Bosco – szepnął chrapliwie. – Chodź tu, piesku.

Pies uspokoił się, przekrzywił na bok głowę i mrugał ze zdziwienia.

– No, chodź, Bosco.

Kundel zrobił parę chwiejnych kroków, ślizgając się po wypolerowanej posadzce i legł ciężko na boku. Potem przetoczył się na plecy, machając łapami w powietrzu i uderzając ogonem o podłogę. Dopraszał się przy tym wyraźnie, żeby go podrapać. Alex pomyślał chwilę i poklepał go szorstko po zarośniętym brzuchu. Pies był jego. Kiedy wstał, Bosco również się podniósł i powłókł za nim, machając ogonem. Zyskał lojalnego współnika. Pies węszył teraz spokojnie i poprowadził Alexa do pokoju, a metalowe ozdoby na jego obroży dźwięczały cicho. Pokazałby mi nawet, gdzie są rodzinne srebra, gdyby mi na tym zależało – pomyślał Alex.

Światło jego latarki przeszywało ciemność. Mały robaczek świętojański

oderwał się od słodkich okruszków i szklanki po mleku, po czym sfrunął ze stołu. Alex poszedł dalej korytarzem. Serce waliło mu mocno. Drzwi do pokoju dzieciennego były otwarte. Kilkunastoletnia dziewczyna oddychała głęboko przez sen. Zobaczył, jak układa się wygodnie, podciągając wysoko kolano, i skopuje ze siebie cienką kołdrę. Jego cień padł na cudowną szyję dziewczyny, którą tak łatwo by było posiniaczyć, i na jej włosy lśniące lekko w świetle księżyca. Wyczuł palcami chłodne, stalowe ostrze myśliwskiego noża zatkniętego za pasem. W zwolnionym tempie, jakby śnił, zaczerpnął kilka razy powietrza, czekając, aż dziewczyna przestanie się kręcić i mościć na łóżku. Poszedł dalej, drżąc z podniecenia.

Nim zdążył przekroczyć próg sypialni rodziców, usłyszał dolatujące stamtąd chrapanie. Spasione ciało leżącej na plecach kobiety zajmowało cały środek łóżka, a jej olbrzymie piersi wylewały się z bezkształtnej koszuli nocnej. Z otwartych ust wydobywały się dźwięki przypominające świńskie pochrumkiwanie, a w ich kąciku zebrała się ślina. Mężczyzna spał nago. Był zupełnie odkryty, gdyż kobieta pozbawiła go całkowicie kołdry. Leżał na brzuchu na samym skraju łóżka, palce u rąk miał lekko zagięte, jakby kurczowo się czegoś trzymał. W przyćmionym świetle sączącym się do pokoju przez zasłonięte okno wydawało się, że jego skóra jest dobrze napięta i gładka. Ciemne, kręcone włosy pokrywały mu plecy. Alex patrzył na nich z zainteresowaniem. Wyobrażał sobie, że nie śpią i uprawiają seks. Rozradował go fakt, że tak wdarł się do ich domu i narusza intymność sypialni małżeńskiej. Doznawał fantastycznego poczucia siły i wszechmocy. Słyszał kiedyś, że wielu gwałcicieli doświadcza podobnych wrażeń, delectując się naruszaniem najbardziej osobistej, prywatnej sfery człowieka. Gdy wiatr przegnał chmurę z

powierzchni księżycy i pokój posrebrzył się jego światłem, zabrał pierścionek z zagraconej toaletki. Przestraszyły go oczy, lśniące w lustrze naprzeciwko, które patrzyły mu prosto w twarz. Z początku nie rozpoznał ich czujnego, wyczekującego spojrzenia. Ostatnio widział tę tryskającą energią twarz na fotografii, skąpaną w nagłym błysku światła, zastygłą w czasie. Poczul nagły ucisk w gardle, jakby po długiej rozłące ujrzał kogoś, kogo kocha. Wpatrywał się, nie mrugnawszy nawet powieką, w swoje własne odbicie.

Monotonne chrapanie kobiety na łóżku sprawiło, że wrócił do rzeczywistości. Chwycił delikatną kameę połyskującą w mdłym świetle na stoliku nocnym. Uważając na każdy krok podniósł z krzesła damską torebkę i wysunął z niej portfel, tak samo opasty jak jego właścicielka, po czym wyjął z niego banknoty. Zgarnął jeszcze kolczyki z białego złota i przetrząsnął spodnie mężczyzny, wiszące na oparciu drugiego krzesła. Znalazł tylko dwa banknoty jednodolarowe. Pęta – pomyślał i schował je do kieszeni.

Rzucił jeszcze jedno marzycielskie spojrzenie na piękną nastolatkę, która spała tak słodko, i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. Nie było to trudne. Poruszał się jednak zbyt szybko i wpadł na krzesło w jadalni. Chwycił je za poręcz, żeby nie stracić równowagi, i ciężko się o nie oparł.

Krzesło potrąciło stół, a wtedy coś – prawdopodobnie szklanka – przewróciło się i potoczyło po blacie. Usiłował ją pochwycić, ale spadła na podłogę, zakłócając panującą w pokoju ciszę. Strach chwycił go za gardło. Usłyszał ruch w sypialni. Mięśnie skurczyły mu się, gdy walczył z odruchem natychmiastowej ucieczki.

– *Wstrętny pies* – wychrypiła gniewnie kobieta zaspianym głosem. – *Wstrętny! Leżeć!*

Bosco zaskomlał i wlaź pod stół. Położył się i patrzył wokół smutno zwilgotniałymi oczami. Znów jęknęły sprężyny łóżka i zaległa cisza. Alex przytulił się do oparcia krzesła i głęboko oddychał. W domu zapanował zupełny spokój. Alex czekał jeszcze pięć, dziesięć minut, trwając w całkowitym bezruchu. Czas – przemknęło mu przez głowę. Zawsze pozwalał się oszukać i musiał potem walczyć o każdą chwilę. Teraz też miał wrażenie, że każda minuta trwa nieskończenie długo. Dziewczęca twarz w kształcie serca uśmiechała się nieśmiało na fotografii stojącej nad elektrycznym kominkiem. Nastolatka sprawiała wrażenie zadowolonej, bezpiecznej, nietkniętej. Poczul, że wzbiera w nim gniew i wsłuchiwał się w miarowe tykanie zegara, który wolno odmierzał sekundy, dopóki nie uznał, że może już bezpiecznie odejść. Gdy mijał psa, ten uderzył z nadzieją ogonem o podłogę.

– *Chodź tu, kundlu.*

Słyszac tę komendę, pies wstał z głupim wyrazem pyska. Wyglądał tak, jakby się uśmiechał. Alex odwzajemnił uśmiech, przyklęknął i wyciągnął lewą rękę. Prawą sięgnął po nóż. Bosco podszedł bliżej, jakby wstydliwie, ze zwieszoną głową. Nóż był ostry, więc było to łatwe. Alex ścisnął pysk psa lewą ręką, póki nie ustały skurcze i drgawki. Potem podniósł się powoli, uważając na każdy ruch, i wytarł zakrwawione ostrze o uśmiechniętą twarz nastolatki na zdjęciu. Teraz dziewczyna wyglądała tak, jakby ktoś domalował jej wąsy, i bardzo go to ubawiło. Stojąc przy drzwiach, odwrócił jeszcze głowę, żeby popatrzeć na wciąż powiększającą się plamę, która pojawiła się na wyłożonej żółtymi kafelkami podłodze.

Usatysfakcjonowany, wyszedł prosto w czarną studnię nocy. Ulica była nieoświetlona i cicha; dobiegał do niego jedynie charakterystyczny dźwięk elektrycznego odstraszacza owadów, który ktoś zamontował sobie w patio. Księżyc wyglądał jak świetlista, kremowa kula. Alex był zadowolony i bardzo podniecony.

Poszło mu o wiele lepiej, niż się spodziewał.

Rozdział drugi

Rob Thorne obudził się, kiedy budzik elektroniczny wskazywał czwartą osiemnaście. Śniło mu się, że jest policjantem i wygląda niezwykle przystojnie w granatowym mundurze. Wyskoczył właśnie z policyjnego auta, żeby się za nim schronić, i wyszedł z potyczki zwycięsko, ratując kilku ludzi. Tak samo jak policjanci, których wyczyny oglądał w telewizji, tak samo jak Rick, glina, który mieszkał obok. Tłum ludzi podziwiał jego bohaterski wyczyn, wszyscy pragnęli uścisnąć mu dłoń. A obok stał jego szef. Uśmiechał się i trzymał w ręku medal. Rob leżał spokojnie przez chwilę i żałował, że się obudził. Nagle w jego świadomość wdarł się przeszywający dźwięk alarmu przeciwwłamaniowego. Szczekały psy. Złodziej? Wyśliznął się z chłodnej pościeli i podreptał do okna. Rozsunął żaluzje, żeby wsłuchać się w dźwięki stłumione warkotem odstraszacza owadów. Coś się działo na sąsiedniej wyspie. Wiatr i żar uruchamiają czasem domowe i samochodowe alarmy, a woda przenosi ich odgłosy. Potarł kark leniwym ruchem i zaczął się zastanawiać, czy ktoś już wezwał policję.

I wtedy coś dostrzegł. Najpierw pomyślał, że ma jakieś omamy. Ale nie. Tuż obok drzew majaczyła szczupła, ciemna sylwetka. Rob zamrugał powiekami i wyteżył wzrok, ale postać gdzieś znikła. Zmienił nieco pozycję i przybliżył się do okna. Ktoś był nie opodal skalnego ogródka sąsiadów i sunął ukradkiem w kierunku domu Ricka.

A Laurel Trevelyn, nowa dziewczyna Ricka, została sama w domu. Za oknami panowała ciemność, samochód pana domu zniknął z podjazdu. Idealna okazja dla włamywacza. Rob ruszył szybko w kierunku telefonu,

uderzając się przy tym boleśnie w palec bosej nogi o stolik nocny. Kulejąc, sięgnął po słuchawkę, żeby zadzwonić do Laurel, ale w ciemnościach nie mógł odczytać numeru, a nie chciał zapalać światła. Ktoś czał się na zewnątrz, dziewczyna była sama, a Rick prosił Roba, żeby się nią opiekował.

Rob wciągnął szorty, chwycił kij do baseballu i boso pomknął na ratunek. Zbiegając ze schodów, cieszył się, że nie pojechał z Rickiem. Jeszcze parę godzin temu czuł się okropnie zawiedziony. Był entuzjastą pracy w policji i ciągle prosił, żeby Rick i jego partner, Jim Ransom, którzy pracowali w wydziale zabójstw, zabierali go ze sobą na nocną zmianę w charakterze obserwatora. Oni natomiast starali się go do tego zniechęcić za wszelką cenę.

– Spójrz na swoje drzewo genealogiczne, dzieciaku – powiedział raz Jim. – Jak nie znajdziesz żadnego Julia, daj sobie spokój. Z takim nazwiskiem jak Thorne masz zerowe szanse. Możesz za to podziękować niektórym sędziom federalnym i jeszcze paru działaczom. Promują wyłącznie Latynosów, czarnych i kobiety. Jesteś młody, inteligentny, powinieneś się uczyć. Wybierz jakiś zawód z przyszłością.

Ale Rob nalegał i chciał jechać z nimi w nocy z piątku na sobotę, bo rano nie miał lekcji. Rick przerwał mu w połowie zdania.

– Słuchaj, mały. Chcę cię prosić o przysługę. Gdzieś tu w okolicy grasuje włamywacz. Trzymaj rękę na pulsie, dobra? Pilnuj Laurel, dopóki nie zrobię tutaj porządku.

– Zgoda, Rick. Nie ma sprawy.

Mimo iż doznał zawodu, cieszył się, że otrzymał takie zadanie. Teraz był pijany szczęściem. Gdyby z nimi pojechał, straciłby swoją szansę.

Chciał zrobić wrażenie na Laurel od pierwszego dnia, kiedy się tu wprowadziła, gibka i wdzięczna w obciętych džinsach. Miała długie, opalone nogi i płowe, rozjaśnione przez słońce włosy. Wyobrażał sobie nawet, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Laurel rozstała się z Rickiem. Przy jego sposobie traktowania kobiet, nigdy nic nie wiadomo – myślał. – A wiekiem ona pasuje bardziej do mnie.

Wypadł przez tylne wyjście i zaczerpnął łyk świeżego, ciepłego powietrza. Przymrużył powieki i pobiegł w kierunku ogródka skalnego, trzymając przed sobą kij baseballowy, na wypadek gdyby musiał się nim posłużyć. Migający cień poruszał się teraz bardzo szybko.

– Stój! – wrzasnął. – Nie ruszaj się!

Biegnący coraz szybciej człowiek przedarł się przez żywopłot i zniknął w krzakach rosnących za domem. Rob słyszał teraz tupot – ktoś biegł przez zagajnik drzew grejpfrutowych i pomarańczowych rosnących obok domu Singerów. Adrenalina pulsowała mu w żyłach, gdy ruszył w pogoń. Wiedział, że z łatwością dogoni intruza. Był szybki, miał świetną kondycję, a ponadto znał lepiej teren. Przeszył go dreszcz emocji i pomyślał, że tak właśnie muszą się czuć policjanci. Teraz był już pewien swojej przyszłości.

Uciekający zatrzymał się i zawahał, gdyż drogę zatarasowała mu prawie siedmiostopowa kupa gruzu. Zorientował się, że ścigający jest już blisko, więc zawrócił szybko i pomknął w stronę zatoki. Rob natychmiast zmienił kierunek. Teraz ścigany został uwieczony między nim a zatoką. Niestety, nie było go widać.

Nagle Rob dojrzał w świetle księżyca jakąś część bladego ciała i ruch wśród wodorostów przy brzegu.

– Wyłaź, draniu! – krzyknął i pochwycił ramię przeciwnika, ale ten wyszarpnął się i obaj wylądowali wśród gałęzi.

Ścigany zaczął kopać, ale Rob chwycił go za kostkę i tak mocowali się w ciemnościach.

– Cholera, ale z ciebie gówniarz – wykrzyknął nagle z niesmakiem Rob. – Stój, bo strzelam – dodał ostrzegawczo.

Nie miał broni, ale zabrzmiało to niezłe. Podziwiał władczy tembr swego głosu. Zrobił krok w przód i trzymając kij do baseballu tak, jakby to była strzelba, wymierzył go w przeciwnika. Gałęzie rozsunęły się, księżyc zaświecił jasno, a Rob otworzył szeroko oczy i usta ze zdziwienia. Ten dźwięk zabrzmiał jak grzmot. Kula trafiła go prosto w pierś i zwała z nóg.

System nerwowy przekazał mu jeszcze telegraficznie odgłos uderzeń i parskanie. Później i te dźwięki zaczęły zanikać, aż w końcu jedynym światłem w jego oczach pozostał odbijający się w nich blask księżyca.

Rozdział trzeci

Policja nie interesuje się specjalnie włóczęgami. Zwykle uciekają, zanim zdąży przyjechać patrol. Oficer patrolowy Mary Ellen, która właśnie objęła dyżur, miała nadzieję, że ten nie zdąży. Nie miała nic przeciwko temu, żeby go ścigać, a jeszcze lepiej aresztować i zająć się zmundną robotą papierkową. To pewnie jakiś podglądacz – pomyślała. Miała już absolutnie dosyć mężczyzn i jej życie osobiste układało się ostatnio nie najlepiej. W tej sytuacji schwytanie zbrojcy na gorącym uczynku sprawiłoby jej zapewne przyjemność. Tak się dziwnie złożyło, że telefonowano z okolicy, w której mieszkał Rick, sprawca jej kłopotów sercowych. Teraz jechała na miejsce wezwania i nie włączyła koguta. Nawet jeśli rzeczywiście ktoś tam się kręcił, a jej nie uda się go dopaść, nikt nie będzie miał o to pretensji. To był jej ostatni nocny patrol. Wracала do pracy w wydziale zabójstw. Być może uda jej się zakończyć służbę efektywnie i dostarczyć Rickowi zbrojcy z sąsiedztwa.

Dojeżdżała już na miejsce, kiedy centrala poinformowała ją, że prawdopodobnie padły tam strzały.

Cholera – pomyślała – nerwowi lokatorzy strzelają do cieni. Mieszkańcy Miami są świetnie uzbrojeni. Można właściwie założyć, że każdy ma broń – ofiara, świadkowie, przechodnie, no i oczywiście przestępca. Mary Ellen włączyła syrenę w nadziei, że wszyscy ją usłyszą i poddadzą się. Teraz już nie było powodu, żeby zachowywać ciszę.

W kilku oknach paliło się światło. Kiedy jednak podjechała pod dom, z którego telefonowano, nie dostrzegła nikogo. Odpięła kaburę i dopiero wtedy zobaczyła, że jakaś ubrana w szlafrok kobieta w średnim wieku

biegnie alejką w jej kierunku. Kobieta krzyczała przeraźliwie. O Boże – pomyślała Mary Ellen Dustin – na pewno kogoś zastrzelili. Cholera jasna!

Sierżant Rick Barrish i detektyw Jim Ransom szukali człowieka, który ledwo uszedł z życiem z fabryczki narkotyków. Chwilę później barak wyleciał w powietrze i pogrzebał kogoś, kto biegał trochę wolniej.

Policjanci przystanęli przy sklepie i snack-barze Woody'ego, żeby zamienić parę słów z kimś, kto o tej porze przebywałby jeszcze w Overtown.

J. L. Sly stał w drzwiach. Jego czekoladowa skóra błyszczała od potu. Mimo potwornego upału miał na sobie nieskazitelnie biały sportowy płaszcz i czerwone spodnie. Poruszał się z leniwym, kocim wdziękiem. Emanowała z niego pewność siebie i radość życia. Sly cofnął się trochę, żeby wpuścić policjantów do środka.

– Witaj, dobry człowieku! – zwrócił się do Ricka i wymienił z nim uścisk dłoni, a następnie przybrał typową dla walk wschodnich pozycję bojową i zaczął przecinać powietrze gładkimi, płynnymi ruchami rąk.

– I cóż to sprowadza moich przyjaciół do krainy ciemności w tę księżycową noc?

– Interesy – odparł Jim oficjalnym tonem. – Słyszałeś o wybuchu?

– Niestety zawsze spada na nas jak grom z jasnego nieba – powiedział wolno Sly, kiwając smutno głową. – Łatwo przychodzi mi zdobywanie wiedzy, którą nie zostałem obdarzony przy urodzeniu.

– A mnie łatwo przychodzi dać kopa w tyłek temu, kto robi ze mnie idiotę – syknął Jim poirytowanym tonem.

– Słowa mędrca szybciej zmierzają do celu niż słowa wojownika – poinformował go J. L.

Zwrócił się do Ricka i kontynuował ożywionym tonem:

– Twój przyjaciel nigdy nie wyciąga ramion, by przytulić wróbla z głową wtuloną pod skrzydło, symbol spokoju ducha.

– Rzeczywiście bym go o to nie posądzał – uśmiechnął się Rick. – Jak leci? Mam nadzieję, że nie terroryzujesz Overtown swoim kung-fu.

Sly tańczył teraz wokół o wiele potężniej od niego zbudowanych policjantów, wykonując przy tym całą serię zwodów i uników.

– Nie wiem, czy jestem człowiekiem śniącym, iż stał się motylem, czy też motylem, który marzy, że przeistoczył się w człowieka – oznajmił.

– Nie zawracaj sobie dupy tym problemem – poradził mu Rick po przyjacielsku.

Jego głęboko osadzone szare oczy lśniły na tle opalonej twarzy. Był w dobrym humorze. Nagle zniżył głos:

– Chcielibyśmy pogadać z facetem, któremu udało się z tego wywinąć. Sly podszedł do niego bliżej i szepnął:

– Ma ksywkę Blinky i często się kręci w Nairobi Stereophonic Diner.

– Dzięki, stary.

– Jestem jak wędrująca po niebie chmura. O nic nie proszę, niczego nie pragnę.

– Ode mnie i tak nic nie dostaniesz – mruknął Jim. Na jego policzkach widniał ciemny zarost i miał bladą cerę typową dla więźniów lub ludzi, którzy śpią w dzień, a pracują w nocy. Był krzepki i mocno zbudowany, sylwetką przypominał starzejącego się baseballistę.

Sly posłał słodki uśmiech w kierunku srogiego policjanta.

– Nawet po latach dryfowania po wodzie kłoda drewna nie zamieni się w krokodyla – oznajmił.

– O co ci chodzi, do cholery? – zapytał Jim, ale Sly wyszedł już na ulicę i wmieszał się w tłum nocnych marków, który rozstępował się przed nim z szacunkiem.

– J. L. jest w porządku – powiedział z uśmiechem Rick.

– Z pewnością, z wyjątkiem tego, że zużywa tlen, który jakaś społecznie użyteczna jednostka mogłaby z powodzeniem wykorzystać.

Fluoryzujące światło neonówek zainstalowanych w barze zakłócało odbiór komunikatu nadawanego właśnie przez policyjne radio, które przekazywało wiadomości z szybkością karabinu maszynowego. Rick podszedł więc bliżej do drzwi, trzymając w jednym ręku filiżankę z kawą. Drugą przyciskał do ucha odbiornik, żeby lepiej słyszeć.

A 330 – strzelanina – prawdopodobnie czterdziestkapiątka – śmierć – na wyspie – w jego bliskim sąsiedztwie.

Rick prowadził, a Jim przywarł do deski rozdzielczej i wsłuchiwał się w podawane przez radio komunikaty. Pierwszy policjant dotarł już na miejsce.

– To rejon Dusty – powiedział Jim i posłał Rickowi długie, znaczące spojrzenie. Przybyła również straż pożarna. Ofiarą padł młody biały mężczyzna, który zmarł na miejscu.

– Wygląda na to, że jeden z twoich sąsiadów załatwił tego typka i oszczędził nam kłopotu. Możemy odfajkować sprawę. Uliczny wymiar sprawiedliwości działa szybko i sprawnie.

Jim uśmiechnął się do swoich myśli, chociaż gorąca kawa wylała się i poparzyła mu palce, bo nie udało mu się utrzymać prosto plastikowego kubka.

Jazda, która zwykle trwałaby dziesięć minut, zajęła im pięć. Powrót do domu nigdy nie zabierał Rickowi dużo czasu, ale za to dostarczał wielu miłych wrażeń. Mieszkał bowiem na wyspie San Remo, położonej między Miami a Miami Beach, czerpiąc korzyści z zalet dwóch otaczających go światów. Jego dom położony był na przedmieściu, przy cichej, zadrzewionej ulicy, a cztery mile dalej czekały na niego wieżowce i nowoczesna kwatera główna policji. Spokój i bezpieczeństwo dzielnicy, w której mieszkał, okazały się niezwykle ważne, kiedy on i Laurel zdecydowali się zamieszkać razem. Ich burzliwy romans zadziwił wszystkich znajomych Ricka, którzy nie wierzyli, że ten facet kiedykolwiek się ustatkuje. Nadal zresztą robili o to zakłady. Dusty natomiast zajmowała ostatnie miejsce na liście porzuconych przez niego kobiet.

Rick miał nadzieję, że Jim właściwie interpretuje przebieg wydarzeń. Prawie w to wierzył, dopóki nie wjechał nieoznakowanym autem na swój własny podjazd. Wtedy bowiem usłyszał krzyki.

To nie był głos Laurel. Odnalazł ją szybko wzrokiem. Zwinęła się w kłębek na małej kamiennej ławce, miała opuszczoną głowę, a jej mokre włosy spadały na twarz. Siedziała tak na uboczu, przed wejściem do ich domu.

– Wszystko w porządku, kochanie? – spytał i mocno ją do siebie przytulił.

Bezwolnie poddała się uściskowi.

– Co tu się stało, do diabła?

Podniosła na niego swe bursztynowe oczy, w których teraz czaiło się przerażenie; jej twarz była chorobliwie blada mimo opalenizny.

– Nie wiem, co się stało – szepnęła.

Przypominała zagubione dziecko, które zaraz się rozplacze.

– To... Rob – wyjąkała, wskazując drżącą ręką dom Thorne'ów.

– Jasna cholera.

Rick uścisnął pokrzepiająco jej ramię i ruszył w stronę, z której dochodziły krzyki, z drżącym sercem. Matka zabitego chłopca wyrwała się mężowi i mundurowemu, którzy usiłowali ją powstrzymać. Na połach jej szlafroka widniała krew. Wyciągała ręce do syna.

Lekarz odsunął się od ciała, jego wzrok napotkał spojrzenie Ricka. Pokręcił głową.

– Nic nie mogliśmy zrobić. Niestety.

– On już nie żył, kiedy tu dotarłam, Rick – powiedziała Mary Ellen, której udało się już zapanować nad uczuciami, jakich doznała na widok Ricka. – Przez chwilę wydawało mi się, że wyczuwam słaby puls – dodała, wzruszając bezradnie ramionami. – Może zresztą tylko chciałam, żeby tak było. On jest taki młody. I tak zresztą wezwałabym karetkę. Bardziej dla niej – podniosła oczy na matkę Roba – niż dla niego.

Rick skinął głową ze zrozumieniem.

– Co ci się do tej pory udało ustalić?

– Kilka osób słyszało strzał.

Zabrzmiało to profesjonalnie i beznamiętnie.

– Ktoś zadzwonił z doniesieniem, że w okolicy kręci się jakiś podejrzany typ. Byłam już w drodze, kiedy otrzymałam drugi telefon i dowiedziałam się o krzykach i bieganinie. Najprawdopodobniej zabity wyszedł z domu z kijem baseballowym, który służył mu jako broń, i wkroczył do akcji. Żaden z sąsiadów nie widział ani przebiegu wydarzeń,

ani zabójcy. Nie mamy narzędzia zbrodni. Nikt nie może opisać sprawcy. Również nikt nie słyszał samochodu. Niewykluczone, że zabójca jest jeszcze w okolicy. Zabezpieczyłam miejsce zbrodni i ogrodziłam je taśmą.

Laurel stanęła obok nich w rannych pantoflach i różowym peniuarze.

W czerwono-niebieskich światłach samochodów policyjnych, z włosami opadającymi na ramiona, dziewczyna nie wyglądała na więcej niż szesnaście lat.

– Proszę się odsunąć... – zaczęła Dusty i urwała, gdy Rick objął Laurel, by dodać jej otuchy.

Dokonano wzajemnej prezentacji. – Dusty uśmiechnęła się i przywitała z dziewczyną. A więc to ona – pomyślała chmurnie. – No jasne. Typowa miss piękności: świeża, młoda, śliczna, nawet w środku takiej parszywej nocy jak ta, bez makijażu, wygląda fantastycznie.

– Przepraszam, nie wiedziałam – zaczęła Dusty i przyjrzała się jej bliżej. – Masz mokre włosy.

– Brałam... brałam właśnie prysznic, kiedy to się stało.

– O tej porze? – Dusty spojrzała na nią pytająco.

– Ten zabity chłopiec mieszkał tuż obok nas – jęknęła Laurel, ukryła twarz na ramieniu Ricka i zapłakała.

– Wiem – Dusty nadal wpatrywała się w nią badawczo, póki Rick nie ponaglił jej niecierpliwym gestem ręki, żeby kontynuowała sprawozdanie.

Miała niewiele do dodania.

– Dojechałam tutaj w ciągu pięciu minut. Wygląda na to, że dostał jedną kulę w pierś.

– Sprawdź, czy tender nie widział niczego podejrzanego, połącz się z ME i K9. Powiedz technikom, żeby używali mocnego światła. Ciemno tu

jak cholera – dodał, jakby dopiero teraz to zauważył.

Do tej pory nigdy nie patrzył na ulicę, przy której się wychował, skrupulatnym wzrokiem detektywa, badającego miejsce zbrodni. Podobało mu się, że prawie w ogóle nie ma na niej ruchu, lubił mdłe światła rzadko porozstawianych latarni, szczególnie w porównaniu z ostrym blaskiem sodowych lamp w mieście.

– Już im to mówiłam.

– To wezwij straż pożarną i helikopter – warknął. – Tu w okolicy bardzo łatwo się schować. Nie będziemy wpuszczać ani wypuszczać nikogo z wyspy, chyba że mieszka tu na stałe. Żadnych zwiedzających. Sprawdź, czy szosą nie idą jacyś piesi. Dowiedz się, czy nikt nie zauważył niczego niezwykłego. Zapytaj taksówkarzy, czy nie podwozili nikogo.

Dwaj mundurowi otoczyli dokładnie miejsce zbrodni żółtą taśmą. Rick przeszedł pod nią i oświetlił latarką leżący obok ciała kij baseballowy. Gdyby kij lub trawa, na której leżał, były zakrwawione, mogłoby to znaczyć, że Rob uderzył swego zabójcę i należy teraz szukać kogoś, kto jest ranny. To już byłby jakiś postęp.

Nie znalazł jednak takich śladów. Pobieźnie zbadał ciało, starając się odpędzić z oczu obraz nieznośnego szkraba ze szparą między zębami, który łąził bez przerwy za nim i innymi starszymi chłopcami z sąsiedztwa. Szkrab wyrósł na błaznującego stale małolata z metalową klamerką w ustach, którego fascynowała praca w policji, dzieciaka, który marzył o tym, żeby zostać gliną, tak jak Rick. Bose, półnagie ciało, leżące na trawie z zakrzywionymi palcami u nóg, nie przypominało w niczym tamtego Roba, ale Rick wiedział, że ten widok wyraźnie i boleśnie utkwi mu w pamięci i zawsze go będzie prześladował. Z ponurą miną podszedł do

karetki, przy której stali mocno przytuleni do siebie rodzice chłopca. Ojciec patrzył na Ricka i widać było, że gaśnie tłąca się do tej pory w jego oczach iskierka nadziei.

Rick rozmawiał już setki razy z rodzinami ofiar. Wcale nie jest coraz łatwiej. Przeciwnie, jest coraz trudniej – przemknęło mu przez głowę. Poza tym nigdy przy takich okazjach nie miał do czynienia z najbliższymi sąsiadami.

– Heleno, Dan – stanął przed nimi tak, żeby zasłonić sobą ciało i zmusić ich tym samym, aby całą uwagę skupili na nim. – To prawda. Rob został zastrzelony. Nie żyje. Nikt już mu w żaden sposób nie mógł pomóc. Jeszcze nie wiemy, kto go zabił, ale zapewniam was, że zrobimy wszystko, żeby znaleźć sprawcę. Wiecie, że jestem waszym przyjacielem, a teraz możecie na mnie liczyć bardziej niż kiedykolwiek.

Kobieta jęknęła.

– Najważniejszy jest teraz czas – ciągnął. – Chcę, żebyście byli silni i na chwilę porzucili smutek. Musicie nam pomóc.

– Co możemy zrobić? – zapytał mężczyzna bezbarwnym głosem.

– Czy wiecie, co zobaczył Rob?

– Nawet nie zauważyliśmy, że wyszedł – odparł mężczyzna. Zabrzmiało to bezbarwnie i głucho.

– Co on tutaj robił? – zapytała matka, podnosząc głos. – Co on robił? Co robił?

Rick wiedział, ale byk to wyjątkowo gorzka prawda. Chłopiec byłby o wiele bezpieczniejszy z nim, w policyjnym aucie, niż we własnym łóżku. Dlaczego w nim nie został?

Sąsiedzi odprowadzili rodziców Roba do domu. Rick podszedł spokojnie do samochodu, okręcił się na pięcie i rąbnął pięścią w drzewo. Ból sprawił mu radość.

– Cholerne palmy. Ta aż się o to prosiła.

Jim stał za nim, jak zwykle konkretny i rzeczowy.

– Wygląda na to, że odbywały się tu zapasy. Każ im pobrać odciski z ciała.

To było trudne, ale zdawało egzamin. W dwóch poprzednich sprawach, które razem prowadzili, wykorzystali ten pomysł i udało się zdjąć odciski ze skóry ofiar. Gwałciciel, który zabił młodą dziewczynę, pozostawił ślad kciuka na jej kostce. Ta metoda sprawdza się lepiej w przypadku kobiet, ponieważ powierzchnia ich skóry jest gładsza i mniej owłosiona. Za drugim razem jednak udało im się zidentyfikować odcisk palca na ramieniu mężczyzny, który usiłował walczyć ze swoim zabójcą.

– Nasi ludzie poszli na zwiady. Jak do tej pory nie znaleźli nikogo, kto słyszałby odpływającą łódkę lub odjeżdżający samochód. Poprosiłem, żeby mi dostarczono odciski palców wszystkich włóczęgów i włamywaczy, którzy grasowali na plaży i na wyspach.

– A może to nie był włamywacz?

– Wtedy, jeżeli nie dopisze nam szczęście, będziemy mieli prawdziwą zagwozdkę. Ale kto to niby mógł być? Kto, poza włamywaczem, zakradałby się tutaj o czwartej nad ranem? Co za okropna sprawa! To był dobry dzieciak i wyrósłby na świetnego glinę.

Jim pokręcił głową. Nie zachwycał się już byle czym, ale lubił tego chłopca, a jego szczere i żywe zainteresowanie pracą w policji schlebiało mu. Starzejący się policjant wskazał głową dom Thorne'ów, w którym

teraz paliło się światło.

– Jedynek?

– Tak. Ukochany, jedyny syn. – Chodziłem jeszcze do ogólniaka, kiedy się urodził. Patrzyłem, jak dorasta. Kiedy moi rodzice przeszli na emeryturę i przenieśli się do Saint Pete, ja sprowadziłem się z powrotem tutaj, do tego domu. Później go od nich odkupiłem. Podobało mi się, że tak tutaj spokojnie – uśmiechnął się gorzko.

– Pieprzony świat – powiedział Jim – Wszystko przez tę pełnię. Zawsze tak jest. Jak dorwiemy skurczybyka, zamawiam go dla siebie. Zasługuje na to, żeby go rozwalić na miejscu.

– To prawda. Ale najprawdopodobniej jeszcze pożyje.

– Wiesz, jak jest, Rick. Walka w ciemnościach, powiedzą, że nie mogą zastosować kary śmierci. Założę się, że zrobią z tego nieumyślne zabójstwo. Albo jeszcze gorzej; okaże się, że to jakiś młody gnój i wszystko ujdzie mu na sucho, bo jest niepełnoletni. Chyba, że ja go najpierw dopadnę.

Podobnie jak niektórzy mundurowi patrolujący zatokę, Jim nosił ze sobą remingtona, kaliber dwanaście.

Rick westchnął. Jim zawsze narzekał na wadliwy system sądowniczy i optował za sprawiedliwością uliczną. Dziś nie miał nastroju, żeby go słuchać.

– Odłóż tę armatę do samochodu. Mam już dość zmartwień. Jeszcze mi tu trzeba snajpera za partnera.

– W Miami zrobił się teraz Dziki Zachód – Jim pomachał bronią, ściskając pieszczotliwie drewnianą kolbę. Długa lufa połyskiwała złowrogo w przyćmionym świetle. – Teraz przydałoby nam się trochę

ulicznej sprawiedliwości. Możesz ją również określić jako zwycięstwo dobra nad złem. Nie widzę w tym nic złego.

– Nic, poza tym że klóci się z prawem, a ty stajesz się tak samo zły jak oni wszyscy. Nie warto być męczennikiem dla takiej idei. Odłóż to do samochodu i wracajmy do roboty.

Obaj zdjęli marynarki i rozluźnili krawaty. Rob Thorne leżał spokojnie, skąpany w nagłym błysku fleszy jak gwiazda programu w centrum ogólnego zainteresowania. Eksplozje światła, pojawiające się w zaparowanych fleszach aparatów fotograficznych i mamrotanie policjantów sprawiały zupełnie surrealistyczne wrażenie. Nad nimi zacienione czubki palm zdawały się chwytać chmury przysłaniające czyste, pełne oblicze księżyca.

Policjanci i technicy przerwali na chwilę pracę, żeby powitać nowo przybyłego gościa. Bob Lansing, pulchny, jowialny okularnik, zawsze przedstawiał się jako jedyny lekarz w mieście, który chodzi na wizyty domowe. Oczywiście, wyjaśniał, wszyscy jego pacjenci są już martwi.

– Zobaczmy, co też się przytrafiło temu młodzieńcowi – powiedział pogodnie Lansing, okręgowy lekarz sądowy.

Kiedy przesunął delikatnie ciało, z małego niewinnie wyglądającego otworu, którym wleciała kula, wylała się krew i splamiła pierś Roba.

Doktor poddał dokładnym oględzinom bezwładne ramiona chłopca, po czym uniósł w górę bosc stopy, żeby sprawdzić, czy nie widnieją na nich jakieś istotne ślady. Przy pomocy Ricka ułożył ciało na brzuchu. Na plecach nie było żadnych ran, jedynie małe, twarde wybrzuszenie pod lewą łopatką. Kule wytracają szybkość, gdy już zagłębią się w ludzkim ciele. Skóra rozciąga się jak elastyczna tkanina, poddając się sile

uderzenia, i wystrzelony pocisk zatrzymuje się tuż pod jej powierzchnią.

– Aaa – wymamrotał lekarz. – Chcecie kulę?

Sekcja miała się odbyć dopiero w południe, więc ustalenie kalibru broni mogło okazać się przydatne.

– Każda informacja jest dla nas ważna – odparł Rick.

– Czy ktoś ma przy sobie scyzoryk – spytał Lansing lekko.

Detektywi i mundurowi policjanci wiedzieli dobrze, czym to pachnie, więc żaden nie odpowiedział. Jedynie nowo przybyła policjantka, Lou Mitchell była skora do pomocy. Doktor podziwiał przez chwilę ostrze jej noża, po czym naciął zręcznie wybrzuszenie. Krew z głośnym gulgotem trysnęła z rany, gdy lekarz wprowadził do środka palec w chirurgicznej rękawiczce.

Po chwili trzymał już kulę, tak jakby to była plastikowa zabawka z czekoladowego jajka z niespodzianką. Pocisk miał kaliber 38 i nie został uszkodzony. Przewrócili Roba z powrotem na plecy, a z rany wciąż lała się krew i wydobywał się z niej upiorny dźwięk, ponieważ powietrze z przebitego płuca wylatywało na zewnątrz przez klatkę piersiową.

Lansing położył zakrwawiony nóż na dłoni okrytej poplamioną teraz rękawiczką, i uśmiechając się z wdzięcznością, chciał go oddać właścicielce. Silna, młoda kobieta używała go do obierania owoców, które jadła na swoje wegetariańskie obiady.

– Chyba nie będzie mi już potrzebny – powiedziała cicho i odwróciła się.

– Możesz zyskać w ten sposób trochę narzędzi – szepnął Jim, a doktor mrugnął w odpowiedzi.

Ci, których życie obraca się wokół gwałtownej śmierci, pracowali przez resztę nocy w kuchni Ricka, która zamieniła się w punkt dowodzenia. Niektórzy technicy padali wprost ze zmęczenia, gdyż było to piąte miejsce zbrodni, jakie przyszło im obsługiwać na tym dyżurze. Laurel była zupełnie odrętwiała. Jej oszołomiony wyraz twarzy zmieniał się tylko wówczas, gdy przelatywał nad nimi helikopter. Krzywiła się wtedy, jakby odczuwała jakiś ból. Ekipa dochodzeniowa przeszukiwała okolice, łącznie z dachami domów, na które przestępcy często rzucają broń uciekając z miejsca zbrodni, najpierw korzystając z niezwykle silnego światła reflektorów, potem zaś z różowiejącego już świtu.

Rodzina mieszkająca po drugiej stronie wyspy znalazła zwłoki swojego psa wcześniej rano. Skuleni w kuchni u sąsiadów, tak by ekipa techniczna mogła pracować bez przeszkód, dowiedzieli się, że włamywacz, który ich obrabował, najprawdopodobniej jest również zabójcą.

– Mógł mnie zgwałcić i zamordować w moim własnym łóżku – stwierdziła ponuro Sandra Corley. Ta wielka kobieta narzuciła na siebie tylko podomkę i klapki.

Larry Corley był blady i roztrzęsiony.

– Dzieci spały w swoich pokojach, Rick. To mogło być jedno z nich albo jedno z nas. Nic nie słyszeliśmy. Zginęło trochę biżuterii i gotówki oraz kamea, którą Sandy dostała od matki.

– A broń? Co z bronią?

– Nigdy nie mieliśmy broni. Może teraz kupię. Nigdy nie podejrzewałem nawet, że coś takiego może zdarzyć się tu, na naszej wyspie.

– A Bosco? Nie szczekał?

– Właśnie na tym polega cały koszmar – odrzekł Larry, kręcąc głową. – Wiesz, jaki to był pies. Wychowywał się razem z dziećmi. Nikt nie musiał go zabijać, żeby siedział cicho. Nie słyszeliśmy nawet skowytu, nic.

– Już dawno powinniśmy się byli pozbyć tego cholernego kundla – oznajmiła Sandra, siorbiąc kawę z kubka. Otarła usta wierzchem dłoni.

– Co on robił, kiedy potrzebny był czujny pies obronny?

– Czuwał – powiedział Larry, ale nie słychać było nawet śladu rozbawienia w jego głosie.

– Myślę, że masz rację – powiedział ponuro Rick. – Nie zabito go po to, żeby go uciszyć. Było tyle krwi...

– Już ja coś wiem na ten temat – warknęła Sandra. – Widziałeś moją podłogę?

– Ale w żadnym innym miejscu nie znaleźliśmy śladów. Ktoś, kto go zabił, zrobił to wychodząc, po prostu dla przyjemności.

– Właśnie! – przytaknęła chrapliwie. – Kupię dobermana i nazwę go Zabójca. Zajmę się tym jeszcze dzisiaj.

– Ile lat ma teraz Lacey?

– Trzydzieści.

Rick i Larry wymienili spojrzenia.

– Jacyś chłopcy?

– Jeszcze nie.

– Jesteś pewna?

– Na miłość boską, Rick! Ona jest w ósmej klasie.

– A może ktoś do niej dzwonił albo zawracał jej głowę, śledził ją?

Po raz pierwszy w oczach Sandry pojawił się strach zamiast złości.

– Jutro, a jeśli mi się uda, nawet dziś wyślę ją do babki w Vermont.

– Sądzisz, że jakiś psychopata... – Larry urwał.

– Raczej nie – powiedział Rick. – Musimy jednak brać pod uwagę wszystkie możliwości. Nikt nie przysparzał wam ostatnio powodów do zmartwień? Ktoś z pracy, z sąsiedztwa, może ktoś z rodziny?

Oboje pokręcili przecząco głowami.

Opłakujące psa dzieci, Lacey i jej ośmioletni brat nie byli specjalnie pomocni.

Mimo że w mieście popełniano wiele przestępstw, na wyspie nie było żadnych tego typu problemów. Tej nocy w jednym przypadku użyto noża, w drugim – broni palnej. Lecz czym właściwie różnili się od siebie dwaj groźni przestępcy, którzy zaatakowali spokojną zwykle wyspę tej samej nocy? Poprzednie doniesienia dotyczyły jakichś drobnych spraw, denerwujących telefonów czy też dźwięków lub cieni zauważonych w nocy. Rick pomyślał, że te dwa przypadki łączy ze sobą osoba sprawcy. Ścigany włamywacz wpada w panikę i w ciemnościach pociąga za spust. Zbrodnia dokonana przez kogoś z zewnątrz. Najtrudniejsza do wykrycia.

Kiedy Rick wrócił do domu, zaskoczył go widok Laurel, która kręciła się po kuchni, nalewając własnoręcznie zmieloną i zaparzoną kawę, przygotowywała kanapki, podsuwała popielniczki zajęтым pracą palaczom, którzy wykonywali tymczasem swoją papierkową robotę i wykończali diagramy. Grzeczna dziewczynka – pomyślał czule, widząc ten nagły przyływ energii. Było mu przykro, że zetknęła się tak blisko z ciemną stroną jego pracy. Na samym początku, gdy tylko się poznali, ujęła go swoją naiwnością, która wyrażała się również w jej wyobrażeniach na temat profesji, którą się parał. Tymczasem śledztwo w sprawie o

morderstwa jest tak absorbującym zadaniem, że zaciera się granica między życiem prywatnym a zawodowym. W końcu tak się dzieje, że nie pozostaje nawet najmniejszy fragment prywatności, na który praca nie miałaby wpływu. W przeciwieństwie do Dusty i innych kobiet, które przewinęły się przez jego życie, Laurel nie bardzo rozumiała, na czym polega policyjna robota, a jeszcze mniej wiedziała o śmierci. A jemu to się podobało. Wzruszała go jej niewinność, wzbudzała w nim uczucia, które uznał za dawno już utracone podczas ciągłej konfrontacji z brutalną rzeczywistością. Emocjonował ją trzask siedmiokanałowego odbiornika radiowego, który trzymał w domu, i opowieści wojenne, które stale z niego wyciągała. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale potrafił tak wyodrębnić czas, jaki z nią spędzałby nigdy nie skalała go jego praca. Codzienny znój i plugawe tajemnice należały wyłącznie do niego. A teraz ona zetknęła się ze śmiercią niemalże na progu ich domu. Mogło się to przecież wydarzyć gdziekolwiek, ale stało się tutaj i właśnie dlatego Rick klął na czym świat stoi.

Laurel była spontaniczna, nieprzewidywalna, często zmieniał jej się nastrój. Właściwie niezupełnie jeszcze dorosła. Nie chciał, żeby stała się bezduszna i obojętna wobec cierpienia i śmierci, tak jak on. Zmieniłoby ją to całkowicie.

Gdy ujrzał ją pierwszy raz, miała włosy w nieładzie, powiewające jak sztandar na wietrze. W trójnasób naruszyła przepisy drogowe i nic sobie z tego nie robiła.

Rick miał wtedy na pieńku z kapitanem, co zresztą nie było niczym niezwykłym. Sądził, że trafił na ślad, który go mógł doprowadzić do wykrycia sprawcy dawno już popełnionego zabójstwa. W tym celu musiał

pojechać do Seattle, żeby porozmawiać z podejrzanym, który wówczas tam mieszkał. Jak zwykle policja borykała się z kłopotami finansowymi. Ludzi również brakowało. Kapitan uznał ten wydatek za nieuzasadniony i zażądał podania o delegację. Rick był wściekły. Doszło między nimi do ostrej wymiany zdań, w efekcie czego Rick został na jakiś czas przeniesiony do drogówki. Pracował w dzień, jeździł dużym kawasaki 1000 i wmawiał sobie, że bardzo lubi wypisywać mandaty, eskortować pogrzeby i zatrzymywać przekraczających szybkość kierowców. Miał regularne godziny pracy, ale szybko mu się to znudziło.

Laurel prowadziła biały, otwarty kabriolet MGB. Przekroczyła dozwoloną szybkość o prawie trzydzieści mil na godzinę i gwałtownie zmieniła pas, zmuszając innego kierowcę, żeby zjechał z drogi. Dojechała do zakrętu i wpadła na trawnik na wysepce, po czym zignorowała syrenę, którą włączył Rick, usiłując ją zatrzymać. Musiał ją gonić prawie cztery mile. Gdy zajechał jej drogę, miała obrażoną minę.

Później spojrzeli sobie w oczy i Laurel z trudnością powstrzymywała uśmiech, podczas gdy Rick prawił jej kazanie.

Obejrzał dokładnie jej prawo jazdy, a ona powiedziała mu, że jest zbyt poważny.

– Uśmiechnij się! Na pewno potrafisz. To nie jest takie trudne. No, spróbuj – prosiła przymilnie. – Życie nie jest takie straszne.

Patrzyła śmiało na jego jasne włosy, wysuwające się spod kasku, odznakę drogówki przypiętą do koszuli i jego sześć stóp i trzy cale wzrostu, wbite teraz w spodnie z lamówkami i wysokie buty.

– Rozchmurz się, Kotku w Butach – powiedziała.

Trudno mu było zachować powagę, ale jakoś się udało. Niedobrze, że

jest taka młoda – pomyślał. Zamknął gwałtownie książeczkę z mandatami i zwrócił jej prawo jazdy.

– Tym razem poprzestanę na upomnieniu. Ale proszę zmienić styl jazdy, bo narobi sobie pani kłopotów. Mogła pani zarobić dwanaście punktów. I co wtedy ze zniżką? Najważniejsze jest jednak to, że bardzo nie chciałbym informować pani rodziców, że ich córka doznała obrażeń, co gorsza w wypadku samochodowym.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego z rozbawieniem.

– To znaczy, że nie jestem aresztowana?

Upchnęła dokumenty w portfelu, między kartami kredytowymi, i spojrzała na niego rozjaśnionymi, zielonymi oczami, na które opadały jasne kosmyki włosów.

– A może nauczyłbyś mnie prowadzić? Zrozumiałabym lepiej, o co ci chodzi, Kocie.

Rozpuszczony bachor – pomyślał.

W jej oczach błyskały bursztynowe cętki, patrzyła na niego prowokująco. Zachowywała się wyjątkowo bezczelnie.

– Przyjmuję wyzwanie. Zadzwon do mnie, jak skończysz osiemnaście lat.

Kopnął gaz i odjechał z rykiem silnika, zostawiając ją we wznieconym przez motor kurzu.

Była zabawna. Była również piękna. Rick znał wiele pięknych kobiet. Dusty również do nich należała. Ale ta miała w sobie coś więcej. Myślał o niej tego wieczoru, pijąc piwo w Southwind. Później wydawało mu się, że widział ze dwa razy jej samochód na autostradzie.

Pół roku później, kiedy znów pracował w wydziale zabójstw, w pewną

straszna noc, pełna trupów, przestępców i złych psów, koledzy z drogówki przełączyli do niego rozmowę.

Obchodziła osiemnaste urodziny.

Rozdział czwarty

Kiedy wszyscy wreszcie sobie poszli, Harriet, gospodyni Laurel, zabrała się do pracy. Wylączyła klimatyzację i pootwierała na oścież wszystkie okna. Zmoczyła gruby ręcznik kąpielowy, wyżeła go i zaczęła nim machać, żeby oczyścić powietrze zatrute dymem. Następnie wyszorowała każdy zakątek kuchni lizolem. Później poszła do gościnnej łazienki. Miała nadzieję, że technik policyjny, który miał brzydką, tłustą cerę, nie musiał z niej korzystać, ale wcale nie była tego pewna. Zawsze bardzo dbała o łazienki, gdyż często nawiedzało ją wspomnienie tej jednej, szczególnej, pełnej krwi.

Wymyła ręcznie kafelki. Nie używała żadnych szczotek na kiju, żadnych zmywaków. Przyklęła na plastikowej ceracie i zabrała się do szorowania z lekkim uśmiechem na twarzy.

Wspominała z przyjemnością wszystkie komplementy, które padły pod adresem przyrządzonej przez nią kawy, pięknie wypielęgnowanych kwiatów w kuchni i domowych ciasteczek. Czuła przypyływ energii i siły, choć powinna być zmęczona. Uwielbiała kuchnię – w niej właśnie biło serce tego domu, a teraz był to jej dom.

Lśniący podłoga w niczym nie przypominała szorstkich desek pierwszej kuchni, jaką udało się jej zapamiętać.

Nigdy nie zapomniała ociekającej wilgocią, śmierdzącej lodówki, obitego zlewozmywaka i pustych, pokrytych kurzem półek. Musiała wspinać się na chybotliwe krzesło, żeby zamieszać owsiankę, póki nie wyrosła na tyle, by móc dosięgnąć do palników tandetnej kuchenki gazowej. Zaczęła trzeć mocniej podłogę, jakby chciała wymazać te obrazy

z pamięci. Ręce urobione po łokcie – tego wymagał jej ojciec.

– Do roboty!!! – wrzeszczał.

Chciał, żeby robiła wszystko, dosłownie wszystko. Pamiętała dobrze jego wielki, miękki brzuch i odrażający zapach. Przychodził do niej do pokoju, kiedy leżała sama w ciemnościach. Sukinsyn.

Wspomnienie o matce zatarło się. Z wyjątkiem jej chorobliwie chudych kończyn rozciągniętych bezładnie w wannie. I oczywiście z wyjątkiem krwi.

Harriet wstała, rozcierając kark osłoniętymi rękawiczką palcami, i znów sięgnęła po puszkę z lizolem. Nacisnęła rozpylacz i preparat wypełnił pomieszczenie chmurą skroplonej cieczy. Harriet objęła wzrokiem swoje królestwo. To, co zobaczyła, nappełniło ją zadowoleniem.

Kuchenka z wywietrznikiem, kuchenka mikrofalowa i podwójny zlewozmywak z nierdzewnej stali. Kiedy rodzice Ricka przeszli na emeryturę, wyremontowali kuchnię, żeby podnieść wartość domu, który zamierzali sprzedać. A później ich jedyny syn, wciąż kawaler, postanowił, że chce wrócić w rodzinne pielesze. Ponieważ nie gotował, kuchnia była dziewicza, kiedy się tu wprowadzili. I gdyby to miało zależeć od Laurel, taką by pozostała – pomyślała Harriet. Ale ona, Harriet, kochała tę kuchnię i korzystała ze wszystkiego, co się w niej znajdowało: przestronnych, dębowych kredensów z wysuwanymi półkami, białych lad roboczych i zmywarki do naczyń, która stała w kącie, zawsze czysta, wypolerowana, wręcz nieskazitelna. Książki kucharskie poustawiała na półce, nad kolekcją przypraw, obok filodendrona o błyszczących liściach, codziennie czyszczonych majonezem. Jej „Sztuka kulinarna”, garnek, który należał do matki Ricka i czterogrząnkowy toster stały obok siebie,

jak żołnierze na warcie. Wszystkie ich przybory i naczynia kuchenne połączyły się nieodwołalnie ze sobą na zawsze.

Harriet kochała ten dom, rośliny, ogród, ale największym uwielbieniem darzyła pomieszczenie, w którym miedziane garnki połyskiwały ciepłym blaskiem ze swoich haczyków. Było tu o wiele bardziej nowocześnie niż u jej przybranych rodziców, a przede wszystkim czuła się tu u siebie. Życie tutaj stanowiło dla niej jedyny sens i cel, toteż ta strzelanina i śmierć Roba mocno ją wystraszyły i rozgniewały. Inni nie bardzo ją obchodzili, ale była naprawdę wściekła na Alexa. Wiele by za to dała, żeby móc go powstrzymać przed wychodzeniem w środku nocy i robieniem takich rzeczy. A jaki okazał się nieostrożny.

I głupi. Tak wpaść do prysznicza i zostawić Laurel z mokrymi włosami. Ta policjantka zauważyła. Jak szybko można wszystko stracić – pomyślała Harriet – nawet życie.

Jeden błąd i koniec. Nigdy nie jest łatwo utrzymać to, co udało ci się osiągnąć i co jest najdroższe twemu sercu.

Harriet przysięgła sobie, że uczyni w tym celu wszystko, co będzie konieczne.

Rozdział piąty

Pierwsze dwadzieścia cztery godziny śledztwa, zwykle najbardziej kluczowe w przypadku zabójstwa, zaprowadziły detektywów donikąd. Znajdowali się w ślepym zaułku, laboratorium nie znalazło żadnych odcisków palców ani też innych, istotnych śladów. Analiza balistyczna nie wniosła nic nowego do sprawy. Dusty zaofiarowała swoją pomoc w śledztwie, choć oficjalnie miała dołączyć do Ricka dopiero pierwszego, który wypadł w niedzielę.

– Doceniam to, ale uważam, że powinnaś odpoczywać, póki to jeszcze możliwe – odrzekł. – Będzie nam potrzebny ktoś ze świeżą głową. Zresztą teraz i tak niewiele mogłabyś zrobić. Przecież nic nie mamy.

Ekipa płetwonurków spędziła wiele godzin w wodach wokół wyspy, szukając broni, gdyż sądzono, iż być może zabójca tam ją właśnie utopił. Wydobyli puszki, złom i stare narzędzia.

Załoga helikoptera patrolującego okolice znalazła coś nowego – drugiego trupa. Ich odkrycie przyjęto niemal entuzjastycznie. Istniała nadzieja, że morderca utonął, próbując odpłynąć z miejsca zbrodni, lub że jego auto spadło z mostu.

– Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe – stwierdził Jim ponuro. – Prawie jak w bajce.

Miał rację. Mundurowi, którzy dotarli na miejsce jako pierwsi, zameldowali przez radio, że ciało pływające głową w dół, nie opodal namorzynów porastających brzeg wyspy, przebywało w wodzie zbyt długo, by można było połączyć denata z morderstwem w San Remo.

Niemniej jednak Barrish i Ransom wsiedli na policyjny kuter,

przycumowany niedaleko ujścia rzeki Miami.

– Tylko tego nam było trzeba. Okropność – powiedział Ransom zboląłym głosem.

Łódź patrolowa długości dwudziestu pięciu stóp sunęła gładko po wodzie, a wilgotna bryza rozwiewała przerzedzone włosy Jima, mozolnie zaczesane, tak by zakrywały łysinę.

– Gdybym chciał służyć na morzu, wstąpiłbym do Straży Wybrzeża. Wiem, że zrobi mi się niedobrze.

– Nie myśl o tym! – zawołał Rick usiłując przekrzyczeć huk silników. – Robisz się zielony stojąc jeszcze na brzegu. Odpręż się. Zrelaksuj. Spójrz tylko!

Zachód słońca był rzeczywiście wyjątkowo piękny; niebo i jego lustrzane odbicie w wodzie wyglądały tak, jakby płonęły.

Jim pokręcił głową i spojrzał oskarżycielsko na ciemniejący z wolna wschodni brzeg, gdzie srebrzyła się zatoka.

– Wszystko przez tę cholerną pełnię. Pełnia. Zawsze się wtedy dzieje coś takiego. Mówię ci, Rick, powinienem był odejść już dawno temu. Nie wiem, dlaczego tak długo czekałem. Grzbiet mi pęka z bólu od podnoszenia tych wszystkich trupów. Robota jest coraz gorsza, zamiast coraz lepsza. Zawsze musisz być gotów na każde wezwanie, o każdej pieprzonej godzinie. Nie dojadasz, nie dosypiasz, czasem nie możesz nawet pójść do kibla... A ludzie mają to gdzieś. Szczególnie teraz, kiedy ci cholerni Kubańczycy...

Śniady policjant przy sterze gwałtownie zboczył z kursu i Ransom stracił równowagę. Postawny detektyw przeleciał przez pokład i chwycił się barierki.

– Co za sukinsyn – mruknął.

Trup pływał twarzą do dołu, niedaleko od miejsca, przy którym rosły mangrowce, unoszony przez krystaliczne wody zatoki, tuż nad piaszczystym białym dnem. Żyłaste, nagie ciało miało szary kolor. Obok stało kilku policjantów, a także technicy i fotograf. Ransom rozwinął polipropylenowy worek na zwłoki. Rick zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki spodni i wszedł ochoczo do płytkiej wody, żeby lepiej przyjrzeć się ciału. Chłodne fale owijały mu się kojąco wokół kostek. Podkurczył palce stóp i zaczerpnął powietrza. Pociągnął nosem. Nie wyczuł znajomego, typowego dla zwłok odoru. To był raczej zapach jakiegoś środka odkażającego.

Ransom zapalił tanie cygaro. Zwykle tak robił, gdy dokonywał oględzin ciał, które powoli zaczynały się rozkładać. Rick mawiał, że nie wie, co jest gorsze: fetor zwłok czy cygara Jima.

Rick i młody policjant ze służby patrolowej włożyli gumowe rękawiczki i wyplątali trupa z korzeni. Potem policzyli do trzech i przewrócili go na plecy. Ciało z pewnością długo przebywało w wodzie, lecz morze w zadziwiająco małym stopniu je naruszyło. Nawet oczy i twarz wyglądały całkiem zwyczajnie. Najwyraźniej, z jakiegoś powodu żarłoczne zwykle ryby i kraby uznały je za nieapetyczne.

Rick przykucnął, żeby zbadać denata, po czym podniósł głowę, a na jego twarzy malował się wymuszony uśmiech.

– Mamy szczęście, stary. Jednak istnieje Bóg.

– Co jest, do cholery? – Ransom podszedł bliżej, zapominając o bolących plecach i skurczach żołądka. – Jeszcze nam tego brakowało – biadolił. – Następna zagadka. Już chyba nigdy nie uda mi się wrócić do

domu.

Śmierć ma to do siebie, że im bardziej jest niespodziewana, tym trudniej ustalić związane z nią fakty i wyciągnąć wnioski.

– No i co o tym myślisz? – zapytał Rick.

Po lewej stronie pępka, tuż pod żebrami mężczyzny widniał otwór o średnicy około pół cala.

Jim wyteżył wzrok, ściemniało się dosyć szybko.

– Kaliber 45.

Zmarszczył czoło, widząc minę Ricka.

– Chyba, że ktoś użył wiertarki. Przyjrzyj się uważniej.

Młody Kubańczyk stał obok nich z szeroko otwartymi ustami. Wokół ciała zbierali się mundurowi.

– Masz rację, cholera – mruknął Ransom przymrużając oczy. Otwór w ciele mężczyzny nosił ślady nici.

– Myślisz, że to sprawka tych z kostnicy Momingdale?

– On nie został zamordowany. Jego zabalsamowano – oznajmił Rick, kiwając się do tyłu.

Wyjął ołówek i posłużył się nim jak wskaźnikiem:

– Spójrzcie, to nie jest otwór po kuli. Ten, kto go wywiercił, użył trokara. Przymocowuje się go do specjalnej pompy, która odsysa z ciała wszystkie płyny fizjologiczne, a następnie włacza do środka substancje balsamujące. Później otwór zostaje zacopowany. Zatyczki oczywiście brakuje.

– Ale jak on się tu znalazł? – młody oficer był najwyraźniej zaszokowany. – Dlaczego go nie pochowali?

– Pochowali – odparł Ransom. – Na morzu. Prawdopodobnie sześć,

może osiem miesięcy temu. Ci z Momingdale zawsze muszą coś spieprzyć. Tkwił w słonej wodzie przez pół roku, oczywiście na dnie morza. Później trumna się rozpadła, a on wypłynął na powierzchnię.

– Dziwne, że nikt go do tej pory nie znalazł – powiedział Rick. Jego opaloną twarz pocętkowały cienie.

– Chcieli go pewnie pochować w Gulf Stream, ale chybili, bo popłynąłby na północ. Prawdopodobnie woda uniosła go na południe od Fisher Island, gdzieś między Stiltsville a rafy Soldier Key. Przepłynął całą zatokę.

– Jak gołąb pocztowy, który wraca do domu – wycedził Jim przez zęby, w których nadal trzymał cygaro. – Odbył niezłą podróż.

– Problem polega na tym – wyjaśniał dalej Rick – że trumny budowane są z myślą o pochówku w ziemi. Jeśli pogrzeb ma się odbyć w morzu, powinno się najpierw je obciążyć, później wywiercić w wieku otwory, a następnie zabezpieczyć je metalowymi pasami. To wcale nie jest takie proste, a już na pewno przerasta możliwości niedoświadczonych pracowników domów pogrzebowych.

Gdy wracali do portu, Rick uraczył młodego adepta sztuki policyjnej opowieścią o innej próbie morskiego pochówku, jakiej dokonał pewien dom pogrzebowy w Miami.

Żałobnicy odśpiewali hymn pożegnalny, a trumnę spuszczone za burtę specjalnie wynajętego statku. Miała spocząć na dnie Atlantyku, milę na wschód od Government Cut. Nie zatonęła. Trumna podskakiwała na wzburzonym morzu, aż w końcu odpadło z niej wieko. Nieboszczyka porwały fale, a wiatr i prądy morskie poniosły go, ubranego w granatowy garnitur i krawat aż do portu, z którego statki turystyczne wypływają na

szlak. I tak ciało znalazło się na drodze krążownika „Song of Norway”. Usłyszawszy okrzyk: „człowiek za burtą!” turyści, płynący właśnie na Karaiby, zbiegli się przy balustradach, żeby zobaczyć, jak marynarze spuszcza ją na wodę szalupę ratunkową.

Tego wieczora detektywi przesłuchiwali wielu zszokowanych jego śmiercią kolegów Roba ze szkoły, kumpli z drużyny baseballowej i kilka zapłakanych dziewczyn, z którymi się ostatnio umawiał. Nie istniały zbyt wielkie szanse na to, że zaznajomienie się ze stylem życia młodego Thorne’a może pomóc w wyjaśnieniu zagadki jego śmierci, ale policjanci postanowili niczego nie zaniedbać. Rob Thorne był czysty, a przynajmniej tak im się wydawało. Jego rodzina również. Od początku zresztą mieli tę bolesną niemal pewność, że chłopak zginął w wyniku przypadkowego spotkania w ciemnościach.

– No i co teraz, bracie? – zapytał Jim, kiedy znów pracownicy porównywali notatki po powrocie do biura. Wrzucił nadgryzioną pizzę z powrotem do pudełka. – Ale świństwo! Nie wiadomo w ogóle, co to jest. Smakuje jak papier. Dlaczego u nich zamawiamy?

– Bo pracują do trzeciej nad ranem i nie biorą pieniędzy od policjantów – powiedział niskim głosem sierżant Rudy Dominguez, siedzący obok nich, przy swoim biurku.

– Chyba usiłują nas otruć – biadolili Jim.

– Musi być rzeczywiście paskudna, skoro nawet ty nie jesz – odezwał się Rick. – Jedyne, co nam teraz zostało, to skończyć z tymi papierami, jeszcze raz spróbować coś ustalić, pogadać z kapusiami, a potem już tylko się modlić. Rano pójdę do jego rodziców. Zdaje się, że myślą o

wyznaczeniu nagrody. Nie będę ich zniechęcać. Możemy zwrócić się do społeczeństwa z prośbą o informację, brzęknąć kiesą, usiąść przy telefonie i czekać na mannę z nieba.

– Mam nadzieję, że na coś trafimy, bo jak będziemy nad tym ślęczeć cholera wie jak długo, to ja się urywam. Nie zamierzam tak tu sterczeć bez sensu.

Jim odbierał telefony, a Rick rozmawiał z dziennikarzem z „Morning News”. Tak się między nimi utarło, że to Rick bierze na siebie prasę.

Posiadał łatwość wysławiania się, był przystojny i fotogeniczny, więc udzielanie wywiadów przychodziło mu bez trudności i rzadko strzelał gafy. Dziennikarze zawsze go oblegali, szczególnie wtedy, gdy prowadził śledztwo w sprawie o morderstwo, ignorując przy tym Jima, który cieszył się z takiego obrotu sprawy. Jim mawiał często, że gdyby palił się jakiś dziennikarz, to nasiusiałby na niego, żeby ugasić ogień.

Jego stosunek do prasy wynikał z pewnego niefortunnego wydarzenia, które miało miejsce tuż po tym, jak uratował jakąś kobietę uprowadzoną z centrum handlowego. Dziennikarka zapytała go, czy ofiara została ranna.

– Nie – odparł Jim. – Tylko zgwałcona.

Reporterka zacytowała jego odpowiedź. Coś, co mogło dodać mu splendoru, spowodowało klęskę. Miejscowe feministki zawrzały z oburzenia. Nazwały Jima Męską Szowinistyczną Świnią Miesiąca. Jego szef wściekł się, kiedy ktoś wytłumaczył mu, dlaczego wypowiedź Jima miała obraźliwy charakter, i udzielił mu nagany z wpisaniem do akt. Ponadto skierował go na trening wrażliwości w czasie wolnym od pracy. Cała ta historia nauczyła Ransoma, żeby nigdy więcej nie ufać dziennikarzom. „Dokopiecie mi raz – wasza wina. Dokopiecie mi drugi

raz – moja” – taki był jego stosunek do mediów.

Zezował teraz ponuro, skulony przy biurku stojącym za przepierzeniem I w intensywnie pomarańczowym kolorze. Kiedy budowano nowy komisariat za dziesięć milionów dolarów, ktoś wpadł na pomysł, żeby drewno pomalować na jaskrawo-pomarańczowy kolor. Przegródki miały gwarantować poczucie prywatności narkomanom, wariatom, mordercom i psychopatom w czasie przesłuchania.

Jim uważał, że ten wściekły kolor może tylko zdenerwować podejrzanych, a nawet mieć zły wpływ na świadków. U niego powodował straszliwy ból głowy, szczególnie wtedy, gdy brakowało mu snu. Wpatrywał się teraz zza okularów w pozostawione dla niego meldunki o telefonach. Treść jednego doniesienia była krótka i zwięzła: „Znowu mnie trują”.

Pelnia wywołała wilka z lasu. Terrance Mc Gee pracował w miejskiej bibliotece publicznej i od czasu do czasu nabierał przekonania, że ktoś usiłuje go otruć. Ilekroć miał kłopoty z żołądkiem lub gdy wydawało mu się, że kawa, napój czy hamburger mają jakiś dziwny smak, a mocz podejrzany kolor, zyskiwał pewność, że to znowu „oni”. Nie bardzo było tylko wiadomo kim są „oni” i dlaczego właściwie usiłują go zabić. Czasem podejrzewał o to swoich kolegów z pracy, innym razem obcych zupełnie ludzi. Zdarzało się, że posądzał CIA lub agentów wywiadu Fidela Castro o ten nieczny zamiar.

Miał około czterdziestu lat, był kawalerem i dawał się wszystkim mocno we znaki. Przpracowani policjanci już dawno doszli do wniosku, że tak naprawdę to właśnie oni mają prawdziwy powód, żeby go zgładzić.

Kiedys zgodzili się dokonać analizy zawartości cukiernicy, gdyż Mc

Gee zaklinał się, że jakiś tajemniczy osobnik dostał się niezauważony przez nikogo do jego mieszkania i dosypał tam trucizny. Mieli nadzieję, że uda im się rozproszyć jego obawy, a sobie zapewnić spokój.

Jim znalazł wyniki analizy laboratoryjnej na swoim biurku, po czym przejrzał je pobieżnie i wykręcił numer telefonu. Mc Gee. Po czterech sygnałach ktoś podniósł słuchawkę, ale się nie odezwał. Na drugim końcu linii słyhać było jedynie czyjś przyspieszony oddech.

– Mc Gee! Tu mówi Ransom, z wydziału zabójstw – wrzasnął Jim.

– Proszę nie odkładać słuchawki! Jestem! Jestem! Nie wiedziałem tylko, kto dzwoni.

– W tym celu należy się odezwać – pouczył go zgryźliwie Jim.

– Dziś rano znowu próbowali. To stało się w... – był tak podniecony, że się zająknął i niemal stracił oddech.

– Mam dla pana nowinę – przerwał Jim.

– Zrobili ekspertyzę?

– Oczywiście.

– Czy to aby na pewno rozmowa na telefon?

– A dlaczegoż by nie? Mam przed sobą te analizy. I rzeczywiście. Było tam coś, co pana na pewno zabije. Cukier, Mc Gee. Musi pan zrezygnować z cukru. Jest bardzo niezdrowy.

– To znaczy, że niczego nie znaleźli?

– Ni cholery.

– A jak pan wytłumaczy te dreszcze, poty, biegunki?

– Może złapał pan jakiegoś wirusa, ostatnio wiele osób choruje. Ale z całą pewnością nikt nie chce pana otruć. Proszę dać sobie spokój z tą bzdurą i cieszyć się życiem.

– Ale...

– Żadnych ale. Nikt nie chce pana zabić. Proszę raz na zawsze przestać o tym myśleć.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – powiedział Mc Gee, ale nie wydawał się całkiem przekonany.

Jim miał nadzieję, że to koniec tej paranoi, ale bał się, że może się mylić. Urojenia tego faceta pojawiały się z pewną regularnością. Czasem przez parę miesięcy był spokojny. Mc Gee jednak znowu dawał o sobie znać, przedstawiając im najbardziej wymyślne, nieprawdopodobne teorie zawsze wtedy, kiedy byli najbardziej zajęci.

– Dlaczego – pytał cierpliwie Jim – ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu? Dlaczego ktoś chciałby włamać się akurat do pańskiego mieszkania i zatruć właśnie pańską cukierniczkę? Dlaczego tylko pan jest taki wyjątkowy?

Mc Gee jednak nie uważałby rozumowanie Jima było logiczne. W oczach zapalał mu się charakterystyczny blask i odpowiadał:

– Nie mam pojęcia i dlatego właśnie potrzebuję waszej pomocy, zanim będzie za późno.

Rick uważał, że nie ma sensu z nim dyskutować.

– On w to wierzy. W szaleństwie trudno dopatrywać się logiki.

Mc Gee zatelefonował w dziesięć minut później. Sekretarka przyjęła wiadomość. Jim schował notatkę na samo dno szuflady. Wtedy na jego ustach pojawił się chytry uśmiezek. Postanowił przekazać sprawę Dusty. Miała niedługo przyjść. Niech teraz ona się z nim pomęczy – pomyślał.

Rozdział szósty

Alex słyszał, co mruczała Harriet, kiedy brała prysznic. Nie znosił jej krytyki. Wyszedł z jadalni wściekły i nastawił głośniej policyjne radio, żeby zagłuszyć krzyki pozostałych. To nie moja wina – pomyślał. – Cholerny idiota. Gdyby został w domu, nic by się nie stało. I co on właściwie chciał osiągnąć? Zostać bohaterem? No i proszę, do czego go doprowadziło to pozowanie na supermana! Nie żyje. Zasłużył sobie na to, bo nie pilnował własnego nosa.

Siedział tak, bębniąc palcami o stół, a mała Jennifer rozplakała się. Nie mogła znaleźć kocyka, a Alex przestraszył ją, bo wystrzelił z pistoletu. Nienawidziła pistoletów i chciała iść pobawić się z Benjiem, tym małym chłopcem, który mieszkał po sąsiedzku. Zaczęła płakać jeszcze bardziej, kiedy Alex powiedział jej, że może bawić się z nim tylko wtedy, kiedy rodzice oddają go im pod opiekę.

Łzy ustały, gdy do pokoju wkroczyła Marilyn, nadąsana jak zwykle, z papierosem w ustach. Usiadła przy toalecie Laurel i starannie umalowała jasnozielone oczy tuszem i ołówkiem do kresek. Potem spryskała się tanimi perfumami i pomalowała paznokcie na krwistoczerwony kolor, bo wiedziała, że Laurel nie znosi lakieru o tym odcieniu. Cały czas narzekała przy tym, że brakuje jej seksu. Wiedziała dobrze, że inni słuchają. Wszyscy, oprócz Laurel, która nie słyszała żadnego z nich.

Marilyn była zła na Alexa, bo załatwił tego młodego Thorne'a akurat wtedy, gdy udało jej się nawiązać z nim znajomość. Wkurzyła się też na Sandrę Corley, która przyłapała ją, jak flirtuje z Larrym. On zatrzymał się na chwilę przy podjeździe, gdy wyprowadzał ich nowo nabytego

dobermana, ale Sandra brutalnie przerwała ich tête-à-tête i zaprowadziła męża do domu.

Szedł za nią posłusznie ze zmartwioną miną. Teraz pewnie przez miesiąc nie pozwoli mu nigdzie wychodzić – pomyślała gniewnie Marilyn. Boi się tej dziwki. Boi się. Powiedziała to nawet głośno, żeby inni słyszeli. Kiedy paznokcie Marilyn były już suche, wypisała zamówienie na skórzany pas, który wypatrzyła w katalogu Frederick's of Hollywood, i poszła dumnie do salonu stukając czterocalowymi obcasami szpilek, kręcąc przy tym biodrami. Tam wychyliła dwa sążniste łyki bourbona.

– Jedyne, co mi pozostało do roboty w tym cholernym klasztorze – powiedziała do siebie, wypinając pierś i odrzucając włosy na plecy.

Może i dziwka z tej Marilyn – pomyślał Alex ze swego miejsca w tunelu, w którym spotykały się ich dusze – ale łatwo z nią postępować. Przynajmniej mogli ze sobą podyskutować, a zdarzało się, że nawet myśleli w podobny sposób. Czasem nawet miło było mieć ją przy sobie. Mimo że nie przepadała za dziećmi, Marilyn zrobiła Jennifer gorącą czekoladę z prawoślazem, wyjęła kocyk z suszarki i pozwoliła jej oglądać rano kreskówki w telewizji. Dobra była z niej dziewczyna, nie taka jak ta cała Harriet. Harriet dokuczała mu bez przerwy i nazwała idiotą. Twierdziła, że sfuszerował.

– Zniszczysz nam życie! – wrzeszczała.

Jak ta stara krowa śmie wygadywać takie rzeczy – myślał.

Wróciła Jennifer. Usta miała wciąż umazane czekoladą, ssła kciuk i zawodziła. To przepęłniło czarę. Miał tego dosyć.

– Myślicie tylko o sobie, głupie pindy! – wrzasnął głośno i poczuł, że rozsadza go energia. Walnął prawą pięścią w otwartą dłoń, ubrał się i

wypadł jak szalony z domu.

Wiedział, że ta wczorajsza historia postawiła go w niezręcznej sytuacji, ale jeszcze gorzej wyszedł na tym młody Thorne. Stłumił chichot i zdecydował, że jedno drobne potknięcie nie może go powstrzymać. Czuł, że jest coraz silniejszy i coraz bardziej zadowolony z siebie. Wiedział jednak, że na razie musi zachować maksymalną ostrożność. Tamci mieli rację, mógł spowodować katastrofę. Gdyby tylko mógł się ich wszystkich pozbyć, z tą głupią suką Harriet na czele. No i oczywiście Laurel, która mogła im naprawdę narobić kłopotów, kiedy się zorientowała, że gubi się w czasie. Zawsze w takich sytuacjach wpadała w panikę. Ta głupia histeryczka nawet nie miała pojęcia, co się dzieje. Tamci czasem mu pomagali w trudnych sytuacjach, ale ich narzekania doprowadzały go do szału. Przysiągł sobie, że ktoś mu za to wszystko zapłaci. Za wszystkie jego cierpienia i cały stracony czas. Musiał znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

Nie przekraczał obowiązującej szybkości i przestrzegał przepisów. Nie chciał zostać zatrzymany. Mogłoby to zniweczyć wszystkie jego plany. Świecił księżyc, a nocne powietrze było ciepłe, delikatne, cudowne. Westchnął. Tak długo zawsze musiał czekać, aż zapadnie noc.

Już kiedyś odwiedził ten sklep. Teraz będą mieli więcej gotówki, bo rozpoczęli sprzedaż losów na loterię Floryda. Tego wieczoru czuł się jak zwycięzca. Nadszedł czas działania.

Zamajaczyła przed nim jasna plama na tle ciemnego pasażu handlowego. Sklepy, szewc i pizzeria były już zamknięte, a wejścia do sklepu pilnowały jedynie budki telefoniczne i pojemniki na śmiecie. Nikt nie kręcił się wśród półek. Jedyne klient wynosił właśnie karton piwa.

Alex naciągnął czapkę, poprawił okulary przeciwsłoneczne i wszedł

śmiało do jasnego wnętrza. Serce waliło mu mocno z podniecenia. Mógł z łatwością obserwować wejście przez szybę wystawową. Oczywiście znaczyło to, że on również jest widoczny, więc musiał się pospieszyć. Chudy, ciemnoskóry mężczyzna za ladą, uwięziony między maszyną do lodów i grillem z kielbaskami, był Pakistańczykiem.

– Późno na okulary – stwierdził.

Alex uśmiechnął się i pokazał mu broń. Chłodny metal miał większy dar przekonywania niż słowa.

Cieszyło go przerażenie mężczyzny. Pakistańczyk otworzył szeroko oczy i drżał na całym ciele. Alex wskazał niecierpliwym gestem kasę. Zszokowany mężczyzna sięgnął nagle pod ladę. Alex pociągnął za spust. Zupełnie bez zastanowienia. Sprzedawca osunął się na kolana, a potem przewrócił na bok targany konwulsjami. Alex przechylił się przez kontuar, żeby sprawdzić, co mężczyzna chciał stamtąd zabrać. Zobaczył papierową torebkę na pieniądze.

Za późno. Niepotrzebny kłopot. Coraz trudniej tu zarobić na życie – przemknęło mu przez głowę. Nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić. Ale wypadki chodzą po ludziach.

Opróżnił kasę i wypchał kieszenie džinsów losami na loterię. Nucąc pod nosem, tak jakby był zupełnie zwyczajnym klientem, minął pudło z kanapkami i czekoladowymi ciasteczkami, otworzył drzwi i ruszył prosto do samochodu. Jaka to piosenka nie dawała mu spokoju? Taka łatwo wpadająca w ucho... „Gdyby mnie teraz mogli zobaczyć”, tak, to było to. Zrobił kilka tanecznych kroków, usadowił się za kierownicą i odjechał.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Następny klient na pewno się zdziwi. Chciałby zobaczyć tę scenę.

Wmawiał sobie, że nie ma jego winy w tym, co się stało. Sprzedawca wykonał niefortunny ruch. Nie będzie takiej afery jak z sąsiadem tego napalonego gliny. Za to psy będą miały zajęcie. Uwielbiał, jak miały zajęcie.

Podobno w miarę upływu czasu jest coraz łatwiej. Nabiera się doświadczenia. Mają rację. Gmerając wśród leżących na przednim siedzeniu banknotów i monet, natrafił na losy. Szeroki uśmiech wypłynął mu na twarz, a za chwilę już śmiał się do łez piskliwym śmiechem. No i co, dupku? Co zrobisz, jak wygrasz?

Rozdział siódmy

Wmieście wciąż coś się działo. Dominguez i Mack Thomas zajęli się napadem na sklep całodobowy, a Rick i Jim w końcu zdecydowali się zakończyć służbę, żeby się trochę zdrzemnąć. Ale Jim nie poszedł prosto do domu. Zerknął na zegarek i doszedł do wniosku, że zdąży.

Oczy miał przekrwione z niewyspania, garnitur niemiłosiernie wymięty, ale szedł lekkim krokiem jak na tak potężnie zbudowanego, a teraz zmęczonego straszliwie mężczyznę. Wsunął się bezszelestnie do ostatniego rzędu ławek, w którym zwykle siedział. Poranna niedzielna msza przynosiła mu ukojenie po sobotniej nocy spędzonej na służbie w Miami. Spokój, piękno, sakramentalne słowa, muzyka, a nade wszystko zebrani wokół dobrych, uczciwych ludzi działali jak balsam na jego skołataną duszę.

Właśnie tutaj poślubił Molly i właśnie tutaj zostawił swoje wszystkie cudowne wspomnienia, mimo że kościół już dawno przestał być azylem. Zmieniło się zarówno miasto, jak i jego mieszkańcy. Rabusie wciąż plądrowali świątynię i ukradli wszystko – począwszy od małego Jezuska, ułożonego w żłobku na Boże Narodzenie, skończywszy na chrzcielnicy i szatach liturgicznych baptystów.

Maniacy religijni również stanowili zagrożenie, choć ich oddanie dla wiary byłoby godne podziwu, gdyby oczywiście byli zdrowi psychicznie. A tak wprowadzali jedynie zamęt. Nigdy nie wiadomo – pomyślał Jim, patrząc na starszą, biednie ubraną kobietę. Wielokrotnie był świadkiem sytuacji, kiedy okazywało się, że ci, którzy przetrwali kryzys, umierali

samotnie, w skrajnej nędzy, a w pudełkach po butach lub pod materacem leżały pokaźne oszczędności, których nigdy nie chcieli oddać do banku ani w najmniejszym stopniu naruszyć.

Typowe świry stawiały się licznie na mszy w tę niedzielę. Była wśród nich kobieta, która zawsze, podczas gdy inni medytowali w skupieniu, szeleściła torbą na zakupy. Przyszedł również brodaty młodzieniec, prawdziwy okaz zdrowia, który kasłał bez przerwy podczas kazania.

Podczas spotkań wiernych, które odbywały się w pomieszczeniach przyległych do kaplicy, nie wydawał z siebie nawet jednego, cichego kaszlnięcia. Mówił długo, z zapałem. Naprawdę znał *Pismo Święte*. I na tym polega koszmar – pomyślał Jim. – Oni zawsze znają *Pismo Święte*.

Chorobliwie chuda, pomarszczona i bezzębna kobieta zawsze chciała siedzieć z przodu, a potem odwracała się do Bogu ducha winnych ludzi i robiła nieprzyzwoite gesty w ich kierunku. Zachrypnięty mężczyzna, brudny, poirytowany, niezdolny usiedzieć spokojnie na miejscu, podskakiwał na ławie, machał nogami, mamrotał coś pod nosem i raz po raz padał na kolana. Czasem robił to nawet w głównej nawie.

Kościół był zagrożony i walczył o przetrwanie. Zbierający datki musieli dobrze pilnować tac na pieniądze, żeby nic z nich nie zginęło. Gdyby przychodzący tam dziwacy należeli do wyższych sfer i mieli pieniądze na darowizny, traktowano by ich jak ekscentryków. W obecnym stanie rzeczy jednak kościół potrzebował ochrony.

Jim zgłosił się na ochotnika. Wiedział, że ta praca sprawiłaby mu przyjemność. Cierpliwy i dobroduszny pastor odrzucił jego ofertę bez podania powodów. Rada Kościoła oświadczyła, że dostrzega istnienie problemu, ale nie poparła propozycji Ransoma, żeby kwestujący nosili

przy sobie pałki.

Jim zdawał sobie sprawę, że jego stosunek do tych ludzi nie ma nic wspólnego z miłosierdziem chrześcijańskim, gdyż myśląc o nich odczuwał wyłącznie gniew i irytację. Jeszcze jeden dowód tego – skonstatował – że w dzisiejszych czasach trudno postępować zgodnie z *Pismem Świętym*.

Niezgrany chór był tego ranka w wyjątkowo znakomitej formie. W dawnych, dobrych czasach – wspominał – mógłby ich nawet wsadzić do paki. Znowu potwierdza się teoria, że w Ameryce przyznaje się więcej praw nieudacznikom i przestępcom niż posłusznym, z maltretowanym podatnikom. Postępuj zgodnie z Biblią, nadstaw drugi policzek, a zmiążdżą cię.

Już nie mógłby przysiąc, że naprawdę istnieje Bóg. I nie potrafił nic poradzić na wciąż miotające nim wątpliwości. Mimo wszystko jednak zawsze tu wracał i siadał w starej, zniszczonej ławie. Być może z przyzwyczajenia, być może po to, by obudzić wspomnienia. Kiedyś uważał, że to jedyna oaza normalności w świecie, który postradał zmysły, ale teraz wcale już nie był tego taki pewien. Mimo to nie pozostało mu nic innego, w co mógłby wierzyć.

A więc przychodził nadal, a czasem włóczył się po dziedzińcu. Za czerwonym murem rozciągał się ogród, w którym rosły drzewa, kwitły krzewy, a kurant wygrywał jego ulubiony hymn „Amazing Grace”. Wspominał wtedy Pensylwanię i szkółkę niedzielną, do której tam uczęszczał.

Miał siedemnaście lat, gdy dowiedział się, że nikt nie żyje wiecznie. Zataił swój wiek, żeby otrzymać pracę. Skłamał, że skończył osiemnaście lat. Właśnie ukończył szkołę, był młody, silny i pełen zapału. Już po

tygodniu świat wybuchł mu prosto w twarz.

Pracowali nad eksperymentalnym paliwem lotniczym w Apex Gunpowder Plant, w budynku położonym na obszarze ośmiu mil kwadratowych wewnątrz wzniesienia w kształcie podkowy. Eksplozje zdarzały się często i takie ryzyko zostało wzięte pod uwagę, gdy budowano fabrykę. Dla ochrony przed skutkami ewentualnych wstrząsów szyby w oknach wykonane były z plastyku, nie ze szkła. Zarówno do drzwi, jak i do okien doprowadzone zostały specjalne pochylnie, po których można było bezpiecznie wydostać się na zewnątrz w razie potrzeby. Pracowników nauczono lądować tak, by zaraz mogli podbiec do metalowych obręczy, które zawieszono w odległości czterech stóp od każdego wyjścia. Gdy biegnący chwycił za obręcz, strumienie wody pod wysokim ciśnieniem zdzierały z niego ubranie. Był nagi, ale niepoparzony.

Wszyscy pracownicy musieli nosić ubrania ognioodporne. Pamiętnego dnia Jim zobaczył kilka zupełnie spalonych kombinezonów. Wybuch nastąpił w budynku, w którym dokonywano rekuperacji rozpuszczalników. Uważano, że jest tam wilgotno i bezpiecznie. Grube, czerwone mury otaczały dwadzieścia pięć dwupoziomowych pojemników, w których znajdowało się pięć ton bezwonnego proszku.

Eksplozja rozbiła cegły w czerwony pył. Ludzie usiłowali uciekać, wspinając się do góry, ale płomienie okazały się szybsze.

Zginęło sześćdziesiąt osób, a setki uległo obrażeniom. Jim był cały pokryty czerwonym pyłem, ale nie ucierpiał specjalnie. Pomagał innym, którym udało się przeżyć. Żadne nowoczesne auto zaparkowane w promieniu wybuchu nie chciało zapalić. Miedziane pływaki w gaźnikach skurczyły się pod wpływem wybuchu. Kierowcy starszych samochodów z

korkowymi pływakami nie mieli kłopotów z uruchomieniem aut. Jim ładował rannych do starego forda, wiozł ich do szpitala i wracał po następnych. Stracił najstarszego brata, ojca i najlepszego przyjaciela. Wśród ofiar katastrofy znalazło się wielu jego kolegów ze szkoły. Później wierzył, że wszystko, czego doświadczył w ów pamiętny dzień, miało przygotować go do pracy w policji i ścigania morderców w Miami. Nic, z czym się teraz stykał, nie robiło na nim wrażenia, wszystko poznał już wcześniej jako nastolatek i potem jako komandos w Panmundżonie.

Zawsze zachowywał stoicki spokój, udało mu się to nawet wtedy, gdy Molly zakomunikowała mu, że odchodzi. Był pewien, że żona zmieni zdanie, ale tak się nie stało. Zdecydował więc, że kiedy przejdzie na emeryturę, wróci do rodzinnej Pensylwanii i odzyska ją. Był absolutnie pewien, że taki właśnie będzie przebieg wydarzeń, dopóki ich zameężna córka nie zatelefonowała z Orlando i nie poinformowała go, że Molly ponownie wyszła za mąż.

Rick zastępował mu teraz rodzinę. Jim szkolił go, gdy był jeszcze rekrutem, cieszył się z jego awansu na sierżanta i praca z nim dawała mu wiele zadowolenia. On sam lata całe unikał egzaminów promocyjnych, ponieważ awans równałby się przeniesieniu, a on chciał na zawsze pozostać wywiadowcą w wydziale zabójstw. Chciał poczekać do ostatniej chwili przed emeryturą i dopiero wtedy postarać się o awans. Wyższa ranga, a nawet paski sierżanta miałyby wpływ na wysokość renty. Okazało się, że zwlekał zbyt długo. Któż mógł przewidzieć, że Południowa Floryda tak bardzo się zmieni. A zmieniło się zarówno samo miasto, jak i departament policji. Niewielu Anglosasom udawało się uzyskać awans, niezależnie od liczby otrzymanych na egzaminie punktów.

Trudno. On i Rick stanowili zgrany zespół. Mimo że wywodzili się z kompletnie różnych środowisk, od początku przypadli sobie do gustu. Rick przywykł do tego, że staje się gwiazdą wszędzie, gdzie się pojawi. Urodzony w Miami, jednak, najpierw grał w piłkę w reprezentacji Florydy, później jako wybitny sportowiec otrzymał stypendium uniwersyteckie. Był zawsze rozpieszczany przez wszystkich – przez matkę, nauczycieli, kibiców i dziewczyny w różnym wieku. Po ukończeniu college’u włączył się po nadmorskich plażach, rok pracował jako ratownik i korzystał z dobrodziejstw słońca, a potem wstąpił do policji, czym sprawił ogromny zawód swemu ojcu, który chciał mu przekazać rodzinny interes – niewielką sieć sklepów z narzędziami. Kobiety uwielbiały Ricka, mężczyźni również darzyli go sympatią. Był świetnym detektywem. On i Jim osiągnęli razem wielkie sukcesy – dziewięćdziesiąt procent wykrywalności w sprawach o morderstwa, gdy w grę wchodziły narkotyki.

Jim miał mieszane uczucia, gdy dowiedział się, że wraca do nich Dusty. Była wprawdzie najlepszą policjantką, jaką widział w życiu, i bardzo, bardzo ją lubił, ale wciąż jednak tęsknił do starych czasów sprzed akcji afirmatywnej i ruchów feministycznych. Nie mam nic przeciwko policjantkom – mawiał – jeśli tylko siedzą na swoim miejscu, to jest zajmują się sprawami nieletnich i drobnymi kradzieżami. No bo któż by chciał, żeby w czasie burdy lub zamieszek wspierała go kobieta? A z kolei, w wydziale zabójstw detektywi spędzają większą część czasu ze swoim partnerem, a jeśli jest nim przedstawicielka płci przeciwnej, trudno im się zrelaksować. Seks jest zawsze obecny, szczególnie gdy partnerka ma taką prezencję jak Dusty. Obecność kobiety zawsze przeszkadzała Jimowi,

choć zdawał sobie sprawę, że jego młodszy koledzy traktują taką sytuację zupełnie naturalnie. Wiedział też, że Dusty miała kiedyś ogromną ochotę na Ricka. I zapewne nadal ją ma. Kiedyś zresztą ta ochota była obopólna. Jim czuł się o wiele lepiej, kiedy Rick sypiał z Dusty, bo przynajmniej każdy wiedział, na czym stoi.

Gdy ten romans znajdował się jeszcze w pełnym rozkwicie, Jim i Rick jeździli na ryby parę razy w miesiącu, chodzili na piwo dwa razy w tygodniu, śledzili rozgrywki Miami Dolphins i oczywiście bez przerwy rozmawiali o prowadzonych przez siebie sprawach. Na służbie, po służbie, czas pracy, czas prywatny – wszystko to zlało się w jedną całość. Żyli swoją pracą, rozwiązał wiele spraw i sprawiło im to przyjemność. I wtedy na horyzoncie pojawiła się Laurel. Z początku Jim sądził, że to krótkotrwała fascynacja nową twarzą i pięknym, młodym ciałem. Nie wierzył, że jego przyjaciel może nią być poważnie zainteresowany, aż pewnego razu Rick pożyczył od niego pickupa i przewiózł rzeczy Laurel do swojego domu. Chyba był z nią szczęśliwy – przynajmniej jak do tej pory. Liczy się tylko miłość, dopóki się nie skończy, a kończy się zawsze – pomyślał Jim. Właśnie tak to bywa z miłością. Nikt nie żyje wiecznie, nikt nie kocha wiecznie.

Z kościoła pojechał do delikatesów i kupił befsztyk z ryżem oraz sałatkę z kapusty. W małej kuchence położył kapustę na wierzch befsztyka, zamknął pudełko, wyjął z lodówki zimne piwo i otworzył niedzielną gazetę.

Rob Thorne uśmiechał do niego ze zdjęcia umieszczonego na stronie z wiadomościami lokalnymi, a nagłówek wołał: WŁAMYWACZ ZABIJA MŁODEGO BASEBALLISTĘ.

W artykule przytoczono wypowiedź rzecznika prasowego policji, który, jak zwykle, zapewnił opinię publiczną, że detektywi są już na tropie sprawcy.

Ten dupek wie widocznie coś, o czym my nie mamy pojęcia – westchnął w duchu Jim i wypił następny łyk piwa. Chciałbym jednak, żeby miał rację.

Zdjął buty, ściągnął skarpetki, wrzucił je do kosza z brudną bielizną i ziewnął, po czym podreptał bosy do okna i zaciągnął zasłony, by ochronić się przed słońcem, które właśnie pojawiło się na czystym niebie. Włączył klimatyzację, rozebrał się i poszedł spać.

Rozdział ósmy

Laurel niecierpliwie zerknęła na kuchenny zegar w kształcie dzbana do kawy z małym światełkiem na szczycie. Zegar wskazywał dziesiątą. Rick nie wrócił jeszcze do domu. Gdzie on się podziewa? – myślała, zagryzając usta.

Nienawidziła tego napięcia, które towarzyszyło jej zawsze, ilekroć zostawała sama w domu. Nie wytrzymam dłużej – powiedziała do siebie w duchu i wyjrzała przez okno. Bała się, że znowu zaczną się dziać dziwne rzeczy, że zawładną nią przerażające siły, że już się zaczęło. Zmieniła nieco pozycję, wyprostowała plecy i zadarła podbródek. Kolor jej oczu przybladł nieco i stał się bardziej szary niż zielony. Miała teraz minę osoby bardzo rzeczowej i niezajmującej się bzdurami.

Pojawiła się Harriet, odetchnęła głęboko, potoczyła wzrokiem po pokoju, zawiązała fartuch i ochoczo zabrała się do pracy. Sparzyła sześć dojrzałych pomidorów, obrała je ze skórki i zaczęła siekać pietruszkę na sos.

Szare kociątko przebiegło nagle tuż obok niej w szalonym pościgu za jakimś zabłąkanym promieniem słońca lub zagubionym cieniem. Należało do Benjiego, trzyletniego synka Singerów, którzy byli jej sąsiadami. Jakie to irytujące – pomyślała i wróciła do swoich zajęć. Ten zepsuty bachor jest jeszcze zdecydowanie za mały na kota. Kot nie stanowi nigdy niczyjej własności – przypomniała sobie Harriet. W każdym razie ten nie lubił przesiadywać w domu. Ale jak wyrwał się z zachłannych paluchów Benjiego i trafił tutaj? Pewnie przez drzwiczki w garażu, z których

korzystał Chuckles. Chuckles był rasowym kotem syjamskim i trudno było z nim wytrzymać. Teraz siedział skulony pod krzesłem, gapił się na kociątko i poruszał ogonem.

Harriet pokrajała pomidory w kostkę. Zafascynowane dźwiękiem i ruchem zwierzątko szybko jak błyskawica wskoczyło na drabinkę, z której korzystała, żeby dosięgnąć najwyższych półek. Z tego miejsca mogło już bez najmniejszych trudności przedostać się na kuchenną ladę.

– Ostrzegam cię – powiedziała przyjaznym tonem, krojąc grzyby. – Nie rób tego, kotku.

Uniosła głowę, słysząc samochód Ricka na podjeździe. Psotne stworzonko atakowało szaroniebieską łapą ladę. Harriet przerwała na chwilę pracę i spojrzała na kotka, który wskoczył na najwyższy stopień drabinki i wpatrywał się w nią złotymi oczyma, nie zmrużywszy nawet powiek. Najwyraźniej czekał na aplauz. Gdy Harriet poruszyła nożem, kot skoczył i wylądował na nieskazitelnie białym blacie.

Wzdychając ciężko, Harriet odłożyła nóż, a kociak przysunął się bliżej, żeby móc lepiej się przyjrzeć desce do krojenia warzyw. Poruszał lekko różowym nosem. Wybrała nóż o cienkim ostrzu, służący do filetowania ryb i wysunęła go z solidnej szuflady klonowego kredensu, tak jakby dobywała szabli z pochwy. Trzymając go delikatnie w palcach, nie mogła wyjść z podziwu, że tak wspaniale układa się w dłoni. Pierwszorzędne sztucce miały chirurgiczne ostrza i potrójnie nitowane rączki z klonowego drewna. Na zewnątrz trzasnęły drzwiczki od samochodu i oczyma wyobraźni ujrzała Ricka, który właśnie zmierza w stronę domu i pochyla się, żeby podnieść leżącą nie opodal progu gazetę.

– Kotku – syknęła przez zęby, a zwierzak natychmiast przestał

interesować się deską do krojenia i skierował całą swoją uwagę na Harriet. Nóż z łatwością przebił jego pierś. Była nawet zaskoczona, że bez specjalnego wysiłku z jej strony wszedł tak gładko, aż po nasadę, nabijając kota na ostrze, jak loda na patyk. Takie małe kotki mają widocznie miękkie kości – pomyślała. No i oczywiście nóż był ostry jak skalpel. Wszystkie narzędzia i urządzenia kuchenne utrzymywała zawsze w najlepszym porządku.

– Ostrzegałam cię – szepnęła z uśmiechem, wyciągając nóż. – To moja kuchnia.

Usłyszała trzask pokrywy pojemnika na śmieci i nachmurzyła się. Co Rick tam wyprawia? Miała nadzieję, że nie wrzuca niczego, co nie byłoby starannie opakowane, do jej ciężkiego, podwójnego, aluminiowego pojemnika na śmieci.

Poranne, rozświetlone niebo było tak niebieskie jak w raju. Okolica wydawała się bezpieczna jak nigdy. W stojącym powietrzu unosił się ciężki zapach letnich kwiatów, a po turkusowej zatoce sunęła mała flotylla żagli w jaskrawych kolorach. Sobotnio-niedzielni żeglarze wypłynęli licznie na wodę. Rick wyjął z plastikowej torby złożoną gazetę i stał w lekkim rozkroku na samym środku aksamitnie zielonej alejki. Trawa rosła bardzo szybko o tej porze roku, słychać było niemal, jak promieniuje z niej energia, cicho byczy dokonująca się właśnie fotosynteza, jak trawa pobiera pokarm, kielkuje i puszcza pędy. Upał i wilgoć przyspieszały ten nigdy niekończący się proces. Ranek stanowił prawdziwą kwintesencję życia i mogłoby się zdawać, że śmierć nie istnieje, a nocy, w czasie której popełniono morderstwo, nigdy nie było. Jedynie policyjna, żółta taśma,

którą zaznaczono miejsce zbrodni, zwisała teraz żałośnie ze smukłego pnia uroczynu i przypominała, co się wydarzyło. Rick odwiązał ją, zwinął szczelnie i wrzucił do nowego pojemnika na śmieci, który Laurel ostatnio kupiła. Jednocześnie usłyszał zgrzyt kuchennego zsypu na odpadki. Nie chciał nachodzić teraz Thorne'ów, mając nadzieję, że śpią, choć nie bardzo mu się chciało w to wierzyć. Gdyby mógł im coś konkretnego powiedzieć, poszedłby do nich teraz, ale niestety nic takiego się nie zdarzyło. Łatwiej będzie mu rozmawiać z pogrążonymi w bólu rodzicami, kiedy coś zje i prześpi się parę godzin.

Gdy wszedł do środka, dom pogrążony był w ciszy. Wydawało mu się, że Laurel wciąż śpi. Obejmowała ramionami ozdobioną lamówką poduszkę i ukryła w niej twarz. Rozpiął koszulę i usiadł ostrożnie na brzegu łóżka, starając się jej nie obudzić.

– Dzień dobry, sierżancie.

Laurel przewróciła się na plecy, odrzucając niedbale kołdrę. Jej szczupłe, zmysłowe ciało było nagie. Dostrzegł, że zrzuciła bawełnianą koszulę nocną w kwiatki na podłogę obok łóżka. Z pewnością usłyszała jego samochód.

– Czy to obława? – spytała.

– Przekonasz się – odparł z uśmiechem.

Najwyraźniej była w dzikim, szalonym, uwodzicielskim nastroju, w jaki czasem popadała. Cieszyło go to, mimo że był kompletnie wykończony. Wiedział, że tylko dobry seks może odpędzić ponure myśli, pokonać zmęczenie, zapewnić ciepło i spokój.

– Czas na inspekcję, sierżancie. Chcę zobaczyć pańską broń. Jej małe, wszędobylskie dłonie zajęły się jego rozporkiem i wypukłością w środku.

– Uwielbiam, jak tak się zachowujesz – szepnął. – Ty wariatko, doprowadzisz mnie do obłądu.

Usiłował zrzucić z siebie koszulę.

– Nie, zostaw – szepnęła niskim, schrypniętym głosem. – Zdejmij tylko spodnie. Lubię to robić w ten sposób.

Jej piękne, miękkie włosy falowały na poduszce. Wyprężyła gibkie ciało, sutki jej stwardniały i wyciągnęła ku niemu ramiona. Złote promienie porannego słońca przedarły się przez altankę ocieniającą okno i rzuciły swawolne cienie na jej gładką skórę. Zachichotała cicho. Wargi jej były lekko nabrzmiące i wilgotne.

– Weź kajdanki – zażądała, patrząc na niego bezwstydnie jasnozielonymi oczami. – Pokażę ci, jak traktuję aresztowanych.

Drżąc z podniecenia, pokuśtykał niezdarnie do stolika nocnego. Poruszał swobodnie tylko jedną nogą. Drugą ciągnął za sobą spodnie i slipy. Znalazł kajdanki, pozbył się spodni, zostawił je na podłodze i wrócił do Laurel.

Podczas łóżkowych igraszek zadziwiła go łatwość, z jaką pozbywa się kajdanek.

– Jak ty to robisz? – mruknął. – Do tej pory widziałem niewielu takich artystów. Musiałem ich potem gonić – dodał żałośnie.

– Kontroluję pracę mięśni – patrzyła na niego śmiało. – Dzięki temu jest parę takich rzeczy, które potrafię robić wyjątkowo dobrze, nie sądzisz?

Uśmiechnął się leniwie i ziewnął.

– Z całą pewnością – potwierdził sennie.

Laurel przycichła. Oczy miała ukryte w cieniu. Nie poruszyła się nawet ani też nie zmienił się wyraz jej twarzy, gdy ją pocałował.

– Może to dobrze, że nie zawsze jesteś taka. Nie wiem, czy taki starszek jak ja mógłby temu sprostać.

Poprosił, żeby obudziła go o piątej po południu, przewrócił się na bok i zapadł w sen. Nie zauważył, że ta prośba zmartwiła ją. Laurel usiadła na łóżku i wpatrywała się tępo w zegar ze zmarszczonymi brwiami. Rick spał głęboko. Ona zaś miała przed sobą cały dzień.

Rozdział dziewiąty

Terry Mitchell spotkała Mary Ellen Dustin w szatni ośrodka sportu i odnowy biologicznej.

– Wczoraj poznałam nową panienkę Ricka, kiedy byłam na miejscu zbrodni – powiedziała złośliwie.

– Okropna historia – odparła Dusty spokojnie. – To był taki miły dzieciak.

– Muszę przyznać, że ta Miss Nastolatek zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Opalona, szczupła i... przede wszystkim młoda.

– Może właśnie to jest jej główny atut – stwierdziła Dusty gorzko. – Po raz pierwszy w życiu zostałam porzucona dla młodszej kobiety, a przecież nie mam nawet trzydziestu lat – dodała. Odrzuciła włosy do tyłu i spięła je plastikową klamrą, odsłaniając twarz o wysokich kościach policzkowych i wyraźnie ukształtowanych rysach.

– Ona jest do ciebie podobna, zauważyłaś? Wygląda jak twoja młodsza siostra albo jakaś kuzynka. Strasznie mnie to zdziwiło.

– Mnie jeszcze bardziej.

– Któż może wiedzieć, jakie to złe moce drzemą w ludzkich sercach? Ja na pewno nie. Do zobaczenia na sali. Idę najpierw na rowerok.

Ośrodek znajdował się w hotelu położonym nad zatoką. Oferował zniżki policjantom, a także ich rodzinom, co stanowiło jeden z nielicznych przywilejów tego zawodu. Sprzęt treningowy przypominał średniowieczne narzędzia tortur. Wiele przyrządów wyposażono w pasy i lśniące, metalowe klamry. W lustrach, którymi wyłożono ściany, odbijały się sylwetki kobiet trenujących na rowerkach, sprzęcie do wiosłowania,

bieżnikach i atlasach. Salę balową wyłożono jasnozieloną wykładaną i przystosowano do lekcji baletu. Na jej ścianach również znajdowały się lustra. Czasem odbywały się tu też zajęcia z aerobiku, callanetics i gimnastyki. W ogromnym odkrytym basenie olimpijskich rozmiarów prowadzono aerobik wodny, jeżeli pozwalała na to pogoda.

Prawie zupełnie naga, Dusty siedziała naprzeciw rzędu szafek i wkładała rajstopy. Wtedy o trzy stopy od siebie zobaczyła nagle Laurel. W pierwszej chwili przestraszyła się, że dziewczyna podsłuchiwała jej rozmowę z Terry Lou. Laurel poprawiała właśnie różową przepaskę na włosach, która harmonizowała ładnie z jej białym kostiumem. Sprawiała wrażenie tak samo zdziwionej jak Dusty. Po kilku chwilach niezręcznej ciszy obie uśmiechnęły się do siebie.

– Cześć, Laurel – rzuciła Dusty, podnosząc się z podłogi. – Właśnie dziękowałam Bogu za spandeks. Skutecznie ukrywa wiele grzechów, a przynajmniej jakoś je zbiera do kupy – dodała poklepując się po biodrze.

– Nie masz powodu do zmartwienia – odparła Laurel, patrząc niespokojnie na pełne, piękne, sterczące piersi Dusty, która właśnie wkładała strój do gimnastyki. Jej własny biust nie prezentował się tak okazale. – Nie wiedziałam, że tu przychodzisz.

– Nic mi innego nie pozostało. Ubezpieczenie nie obejmuje odsysania tłuszczu. I nie rozumiem, dlaczego uważasz, że nie mam powodu do zmartwienia. Owszem, chciałam, żeby robiły mi się dołeczki, ale nie na udach, a tu się właśnie, niestety, pojawiły. No, czas ruszać na wojnę z cellulitis. Idziemy!

Wyjęła z szafki hantle i zamknęła drzwiczki. Z uśmiechem na ustach otoczyła Laurel ramieniem. Dziewczyna odskoczyła gwałtownie i

natychmiast pożałowała swojego odruchu.

– Proszę – powiedziała, wyjmując z suszarki dwa jeszcze ciepłe ręczniki. – Weź jeden.

– Dziękuję.

Dusty wzięła ręcznik, zawahała się i weszła za Laurel do lustrzanej sali. Miała ochotę zapytać, czy poczyniono jakieś postępy w sprawie młodego Thorne'a, ale pohamowała się. Rick i tak na pewno nie rozmawiał z dziewczyną o służbowych sprawach. Co oni właściwie mieli ze sobą wspólnego? A teraz on pewnie jeszcze pracuje, jeśli natrafili na jakiś ważny ślad. Gdzie on może być? – zastanawiała się. Może jednak jest w domu i śpi? Sam?

Jego wysmukłe ciało ciepłe od snu... Jeśli mam rację, to nie przyszedłbym tu, gdybym była na miejscu Laurel. Nietknięta makijażem twarz dziewczyny promieniała. Czy to ślady seksu, czy dar młodości? Nie chciałyby, żeby Laurel potrafiła odczytać jej myśli.

W innym czasie, w innym życiu mogłaby zaprzyjaźnić się z Terry Lou czy nawet z Laurel. Coś je łączyło. Choćby upodobanie do tego samego rodzaju mężczyzn, a szczególnie do jednego z nich. Ale tak trudno przychodziło jej zawieranie przyjaźni. Kiedy Dusty wybrała Miami jako miejsce, w którym chciała rozpocząć nowe życie, zerwała umyślnie wszystkie dawne więzy i pozostawiła bolesną przeszłość daleko za sobą. Tylko raz zdobyła się na przełamanie wszelkich barier i nie wyszło jej to na dobre. Kiedyś myślała, że jej związek z Rickiem ma szansę. Wierzyła, że będzie żyła pełnią życia. Teraz jednak ganiła się sama za taką krótkowzroczność. Duchy przeszłości straszyły nadal.

Zajęcia z aerobiku były na ogół prowadzone przez kobiety, ale tym

razem przyszedł Barry, energiczny, młody mężczyzna z kucykiem i w przepasce na włosach. Jego legginsy były tak obcisłe, że nie pozostawiały specjalnego pola do popisu dla wyobraźni. Dusty ucieszyła się. Barry zawsze nastawiał głośno muzykę. Wybrała miejsce naprzeciwko głośnika o dużej mocy. Hałaśliwe dźwięki zagłuszą jej myśli. Lubiła te chwile, kiedy nie musiała zastanawiać się nad swoim życiem, skomplikowanymi problemami związanymi z pracą czy też okrucieństwem ulicy. Chwile, kiedy głośna melodia wypełni jej umysł i ciało.

Kilkanaście kobiet i paru mężczyzn czekało na rozpoczęcie zajęć. Barry stał na wyłożonym dywanem podium i uśmiechał się czule do swego odbicia zwielokrotnionego przez lustro. Zawsze wyglądał tak jakby miał ochotę się roześmiać na wspomnienie sobie tylko znanej zabawnej historyjki. Położył teraz ręce płasko na podłodze, rozsunął szeroko nogi i począł rozciągać ich mięśnie, tak że wybrzuszenie w jego legginsach stało się jeszcze bardziej widoczne. Sprawnie demonstrując coraz trudniejsze ćwiczenia, wydawał gburowato polecenia rozpieszczonym paniom domu o sflaczałych udach.

– Ruszać się! – pokrzykiwał. – Wciągnąć brzuchy! Oddychać!

Sarkały, ale przetykały zniewagi, dając jednocześnie do zrozumienia, że nikt poza Barrym nigdy nie ośmielił się do nich mówić w taki sposób. Jego skóra lśniła, oddychał głęboko. Długie, kręcone włosy zwilgotniały. Miał silne, muskularne ciało. Wielki nauczyciel i równie wielki idiota – pomyślała Dusty, starając się nie zwracać uwagi na skurcz w prawej łydce. Muzyka wchłonęła ją, zalała. Skupiła się wyłącznie na swoim oddechu i przyspieszonym biciu serca. Jednak istniało coś, co źle wpływało na jej zdolność koncentracji. Po drugiej stronie sali Laurel tańczyła żywiołowo

przed lustrem, pogrążona w zapomnieniu, wpatrzona we własne odbicie, zafascynowana tym widokiem. Zmieniający się wciąż wyraz twarzy dziewczyny rozpraszał Dusty. Odwróciła się, lecz wzrok jej powracał uporczywie w tamto miejsce, jakby przyciągany przez coś, czego nie była w stanie objąć rozumem.

Tempo osłabło, ćwiczące ochłonęły i położyły się na podłodze, żeby robić pompki. Koszulka Barry'ego była tak mokra, że duże krople potu spadały z jego piersi prosto na jasnozielony dywan. Kropla za kroplą, w rytm ogłuszającej muzyki. Dusty usiłowała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby ta wilgoć zrosiła jej nagie piersi. To niedobrze, że ten facet nie wie, jak bardzo ona lubi patrzeć na niego, gdy tak się poci, i jak bardzo podziwia kształt jego pośladków. Żywiła głęboką nadzieję, że Barry nie jest pedałem. Odpędziła od siebie tę straszną myśl.

Ci, którzy nie mieli jeszcze dość i nie uciekli pod prysznic, położyli się na plecach, żeby poćwiczyć mięśnie ud.

– Plecy przyklejone do podłogi! Brzuchy wciągnięte! Pośladki razem! – patrzył na poskręcane ciała ze złośliwym uśmiechem. – No dalej, panie! Miednice w górę! Wiem, że potraficie! To tak, jakbyście wysysały winogrona!

Zajęcia skończyły się i Dusty poszła do szatni. Laurel wlokła się gdzieś z tyłu. Wtedy Dusty zobaczyła w lustrze jeszcze jedno odbicie: Laurel i Barry'ego, którzy stali blisko siebie i zaśmiewali się. Dziewczyna miała wygięte w łuk plecy i rękę wspartą na biodrze.

Dusty namydliła włosy i stała pod prysznicem dłużej niż zwykle. Miała zamknięte oczy. Gdy owinęła wreszcie jeden ręcznik wokół głowy, a drugi

wokół ładnie zarysowanej talii, zorientowała się, że wszyscy już wyszli.

Miała stawić się w wydziale zabójstw dopiero o jedenastej wieczorem, ale poczuła przyływ werwy i energii, toteż zdecydowała, że pójdzie tam już po południu. Nie miała zresztą nic innego do roboty i lubiła tę niedzielną atmosferę w pracy. Szefostwo rzadko pojawiała się w komendzie w weekendy. Policjanci mogli spokojnie zająć się swoimi sprawami i nikt się nie wtrącał, nie przeszkadzał, nie robił wycieczek osobistych. Politycy lub przełożeni, cierpiący z powodu manii wielkości, dawali im święty spokój. Dla kogoś, kto naprawdę lubi swoją robotę, był to najlepszy moment, żeby popracować. Dusty postanowiła, że posprząta swoją szafkę, przeniesie rzeczy do wydziału zabójstw, przeczyta raporty uzupełniające, dotyczące spraw, którymi się ostatnio zajmowali jej partnerzy, i sprawdzi, czy nie pojawiły się jakieś nowe poszlaki w sprawie Thorne'a. Zrobi to wszystko, zanim Rick i Jim przyjdą do pracy.

Zatrzymały ją światła przy Overtown, na północ od kwatery głównej. Młody, czarny mężczyzna stał przy przejściu w świeżo uprasowanym garniturze w kolorze wielkanocnego jajka. Jego dwukolorowe buty lśniły. Mężczyzna trzymał na rękach dziecko. Wielkooki berbecę miał niewiele ponad rok i ubrany był na niebiesko, od czapeczki począwszy, na starannie zasnurowanych butkach skończywszy. Dusty uśmiechnęła się do mężczyzny w krzykliwym lawendowym ubraniu i pokazała mu, że droga jest wolna. Przechodzień był wyraźnie pewny siebie, świadom, że tak on, jak i jego dziecko są nieskazitelnie ubrani. Sprawiał wrażenie człowieka, który zmierza do jakiegoś celu, człowieka, który ma dokąd pójść.

Ten widok zrobił na niej wrażenie. Gdy tak na nich patrzyła, uśmiech jej powoli zamierał. Uległa ledwo odczuwalnemu, lecz mimo to

bolesnemu pragnieniu, by stać się... właśnie, kim? Częścią czegoś lub kogoś? Spędzać jakoś tydzień za tygodniem, niecierpliwie oczekując wakacji i niedziel? Ubrać się ładnie, tak jak uczynił to napotkany przez nią mężczyzna, i spędzić życie z przyjaciółmi lub rodziną w jakimś domu przesiąkniętym zapachem domowej kuchni, pełnym śmiechów oraz serdecznych uścisków?

W domu, w którym wszyscy by ją kochali i zawsze gorąco przyjmowali, niezależnie od tego, co by się działo.

Cholera jasna – pomyślała. – Porzuciłam to wszystko już dawno temu albo też ja zostałam porzucona. Gdzie podziały się stare czasy, kiedy niedziela znaczyła dla niej więcej niż zwykły dzień pracy, pełen uciążliwych obowiązków życia codziennego.

Ogarnął ją smutek, ale starała się go zwalczyć, dosłownie strząsnąć z siebie, toteż odrzuciła włosy do tyłu, poruszając głową, tak jak modelki reklamujące szampon w telewizji. Daj spokój! – mówiła sobie w duchu. – I co to ma być? Syndrom Normana Rockwella? Zaczynasz się nad sobą litować? Zwariowałaś?

– A co to, do diabła, jest normalne życie? – spytała głośno.

Dostała twardą szkolę. Zastanów się dobrze, o czym marzysz – pomyślała – bo jeszcze ci się spełni.

Wygórowane oczekiwania zawsze prowadzą do klęski. Naucz się cieszyć z tego, co masz. A więc miała Ricka, krótko, ale miała, i sądziła, że wszystko się zmieni. Ale nic takiego się nie wydarzyło i już nie wydarzy. Mimo to podniecała ją perspektywa pracy z nim. Rick pozytywnie na nią wpływał już od chwili, gdy jakieś pięć lat temu przyszedł do Akademii, żeby poprowadzić wykład na temat zabójstw.

Jasnowłosy, długonogi, o twarzy, która nigdy, nawet po pięćdziesiątce, nie ztraci swego chłopięcego wyglądu, sprawiał wrażenie człowieka traktującego poważnie pracę i ludzi. I tym właśnie różnił się od wielu innych policjantów i w ogóle od innych mężczyzn. Wystarczy mi jego przyjaźń i szacunek – myślała. I tak spędzi więcej czasu ze mną niż z tą panienką, którą sobie sprowadził. Zobaczymy, co będzie, jak Laurel dokładnie pozna jego rozkład zajęć, zrozumie, co to są nadgodziny i inne wymogi, które stawia mu praca. Ta perspektywa natchnęła ją optymizmem. Staniemy się znów sobie bliscy, ale nigdy nie wróci dawna zażyłość, bo tamta będzie czekać na niego w domu.

Już dawno nauczyła się, że jedynym wyjściem jest praca na czymś ważnym, skoncentrowanie się nad czymś tak trudnym i zajmującym, że staje się to bronią, osłoną przed światem i krzywdą, jaką może wyrządzić. Praca, zawsze się odwdzięcza. Poświęcenie jest godne podziwu.

Wiedziała jednak, że tak naprawdę to tylko samoobrona. Opony jej czerwonego datsuna pisnęły na czarnej nawierzchni, gdy Dusty wjechała na parking. Najważniejsze jest teraz to – postanowiła sobie w duchu – żeby mu pomóc złapać sukinsyna, który zastrzelił Roba. Na pewno się to opłaci.

Podziękowała Bogu za swoją pracę, zabrała ze skrytki rewolwer, wsunęła go do wypchanej torebki i weszła do wysokiego budynku.

Rozdział dziesiąty

Laurel pomyślała, że przyrządzanie śniadania o piątej po południu jest czynnością zupełnie nienaturalną. Wyjęła szary kłaczek futerka z nierdzewnego zlewozmywaka, przyjrzała mu się uważnie i zrobiła zdziwioną minę. Sprawy przybierały zły obrót i bała się. Do tej pory dawała sobie dobrze radę. Po raz pierwszy w życiu była szczęśliwa i przekonana, że nic przerażającego już się jej nie zdarzy. Rick był cudowny, silny i opiekuńczy, ale teraz przeszedł na nocną zmianę i zostawiał ją samą w domu. Młody chłopak z sąsiedztwa został zabity nie opodal, a teraz w dodatku na horyzoncie pojawiła się ta niesamowicie atrakcyjna policjantka i jej wielkie cycki.

Policjanci, którzy pracują razem, są jak rodzina. Dobrze o tym wiedziała. Odkąd zaakceptowała Jima wraz z jego nieustannymi pretensjami i narzekaniami, przekonała się, że wcale nie jest taki groźny, jak się wydawał. Tak naprawdę był wielkim, prostodusznym misiem. Jim znaczył wiele dla Ricka, więc i dla niej stał się ważny, ale z Dusty to była całkiem inna historia. Ona była piękna i między nią a Rickiem unosiła się aura intymności. Laurel usiłowała sobie wmówić, że wynika to wyłącznie z ich wspólnych przeżyć w pracy w policji. Ale teraz ta kobieta towarzyszyć mu będzie przez wiele nocy. A ja będę tu czekać, samotna i przestraszona, podczas gdy oni będą razem jadać posiłki, żartować, śmiać się, złościć, razem stawiać czoło niebezpieczeństwom i razem będą odnosić sukcesy. Jestem z tego wyłączona – myślała – i znów tracę poczucie czasu. Tak się działo zawsze, ilekroć ulegała stresom. Ale dlaczego teraz była w takim stanie? Czy brakowało jej tylko poczucia bezpieczeństwa, czy też

była zazdrosna? W dodatku nie bez powodu. Jedno było pewne. Nie wolno jej zostawiać samej po zmroku.

Patrzyła na Ricka, który pochłaniał teraz jajecznicę, dżem i tosty. Poczowała lekkie mdłości. Umalowała się jasną szminką, która pasowała kolorem do jasnoróżowej jedwabnej wstążki przytrzymującej jej długie włosy.

– Gdybyś wrócił na dzienną zmianę, moglibyśmy żyć jak normalni ludzie – zaczęła.

Rick patrzył czule przekrwionymi ze zmęczenia oczami na tę delikatną, młodą kobietę, tak niepodobną do nienasyconej kochanki, jaką jeszcze kilka godzin temu była w łóżku.

– Nie dawniej niż parę lat temu sądziłem, że nigdy się nie przyzwyczaję do takiego trybu życia. Ale jeśli się pracuje w wydziale zabójstw i chce się osiągać rezultaty, nocna zmiana jest jedynym wyjściem. Trzeba tylko przestawić swój zegar biologiczny, a to wymaga czasu.

– Ja zawsze najlepiej funkcjonuję w ciągu dnia, a po tej historii z Robem... – zniżyła głos do szeptu. – Cóż za okropność...

Rick odstawił szklanekę jeszcze do połowy wypełnioną sokiem.

– I jest to jeszcze jeden ważny powód, dla którego wybrałem nocę – powiedział głosem wciąż jeszcze lekko schrypniętym od snu. – Musimy wyjaśnić tę sprawę. Ale nie martw się i nie wierz w opowieści o zabójcy powracającym na miejsce zbrodni. Nie znajdują potwierdzenia w takich przypadkach. Ten, kto go zabił, uciekł jak złodziej. I nie wróci. A nawet jeśli tak się zdarzyło, to prosiłem znajomego ślusarza, żeby przyszedł tu jutro i pomyślał nad jakimś dobrym zabezpieczeniem. Poza tym, jak tylko będę miał wolny dzień, zabiorę cię na strzelnicę. Chcę, żebyś poćwiczyła.

Dam ci swój prywatny pistolet.

– Przecież wiesz, że boję się broni – szepnęła.

– Przystaniesz, kiedy nabierzesz wprawy. Musisz wiedzieć, jak się nią posługiwać. Ostatnim razem świetnie ci poszło – zabrzmiało to surowo, ale po ojcowsku. – Nie ma się czego bać. I przyzwyczaisz się, że pracuję w nocy. Pomyśl – dodał patrząc na nią przekornie spod oka – jak fantastycznie spędziliśmy ranek.

– Co masz na myśli?

– Już zapomniałaś, w co się bawiliśmy? Ty naprawdę potrafisz zbić mnie z pantałyku, moja pani.

Miał urażoną minę.

– Nie byłam pewna, o co ci chodzi – szepnęła i szybko odwróciła się, żeby dolać mu kawy. Na jej policzkach pojawiły się silne rumieńce.

Schwycił ją za rękę, gdy już szła w kierunku kuchni.

– Pozwól, że podam ci kawę – zaprotestowała.

Zanurzył twarz w jej fartuchu, na wysokości podbrzusza.

– Ach! – westchnął. – Cóż za wspaniały zapach.

– To pewnie ten sos do spaghetti – odparła. – Chyba powinnam trochę zamrozić na zapas – dodała szybko i pobiegła do kuchni. Rick kręcił tylko głową z uśmiechem.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Mam nadzieję, że to nie Thorne'owie – skrzywił się na samą myśl, że mógłby się z nimi spotkać, najwyraźniej przerażony taką perspektywą. – Miałem zamiar pójść do nich później.

W drzwiach stała Dusty z bardzo poważną miną, jakby chciała podkreślić, że przychodzi w sprawie służbowej. W rękę trzymała akta.

– Pan porucznik prosił mnie, żebym je podrzuciła, skoro i tak mam służbę w tej okolicy – zakomunikowała od progu.

– Wejdz – zawołał z głębi Rick.

Weszła niepewnie do środka.

– Mam tylko chwilę. Myślałam, że o tej porze będziesz już na nogach.

– To coś ważnego?

– Nie, tylko musisz podpisać oświadczenie dla prasy. Poza tym jest coś, co powinieneś powiedzieć rodzicom Roba. Drużyna baseballowa, w której grał, i jeszcze inni koledzy ze szkoły zbierają datki, żeby podnieść wysokość nagrody, gdyby oferta rodziców okazała się niewystarczająca. Jeśli pieniądze się nie przydadzą, chcą ufundować stypendium jego imienia.

Laurel zostawiła uchylone drzwi. Teraz otworzyły się jeszcze szerzej i stanęła w nich Beth Singer, sąsiadka.

Miała na nogach zniszczone tenisówki, szorty i koszulkę w brzoskwiniowym kolorze.

Beth przeprosiła za najście. Jej zatroskane oczy rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy spostrzegła Dusty, ale uśmiechnęła się na powitanie.

– Wiem, że jesteście bardzo zajęci dochodzeniem i w ogóle, ale Benjie nie daje mi spokoju.

– Siadaj. Mną się nie przejmuj – powiedział Rick, pocierając zarost na policzku. – Dopiero co wstałem i nie zdążyłem się jeszcze ogolić. Napij się kawy. Ty też, Dusty.

– Z przyjemnością – odparła Betty, wzdychając i odrzucając w tył włosy w kolorze miedzi. – Spędziłam pół dnia u Thorne'ów. Prawdziwy koszmar. Drugie pół upłynęło mi na przetrząsaniu krzaków.

– A co z Benjiem? Jaki ma problem tym razem?

– Jesteśmy wszyscy w stanie pogotowia – odrzekła Beth martwym głosem. – Nasza kotka, Boo Boo, zginęła i Benjie wypłakuje sobie oczy. Wszędzie szukałam tego małego urwisa, ale nigdzie jej nie ma. Nie wiem, czy uda mi się w ogóle położyć dziś dziecka spać, jeśli ona się nie znajdzie.

– Nie widziałem jej. A ty, Laurel?

– Od wczoraj nie – odparła i naląła Beth kawy, rozlewając trochę na spodek. – Niezdara ze mnie – powiedziała przeprasząco i starła kawę serwetką.

Rick upił łyk swojej i zajrzał do filiżanki.

– Rozpuszczalna?

Laurel potwierdziła skinieniem głowy i zarumieniła się.

– A cóż się stało z tym wspaniałym wynalazkiem, który miele ziarenka i wypluwa kawę?

– Nie działa. Przykro mi.

– W porządku, kochanie. Jestem nieprzyzwoicie rozpuszczony. Co dolega tej maszynie?

Dziewczyna wzruszyła bezradnie ramionami.

– Nie chce się otworzyć, więc nie mogę wsypać kawy.

Dusty zeskoczyła energicznie z krzesła i nieproszona wpadła do kuchni.

– Pozwól, że rzucę okiem. Jestem w tym niezła. Szybko przyjrzała się urządzeniu.

– Proszę – powiedziała, odsuwając po prostu małe wieczko. – Wszystko gra. Tu wsypujesz ziarenka, tu wkładasz filtr, a tu wlewasz wodę. Tędy wylewa się kawa. Voilà.

– Rzeczywiście – Laurel była wyraźnie zmieszana. – Zapomniałam, jak się obsługuje to cholerstwo.

– Najlepiej w takim przypadku przeczytać instrukcję – odezwał się Rick.

Laurel miała tak nieszczęśliwą minę, że Beth zarzuciła jej rękę na szyję i przytuliła mocno.

– To był okropny weekend. Aż dziw bierze, że nie postradaliśmy zmysłów – stwierdziła, siadając naprzeciw Ricka. – Ale ja oszaleję na pewno, jeśli Boo Boo nie raczy przywlec swojej kosmatej pupci z powrotem do domu.

– Może wczoraj w nocy ktoś ją ukradł – odezwała się Laurel.

Beth pokręciła głową.

– Była tutaj dziś rano. Bawiła się z Benjiem za domem. Miałam nadzieję, że zawędrowała do was.

– Wróci, jak zgłodnieje – powiedział Rick z przekonaniem. – Koty wiedzą, jak o siebie zadbać. Zobaczysz, że wkrótce się pojawi. Nasz Chuckles ma prawie piętnaście lat, a jeszcze nigdy nie opuścił żadnego posiłku.

– Tak, Chuckles to przecież kot twojej mamy – uśmiechnęła się Beth.

– Dostałem go wraz z domem – wyjaśnił Rick. – Mama uważała, że trudno mu się będzie przyzwycząić do nowego miejsca. Zbudowałem dla niego te drzwiczki w garażu, kiedy był taki mały jak Boo Boo.

– Powiedz rodzicom, że pytałam o nich, kiedy będziesz z nimi rozmawiał – poprosiła Beth. – Pójdę i poszukam Boo Boo po przeciwnej stronie ulicy – dodała. – Jeśli się u was pojawi, błagam, dajcie mi znać.

– A jak ona wygląda? Rozejrzę się, skoro i tak będę w okolicy? Dusty

odsunęła krzesło od stołu i wstała. Z pełnej kobiecego wdzięku pani domu obsługującej ekspres do kawy przeistoczyła się w osobę konkretną, rzeczową, przyzwyczajoną do kontrolowania sytuacji. I tak wyglądała: czujna, plecy proste, stopy mocno stojące na podłodze, w lekkim rozkroku. Rick patrzył na nią. Przypomniwał sobie, że zawsze wolał to drugie wcielenie Dusty, kiedy z surowej policjantki, chłodnej profesjonalistki przeistaczała się w kobietę – ciepłą, uwodzicielską, wilgotną, chętną. Podniecała go ta transformacja kobiety gliny w seksowne kociątko.

– Będę bardzo wdzięczna. Jest maleńka, jasnoszara, puszysta. Dzięki za kawę – Beth zerknęła na Laurel, która sprawiała wrażenie chorej.

Rozdział jedenasty

Żadna z wiadomości, jakie czekały na niego w komisariacie, nie miała związku z zabójstwem Roba Thome'a. Można by sądzić, że morderca pojawił się znikąd i wtopił z powrotem w parną noc. Nagroda mogła wywołać jakiś odzew. Rodzice zaoferowali pięć tysięcy dolarów za informacje, które doprowadziłyby do aresztowania i skazania sprawcy. Chcieli zaproponować więcej, ale Rick im to odradził. Ludzie gotowi by byli wydać nawet własne matki za znacznie mniejsze sumy.

Inicjatywa kolegów Roba bardzo go wzruszyła, a państwo Thorne płakali, gdy ich o tym poinformował.

Dominguez i Thomas wciąż zajmowali się napadem na sklep całodobowy. Następną tego typu sprawą mieli zająć się Jim i Rick. Nie było żadnej przerwy w pracy. Rick poszedł z Jimem do kartoteki, żeby sprawdzić, czy żaden z ostatnio zwolnionych włamywaczy nie mógł maczać palców w zabójstwie Roba. Zanim wrócili, nadeszła ich kolej. Znalezione martwego mężczyznę.

Dusty patrzyła na nich zza biurka. Ubrana była na niebiesko i ten odcień harmonizował pięknie z barwą jej oczu.

– Jedno zatrzymanie – poinformowała ich krótko. – Jakies dziesięć minut temu. W walce w Hole zginął człowiek. Sprawca ujęty na miejscu przestępstwa przez patrol.

– Strzelanina? – spytał Rick chłodno, podnosząc radio.

– Nie – odparła Dusty. – W ogóle nie użyto żadnej broni. Była tylko bijatyka.

– Jedziemy.

Dusty nacisnęła guzik windy.

– A kim jest Terrance McGee? Twierdzi, że znalazł nowe dowody. Czy rzeczywiście zajmujecie się tą sprawą? Jest pewien, że ktoś chce go otruć. Dlaczego nic o tym nie wiem?

– To świr – odparł Jim. – Paranoik.

– Naprawdę? Rozmawiałam z nim chyba z pół godziny przez telefon.

– Znalazł sobie nową ofiarę – stwierdził Jim radośnie.

– A mówił z takim przekonaniem – westchnęła Dusty, kiedy otworzyły się drzwi windy i weszli do środka.

– Oni wszyscy tacy są – powiedział Jim.

– Właśnie, prawda?

Drzwi windy zamknęły się.

Hole to miasto w mieście, położone niedaleko Overtown, gdzie domy znajdują się w ruinie, fabryczki narkotyków wyrastają jak grzyby po deszczu, a bary otwarte są przez całą noc. Zręczliwy aresztant siedział zamknięty w okratowanym wozie policyjnym.

– Sly! – krzyknęła Dusty, wyraźnie zaskoczona.

Sly nie poruszał się już z właściwą sobie gracją i swobodą. Machał do niej niezręcznie, gdyż ręce miał skute kajdankami.

Gdy zobaczył, że nikt z niespokojnego tłumu, który tam się zebrał, na niego nie patrzy i upewnił się, że wszystkie oczy utkwione są w leżącym na chodniku trupie, gwałtownie potrząsnął głową.

– Ja go nie zabiłem – wyszeptał z przerażeniem zza szyby.

– To J. L. Sly – powiedziała głośno Dusty swym rzeczowym, wyzutym z emocji tonem. – Twierdzi, że jest niewinny.

– Oni zawsze tak twierdzą – odburknął Jim.

– Ostrzegaliśmy go, żeby uważał z tym cholernym kung-fu – mruknął Rick. – Zobaczmy teraz, co tu mamy.

Przeszedł przez żółtą taśmę, odsunął papierowe prześcieradło, pomyślał chwilę i gwizdnął. Martwy mężczyzna był wspaniale zbudowanym Latynosem, prawie dwukrotnie większym od Sly'a. Jego jedyne widoczne obrażenie stanowiła mała, krwawa ranka na czole.

– Czego się dowiedzieliście? – zwrócił się Rick do młodego policjanta, który stanął przed nim na baczność w mundurze jak spod igły i w wypolerowanych butach.

– Sir, dwaj osobnicy, których dotyczy sprawa, prowadzili pewien rodzaj dysputy. Domniemany sprawca, zamieszkały w okolicy, znany powszechnie jako mistrz walk wschodnich, zadał ofierze pojedynczy cios powodując natychmiastowy zgon, sir.

– Czy było to uderzenie w głowę?

– Nie, sir. Uszkodzenie skóry na czole ofiary powstało najprawdopodobniej wskutek nagłego zetknięcia się z twardym podłożem. Wówczas jednak poszkodowany już był martwy, sir.

– Szkoda, że nie znasz angielskiego – westchnął Rick.

– Pan wybaczy, sir?

– Nic takiego. Dobra robota.

– Czego, na miłość boską, uczą ich teraz w tej Akademii? – spytała cicho Dusty, która stała z drugiej strony ciała. – Potężny mężczyzna, prawda? J. L. musi być naprawdę dobry. Załatwić jednym ciosem takiego olbrzyma!

– Słynie z tego. Ciekaw jestem, dlaczego ten facet po prostu nie uciekł.

– Może nie zna miasta i nie słyszał o Sly'u.

Zgromadzeni wokół ludzie stawali się coraz bardziej niespokojni.

– Dobra! – wrzasnęła Dusty. – Wszyscy na chodnik! Tak, wy też! Nie blokować przejścia! Jasne?!

Tłum rozpierzchnął się przed nią jak stado gołębi.

Jim obserwował ją uważnie. Sposób, w jaki zawsze radziła sobie z ludźmi ze slumsów, nieodmiennie budził w nim podziw. Często tak bywało, że młodzi czarni posłusznie wykonywali polecenia wydawane przez kobiety, choć gdyby te same nakazy pochodziły od mężczyzny, wywołałyby w nich wyłącznie agresję. Albo uważają, że atakowanie kobiety nie dowodzi siły, albo też przyzwyczajeni są do życia w matriarchacie – myślał. Zajmują się nimi na ogół matki lub babki, kobiety przyzwyczajone do rządzenia, kobiety wystarczająco silne, by przetrwać i wychować dzieci w tak podłej dzielnicy.

– Słuchajcie! – krzyczała Dusty. – Kto widział, co się stało, niech stanie tutaj, żebym mogła zapisać nazwisko. Ci, którzy nic nie widzieli, mają zostać za tą żółtą liną, a najlepiej niech w ogóle stąd idą.

Znalazło się wielu chętnych świadków. Zabity człowiek zachowywał się wojowniczo; wpadł do knajpy, krzycząc coś po hiszpańsku. Był wyraźnie pod wpływem alkoholu i zaczepiał stałych bywalców baru. Wyrwał się im i ruszył do drzwi. Wtedy wpadł na Sly'a. J. L. przybrał pozycję obronną i ostrzegł mężczyznę, żeby się uspokoił. Ale ani wojownicze gesty, ani przeraźliwe okrzyki kung-fu, jakie wydawał z siebie Sly, nie powstrzymały Latynosa. Z dziką furią i okropnym wrzaskiem natarł na J. L. i zapędził go do narożnika, przypierając do ściany. Tłum zbliżył się, żeby lepiej widzieć. Nadeszła decydująca chwila, ale nic się nie stało, bo Sly zawahał się.

Zawiedzeni kibice ponaglali go. Mężczyzna rzucił się gwałtownie do przodu i wtedy J. L. uderzył. Nie trafił jednak w głowę, ale musnął tylko potężny biceps Latynosa. Mimo to jego przeciwnik zwałił się na ziemię jak kłoda i już nie wstał. Zdumiony tłum cofnął się, szepcząc: „kung-fu” i powtarzając z szacunkiem nazwisko J. L.

Sly również był oszołomiony. Stał po prostu i gapił się na swoją ofiarę, dopóki nie przyjechała policja.

Detektywi zabrali ciało do kostnicy, a J. L. do komisariatu. Gdy jechali, mijając tłum zastygły w szacunku i przejęty grozą, Sly zachowywał stoicki spokój. Uniósł w górę zwiniętą pięść, żegnając kilku znajomych, którzy przycisnęli twarze do szyby auta i wykrzykiwali jego imię.

W komisariacie był już zupełnie innym człowiekiem. Załamał się kompletnie i siedział skulony na drewnianym krześle, z kajdankami na rękach.

– Zabiłeś faceta jednym ciosem – stwierdził Jim, kiwając z uznaniem głową. – Teraz już nie tylko masz reputację mistrza. Stałeś się po prostu legendą swoich czasów. Nie wiem tylko, czy zdążysz się tym nacieszyć, bo skoro już mowa o czasie, to prawdopodobnie nigdy w życiu nie ujrzysz światła dziennego.

– Chyba nie zamierzacie mnie oskarżyć? – w głosie Sly’ a słychać było panikę. Patrzył kolejno na ich twarze rozszerzonymi z przerażenia oczami. – Ledwo go dotknąłem.

– Ten człowiek nie żyje – powiedziała łagodnie Dusty. – Nie popełnił przecież samobójstwa.

– Dajcie spokój. Tyle razy wam pomagałem.

– Wiem, że jesteśmy przyjaciółmi – przyznał Rick. – I wielokrotnie cię

ostrzegaliśmy. Nie chciałeś słuchać. Myślisz, że jesteśmy zachwyceni tym, co się stało? Zostaniesz oskarżony o morderstwo drugiego stopnia.

– To był wypadek! – wrzasnął Sly.

– Sztuka walk wschodnich sprawiła, że twoje ręce stały się zabójczą bronią. Wiele razy sam to podkreślałeś. Nie musiałeś wypróbować swoich umiejętności na tym facecie. Mogłeś uciec albo zwyczajnie odejść. Załatwiłeś go jednym uderzeniem i świadczy to o tym, że wiedziałeś, co robisz. Przykro mi – zakończył Rick, zerkając na Dusty.

– Słuchaj, J. L. – powiedziała. – Myślę, że zostałeś już poinformowany o swoich prawach tam na miejscu, ale my chcemy to zrobić jeszcze raz i poprosimy cię o podpis.

– Nieprawda! – zawył Sly. – Zdejmijcie to! – jęknął, pobrzękując kajdankami na wzniesionych w górę dłoniach.

– Nie wiem, co robić – powiedziała Dusty i zerknęła najpierw na Ricka, później na J. L., który zaczął płakać rzewnymi łzami. – Może zabrzmiało to absurdalnie, biorąc pod uwagę fakt, że on właśnie wykończył człowieka gołymi rękami, ale jestem za tym, żeby zdjąć mu te bransoletki.

Rick westchnął i kiwnął głową, po czym zaczął szperać w kieszeni w poszukiwaniu kluczy.

– Będziesz grzeczny, prawda J. L.?

Sly przytaknął i z obrażoną miną roztarł nadgarstki.

– Dziękuję pani. Chciałbym coś wyznać. Mędrzec zawsze powinien brać przykład z...

– Najpierw podpisy.

J. L. złożył autograf wszędzie, gdzie mu kazano.

– Dobrze? – zapytał, wciąż siąkając nosem.

Dusty potwierdziła i wręczyła mu chusteczkę. Sły wytarł głośno nos, osuszył łzy i rozpoczął.

Jego zeznania jednak wyglądały zupełnie inaczej, niż się spodziewali.

– Spójrzcie tylko na mnie – zażądał. – Mam pięć stóp cztery cale wzrostu w butach na obcasach. Ważę sto dwadzieścia funtów. Nie udało mi się bardziej urosnąć.

Policjanci mieli zdumione miny.

– Michaelowi Foxowi również nie, J. L. Chcemy się od ciebie dowiedzieć, co się właściwie wydarzyło – powiedziała Dusty i odchrząknęła.

– Właśnie do tego zmierzam. Wiecie przecież, w jakiej dzielnicy się wychowałem. Tu chodzi o przetrwanie. A przetrwać mogą tylko najsilniejsi. Ja nigdy nie byłem silny. Nie mogłem uprawiać żadnego sportu. Jestem jedynakiem, więc ani bracia, ani siostry nie mogli się za mną ująć. Jako dziecko dużo chorowałem. W szkole nikt nie chciał się ze mną zaprzyjaźnić. Koledzy mi dokuczali, bili mnie, wszystko mi zabierali.

– Do rzeczy, J. L.

– Za chwilę, jeszcze chwilę. Dajcie mi szansę!

– Dobra, dobra.

– Przesiadywałem tylko przed telewizorem i nagle, pewnego dnia zmieniło się całe moje życie. Obejrzałem program o kung-fu. Później oglądałem go co tydzień. Opowiadał o człowieku, który nauczył się tej dawnej sztuki, o człowieku, który zaprowadził ład i wzbudził szacunek. Bronił ludzi i naprawiał doznane przez nich krzywdy. Tak jak Sir Galahad.

Dusty uniosła lekko brwi, usiłując sobie to wyobrazić.

– No i nauczyłeś się kung-fu – podsumował niecierpliwie Jim.

– Nie – odparł Sly, wyraźnie zdumiony taką sugestią. – A gdzie niby miałem się tego nauczyć? Wiedziałem, jak wyglądają ruchy wielkiego koła, a z telewizji nauczyłem się, jak krzyczeć. Dużo ćwiczyłem. Cały czas ćwiczyłem – dodał miękko – sam ze sobą przed lustrem. Kiedy umarła moja mama, zabrałem ją do domu, do Georgii. Tak, jak jej obiecywałem. Zostałem tam przez jakiś czas. Odwiedzałem kuzynów i krewnych. Dzień po powrocie miałem na sobie nowy garnitur, ten, który kupiłem sobie na pogrzeb, i jakaś banda obdartusów w Overtown chciała mi go odebrać. Na żadnego z nich nawet by nie pasował. Chcieli go ukraść, ot tak, dla sportu. Nie wiem, dlaczego to wtedy zrobiłem. Może dlatego, że tak długo trenowałem te wszystkie ruchy i krzyki. Jakoś samo wyszło. Przestraszyli się i zostawili mnie w spokoju. Powiedziałem im, że nauczył mnie tej sztuki pewien mistrz ze Wschodu, którego poznałem, gdy nie było mnie w mieście. Zyskałem szacunek. Mogłem spacerować po dzielnicy o każdej porze dnia i nocy. Wszyscy mi wierzyli, bo byłem dobry. Naprawdę dobry. Nigdy nie musiałem wyrządzić nikomu krzywdy, żeby to udowodnić. Chociaż – ściszył głos i wpatrzył się w podłogę – chyba im coś takiego powiedziałem. Mówiłem, że musiałem wrócić, bo ktoś porządnie ode mnie oberwał i jestem ścigany przez prawo.

– Ale kłamałeś? – upewnił się Rick.

– Oczywiście, popisywałem się tylko. Ale wszyscy dali się nabrać. Stałem się autorytetem. Nieraz udawało mi się przerwać bójkę w barze. Mężowie przestawali bić żony. Byłem bohaterem. Musiałem tylko przybrać taką pozycję – wstał, przykucnął i zaczął zataczać koła ciemnymi rękami.

– Siadaj – powiedział Rick, bezmyślnie pocierając dłońmi skronie,

jakby bolała go głowa. – Twierdzisz, że się tego nigdy nie nauczyłeś.

– Tak – odparł J. L. sadowiąc się z wdziękiem na krześle.

– A więc co wydarzyło się dziś wieczorem? – spytała Dusty.

– Właśnie usiłuję wam to wytłumaczyć – powiedział szczerze. – Nic. Dokładnie nic się nie wydarzyło. Ten wariat chciał mnie zabić. Wiedziałem, że za chwilę rozstanę się z tym światem. Wszyscy na nas patrzyli, zrozumiałem, że on nie ustąpi, więc w końcu zamierzyłem się, żeby walnąć go w głowę, ale chybiłem. Ledwo dotknąłem jego ręki. Zaraz wam pokażę.

Przechylił się i lekko klepnął Ricka w ramię.

– Uwaga – silna dłoń Jima odruchowo dotknęła skórzanej kabury, w której trzymał trzydziestkęósemkę.

– W porządku – odpowiedział Rick, podnosząc ramię do góry, jakby chciał pokazać, że jest nietknięte, po czym pokręcił z niedowierzaniem głową.

– A więc jeśli tak to się odbyło, w jaki sposób zwałeś go z nóg? – spytał Jim.

– Po prostu upadł.

– Po prostu upadł i wyzionął ducha. To mi dopiero nowina – powiedział złośliwie Jim.

– Jeśli, i chcę wyraźnie podkreślić słowo „jeśli” – zaczął Rick – a więc, jeśli mówisz prawdę, zadałeś wyjątkowo niefortunny cios. Nabuzowałeś się i rąbnąłeś go mocniej, niż ci się wydaje. Z twoją reputacją trudno będzie przekonać prokuratora, że to nieumyślne zabójstwo.

– Zabójstwo? Prawie go nie tknąłem. Wiem, że nie wyrządziłem mu żadnej krzywdy.

– Nikt go nie zastrzelił – powiedział Jim. – Nikt go również nie zasztyletował – Nie zauważyłem też u niego strzał w plecach. Uderzyłeś go i umarł.

– Musimy cię zapuszkować – dodał Rick.

– Co? Naprawdę chcecie mnie wsadzić? Nie mogę w to uwierzyć. Ja... ja nigdy nie byłem w więzieniu. To nie fair. Sierżancie? Panno Dustin? – przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, jakby szukał pomocy.

Dusty odwróciła wzrok i patrzyła niespokojnie na formularz aresztowania, leżący przed nią na biurku.

Rick zignorował błagalne spojrzenie Sly'a i wezwał mundurowego, który wszedł do pokoju, zmusił zatrzymanego, żeby powstał, po czym poprowadził go do odprawy.

– Nie zrobiłem tego – upierał się Sly.

– Uważaj na niego – powiedział Jim do policjanta. – Jego ręce to zabójcza broń.

– Nieprawda – odezwał się Sly. – Już teraz wiem, że nie powinienem być udawać, ale każdy chce kiedyś zostać bohaterem.

Policjant założył mu nowe kajdanki i odprowadził do drzwi. Sly nadal protestował.

– Każdy chce kiedyś zostać bohaterem. Każdy chce...

Jęki Sly'a odbijały się echem o zimne ściany korytarza, dopóki nie zamknęły się za nim drzwi windy.

Rick, Dusty i Jim trwali przez chwilę w milczeniu.

– Każdy chce kiedyś zostać bohaterem – powiedziała w końcu cicho Dusty.

Rozdział dwunasty

Śmierć nadal zbierała krwawe żniwo. Gromadziła się również robota papierkowa. Miriam Kelton miała właśnie dyżur nocny w kostnicy Dade County. Siedziała przy biurku i jadła kanapkę.

Wybrała numer wewnętrzny do Lestera, jednego z pielęgniarzy.

– Znowu kogoś wiozą – powiedziała, przełykając kawałek chleba ryżowego z szynką i serem. – Kierowcy się pokłócili.

Doktor Lansing wychylił głowę z pokoju. To była dla niego ciężka noc i przysiągł sobie, że ostatni raz dał się zrobić w sobotnio-niedzielny dyżur podczas pełni księżyca.

– Co jest grane?

Miriam miała twarz pełną słodyczy i trwałą ondulację na włosach. Jej uczesanie pasowałoby raczej do gospodyni domowej zajmującej się wypiekiem ciastek. Cmokała i kiwała głową nad codzienną partią trupów, tak jakby karciała niegrzeczne dzieci. Wypełniała kartoteki i wykonywała starannie pozostałą robotę papierkową, której dostarczały jej codziennie te łobuziaki. Rozmawiała również poważnie, ale po matczynemu z pogrążonymi w smutku i przeważnie wściekłymi krewnymi zmarłych, którzy zgłaszali się po odbiór ciał. Jej praca, choć słabo opłacana przez okręg, była naprawdę na wagę złota.

Bardziej zirytowana niż zmęczona wyjrzała sponad stosu różnokolorowych akt: czerwone przeznaczone były dla zamordowanych, zielone dla samobójców, niebieskie dla tych, którzy zginęli w wypadkach drogowych, a pomarańczowe dla ciągle jeszcze niesklasyfikowanych ofiar śmiertelnych w Miami. Zagadki ich zgonów wciąż pozostawały

nierozwiązane.

– Krewny tego Latynosa doprowadza mnie do szafu, bo dzwoni co pięć minut i żąda, żeby wydać mu ciało.

– Którego Latynosa?

– Figuruje u nas jako Juan Doe, zginął w walce ulicznej. Zabił go jakiś ekspert od walk wschodnich. Został już zidentyfikowany i naprawdę nazywa się Jose Lopez Gomez. Rodzina domaga się ciała. Nie wyrażają zgody na sekcję, ale wytłumaczyłam im, że w takich sytuacjach jest to konieczne i że będą musieli poczekać.

Lansing, który wciąż miał na sobie splamiony krwią fartuch, sięgnął do akt. Gmerając wśród papierów, wziął pozostałą część kanapki Miriam, nadgryzł ją i przeżuwał z namysłem.

– Mało o nim wiemy – odezwała się starsza pani. – Temperatura zwłok była bardzo wysoka, kiedy przywieźli ciało, choć Gomez nie żył już wtedy od kilku godzin.

Zadzwoił telefon. Miriam podniosła słuchawkę i wzniosła oczy do nieba.

– Lopez Gomez – szepnęła do Lansinga. – Bardzo mi przykro, proszę pana – powiedziała do słuchawki – ale już o tym rozmawialiśmy. Nie możemy tak po prostu wysłać zwłok pańskiego brata do domu pogrzebowego. Konieczna jest sekcja, aby ustalić przyczynę śmierci.

Kiedy wysłuchiwała protestów swego rozmówcy, Lansing otworzył drzwi od kostnicy i doleciały do nich stamtąd rozmaite wonie, z których żadna nie była przyjemna. Doktor zatrzymał się w progu i wyciągnął do Miriam pozostałą część kanapki.

– Nie, nie – wykrztusiła, odpędzając go mchem ręki. – Wcale nie byłam

głodna – zakryła dłonią mikrofon. – Proszę nie zapomnieć, że czekają na pana przy tym wypadku drogowym. Telefonowali jakieś dwadzieścia minut temu. Powinien pan już jechać.

Gdy doktor wyszedł, wznowiła rozmowę.

– Przykro mi, señor. Rozumiemy, co pan czuje, ale takie jest prawo obowiązujące w naszym kraju i musimy go przestrzegać.

Trójka detektywów pojechała do sądu mieszczącego się w Metro Justice Building zaraz po zakończeniu służby. Dołączyli tam do innych policjantów, oszustów, świadków i ofiar, prokuratorów i kuratorów, obrońców i dobroczyńców, obserwatorów, reporterów i złoczyńców, którzy właśnie przechodzili przez różne stadia irytacji, zniechęcenia i podniecenia, próbując sforsować metalowe czujniki strzegące wejścia.

Dusty poszła na przesłuchanie Sly'a, a Jim i Rick mieli uczestniczyć we wstępnym procesie o zabójstwo. Mała dziewczynka wysiadła ze szkolnego autobusu tuż koło domu. Nigdy tam nie dotarła. Pięć dni później odkryto jej zwłoki kilka mil dalej w starej szopie z narzędziami za niezamieszkanym domem. Stan, w jakim znajdowało się ciało, uniemożliwiał stwierdzenie, czy została zgwałcona, ale była naga, a ubrania ani książek nigdzie nie było. Dziewczynka miała dziesięć lat.

W pobliskim pojemniku na śmieci policjanci odkryli splamione krwią spodnie, a na nich pieczętkę z nazwą firmy, która dostarczała je do zakładu oczyszczania przemysłowego. W ten sposób Rick i Jim dotarli do ich właściciela, Harry'ego Ropera. Dziewczynka wysiadła z autobusu o trzeciej dwadzieścia pięć. Ropera wyrzucono z położonego nie opodal baru o trzeciej tego samego dnia. Miał na swoim koncie całą serię

przestępstw na tle seksualnym.

Dowody były typowo poszlakowe, ale w trakcie przesłuchania Roper zmiękł i z płaczem przyznał się do winy. Powiedział, że nie chciał jej zrobić nic złego, ale nie panuje nad sobą, Medy jest pijany.

Podczas gdy policjanci siedzieli w zatłoczonej sali sądowej w oczekiwaniu na sędziego, pewien wysoki, świetnie ubrany mężczyzna konferował głośno z jednym z reporterów. Miał idealną fryzurę i wypolerowane paznokcie. Najmniejsze nawet zagniecenie nie szpeciło fantastycznie skrojonego garnituru od Armaniego, a wykonane na zamówienie buty lśniły, jakby ktoś gładził je pieścotliwie przez całą noc. Norman Sloat był uosobieniem sukcesu i pewności siebie, lecz emanowała z niego również skrywana agresja.

– Ciekawe, co on tu, u diabła, robi – powiedział cicho Rick. – Mam nadzieję, że nie ma nic wspólnego z naszą sprawą.

– Jeśli nawet tak, to przecież wszystko jest oczywiste – odparł Jim i ziewnął.

– Nic nie jest oczywiste, kiedy Sloat wkracza do akcji.

Talent prawnika do spektakularnego wyciągania klientów z tarapatów graniczył z szalbierstwem. W pewnym procesie o morderstwo pierwszego stopnia powołał astrologa na asystenta, nim przystąpił do wyboru przysięgłych. Rozmowy, jakie później się odbyły, przypominały do złudzenia konwersacje prowadzone w barach dla samotnych. Każdy potencjalny sędzia musiał powiedzieć, jaki jest jego znak zodiaku, żeby można to było potem porównać z horoskopem oskarżonego. Prasa szalała z zachwyty.

Stowarzyszenie adwokackie było mniej oczarowane. Chcieli tym razem

przyskrzynić Sloata za to, że nieskutecznie reprezentuje swojego klienta. Zrezygnowali jednak szybko ze swych zapędów, gdyż członkowie ławy, wszyscy spod znaków wodnych, jednogłośnie i wyjątkowo szybko doszli do wniosku, że oskarżony jest niewinny. Zwycięzców się nie sądzi. Stowarzyszenie adwokatów również wyznaje tę zasadę.

Sloat jeździł ogromnym mercedesem, nosił włoskie garnitury po dziewięćset dolarów i cieszył się ogromną popularnością wśród redaktorów oraz wydawców gazet. Ten wspaniały krasomówca kochał pieniądze, ale istniało coś, co darzył jeszcze gorętszym uczuciem. Jeśli sprawa miała szansę trafić na pierwsze strony gazet, status materialny oskarżonego nie odgrywał dla niego roli. Podejmował się obrony.

Sloat pozdrowił pogodnie policjantów, po czym skinął głową dziennikarzom, siedzącym w sektorze dla publiczności. Gdy strażnicy wprowadzili więźnia i Sloat uścisnął mu dłoń, Rick poczuł, że ma gęsią skórkę.

Sędzia wniósł sprawę na wokandę i Sloat wstał, żeby potwierdzić swoją obecność jako obrońca Ropera, po czym zwrócił się do sądu z prośbą o wycofanie zeznań oskarżonego z materiału dowodowego. Zrobił teatralną pauzę, uśmiechnął się nieśmiało i przedstawił uzasadnienie tego wniosku. Poblaskując różowawym diamentem na palcu, wskazał obecnych na sali policjantów i stwierdził, że poinformowali oni wprawdzie oskarżonego o przysługujących mu prawach, ale on nie był wszakże w stanie ich zrozumieć, ponieważ znajdował się w stanie upojenia alkoholowego.

– Mój klient jest nałogowym alkoholikiem, Wysoki Sądzie. Źle znosi alkohol i nie potrafi pod jego wpływem dokonać właściwego osądu

sytuacji. Detektywi zapoznali się z jego kryminalną przeszłością, a jednak aresztowali go w barze, wiedząc, że na pewno pił, poinformowali go o przysługujących mu prawach i przystąpili do spisywania zeznań, choć byli świadomi, że nie jest w stanie podjąć żadnych sensownych decyzji. Ich obowiązkiem było zaczekać nawet całą noc, jeśli okazałoby się to konieczne, aż wytrzeźwieje i odzyska pełnię władz umysłowych, a dopiero wówczas skłonić go do złożenia zeznań, które mogą mieć wpływ na całe jego dalsze życie.

Nie zważając na sprzeciwy, sędzia zezwolił Sloatowi na przedstawienie raportu z aresztowania Ropera i oświadczenia detektywów, stwierdzającego, że znaleźli go w barze. Adwokat dołączył do raportu opinię lekarza, zgodnie z którą choroba alkoholowa aresztowanego jest niezależna od jego woli, ponieważ tkwi on w szponach nałogu i nie odpowiada za swoje czyny.

W oczach młodego prokuratora pojawiło się przeczucie klęski. Stwierdził, że zeznanie Ropera jest jednym z najważniejszych punktów w akcie oskarżenia.

Sloat stał i uśmiechał się wyczekująco, z nadzieją, zacierając ręce.

Sędzia wycofał zeznanie z materiału dowodowego.

Jim zerwał się z miejsca mocno zaczerwieniony na twarzy.

– Wysoki Sądzie! Ten człowiek przyznał się do zamordowania małej dziewczynki.

– Jestem w pełni świadom postawionych mu zarzutów – odparł poważnie sędzia. Mówił wolno, zerkając jednym okiem na reporterów, którzy notowali zaciekle. – Gdyby był pan wtedy na miejscu zdarzenia, z pewnością dołożyłby pan wszelkich starań, żeby się upewnić, czy

oskarżony właściwie rozumie przysługujące mu prawa.

– Wysoki Sądzie – prokurator zasłonił sobą detektywów, pokazując im, żeby usiedli. – W takiej sytuacji zgłaszam nolle prosequere* [prawn. : odstąpienie od pretensji; przyp. red.]

Oskarżony po raz pierwszy uniósł głowę, rozejrzał się i zamrugał oczami. Niezupełnie rozumiejąc, co się dzieje, pociągnął adwokata za rękaw, prosząc w ten sposób o wyjaśnienie. Sloat strącił mu palce z marynarki, jakby strząsał pyłek z nieskazitelnego mankietu.

Sędzia przyjrzał się Roperowi, oznajmił mu, że jest wolny, zakończył posiedzenie i opuścił salę.

Rick na chwilę przymknął oczy. Rodzice dziewczynki uczestniczyli we wszystkich przesłuchaniach aż do tej rozprawy wstępnej. Byli przekonani, że Roper przyzna się do winy, jeśli pomoże mu to uniknąć kary śmierci. A on został wypuszczony na wolność. Jak to powiedzieć tym ludziom? W takich właśnie chwilach nienawidził swojej pracy.

Wyszedł na zatłoczony korytarz. Jim wyprzedził go i szedł wściekły naprzód. Z przeciwka podbiegła do nich Dusty. Uśmiechała się. I wtedy spojrzała na ich twarze.

– Co się stało, chłopcy? Wyglądacie, jakby ktoś pozabierał wam zabawki.

Oślepiające światła ekipy telewizyjnej zalały korytarz i spojrzenie Dusty powędrowało za wzrokiem obu mężczyzn w kierunku niszy, gdzie Sloat udzielał wywiadu prasie.

– Mhm... – mruknęła.

Jeden z dziennikarzy ruszył w ich kierunku.

– Zmywamy się stąd – warknął Rick. Złapał przyjaciół pod ręce i

wepchnął do windy. – Mam ochotę się napić.

– O dziesiątej rano? – Dusty rzuciła mu przeciągłe spojrzenie. – Dobry pomysł.

Rozdział trzynasty

Policjanci usadowili się przy drewnianym stole w małej sali opustoszałego baru „Southwind”. Rick i Jim pili jacka danielsa, jakby połykali lekarstwo przeciwbólowe w nadziei, że przyniesie im upragnioną ulgę. Dusty sączyła schłodzone wino.

Rick zatelefonował z automatu do Laurel, żeby powiedzieć, co wydarzyło się w sądzie, i uprzedzić, że się spóźni.

Dusty patrzyła, jak szepcze coś do słuchawki, przechyliła się przez stół i powiedziała cicho:

– Co ty naprawdę sądzisz o Laurel, Jim? Jest w niej coś dziwnego... Zupełnie nie pasuje do Ricka.

– Ale ty pasujesz, prawda? A przynajmniej tak ci się wydaje i na tym właśnie polega twój problem – odparł, patrząc na nią cynicznie.

Na jej twarzy pojawił się smutek.

– Moje osobiste odczucia nie mają z tym nic wspólnego, a ty, podobnie, jak ja, jesteś jego przyjacielem. Żadne z nas nie chciałoby chyba, żeby spotkała go krzywda. Laurel wcale nie jest takim słodkim stworzonkiem, na jakie wygląda.

– Oho! – Jim podniósł brwi znad szklaneczki. – Nie pij już tego wina. Zamówię ci mleko.

– Mówię poważnie.

– Ja również.

– Szkoda, że nie widziałeś jej wczoraj w klubie sportowym. Naprawdę uwodziła Barry’ego. I wyglądała tak...

– Zalecała się do tego faceta z kucykiem? Myślałem, że to pedał –

mruknął Jim.

– Jesteś niemożliwy.

– Nic, co ludzkie... – uśmiechnął się.

Laurel usłyszała w tle szafę grającą i domyśliła się, że Rick nie dzwoni z sądu.

– Gdzie jesteście? – spytała.

– Poszliśmy coś zjeść w mieście. Bardzo nam źle poszło w sądzie.

Musimy pogadać.

– Kto jest z tobą?

– Jim i Dusty.

– Ach tak – odparła z namysłem.

– Wrócę za jakieś dwie godziny.

– Powinieneś się przespać. Dobrze się czujesz?

– Tak. Do zobaczenia, kochanie.

Miriam Kelton uniosła głowę znad biurka. Stojący przed nią mężczyzna miał na głowie czapkę szofera.

– Przyjechaliśmy zabrać ciało – oznajmił grzecznie.

Zerknął przelotnie na kawałek kartki, który właśnie wyciągnął z kieszeni.

– Jose Lopez Gomez.

Miriam zrobiła zdziwioną minę.

– Czy ma pan zgodę doktora?

– *Si* – powiedział i wyciągnął spod kurtki karabin maszynowy. – Gdzie on jest?

Obu pielęgniarkom, Lesterowi i Samowi, opadły szczęki. Podnieśli ręce

do góry, a przybysz popchnął kobietę w kierunku kostnicy, celując do niej z karabinu.

– Nie wiem, kto tu leży – powiedziała piskliwym, poirytowanym tonem, używanym zwykle w stosunku do wnuka, który źle się zachowywał. – Zajmuję się wyłącznie pracą biurową.

Do mężczyzny z karabinem dołączył drugi, niski, o końskiej twarzy. Również był uzbrojony. Ten w czapce szofera dał mu znak, wskazując głową pomieszczenie, w którym odbywały się sekcje, popularnie zwane Dołem. Drugi wszedł między rzędy i poodkrywał ciała.

Celując strzelbą w sufit, odwrócił głowę, żeby zajrzeć w twarz mężczyzny o ciemnej cerze.

– *No es el* – zawołał, ściągając prześcieradło z kolejnych zwłok. Spojrzał posepnie na twarz starszej kobiety. Przypominała mu babkę. Przeżegnał się wolną od strzelby ręką i wznosił pobożnie oczy do nieba. Obok leżał człowiek, który został zastrzelony. Jego ciało poddano już sekcji.

– *Dios mio* – szepnął i przystanął, żeby dokładniej przyjrzeć się zwłokom.

– Znam go! To Pepe! – wykrzyknął. Sięgnął po kartkę przyczepioną do dużego palca u nogi martwego mężczyzny, przeczytał zapisane na niej nazwisko i skinął głową.

– *Que pasa, Pepe?* – spytał i zwrócił się do swego towarzysza: – *Es Pepe.*

– *Pepe?* – zainteresował się tamten, wyciągnął szyję i zaklął: – *Apurate, Apurate!* Pospiesz się.

– *Adonde? Adonde?* – spytał niższy, wzruszając ramionami. Popchnął

drzwi do następnego, małego pomieszczenia. Doleciał do nich powiew zimnego powietrza przesiąkniętego kwaśną wonią, taką jaka dochodzi z lodówki, w której coś się popsulo. Leżały tam trzy ciała. Człowiek w czapce podniósł karabin.

– *Adonde? Gdzie? Gdzie??*

Miriam szybko wymieniła spojrzenia z Lesterem, czarnoskórym pielęgniarzem w średnim wieku. Jej wzrok mówił dobitnie, że sprawy zaszły za daleko.

– Na zewnątrz – warknęła. – Ten, którego szukacie, musi być w chłodni. Na zewnątrz.

Wyszli wszyscy razem na platformę, a niższy bandyta zwrócił głowę w kierunku ostatniego trupa, jakiego odsłonił.

– *Adios, Pepe* – wyszeptał.

Ogromna chłodnia pomrukiwała cicho na parkingu. Panował wilgotny upał. Gdy w 1981 roku w Miami dokonano rekordowej liczby zabójstw, władze okręgu musiały wydzierżawić od Burger Kinga ogromną przyczepę, żeby pomieścić w niej wszystkie ciała.

Niższy wspiał się na schodki i zniknął w monstrualnej lodówce. Wyłonił się z niej parę chwil później i widać było, że mu się powiodło.

– *Leży tutaj. Completo.*

Jego towarzysz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Gdzie jest jego ubranie? – spytał ten pierwszy.

– Nie mam pojęcia – Miriam wyduła wargi, a mężczyzna znów zagroził: jej karabinem; – Myślę, że w przechowalni, na policji.

Zanim bandyci zamknęli ją oraz dwóch pielęgniarzy w chłodni, kazali Lesterowi zdjąć zielony kombinezon roboczy. Włożyli go na zięjącego

pustymi oczodołami trupa, jakby stroili ogromną lalkę lub manekin na wystawę. Potem pospiesznie zabrali go do samochodu. Zdawać by się mogło, że prowadzą chorego. Jego kościste stopy, wraz z kartką na palcu, wlokły się po piasku.

Doktor Lansing wrócił półtorej godziny później. Nucił coś i cieszyła go myśl o rychłym powrocie do domu. Już od jakiegoś czasu nikt nie telefonował do niego z biura, a więc najprawdopodobniej w mieście zapanował względny spokój. Kiedy parkował na swoim miejscu blisko wejścia, zdawało mu się, że wewnątrz chłodni coś stuka. Najprawdopodobniej agregat. Przecież tam są tylko trupy – pomyślał i poszedł do biura. Miał głęboką nadzieję, że nic się nie zepsuło. Temperatura na zewnątrz doszła już do trzydziestu stopni C i nadal rosła.

Wszedł do środka. Dzwoniły wszystkie telefony. Nikogo nie było w recepcji. Nikt również nie pilnował Dołu. Był sam w kostnicy.

Jim wygłosił właśnie gniewną przemowę na temat upadającego systemu prawnego, adwokatów rekinów, tchórzliwych sędziów i zboczonych morderców dzieci.

– Piję za nowe obsceniczne słowo: „nałóg” – powiedział i uniósł do góry szklaneczkę.

Rick i Dusty przyłączyli się do niego. Oboje mieli markotne miny.

– Nazywają alkoholizm nałogiem, a teraz nawet minister zdrowia twierdzi, że palenie to też nałóg. Wygodne: są uzależnieni i nic na to nie mogą poradzić – przedrzeźniał mowę obrońcą adwokata. – Bzdury! Każdy dupek w pierdłu mówi, że nie wiedział, co robi, a jego adwokat ma świetny argument, dzięki któremu może mu uratować tyłek. A gdzie się

podziała stara dobra odpowiedzialność za własne życie i czyny?

– Co możemy zdziałać w sprawie Ropera? – spytała Dusty, opierając się o stolik.

– Nic. Chyba że znajdziemy świadka albo jakiś bardzo konkretny dowód. Bez tego nie uda się wnieść oskarżenia – odparł ponuro Rick. – Wszystko inne to tylko poszlaki. Pewne było tylko jego zeznanie, a przynajmniej tak się nam wydawało.

– Ale on wyszedł na wolność. – Jim osuszył szklankę i postawił ją na stole tak głośno, że Dusty drgnęła. – Nie sposób go pilnować dzień i noc. Możemy tylko mieć nadzieję, że żadna mała dziewczynka nie wejdzie mu w drogę, kiedy znów coś go najdzie. Mam potąd tego cholernego systemu, tej roboty i tego miasta. A Roper był tak trzeźwy jak my, kiedy odczytaliśmy mu prawa i złożył zeznania.

– Może nawet bardziej, jeśli weźmiemy pod uwagę nasz obecny stan – zauważył Rick i popatrzył wymownie na dno pustej już szklanki. – Naprawdę był trzeźwy – dodał odpowiadając na nieme pytanie Dusty. – Nie popełniliśmy błędu.

– Zobaczę, czy uda mi się zdobyć jakieś kanapki – mruknął Jim, wstając z trudem z krzesła.

– Zgłodniałeś ze złości – zażartowała Dusty.

– Bardzo śmieszne – odparł i powlókł się do baru, zostawiając Dusty i Ricka samych przy stoliku.

Dusty uśmiechnęła się i upiła łyk wina.

– Jak za starych czasów, prawda?

– Tak – odparł, ale zabrzmiało to chłodno. Myślami błędził bowiem wciąż wokół Sloata.

– Masz kłopoty w domu? – spytała.

– Nie, Laurel jest w porządku. Rozumie mnie.

– Szkoda, że ja nie – Dusty zdjęła granatowy żakiet, który miała na sobie w sądzie. Została teraz tylko w białej, przejrzystej bluzce.

Spokojnie – myślał Rick, upominając się w duchu. – Jeszcze parę drinków i będziesz chciał jej dotknąć.

Odpędził tę myśl i spróbował zwiększyć dystans między nimi. – No i co słyhać? Wszystko w porządku? Spojrzała pod światło na kieliszek.

– Jasne.

– Opowiedz coś. Z kim się teraz widzisz?

– Właściwie z nikim.

– Daj spokój – przymilał się. – Możesz mi przecież powiedzieć. Jesteśmy starymi kumplami. Uniosła głowę, a w jej oczach tlił się dziwny płomień.

– Wydawało mi się, że to było coś znacznie poważniejszego.

– Dlaczego o tym mówisz? – zerknął w stronę baru, szukając wzrokiem Jima i upił mały łyk ze szklanki, unikając jej spojrzenia. – Oczywiście, mamy wiele wspomnień, przeżyliśmy razem miłe chwile i nigdy tego nie zapomnę, ale przecież wiesz, jak bardzo jestem związany z Laurel – uśmiechnął się nagle. – Ona prasuje mi slipki, wyobrażasz to sobie? Wspaniała z niej gospodyni, naprawdę. Nawet zbyt idealna. Zanim zdołam dopić kawę, wszystkie naczynia są już zmyte – pokręcił głową. – Gdybym jej nie poznał... wiesz, Dusty, jest w niej coś podniecającego, coś innego – zawiesił głos i poczuł, że chce wracać do domu.

– Nie wszystko, co jest inne, musi być lepsze. Nie sądziłam, że traktujesz to, co było między nami, jak przelotny romans – mówiła

łagodnie dziewczyna. – Ty znaczyłeś dla mnie bardzo wiele – w jej ogromnych niebieskich oczach zalśniły łzy.

– Oboje chyba mamy dziś zły dzień – Rick był wyraźnie zmartwiony. – Ten przeklęty, spragniony sławy adwokat spieprzył nam sprawę, po ulicach spaceruje morderca, a my jesteśmy zmęczeni.

– Pamiętasz, co robiliśmy, jak chcieliśmy zapomnieć o kłopotach? – spojrzała mu prosto w oczy. – Nie da się skreślić przeszłości, Rick.

Odwzajemnił jej spojrzenie. Wspominał.

– Słuchaj – odezwał się w końcu cicho. – Mieszkam z Laurel, ale to nie znaczy, że umarłem. Myślę o tobie. Któż zresztą mógłby cię zapomnieć?

– Nie wierzę ci. Żyjesz z inną i... – zagryzła dolną wargę.

Zaskoczyła go. Sądził, że takie właśnie słowa chce usłyszeć.

– Myśl sobie, co chcesz, ale nie... zaangażowałam się w nic od czasu, gdy... Nie potrafię. Miałam nadzieję, że będziemy razem. Naprawdę mi na tobie zależało.

– Jesteś pewna, że to nie wino tak na ciebie działa? Trudno mi uwierzyć, że taka gorąca i czuła kobieta jak ty żyje w celibacie.

Zirytowała się.

– Dlaczego wszyscy faceci, a szczególnie policjanci uważają, że nie można żyć bez seksu? Nie jestem dziwką – dodała gorzko – niezależnie od tego, co sobie myślisz.

– Nie zależałoby mi na tobie, gdybyś nią była – bronił się Rick.

– Myślę, że bardzo ci to wszystko schlebia.

– Skąd mogłem wiedzieć? Nigdy nic o nas nie mówiłaś.

– Liczą się czyny, a nie słowa. Sądziłam, że się domyślasz. A zresztą, co niby ci miałam powiedzieć? I kiedy? Kiedy zainteresowałeś się Laurel i

zaczęłeś o tym mówić, nie wydawał mi się to najlepszy moment. Potem poinformowałeś mnie, że się do ciebie wprowadza. I co? Może wtedy miałam zacząć?

– Tak mi przykro – milczał chwilę, a później zaczął mówić tak, jakby głośno myślał. – Wydawałaś się zawsze taka daleka, tajemnicza. Sądziłem, że kryje się za tym jakiś facet, który albo cię kiedyś skrzywdził, albo czai się gdzieś i wynurzy w końcu z mrocznej przeszłości.

Podniosła na niego oczy. Twarz jej zbieleła.

– Co masz na myśli, mówiąc o mrocznej przeszłości?

– Nic. Tak mi się powiedziało.

– Nie o mojej przeszłości teraz rozmawiamy – stwierdziła ostro. Łzy znikły i coś innego pojawiło się w ich miejsce.

Przez chwilę zdawało mu się, że dostrzegł w jej oczach strach, ale oświetlenie w barze było fatalne, a on kończył już trzeciego drinka. Dusty zaczęła wkładać zakiet.

– Zimno ci? – spytał i zrobił taki ruch, jakby chciał jej pomóc. Powstrzymała go gestem i wstała.

– Mam dziś masę pracy. Z tyłu wyłonił się Jim.

– Udało mi się – stwierdził i pokazał im trzy tosty na papierowych talerzach. – Nawet sobie nie wyobrażacie; jak trudno było je zdobyć. Kuchnię otwierają dopiero w południe.

Położył je troskliwie na stole, a wtedy usłyszeli przenikliwy brzęczyk pagera. Popatrzyli po sobie z przerażeniem. Dzwonił pager Ricka. Rick znalazł ćwierćdolarówkę wśród drobnych leżących na stole i poszedł do automatu.

Dusty westchnęła i sięgnęła bez entuzjazmu po jedną z leżących na

stole kanapek. Paliła ją twarz i czuła, że ma wypieki. Jim spojrział na nią pytająco. Dziewczyna postawiła przed sobą talerz.

– Dziękuję – powiedziała. – Zaczynam już czuć to wino. Jeżeli mamy wracać do roboty, muszę coś zjeść. Łeee! Dlaczego pozwoliłeś im dać tyle masła?

– Typowa kobieta – odparł z pełnymi ustami. – Zawsze narzeka.

Wrócił Rick z wiadomościami.

– Dzwonili z kostnicy. Musimy tam pojechać – oznajmił.

– O Boże – jęknęła Dusty. Skrzywiła nos, odłożyła kanapkę i wytarła usta papierową serwetką. – Czego od nas chcą? Przecież skończyliśmy służbę.

– Tak, ale oni twierdzą, że to ma jakiś związek z jedną z prowadzonych przez nas spraw.

– Zobaczymy – stwierdził Jim, zawijając resztę kanapki i chowając ją do kieszeni. – Po drodze musimy wypić kawę.

Drzwi wejściowe do biura w kostnicy były zamknięte.

– Okradziono nas – stwierdziła Miriam, gdy je otworzyła.

– Co zginęło? – spytał Jim, wkładając okulary w złotej oprawce i wyciągając notes.

– Jose Lopez Gomez – doktor Lansing usiadł za biurkiem z ponurą miną.

Lester, który wciąż miał na sobie tylko slipki i koszulkę z krótkim rękawem, kichnął kilkakrotnie. Miriam była wściekła.

– Mówiłam doktorom, że potrzebujemy lepszej ochrony. Ostrzegałam ich. Posłuchajcie no tylko – dodała, kiedy Lester znowu zaczął kichać. –

Mogliśmy tam umrzeć.

– Zabrali sztywniaka? – spytał Jim z niedowierzaniem, zamykając notes.

– I zamknęli nas w chłodni.

– Razem z trzydziestoma siedmioma nieboszczykami – jęknął Lester, kichając głośno.

– Teraz już trzydziestoma sześcioma – sprostowała Miriam.

– Kim byli ci ludzie? Jak wyglądali? – zapytała Dusty.

– To był jego brat – odparła Miriam oskarżycielskim tonem. – Wydzwaniał do mnie przez parę godzin. Mówił, że rodzina nie życzy sobie sekcji.

– Jak się nazywa ten skradziony nieboszczyk? – spytał Jim.

– Sprawa numer 89-1582 – odparł Lansing i podał mu czerwone akta. – Jose Lopez Gomez, biały Latynos, mężczyzna, lat dwadzieścia siedem. Zmarł wskutek pojedynczego ciosu zadanego mu przez mistrza walk wschodnich w barze w Overtown. Przywieziony z temperaturą czterdziestu stopni. Nie zdążyłem zrobić sekcji, ale myślę, że był pod wpływem narkotyków.

– Niech to cholera – powiedział Rick i łypnął na Jima.

– Może Sly nie jest jednak mordercą – stwierdziła Dusty. – Czy Gomez przechodził niedawno przez kontrolę celną?

– Nie mam pojęcia, co robił przed śmiercią – odrzekł Lansing wzruszając ramionami.

– Myślisz, że przewoził coś, co przedtem połknął?

– Wcale by mnie to nie zdziwiło – powiedział Lansing.

– Jeśli tak, to prawdopodobnie ktoś inny robi mu teraz sekcję, doktorze.

– Jim otworzył notes i próbował powstrzymać uśmiech, bo Miriam rzucała mu zabójcze spojrzenia. – Jak to sklasyfikować, Rick? Porwanie? Przywłaszczenie nieboszczyka?

Policjanci pojechali jeszcze raz do Overtown. Mundurowy, który patrolował okolicę, ustalił, że Gomez zameldował się w pobliskim hotelu. Było to na parę godzin przed jego śmiercią. Właściciel hotelu zeznał, że Jose Lopez wyglądał wówczas normalnie, choć był trochę niespokojny. Rick kazał się zaprowadzić do pokoju, który wynajął zmarły. Panował tam nieopisany bałagan. Ktoś pozrywał zasłony z okien i prysznic, przewracał meble. W łazience znaleźli środki przeczyszczające i przybory do lewatywy. Nie dostrzegli jednak żadnych widocznych skutków zabiegu.

Wśród innych leżących na stoliku nocnym papierów leżała również karta lądowania. Gomez podróżował na pokładzie samolotu linii Avianca z Bogoty w Kolumbii i przybył do Miami na dwie godziny przed zameldowaniem się w hotelu.

Stało się jasne, że Lopezowi udało się przemycić kokainę w balonikach, kondomach czy innych wypchanych narkotykiem pojemnikach, które przedtem połknął. Opakowania, a przynajmniej jedno z nich, były jednak nieszczelne. Narkotyki spowodowały paraliż jelit i przemycany towar utknął we wnętrzościach. Gomez nie mógł wydaląć kokainy, która go w końcu zabiła. Ludzie, dla których pracował, zorientowali się, że sprawy przybrały zły obrót i Gomez nie żyje.

– Pewnie zdecydowali się odzyskać towar, nim zostanie znaleziony podczas sekcji – powiedział Rick.

– O rany – westchnął Jim. – Jak to dobrze, że to nie ja muszę tego

szukać.

Rick skinął głową.

– Parszywa robota. Przypuszczam, że uda nam się odnaleźć ciało.

– Znajac nasze szczęście, na pewno. Nie znoszę, jak dyletanci zabierają się do krojenia zwłok – westchnął Jim i pokręcił głową. – Co za cholerne miasto. Nawet zmarli nie są tu bezpieczni.

Rozdział czternasty

Rick wiedział, że widok sąsiedniego domu będzie go zawsze prześladować, dopóki nie znajdzie zabójcy Roba. Zanim wrócił do siebie, sprawdził, czy nie nadeszły jakieś informacje na ten temat. Nie było nawet jednego telefonu, żadnego sygnału – jak dotąd nagroda nie przyniosła żadnego skutku. Zdziwiło go to. Postanowił, że musi tej sprawie poświęcić więcej czasu. Ale nawet jeśli będzie go miał nieskończenie dużo, od czego ma właściwie zacząć? Zabójcą jest najprawdopodobniej człowiek, który włamał się do Corleyów – pomyślał Rick. Potrzebna jest choćby jedna wskazówka, jakiś mały ślad.

Miał nadzieję, że zdoła wziąć prysznic i przebrać się, zanim zobaczy go Laurel. Rick zawsze bardzo dbał o wygląd zewnętrzny i ubranie, świadom, że szczegóły, których inni czasem w ogóle nie zauważają, okazują się jednak bardzo ważne. Nie przysięgłby teraz wprawdzie, że zalatuje od niego kostnicą, ale nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Nie udało mu się jednak uniknąć spotkania z Laurel.

Siedziała w kącie śniadaniowym i pisała list na szkarłatnej papeterii, która leżała przed nią na stoliku.

– Jesteś głodny? – spytała z nieznanym mu dotychczas wyrazem bursztynowych oczu.

– Nie, jeszcze nie. Chciałem najpierw wziąć prysznic i trochę się zdrzemnąć.

– Albo nie ma cię w domu, albo śpisz – westchnęła i zakręciła pióro. – Miło spędziłeś dzień? – w jej głosie dźwięczała wyraźnie jakaś obca nuta. Brzmiał sztucznie.

– Wręcz przeciwnie. Do tej pory to był prawdziwy koszmar – uważał teraz na każde słowo, bo czuł, że zła passa prześladować go będzie nadal.

– Piszesz do rodziców?

– Tęsknię za nimi. Żałuję, że przeprowadzili się do Orlando.

– Mam wrażenie, że wszyscy świeżo upieczeni emeryci wyjeżdżają z Miami. Ciekawe, dlaczego.

– A jak tam lunch z Dusty?

Jej ton wyjaśnił mu wszystko. Rick zamrugnął i zaczął się tłumaczyć. Za bardzo.

– Chcieliśmy się zastanowić, co zrobić w związku z dzisiejszą sprawą w sądzie. Norman Sloat dokonał kuglarskiej sztuczki i morderca małej dziewczynki wyszedł na wolność. Potem, jak tylko skończyłem rozmowę z tobą, dostaliśmy kolejne wezwanie. Waśnie stamtąd wracam.

Laurel pokiwała głową, z wyrazem twarzy, który mówił wyraźnie, że nie przyjmuje do wiadomości jego wyjaśnień.

– Wiem, że z nią spałeś, Rick.

– Ale nie dziś – wyrwało mu się bezwiednie.

– Mogłam się była założyć! – jej twarz poróżowiała. – Dlaczego akurat ona z tobą pracuje? Jest przecież tysiące innych! I to na nocnej zmianie, która przeciąga się – zerknęła na kuchenny zegar z dziwnym wyrazem twarzy, odwróciła wzrok i znów spojrzała na wskazówki, jakby z niedowierzaniem – do trzeciej po południu?

Pobiegła do salonu nie czekając na odpowiedź. Chciał pójść za nią, ale z drugiej strony marzył o prysznicu i nie wiedział, co robić. Doszedł więc do drzwi i starał się, by to, co mówi, brzmiało rozsądnie i przekonywająco.

– Na tym polega moja praca, kochanie. Rano sąd, a potem nagłe

wezwanie. Po prostu wyjaśniło się coś w prowadzonej przeze mnie sprawie.

– Mieliście ze sobą romans – stwierdziła to tak poważnym tonem, jakby odczytywała poranne wiadomości.

– Dawno temu. Na długo przedtem, zanim cię poznałem. To nie było nic poważnego.

– Ale zależało wam na sobie?

– Nie – odparł, ale się zawahał. – Może jej bardziej niż mnie, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Kiedy to odkryłeś?

– Powiedziała mi dzisiaj. Naprawdę przedtem nie wiedziałem.

Laurel opadła na jasną sofę w kwiatki. Miała zaciśnięte dłonie. Podbródek wyraźnie jej drżał.

– Czy właśnie dlatego przeszedłeś na nocną zmianę? Dlatego, że chcesz z nią być?

– Oczywiście, że nie – Rick przetarł dłonią czoło. – Dusty jest świetną policjantką i w ogóle dobra z niej dziewczyna. Ale łączy nas tylko praca – mówił zmęczonym głosem.

– Jak długo ją znasz? Czy kiedykolwiek była mężatką?

– Przyjechała ze stanu Iowa. Nie wiem dokładnie, skąd. Poznałem ją ze dwa lata temu, kiedy awansowała na detektywa. Chyba nigdy nie miała męża. Ona niewiele zresztą mówi o sobie. Pracowaliśmy razem. I tak to jakoś wyszło. Trwało do czasu, kiedy zacząłem się poważnie tobą interesować.

– Sypiałeś z nią, kiedy się poznaliśmy?

Rick nie był zachwycony tym przesłuchaniem, ale nie chciał, żeby

Laurel posadziła go, że usiłuje ją zbyć byle czym.

– Tak, chyba tak.

– Kiedy po raz ostatni?

– Nie pamiętam. Kiedy cię poznałem, straciłem rozum – posłał jej swój niezawodny, chłopięcy uśmiech, podszedł bliżej i położył ręce na jej szczupłych ramionach.

– Co to za zapach? – spytała, krzywiąc się.

– Na pewno nie perfumy – westchnął.

Laurel była wyraźnie spięta.

– Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

– Bo nie było o czym gadać. Prawdopodobnie natkniemy się jeszcze na wiele innych kobiet, które znałem. Możesz w to wierzyć albo nie, ale ja żyłem, zanim cię poznałem. Większość z tych kobiet to miłe dziewczyny, które wiedzą, że jesteś dla mnie kimś wyjątkowym. Żadna z nich ze mną nie mieszkała. Ty jesteś pierwsza. Wiele dziewczyn policjantów musi sobie jakoś radzić z ich byłymi żonami, teściami, więźniami oraz dziećmi z poprzednich małżeństw. A tu mamy do czynienia z kimś tak mało groźnym jak koleżanka z pracy. Naprawdę nie masz się czym przejmować, kochanie.

– Zapraszałeś ją do naszego domu. Codziennie się z nią widzisz. Pewnego dnia być może twoje życie będzie od niej zależało, sam tak mówiłeś. Jak możesz ufać kobiecie, którą porzuciłeś? Którą zawiodłeś? Nie sądzisz, że jest wściekła i urażona?

– Nie. To profesjonalistka, a poza tym odpowiedzialna i dobra kobieta.

– Nie taka jak ja? – po policzkach Laurel płynęły łzy; wyglądała, jakby nie miała czym oddychać.

– To do niczego nie prowadzi – uciał poirytowanym tonem. – Idę pod prysznic.

Stał pod igielkami wody tak gorącej, że ledwo mógł ją wytrzymać, a potem dopóty kręcił kurkiem, dopóki nie stała się lodowato zimna. Do diabła, wszyscy się nad nim znęcają, więc jemu tym bardziej wolno. Kiedy wyszedł spod prysznica, w domu było cicho. Poszedł nago do sypialni, odsunął prześcieradło i z westchnieniem wyciągnął się na łóżku. W myślach roilo mu się od łez Dusty i Laurel, latynoskich porywaczy zwłok, zboczonego mordercy dzieci na wolności i zagadki zabójstwa Roba Thorne'a.

Wiedział, że powinien wstać, znaleźć Laurel i porozmawiać z nią. Ale groziło to kolejną awanturą. Lepiej zaczekać, odpocząć i pozwolić dziewczynie ochłonąć. Wydawało mu się, że dochodzą do niego jakieś odgłosy z korytarza. Przygotował się w duchu na kolejną porcję wymówek i otworzył oczy.

Laurel wyglądała zza framugi. Jej jasne włosy były rozwichrzone jak u niegrzecznej dziewczynki. Weszła na palcach do pokoju przesadnie drobnymi kroczkami, z figlarnym wyrazem twarzy. Ubrana była w różową, dziewczęcą koszulkę, której nigdy u niej przedtem nie widział, a w rękach ścisnęła sfatygowanego misia i zniszczony kocyk.

– Cześć, tatusiu – odezwała się śpiwnie głosem małej dziewczynki. Podbiegła bliżej i chichocząc wskoczyła na łóżko.

Rick wyciągnął do niej ramiona.

– Laurel...

– Nie nazywam się Laurel – zaszcebiotała. – Mam na imię Jennifer.

Ssała głośno prawy kciuk i patrzyła na niego bojaźliwie spod

rozczochranej czupryny. Potem zrobiła nadąsaną minkę, wsunęła się pod prześcieradło i zaczęła badać językiem jego nagie ciało.

– Dobrze, dziewczynko. Dobrze, urwisie. Niech będzie Jennifer – powiedział Rick zachwycony takim obrotem sprawy.

Ta dziewczyna знаła zabawy, o jakich on nigdy przedtem nie słyszał.

– Teddy chce to pocałować – odezwała się Laurel głosem małej dziewczynki i przycisnęła pyszczek wypchanego misia do najbardziej intymnych części jego ciała – a teraz Jennifer chce to pocałować.

Rick oparł się o poduszkę i zamknął oczy, ale nie na długo.

Szalone zabawy Laurel wydawały mu się wspaniałe i podniecające. Miał wrażenie, że naprawdę dotyka dziecięcego ciała. Rozumiał niemal, co tak podnieca pedofila, i doznawał dręczącego i wspaniałego zarazem poczucia winy.

Później nagrzeszyli jeszcze bardziej. Jedli czekoladowe ciasteczka i pili mleko w łóżku. Laurel zwinęła się w kłębek i zasnęła przytulona do niego, a między nimi leżał pluszowy miś. Rozproszone myśli i nierozwiązane zagadki przestały zaprzętać Rickowi głowę i on również zapadł w sen. Obudził się o dziewiątej wieczorem. Czuł się odświeżony, wypoczęty i wystarczająco silny, żeby znowu stawić czoło światu. Obudził Laurel, a także jej misia, pocałunkami i śniadaniem do łóżka. Jeszcze nie całkiem przytomna, Laurel była trochę zaspana, trochę rozkojarzona. Rick pomyślał, że dziewczyna wciąż nie może się przystosować do jego trybu życia.

Gdy zadzwonił telefon, ucieszył się, że to nie Dusty.

– Właśnie dostałem wiadomość i wychodzę wcześniej – powiedział Jim. – Pomyślałem, że może zechcesz się do mnie przyłączyć. Chyba

mamy podejrzanego w sprawie Thorne'a.

– Alleluja! Zaraz się zobaczymy.

Przemknęło mu przez myśl, że Laurel-Jennifer i jej miś przynieśli mu szczęście.

Rozdział piętnasty

Alex jechał wzdłuż zadrzewionej Brickell Avenue, gdzie strzeliste budynki o nowoczesnych kształtach i kolorach ocierają się niemal o chmury. Gmaszyska przypominały gigantyczne, blaszane zabawki. Tętniło w nich życie, brzęczały pieniądze i rozkwitał handel. W nocy odnaleźć tu można inny, spokojny świat, w którym nie wyją syreny policyjne. Alex skręcił na wschód, minąwszy Rickenbacker Causeway. Okna w samochodzie były otwarte, wiała słona bryza. Był zły, że musi jechać tak daleko, ale obiecał Harriet, że już więcej nie popełni żadnego przestępstwa w pobliżu domu. Na wyspach roilo się wprost od policjantów. Nieustannie patrolowali okolice i pilnowali bezpieczeństwa. A on wyprzedzał ich każde posunięcie i bawiły go wszystkie czynione przez nich wysiłki. Miałby wprawdzie ochotę pobawić się z nimi jeszcze trochę w kotka i myszkę, ale mógł się bez tego obyć i pogodził się już z niedogodnościami, jakie stwarzała konieczność dalekiej wyprawy. Bardzo zresztą lubił Key Biscayne.

W ciągu dnia, a szczególnie w weekendy panował tu duży ruch i tworzyły się ogromne korki. Wszyscy jechali gdzieś, żeby się zabawić: do oceanarium, na plażę, do portu, na Cape Florida albo na wycieczkę do starej latarni morskiej. A kierowcy z Miami zawsze znajdą jakiś sposób, żeby jeszcze pogorszyć już i tak fatalną sytuację na drodze, na przykład zwalniają nagle, żeby zobaczyć, jak jakiś nieszczęśnik zmienia oponę, albo, gdy wypatrzą rozbite auto, wysiadają z samochodów i pędzą sprawdzić, co się stało.

W weekendy walczą ze sobą młodociane gangi czarnych, Latynosów i

robotników. Okładają się kijami, wyciągają noże, a czasem nawet chwytają za broń. O tej porze jednak w powszedni dzień prawie nie ma ruchu na moście. Czasem przejeżdżają tędy kierowcy wracający do domów z barów lub restauracji w Key, no i oczywiście można napotkać kochanków, parkujących wozy wśród drzew nad wodą.

Alex wjechał na parking dla gości odwiedzających elegancką restaurację na nabrzeżu, w której kelnerzy w białych rękawiczkach serwują cocktaile z rumem i wystawne kolacje. Lokal był jeszcze otwarty, a Alex siedział spokojnie w samochodzie i patrzył. W środku paliły się przyćmione światła i grała cicha muzyka. Było to bardzo romantyczne miejsce na kolację we dwoje. Nad stawem, po którym pływały kaczki, przerzucono mostek z parkingu do wejścia. Cudowny krajobraz tworzyły kwiaty passiflory z charakterystycznymi pajęczymi czułkami, rajskie ptaszki i oczywiście palmy.

Alex pomyślał, że znowu nastał czas palm. Przez pewien okres w miejscu znanym głównie z palm i plaży zabrakło zarówno jednego, jak i drugiego. Zaraza zniszczyła wszystkie drzewa kokosowe na Florydzie, a w porze przyływu plaża, wchłonięta przez morze, skróciła się do paska piasku szerokiego na dwanaście stóp. Wyhodowano jednak nowy gatunek palm, a rząd wydał miliony na odzyskanie plaży. Z dna oceanu wydobyto muszle i rafy koralowe, sproszkowano je i wysypano nimi wybrzeże. Taka mieszanina nie jest dokładnie tym samym co piasek i można czasem nawet pokaleczyć o nią stopy. Ale jeśli pokryje się nią dużą, szeroką przestrzeń, turyści nie zauważą różnicy. Zobaczą piękną plażę, palmy i będą pewni, że to wszystko jest dziełem Matki Natury. Wystarczy mieć pieniądze i karty kredytowe – pomyślał Alex.

Patrzył na wychodzącą z restauracji parę. Kobieta i mężczyzna trzymali się za ręce, uśmiechali do siebie i mieli najwyraźniej pełne żołądki. I co teraz? – myślał.

Facet był postawny, najwyraźniej też napalony, bo zaczął się do niej dobierać już przy samochodzie, zanim zdążyli wyjechać z parkingu, jakby chciał zyskać pewność, że dobrze zainwestował pieniądze. Ona chichotała i była zdecydowanie zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Udany wieczór. Alex poczuł, że ma ochotę się do nich przyłączyć.

Pomyślał, że nie ma nic bardziej zabawnego i podniecającego niż obserwowanie ludzi, którzy nie wiedzą, że ktoś na nich patrzy. Zachowują się wtedy naturalnie, a nie tak jak zwykle, czyli jak skończeni hipokryci. Wciąż myślał o domu na wyspie i tej ładnej, śpiącej dziewczynie, która nie wiedziała, że on był w pokoju, obserwował ją i mógł z nią zrobić, cokolwiek by zechciał. I nikt nie byłby w stanie go powstrzymać. Ależ to było ekscytujące!

W środku, przy stoliku zalśniły czyjeś jasne włosy. Przez chwilę sądził, że to może ta dziwka. Miał węzeł zamiast żołądka, który zaciskał mu się z wściekłości, w okolicy pachwin czuł chłód, jakby ktoś przyłożył mu tam kostki lodu. Wiedział oczywiście, że to niemożliwe, że to nie może być ona. A jednak wyteżył wzrok. Odeszli od stolika i skierowali się w stronę wyjścia. Wkrótce będzie mógł przyjrzeć się dokładniej. Dziewczyna była ubrana na białą, upięła kręcone włosy do góry. Jej wiszące kolczyki tańczyły w świetle. Mężczyzna otworzył przed nią drzwi. Alex siedział zupełnie nieruchomo, owiewało go ciepłe, nocne powietrze, a jego ręka oparła się o zimny metal zatkniętego za pas rewolweru.

Dziewczyna wyszła prosto w zapachy i szepty nocy. Była wyższa i

tęższa od tamtej. To nie była ta dziwka, ale i tak nią pogardzał, za samo podobieństwo. Popatrzcie no tylko, w jaki sposób trzyma głowę i jak się do niego odwraca – pomyślał Alex. On jest zwykłym zerem, ciemnowłosy, w średnim wieku, z brzuszkiem pod dobrze skrojonym garniturem.

Niezły wóz. Wsiedli od razu, bez żadnych figli. Facet wkłada kluczyk do stacyjki i już ruszają. Mógłbym ich przepędzić – pomyślał. Mógłbym zrobić wszystko, na co przyszlaby mi ochota, ale skórka niewarta jest wyprawki. Muszę znaleźć coś, dla czego warto się wysilić. Usiadł spokojnie, żeby pomyśleć i zanurzyć się w ciepłym, wilgotnym morzu nocy. Daleko od świateł miasta można dojrzeć więcej. Zastanawiał się, co robią Indianie wciąż jeszcze mieszkający w Glades w noc taką jak ta. I o czym myślą. Przyszło mu do głowy, że miałby teraz ochotę wypalić trawkę albo wypić drinka. To była właśnie taka noc. Mógłby się założyć, że tym właśnie zajmują się dzieciaki, które zaparkowały na plaży.

Postanowił to sprawdzić i uruchomił silnik. Ciemna, wąska alejka wiodąca ku plaży była zapewne wykarczowana w dżungli porastającej obie strony drogi, a nad nią czubki wysokich drzew schodziły się ku sobie, tak że jechało się tamtędy jak przez gęsty, zielony tunel. Doskonale miejsce, żeby zablądzić – pomyślał. Oczywiście, jeśli darzy się sympatią węże i skorpiony. Równie doskonałe, żeby coś skutecznie ukryć. Będzie musiał o tym pamiętać.

Zatrzymał samochód na skraju plaży i postanowił przejść wzdłuż linii drzew, gdzie parkowało jedno samotne auto. Położył kluczyki na tylnym kole, skąd mógł pochwycić je szybko, gdyby zaistniała konieczność natychmiastowej ucieczki. Na parkingu nastąpił na kawałki szkła, gdyż ktoś zostawił tam rozbitą butelkę, choć tuż obok był kosz na śmieci.

Nienawidził tego. Te pętaki myślą, że zabawnie jest tak zostawiać butelki od piwa na chodniku. Cholerne śwynie, z przyjemnością wytarłby im gęby o to szkło. Niektórzy ludzie są naprawdę obrzydliwi – pomyślał.

Miło było tak spacerować w nocnej, wiejącej od wody bryzie. Na horyzoncie migotały światła jakiegoś frachtowca. Z dala połyskiwało niebo nad miastem. Panowała cisza, od czasu do czasu tylko odzywały się świerszcze i pokrzykiwały mewy. Nagle rozległ się czyjś śmiech. To ta para na kocu. Czwartego lipca plaża usłana była wprost kocami ludzi, którzy przyjechali tu oglądać fajerwerki. Ale to było parę tygodni temu. Ci ludzie zajmowali się własnymi sprawami.

Podszedł do nich cicho, najbliżej jak się dało, i przykucnął, żeby lepiej widzieć. Oboje mieli po kilkanaście lat. On pracował pilnie nad rozebraniem jej i nic go nie mogło odwieść od tego zamiaru. Ona opierała się wprawdzie, ale chichotała, gdy udało mu się posunąć o krok naprzód. Zachowywali się tak, jakby się bawili w przeciąganie liny. On podciągał jej bluzkę do góry, ona opuszczała ją, śmiejąc się, na swoje miejsce. Wydobywała z siebie również inne dźwięki, gdy muskał jej sutki. Teraz już bluzka została jednym, miękkim ruchem przeciągnięta przez głowę. W jasnym świetle księżyca widać było nawet nieopalone miejsca zakryte przez bikini. Mieli butelkę wina. Alex zauważył, że chłopak wykazał na tyle inwencji, żeby spryskać nim piersi dziewczyny i zlizywać krople. Dochodziły do niego odgłosy ssania i cmokania. Chłopak i dziewczyna ze śmiechem tarzali się po piasku. Nie ma nic piękniejszego niż młode, sprężyste ciało – pomyślał Alex. Chłopak rozpiął koszulę i zdjął ją. Był przystojny i dobrze zbudowany, zupełnie jak ten głupi Thorne, który gonił go na wyspie. Dziewczyna zawahała się i chciała wstać, pytając, która

godzina. Chłopak skłamał. Uspokoila się więc. Znowu zaczęła pieścić mu językiem ucho i ocierać się kolanem o udo. A on miał bardzo, bardzo ruchliwe ręce. Spódnica dziewczyny plątała się jej wokół kostek. Jej skąpe majteczki... – czy on naprawdę chce je zdjąć zębami? – pomyślał Alex. Co za chłopak!

Sprawy posuwały się teraz szybko naprzód. Zaraz, czy nikt z nimi nie rozmawiał o bezpiecznym seksie? Co oni wyrabiają? Alex bawił się tak znakomicie tym substytutem, że mimowolnie roześmiał się głośno. Jedną ręką pieścił krocze, druga była wolna, więc spróbował zasłonić nią usta, ale za późno.

Znajdował się zaledwie dziesięć stóp od nich i wiejący w ich kierunku wiatr poniosł ze sobą jego parsknięcie.

– Mario! – w głosie dziewczyny pobrzmiwała panika. – Ktoś tu jest!

Mario odwrócił się, trochę oszołomiony, i dojrzał Alexa.

– Ty sukinsynu! – wrzasnął.

Jego słowa poprzedziły rwetes, który wydał się Alexowi zabawny i skojarzył mu się natychmiast z filmem rysunkowym. W tańczących światłach padających na nich z nieba i odbitych od wody migotały ich ręce, nogi i białe, okrągłe pośladki. Wkładali ubrania tak szybko, że potracili butelkę wina, które wylewało się teraz z gulgotem na piasek. Alex zobaczył, że chłopak sięga po butelkę i chce się nią posłużyć jak bronią.

Czas uciekać. Był jednak tak zaabsorbowany ich widokiem, że doszedł do siebie dopiero po chwili przypomniawszy sobie, gdzie zostawił samochód.

Usłyszał, jak dziewczyna pyta:

– Kto to jest? Kto to jest?

Niektóre jej słowa stłumiła wciągana przez głowę bluzka. Słysząc było jednak wyraźnie, że się boi.

– Sukinsyn – powtórzył Mario, a Alex nie mógł go o to winić. Chłopak podskakiwał przez chwilę w miejscu, próbując włożyć nogę w spodnie, wreszcie zasunął zamek błyskawiczny i ruszył na Alexa.

Ten uskoczył jak królik, ale po krótkim sprincie zwolnił. Czekał, co zrobi chłopak. Miał nadzieję, że małolat nie zgłupiał na tyle, żeby go gonić.

Ale gonił, ścisnął w rękę butelkę po winie i wrzeszczał:.

– Ty zboczeńcu! Chcesz się lepiej przyjrzeć, to chodź! Pokażę ci coś!

Biegli tak pod gwiazdzistym niebem i piaskiem pod stopami. Alex dyszał i pocił się bardziej z podniecenia niż ze strachu. Wiedział, że jest w świetnej formie, ale chłopak nadrabiał dystans, popychany gniewem, złością i chęcią popisania się przed dziewczyną, która wołała:

– Mario, nie zostawiaj mnie! Cholera! Mario! Wracaj!

Jej głos wibrował i zbliżał się do nich, tak jakby ona również biegła. Świetni są oboje – pomyślał Alex.

Będzie musiał ich zastrzelić. Seks i śmierć są tak do siebie podobne. Nie myślał nigdy o jednym, nie wspominając drugiego. Skoncentrował się na swoim oddechu i omiół badawczo wzrokiem plażę. Jeśli ktoś słyszał to całe zamieszanie i wezwał gliny, będzie miał kłopoty. Jest tylko jedna droga, którą można wydostać się z Key samochodem. W nagłych przypadkach gliny dzwonią na most, a tender podnosi to zasaństwo. Nie można wyjechać z wyspy, dopóki nie sprawdzą, co się stało i kogo mają szukać.

Przypomniawszy sobie parking i porzucił myśl o tym, żeby pobiec prostą

drogą do samochodu, zmienił kierunek, skrył się pod pędami rosnących nisko winorośli i wypadł na alejkę. Słyszał chłopaka tuż za sobą. Małolat dyszał i sapał jeszcze głośniejsze niż tam na kocu. Alex wpadł na parking w miejscu, gdzie leżały potłuczone butelki, a chłopak tuż za nim. Dotarły do niego okrzyki bólu, odwrócił się, zobaczył, jak tamten podskakuje i pada. Wleciał na szkło obiema bosymi nogami. Alex pomknął w stronę samochodu rozradowany.

Schwycił kluczyki leżące na tylnym kole i wśliznął się za kierownicę.

– Mario, gdzie jesteś? – zawołała dziewczyna.

Ci dwoje nigdy nie dają za wygraną – pomyślał Alex, widząc jak dziewczyna biegnie w stronę samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce i dał gaz do dechy. Koła zakręciły się na piasku, ale samochód nawet nie drgnął.

Chciał ruszyć za ostro, tylne koła obróciły się, jęknęły i ugrzęzły głęboko w sypkim piasku. Chryste! Dziewczyna miała niepewną minę, ale zbliżała się nadal i dzieliło ich teraz zaledwie parę kroków.

– Mario? To ty? Nie zostawiaj mnie.

Silnik ryknął, opony kręciły się szaleńczo, wydając okropny, zgrzytliwy dźwięk. Samochody grzęzną tu dość często i muszą być wyciągane przez ciężarówki – pomyślał Alex. Jak się będzie im tłumaczył? I jak się będzie tłumaczył przed Mariem, który najprawdopodobniej kuśtyka teraz w jego kierunku?

Starł się sobie przypomnieć, jak powinno się ruszać w takiej sytuacji. Dziewczyna miała potargane, ciemne włosy i wciąż zmierzała w jego kierunku. Mimo że znajdował się w naprawdę trudnej sytuacji, zdołał dostrzec, że ma na sobie tylko bluzkę i spódnicę, nie zdążyła włożyć

biustonosza. Nie był tylko pewien co do majtek. Zmienił biegi, dodał lekko gazu i ostrożnie skręcił kierownicę. Samochód skoczył do tyłu, a następnie wystrzelił do przodu. Alex włączył światła i nacisnął klakson. Dziewczyna była tuż przednim. Blask reflektorów oślepił ją. Miała duże oczy i otwarte usta, ale on nie słyszał jej krzyku. W ostatniej chwili wyciągnęła przed siebie rękę. Alex obrócił gwałtownie kierownicę i samochód uderzył w nią prawą stroną zderzaka. Rozległ się głuchy odgłos, jakby auto przewróciło dużą, szmacianą lalkę. Nie jechał przecież szybko. Kiedy wyłączył światła, odwrócił się i pomknął w kierunku głównej drogi. Dziewczyna wstała i chwiała się lekko. Najprawdopodobniej nie została poważnie poturbowana, ale była jednak zbyt oszołomiona, żeby odczytać numer rejestracyjny.

Udało się – pomyślał, zapalając z powrotem reflektory i wjeżdżając ostrożnie na szosę. Miło było używać sprytu zamiast chłodnej stali rewolweru lub noża. A tym małodatom dał dobrą nauzkę. Nigdy nie zapomną ani jego, ani tej nocy. Byli równie bliscy seksu, jak i śmierci – seks i śmierć. Oczywiście nigdy się nie dowiedzą, że niemal się o nią otarli. Ciekaw był, jak się będą tłumaczyć w domu. Miał nadzieję, że ta przygoda będzie miała na nich dobry wpływ.

Uśmiechnął się do siebie i nastawił lekką muzykę. Wypadł na autostradę i pojechał do domu.

Rozdział szesnasty

Mężczyzna był szczupły i niebieskooki. Pił kawę, jadł kanapkę i czuł się w bezdusznej sali przesłuchań jak ktoś, kto przyszedł z wizytą do młodszego braciszka. Przyznał się, że zaatakował nożem i zgwałcił kilkunastoletnią uczennicę w jej własnym łóżku. Został schwytany na gorącym uczynku. Simmons, detektyw pracujący w wydziale przestępstw seksualnych, spisał jego zeznania i zaczął przesłuchiwać aresztowanego pod kątem innych spraw tego typu.

Młody człowiek był bardzo zadowolony z okazywanego mu zainteresowania. Lubił się przechwalać i bawić się słowami. Ponieważ napomknął coś o wyspie San Remo i ładnej dziewczynie, która tam mieszka, Simmons poszedł do telefonii, żeby zwrócić uwagę kolegów na fakt, iż być może właśnie tego człowieka poszukują w sprawie znacznie poważniejszego przestępstwa. Zanim przybyli, mężczyzna przyznał się do popełnienia jeszcze jednego gwałtu.

Podjejrany, przyjrzał się ciekawie Rickowi i Jimowi, kiedy Simmons zapytał, czy nie ma nic przeciwko temu, żeby przyłączyli się do rozmowy.

– Dlaczego nie? – wzruszył ramionami.

Stenotypistka, puciołowata młoda kobieta o kręconych włosach, której kamienna twarz nie wyrażała dokładnie nic, zapisywała każde słowo, poruszając zwinnie palcami.

– Mówiliśmy o przestępstwie popełnionym w zeszłym miesiącu, niedaleko Morningside Park – zaczął Simmons.

– Tak, pogroziłem takiej jednej dupci nożem i odwaliłem mały numerek – potwierdził podejrany, ukrywając oczy za dymem z papierosa.

Sam jednak uważnie obserwował, jak nowo przybyli przyjmą tę uwagę. Rick i Jim w ogóle nie zareagowali. Podejrzany zaczepiał dziewczynę dwa razy, przejeżdżając obok niej samochodem, kiedy wracała do domu. Zignorowała go. Nie mogła jednak nie zwrócić na niego uwagi, kiedy o trzeciej nad ranem przyłożył jej nóż do gardła.

– W jaki sposób dostał się pan do środka? – spytał Simmons.

– Przez rozsuwane, szklane drzwi – odparł i rozparł się na krześle, wyciągając przed siebie nogi. – Uwielbiam takie drzwi najbardziej na świecie.

Rick dostrzegł w oczach Simmonsa dyskretne potwierdzenie. Rzeczywiście. Właśnie tak gwałcieł wszedł do domu swojej ofiary.

Aresztant wyjaśnił, że trafił bez kłopotu, do właściwego pokoju, bo przedtem śledził dziewczynę.

– Raz widziałem ją przy Omni Mail i szedłem za nią aż do samego domu. Kilka razy parkowałem nie opodal Boulevard i zwiedzałem okolice.

– Czy kiedykolwiek ktoś pana zaczepiał? – spytał Simmons. – Czy ktoś zatrzymywał pana i pytał, co pan tam robi?

– Nie. Zawsze byłem ubrany w szorty do joggingu, miałem przepaskę na włosach, więc gdyby zatrzymały mnie gliny, wiedziałem, co mam mówić – był zdecydowanie zadowolony z siebie. – Nigdy nie noszę dokumentów, więc w razie czego mogę podać zmyślony adres i nazwisko. No i jak mnie sprawdzą? W ten sposób, jeżeli później dochodzi do rozróby, nikt nie wie, kim jestem. Jogging jest dozwolony, a biegacze nie noszą przy sobie portfeli.

Szukał wyraźnie wzrokiem aprobaty dla swojej przebiegłości.

– Gdyby nie ten napalony ochotnik ze strzelbą, nie dostalibyście mnie.

– Pewnie racja – powiedział chłodno Simmons.

Na wzmiankę o człowieku ze strzelbą Rick i Jim wymienili spojrzenia.

– To wasz koleś? – spytał podejrzany.

– Nie, nie znamy go – odparł Rick.

– Ten człowiek należy do społecznej służby kryminalnej – wyjaśnił Simmons. – Jest weteranem z Wietnamu.

– Pomyłony sukinsyn. Lata w kółko z karabinem – powiedział aresztowany, kręcąc z oburzeniem głową. – Ktoś powinien się nim zająć.

– A pan ma broń? – spytał cicho Rick.

– Nie, nie chciałem sobie narobić kłopotów. Po co mi zresztą spluwa? Ukradłem parę z różnych domów, ale wszystkie od razu sprzedałem.

– Komu?

– Takiemu jednemu Manny’emu, mieszka niedaleko Southwest Sixth i Second Avenue.

– Ma jakąś firmę czy handluje na ulicy?

– Ma mały sklepik.

– Ciekaw jestem jednej rzeczy – powiedział Rick. – Wszystko to wydarzyło się niedaleko od Boulevard, tam gdzie dzień i noc paradują kurewki w różnym wieku, we wszystkich kształtach i rozmiarach. Mogłeś przecież zapłacić, nie tracić czasu i nie narażać się na takie ryzyko.

Podejrzany wyglądał tak, jakby sądził, że się przesłyszał.

– Nigdy w życiu nie płaciłem za seks! – powiedział, najwyraźniej oburzony. – Przyglądaliście się im kiedyś dokładnie? To ścierwa. Nie wiadomo, jakie choróbsko można od nich złapać i czy przypadkiem nie zamierzają cię okraść. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Poza tym – uśmiechnął się chytrze – ciekawiej jest tak, jak ja to robię. Rozumiecie, co

mam na myśli? – spytał i zgasił papierosa. – A może by tak posłać po cheeseburgery?

– To by się dało załatwić – odparł zgodnie Simmons. – Czy w chwili aresztowania odczytano ci twoje prawa?

– Tak. I pan też odczytał. Nawet dwa razy – zniecierpliwił się więzień.

– Cóż. Przypomnijmy sobie wszystko jeszcze raz.

Jim zaczął wiercić się na krześle. Rick posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Muszę załatwić pilną sprawę – powiedział i wstał, żeby pójść do toalety.

– Skoro już pan wychodzi, może zamówiłby pan cheeseburgery – zaproponował gwałciciel. – Ja proszę o dwa, średnio wysmażone, z ketchupem i piklami. A do picia dwie cole.

Jim patrzył na niego przeciągle dłuższą chwilę. W pokoju zrobiło się cicho, wszystkie oczy były w niego wpatrzone.

– Średnio wysmażone, z ketchupem i piklami. A do picia dwie cole – powtórzył.

Wypadł z pokoju, powtarzając sobie, że każdy, kto przyzna się do popełnienia zbrodni, powinien dostać wszystkie hamburgery, jakie jest w stanie zjeść.

Przyłączył się do nich trochę później ze starannie przygotowanym, miłym wyrazem twarzy. Popatrzył na pulchną stenotypistkę z wijącymi się włosami. Ponieważ nie sprawiała wrażenia osoby skrepowanej sytuacją ani też oskarżonemu nie przeszkadzała jej obecność, Jim doszedł do wniosku, że też się nie będzie przejmował.

– Więc zgwałcił pan dwie lub trzy kobiety – stwierdził Simmons, jakby

to było zupełnie naturalne.

Aresztant odstawił świeżo nalaną filiżankę kawy i spojrzał chytrze na policjantów.

– Dodajcie zero do tych cyfr – powiedział. – Będziecie bliżsi prawdy.

– Dwadzieścia lub trzydzieści? – upewnił się Rick, na którym wyznanie gwałciciela zrobiło duże wrażenie. – Wszystkie tutaj, w Miami?

– Zostawię to dla siebie. Przecież jesteście policjantami – był szczerze ubawiony własnym dowcipem. – Macie jeszcze papierosy?

Simmons przesunął wolno paczkę marlboro po odrapanym blacie stołu. Mężczyzna poklepał pudełko, wyjął papierosa i czekał, aż opiekuńczy detektyw mu go przypali. Dał im czas, żeby przełknęli ostatnie rewelacje. Oczywiście wolałby nie zostać złapany, ale skoro go już przyskrzynili, cieszył się, że poświęcają mu tyle uwagi, i był zadowolony, że policjanci opiekują się nim w sposób odbiegający od trybu stosowanego zwykle w więziennictwie...

Rozmowa z detektywami dała mu prawo do lepszego jedzenia, specjalnych przywilejów i zapewniła sławę. Miał zamiar w pełni wykorzystać tę sytuację.

– A więc zna pan Morningside, a konkretnie Roads, Alpattah i bywał pan na okolicznych wyspach – spytał Simmons obojętnie.

– Tak, bywałem w San Remo. Przyjemna okolica.

Rick poczuł skurcz żołądka, kiedy pomyślał o Laurel samotnie spędzającej tam noc. Twarz zastygła mu w półuśmiechu. Ważne było zachowanie dobrych stosunków z więźniem.

– Czy napadł pan tam na kogoś? – zapytał Simmons.

– Nie, tylko się rozglądałem.

– A co tam pana sprowadziło?

– Taka jedna laska, mała, z ciemnymi włosami. Niezła dupa. Parę razy widziałem ją w księgarni na deptaku. Jeździła małym japońskim samochodzikiem. Raz pojechałem za nią na wyspę, bo myślałem, że tam mieszka, ale chyba tylko kogoś odwiedzała. Potem parę razy tamtędy przejeżdżałem. Ale nie było ani śladu auta ani jej. Widziałem tylko jakieś starsze małżeństwo.

– Skąd pan wiedział, że jej tam nie ma?

– Parkowałem blisko szosy i łąziłem po okolicy w stroju do joggingu.

– Po której stronie wyspy?

– Po południowej, tam jest taki różowy dom z małą sadzawką na trawniku.

Boże! – pomyślał Rick. Znał tę dziewczynę i ten dom. Ona również dorastała na wyspie, tak samo jak Rob Thorne. Chodziła do college'u w Gamsville, teraz prawdopodobnie kończyła letni semestr. Była zdolna jak diabli i chciała skończyć studia w trzy lata. Ostatni raz Rick widział ją w domu w czasie ferii wiosennych.

– Kiedy to było? – zapytał Simmons.

– Nie wiem. Parę miesięcy temu, może w kwietniu.

– Kiedy pojechał pan na wyspę po raz ostatni? – kontynuował detektyw.

– Właśnie wtedy. Może byłem jeszcze raz w czerwcu, żeby zobaczyć, czy jest jej samochód, ale go nie było.

Dzięki Bogu – pomyślał Rick, ale z niczym się nie zdradził. Simmons skinął niedostrzegalnie głową i przekazał Rickowi przesłuchanie.

– A w zeszłym tygodniu? – indagował Rick. – Na przykład w nocy z

piątku na sobotę? Wtedy również pojechał pan na wyspę, prawda?

– Na San Remo? Nie – zaprzeczył i zapaliwszy kolejnego papierosa wpatrywał się w smugi niebieskiego dymu. – Nie byłem tam ze dwa miesiące – mężczyzna świetnie się bawił. – A co, jakaś kurewka twierdzi, że mnie tam widziała?

– Nie chodził pan po okolicy? W północnej części wyspy, w tamtą noc? Tak około czwartej, może czwartej piętnaście nad ranem? Z bronią?

Coś się nagle zmieniło w wyrazie oczu aresztowanego. Zerknął na Simmonsa. Detektyw z wydziału gwałtów oparł się o krzesło i wpatrywał się intensywnie w przesłuchiwanego, nie zdradzając jednak najmniejszej chęci, by przyjść mu z pomocą.

– Co jest z wami, chłopcy? To proste jak drut. Nie byłem tam od miesięcy. Nie mam powodu, żeby kłamać – znów spojrzął na Simmonsa. – Chwalił mnie pan za świetną pamięć. Jakbym tam był, to bym pamiętał. I jak wcześniej mówiłem, nie mam nic wspólnego z bronią. Nie lubię broni.

– Daj spokój, przyjacielu – odezwał się Jim. – Tak świetnie z nami współpracujesz. Dlaczego nie chcesz opowiedzieć o strzelaninie?

– Strzelaninie? – Gwałtowiec zerwał się z krzesła tak raptownie, że przewróciło się na podłogę. – O czym wy, do cholery, mówicie?

Rick zignorował jego wybuch.

– Kręciłeś się po wyspie, szukałeś ofiary, nakrył cię na tym jeden z mieszkańców, a ty go zastrześliłeś.

– Po prostu nam o wszystkim opowiedz – poradził Jim uspokajająco. – Może wcale nie jesteś winny. Ten facet był wysoki i potężny. Może zaatakował cię w ciemnościach? Może to wcale nie było zabójstwo, tylko obrona konieczna?

– Zabójstwo! – Gwałciciel przenosił wzrok z jednego policjanta na drugiego w takim tempie, że głowa obracała mu się tak szybko jak kołowrotek. – Nie wierzę własnym uszom! – uniósł w górę palec wskazujący. – Żadnej broni, żadnego strzelania! Nie dam się zrobić! Nie ma mowy!

Stracił ze stołu jednorazowy kubek do kawy, który potoczył się po podłodze.

– Nie ma mowy! – powtórzył.

Detektywi siedzieli spokojnie. Krople rozpryskanej kawy spływały po ścianie, zostawiając ciemne ślady na odrapanej, białej farbie.

– Powinienem ci kazać posprzątać. Myślę, że na cheeseburgery też już straciłeś ochotę – powiedział smutno Jim.

– O którą to noc chodzi? Z piątku na sobotę? Mam alibi. Możecie sprawdzić – wybuchnął. Twarz mu poczerwieniała, zacisnął szczęki.

– Co zrobiłeś z bronią? – naciskał Rick. – Sprzedałeś Manny’emu? Czy wrzuciłeś do zatoki?

– Jakie alibi? – pytanie Simmons’a zabrzmiało szczerze, wciąż odgrywał rolę dobrego gliny.

– Niech im pan powie! Przecież cały czas mówiłem wam prawdę!

– Rzeczywiście – potwierdził Simmons. – Jeśli o mnie chodzi, był pan otwarty i szczerzy. Jeżeli istotnie posiada pan alibi, sprawdzimy je. Nie ma problemu.

– No to sprawdźcie – mężczyzna podniósł krzesło, usiadł na nim z ponurą miną i zapalił papierosa. – Moja mama i ojczym mają bungalow w Keys. Mama nie umie prowadzić samochodu, a on miał wylew, więc mu nie wolno. W każdy piątek, po godzinie szczytu, zabieram ich oboje,

czasem też sąsiadów, i odwożę do Keys. Wracamy w niedzielę późnym wieczorem.

– Rodzice potwierdzą wszystko, żeby ci pomóc – prychnął Jim. – Nie masz bardziej wiarygodnych świadków?

Zatrzymany miał teraz bardzo zadowoloną minę. Uspokoił się już i myślał jasno.

– Cóż, ojczym nie skłamałoby dla mnie, bo wcale za mną nie przepada. Są też sąsiedzi, starsze, głęboko wierzące małżeństwo, które nie skłamałoby dla nikogo, ale – zawiesił głos – co byście powiedzieli na policjantów?

Przenosił wzrok z jednego na drugiego, oczy mu lśniły. Sprawdzał, czy słuchają go z należytą uwagą. Słuchali.

– Jeśli sobie przypominacie – powiedział wolno i dobitnie – patrol graniczny zablokował w ostatni weekend wszystkie drogi w mieście Floryda i zatrzymywał każdy pieprzony samochód.

Rick potwierdził skinieniem głowy. Drastyczne posunięcie rządu, mające na celu powstrzymanie napływu narkotyków i nielegalnych imigrantów, wywołało kontrowersyjne opinie prasy. Ruch w czasie weekendu zablokowany został na wiele godzin. Samochody przegrzewały się stojąc w upale. Kierowcy zostali doprowadzeni do ostateczności, a wściekli mieszkańcy Key West postanowili zainicjować ruch na rzecz oderwania się od Stanów i stworzyć własną republikę.

– Ale i tak mogłeś zdążyć – stwierdził Jim.

Gwałciciel pokręcił głową i popatrzył na niego ze współczuciem.

– Kiedy w końcu wydostałem się z korka, chciałem nadrobić stracony czas.

– I? – ponaglił Rick.

Aresztowany zrobił efekciarską pauzę.

– Sądzę, że jechałem zbyt szybko – powiedział w końcu. – Na moście Seven Mile wyprzedził mnie policjant na koniu. Patrol. Byłem wkurzony jak cholera i on wam pewnie powie, że dałem mu się we znaki, ale teraz widzę, że facet wyrządził mi tylko przysługę. Dzięki niemu właśnie, dupki, będziecie musieli się ode mnie odczepić.

Mięsień w policzku Jima drgnął ostrzegawczo.

– Masz mandat, który ci wypisał? – spytał Rick.

– Tak, jest w samochodzie, w skrytce. Zwrócił się teraz do Simmons.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym już nie rozmawiać z tymi dwoma.

– Nie ma sprawy – odparł Simmons, po czym dał znak Rickowi i Jimowi, którzy właśnie podnosili się z krzeseł. – Zaraz wracam – rzucił i wyszedł razem z detektywami na korytarz.

– Proszę nie zapomnieć o cheeseburgerach – krzyknął za nimi więzień.

– Z ketchupem i piklami – mruknął Jim.

– I jeszcze dwie cole – zaśpiewał gwałciciel.

– Wydostanę spis rzeczy, które znaleźli u niego w samochodzie – zaofiarował się Simmons. – Odholowaliśmy go zaraz po aresztowaniu.

– Dobra – powiedział Rick. – Musimy ustalić datę i godzinę wypisania mandatu. Jeżeli to się zgadza z jego zeznaniami, pogadamy z tym policjantem i poprosimy go o opis faceta.

– On pewnie chce nam wcisnąć jakiś kit o tym mandacie. Data też może być inna – odezwał się Jim.

– Obyś miał rację – westchnął Rick. – On mi pasuje. Bandyta,

podglądacz. Gwałciciel. Kradnie broń, lubi włóczyć się w ciemnościach i przyznaje, że był kiedyś w tych. okolicach.

– Lepiej już pójdę – powiedział Simmons. – Muszę z nim jeszcze pogadać o paru innych sprawach. Mam nadzieję, że nie jest zbyt zdenerwowany – spojrzał sceptycznie na Jima. – Naprawdę zamówiłeś dla niego cheeseburgery?

– Jasne. Wysłałem po nie mundurowego. A niech to – rzucił przez ramię, gdy już odchodzili. – Zapomniałem o ketchupie, piklach i dwóch colach.

Potem zwrócił się do Ricka.

– Żałuję, że to nie ja złapałem tego sukinsyna na gorącym uczynku.

– No i jak? – zapytała ich Dusty uśmiechając się z nadzieją. – To nasz człowiek?

– Może – odparł Rick, zdziwiony, że dziewczyna ma tyle energii po tak małej dawce snu. – Pasuje, ale twierdzi, że ma alibi. Jeśli się potwierdzi, znowu zostajemy na lodzie.

– Boże, spraw, żeby to był on – powiedział Jim gorąco, wznosząc oczy do nieba.

– Amen – dodał Rick.

Wzrok Dusty złagodniał, kiedy na niego spojrzała. Rick kompletnie zwariował – pomyślał Jim i westchnął. Może Laurel rzeczywiście jest piękna, ale Dusty to prawdziwa kobieta.

Rick był już przy telefonie i coś notował. Spojrzał na przyjaciół ze zrezygnowanym wyrazem twarzy.

– Dobra wiadomość jest taka, że znaleźli Gomeza. A zła to taka, że mieliśmy nosa. Ktoś już zrobił mu sekcję, po amatorsku.

– Kurczę. Przecież nie jesteśmy im potrzebni – argumentował Jim. – Powinien się nim zająć wydział kradzieży albo osób zaginionych.

– Tak – potwierdziła Dusty. – Już raz odesłaliśmy go do kostnicy. Teraz powinien ktoś inny się nim zająć.

Rick pokręcił głową.

– On jest nasz – stwierdził z mocą.

Rozdział siedemnasty

Ludzie, którzy porwali ciało Gomeza, użyli noża Ginzu, reklamowanego przez trajkoczącego jak katarynka prezentera w nocnych reklamach telewizyjnych. Sekcję przeprowadzili w pokoju taniego motelu na zachód od lotniska. Łazienka przypominała teraz koszmar z obrazów Salvadore Dali: dominowała w niej surrealistyczna zieleń, czerwienie, brązy i purpury. Przedarcie się przez wnętrzości Gomeza okazało się znacznie trudniejsze, niż przewidywali porywacze.

Makabrycznego odkrycia dokonała pokojówka w średnim wieku. Natychmiast rzuciła pracę i oświadczyła, że na zawsze wyjeżdża z Miami.

Doktor Lansing przybył na miejsce jako jeden z pierwszych, kipiąc z wściekłości.

– Nie wiedzieli nawet, jak ominąć aortę brzuszną – oświadczył gderliwie na powitanie. – Spójrzcie, co się tu dzieje.

Kiedy patolodzy amatorzy rozpoczęli poszukiwania skarbu, ciało Gomeza spoczywało w wannie w pozycji półsiedzącej. Był to, jak się okazało, ich pierwszy błąd, o czym przekonali się przecinając arterię o grubości węża ogrodniczego, która biegła wzdłuż kręgosłupa. Krew z górnej części ciała szybko spłynęła w dół, zalewając najbardziej ich interesujące partie ciała.

– Musieli wyrwać cały przewód pokarmowy i przeszukać ponad dwadzieścia trzy stopy jelit – stwierdził Lansing.

– Śmierdzi jak cholera – powiedział Jim i wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa.

– Mogło być znacznie gorzej – pocieszył go Rick, który już wcześniej

zauważył, że klimatyzacja działa na najwyższych obrotach.

– A co to jest? – spytała Dusty. – Wygląda, jakby coś się tu spaliło. Kawalek zasłony prysznicowej był wyraźnie nadpalony, a ściana nad wanną osmalona.

Lansing uśmiechnął się z aprobatą.

– Cieszę się, że pani do nas wróciła, detektywie. Właśnie miałem o tym mówić. Niezwykle interesująca historia – zapalał się coraz bardziej. – Sądzę, że mogę wam powiedzieć coś bliższego o jednym z tych bałaganiarzy.

– I cóż to takiego, doktorze? – głos Jima tłumila przytknięta do nosa chusteczka.

– Prawdopodobnie szukacie faceta bez wąsów, rzęs i brwi. Widzicie te rozdęte jelita. Wszyscy wiemy z doświadczenia, że w środku gromadzą się gazy.

Policjanci przytaknęli smętnie głowami.

– Są mieszaniną metanu i innych substancji. Jeśli zapalicie zapałkę lub zapalniczkę, kiedy jelito jest już przekłute i wydostaje się z niego gaz, powstaje piękny płomień.

Lansing pochylił się nad wanną i jej zawartością.

– Spójrzcie tylko – wykrzyknął z triumfem, trzymając w osłoniętej rękawiczką dłoni cygaro z odgryzionym końcem.

– Chce pan powiedzieć, że palący się bąk osmalił komuś brwi? – zdziwił się Jim.

– On ciął i wyjmował torebkę za torebką. Wszystko szło dobrze, póki nie zapalił cygara. Może miał ochotę na parę dymków, a może po prostu chciał stłumić w ten sposób smród. Tak czy inaczej, efekt był taki, jakby

otworzył pojemnik z propanem i przytknął do niego zapalną. Powstał istny miotacz ognia. Na pewno ma ślady na twarzy, włosach, wszędzie. Zresztą mogę wam pokazać – zaofiarował się ochoczo. – Kto ma zapalniczkę?

Nikt się nie ruszył. Byli sami w pokoju. Mundurowi, którzy zwykle przebywali chętnie na miejscu zbrodni, jeśli było ono klimatyzowane, tym razem woleli zostać na zewnątrz.

Lansing przyjrzał się kolejno detektywom, wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę wanny.

– Znaleźli kokainę? – spytał Rick.

– Chyba tak – odparł doktor. – Widzicie miejsce, gdzie żołądek i jelita są całkowicie spalone? Chyba tu pękł pojemnik z kokainą i to go zabiło.

– Daj nam znać, jak sprawdzisz – poprosił Rick. – Jeśli się nie mylisz, Sły będzie wolny od zarzutów. Trudno wyczuć, ile tu było torebek, ale widocznie oni uznali, że to ilość warta tego całego zachodu.

– Myślę, że po skończonej robocie zmienili zdanie – powiedziała Dusty. – Zawiadomię szpitala. Niech mają oko na Latynosa z opalonymi wąsami, wydzielającego specyficzną woń.

Mocno zdenerwowany właściciel hotelu był przekonany, że lokator zajmujący pokój 109 padł ofiarą makabrycznego morderstwa.

– Nie żył już, kiedy się sprowadził – pocieszył go Jim. – Może mi pan zaufać.

Ludzie, którzy wpisali się do książki hotelowej, odpowiadali opisem tym, którzy byli w kostnicy. Ale ich towarzysz wyglądał teraz zupełnie inaczej, a pokój został wynajęty właśnie na jego nazwisko.

– Urocze – powiedział Jim. – Świetnie sobie ten facet radzi jak na

nieboszczyka.

Jim zatrzasnął drzwi karetki, gdy włożono do niej czarny worek na zwłoki, z ciałem Gomeza w środku.

– Nabieram już nawyku – oznajmił Lansingowi. – Spróbuj go tym razem upilnować.

Rozdział osiemnasty

Zadaniem Dusty było rozprawienie portretów pamięciowych porywaczy zwłok w szpitalnych izbach przyjęć.

– Jeden jest najprawdopodobniej poparzony i może mieć osmalone brwi – przypomniał jej Rick. – Spróbuj ustalić ich tożsamość. Pojedź również do wszystkich latynoskich szpitali.

– To trochę potrwa – stwierdziła.

– Najlepiej by było, żebyś zdążyła dziś wieczorem. Potem możesz już nie wracać do pracy, chyba że uda ci się ich znaleźć – zażartował.

– Dzięki za zachętę. Cześć, chłopaki – powiedziała, wzięła kopertę z portretami i odjechała.

Tymczasem Jim obserwował ze swego miejsca innego policjanta, który stał tuż za biurkiem Ricka i właśnie rozmawiał z kimś przez telefon. Był całkowicie poza zasięgiem słuchu.

– Ciekaw jestem, co on kombinuje tym razem – mruknął Jim. – Zatuszował już niejedno łajdactwo. Nie można mu ufać.

– A co sądzisz o Dusty, Jim? Mogę jej być pewien? – Rick okręcił się na krześle, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Miał bardzo poważną minę.

Jim został najwyraźniej zaskoczony tym pytaniem.

– To ty powinieneś wiedzieć, stary. A masz jakiś powód, żeby jej nie wierzyć?

– Niezupełnie. Ale myślałem, że uda nam się pracować razem bez żadnych perturbacji. Teraz już wiem, że ona potraktowała nasz... naszą... znajomość poważniej, niż sądziłem. Wczoraj wylała wszystkie swoje żale.

– W Southwind – bardziej stwierdził, niż zapytał Jim.

Rick nachylił się nieco i zniżył głos, choć i tak nikt poza Jimem nie mógł go usłyszeć.

– Laurel wie, że pracujemy razem, i jest trochę zazdrosna.

– A w jaki sposób się o was dowiedziała? – spytał Jim ze zdziwieniem.

– Sam się przyznałem.

– Niech cię szlag! Nie masz dosyć kłopotów? Musisz sobie jeszcze dokładać? Zaczynij myśleć głową, a nie czym innym. Co się z tobą dzieje?

– Daj spokój, Jim. Ona sama na to wpadła, a ja tylko potwierdziłem, bo nie chcę przed nią kłamać.

– Nawet gdybyś milczał jak grób, i tak wiedziałyby swoje – zgodził się Jim. – Kobieta zawsze potrafi wywęchać, że inna ma ochotę na jej faceta. Dusty zawsze miała do ciebie słabość i to jej nie minęło – stwierdził, a w jego jasnych oczach pojawiło się coś na kształt smutku.

– Pamiętasz czasy, kiedy Dusty zaczynała tu pracować? Nie znaleźliśmy jej wtedy, ale rzucała się w oczy. Mówiło się, że, zanim przyjechała do Miami, była zamieszana w jakąś aferę sercową. Nie wiesz, o co chodziło?

– Tak mówią o każdej, która wstępuje do policji. Ja, w przeciwieństwie do wszystkich innych, nie słucham plotek.

– Ale chyba nie sądzisz, że mogłaby zrobić coś, żeby zdenerwować Laurel? No wiesz, kobieta wzgardzona, te sprawy?

– Baby nie mają sumienia – powiedział Jim, opierając się o skrzypiące krzesło. – Z drugiej strony jednak muszę przyznać, że Dusty jest dobrym kumplem. I jeśli już koniecznie musimy pracować z kobietą, chcę, żeby to była ona, a nie na przykład taka Foster, która nie potrafiłaby znaleźć własnego tyłka, gdyby na nim usiadła. Wiesz, że ona zdejmuje biustonosz, kiedy jest za gorąco w samochodzie? Albo ta cała Tierney. Nie

wiedziałyby w ogóle, co jest grane, gdyby nie miała radia. Interesuje ją wyłącznie, którą szminką ma się umalować i jak uczesać. A ta ruda z czterdziestki? Gdyby jakiś Bogu ducha winny przechodzień wrzasnął jej coś do ucha, dostałaby zawału. Są przecież zawody odpowiednie dla kobiet, ale na pewno nie zalicza się do nich praca w policji. Powtarzam: jeśli już koniecznie musi pracować z nami baba, dobrze, że padło akurat na Dusty. Mówiłem ci, jak tylko zaczęła się ta cała afera, żebyś nie zaczynał z koleżanką z pracy, bo ci to bokiem wyjdzie.

– Dzięki za ten wykład, przyjacielu. Mogłeś go sobie darować, ale ogólnie masz rację. Dużo się ostatnio wydarzyło, a Laurel popada w jakieś dziwne, zmienne nastroje. Nigdy nie jestem pewien, czego się mogę po niej spodziewać. Musi chyba dorosnąć.

– O tym też ci mówiłem – odparł Jim i dodał, patrząc nad ramieniem Ricka. – Zbliżają się kłopoty.

Mack Thomas szedł wolno w ich stronę.

– Wygląda, jakby zjadł kanarka.

– Słyszałem, że wreszcie pokazaliście temu całemu Sly'owi, gdzie jest jego miejsce – powiedział Mack. – Wyjął cygaro z ust i miał zadowolony wyraz twarzy. – A więc król kung-fu znalazł się w tarapatach?

– Może tak, a może nie – odrzekł Jim. – Czekamy na wynik sekcji.

Thomas przysiadł na brzegu biurka Ricka.

– Mam dla ciebie nowiny. Chodzi o tego dzieciaka. Thorne'a. Tak się chyba nazywał.

Rick zamienił się cały w słuch i przysunął mu nogą krzesło.

– Pamiętasz Pakistańczyka ze sklepu całodobowego? Ktoś napadł na sklep i zastrzelił go. Nie wiemy, kto.

– Tak.

– Otrzymałem raport balistyczny. Został zabity z tej samej trzydziestkiósemki, co twój sąsiad – pomachał żółtą kartką z opinią ekspertów.

Jim wstał i wyrwał mu ją z ręki.

– Kiedy to dostałeś ? – spytał oskarżycielskim tonem, patrząc na datę.

– Wczoraj.

– Dlaczego, do cholery, od razu nam go nie dałeś?

Mack wyciągnął przed siebie dłoń ze sztywnymi, rozprostowanymi palcami, jakby chciał odepchnąć od siebie ten nagły atak.

– Musiałem uspokajać zbolątych krewnych Pakistańczyka i chwilowo wyleciało mi to z pamięci. Ale nie widzę problemu. Czas nie ma tu wielkiego znaczenia. Nie mamy nic, żadnych świadków, żadnych podejrzanych, żadnych śladów, tak samo jak w waszej sprawie: totalne zero.

– Chcę zobaczyć akta – powiedział żywo Rick. – Wszystko, co macie.

– I nawzajem – odparł Mack. – Musimy dostać faceta. Zostawia za sobą zbyt wiele trupów w naszym okręgu.

– My mamy podejrzanego – oświadczył Jim i odwrócił się do Ricka. – Co z naszym gwałcicielem?

Rick połączył się z wydziałem gwałtów.

– Właśnie miałem do was dzwonić – powiedział Simmons. – Dostałem mandat od służby drogowej. Odholowali jego samochód. Godzina i data zgadzają się z tym, co nam powiedział. Policjant, który go zatrzymał, również potwierdza jego zeznania. Pamięta faceta, który, jak twierdzi, źle się zachowywał. Gdyby nie ci starsi państwo w samochodzie, pewnie by

go aresztował. Teraz żałuje, że tego nie zrobił. Przykro mi, Rick. On na pewno przyzna się jeszcze do wielu innych gwałtów, ale wygląda na to, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem Thorne'a.

– Dzięki, Dave. Dobra robota. Doceniamy to.

– Sukinsyn – zaklął Jim.

– W takim razie nadal nic nie mamy – stwierdził Rick. – Wiemy tylko, że Rob nie jest jego jedyną ofiarą. Ten facet lubi naciskać spust.

Jim podniósł radiotelefon i przyłożył go sobie do ucha.

– Chyba na coś trafiliśmy – oświadczył. – Znów strzelano w sklepie całodobowym.

Szpitalna izba przyjęć jaśniała jak latarnia morska na uspionym, ciemnym morzu. Rick i Jim wpadli pospiesznie do środka przez automatyczne drzwi. Ranny sprzedawca żył jeszcze.

Patrolujący okolice policjant usłyszał strzały, zobaczył mężczyznę z bronią w ręku uciekającego ze sklepu, dogonił go, facet rzucił broń i poddał się.

Rick pomyślał, że to była świetna akcja, za którą policjant powinien otrzymać wyróżnienie, niewnosząca jednak nic nowego do interesującej go sprawy.

Rabuś posługiwał się automatyczną dwudziestkądwójką, a jego samochód pochodził z Atlanty, gdzie go ukradł, kiedy udało mu się uciec z aresztu dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Sprzedawca, młody, czarnoskóry mężczyzna miał już dość napadów, bo w ciągu ostatnich miesięcy usiłowano go okraść aż siedem razy. Chciał wyrwać bandycie broń. Nie wierzył zresztą, że jest prawdziwa. Ale była,

więc i tak miał szczęście, bo kula przeszła mu na wylot lewe udo, raniąc go bardzo boleśnie, ale niezbyt groźnie.

Rozmawiali z nim krótko w izbie przyjęć.

– Był mały – jęknął, krzywiąc się z bólu. – Dałbym głowę, że to zabawka. A teraz wpadłem w prawdziwe tarapaty. Moi pracodawcy uważają, że w takiej sytuacji należy się poddać i pod żadnym pozorem nie walczyć z bandytą. Mam nadzieję, że nie wylecę z roboty.

Detektywi zatrzymali się na chwilę w pokoju pielęgniarek, gdzie policjantka właśnie pisała raport.

– Nie do wiary – powiedział Jim. – Biedaczysko obrywa kulkę i jeszcze się martwi, że go wyleją, bo nie chciał, żeby po raz kolejny zwinęli mu szmal. Powinien przecież dostać premię za odwagę.

– Boją się odpowiedzialności – wyjaśnił mu Rick. – Wolą odzłować tych parę dolców z kasy, niż płacić odszkodowanie rannemu.

– No jasne – zrzędził Jim. – Bandyta mógłby oberwać, a wtedy z pewnością by ich zaskarżył, i co więcej, dostał forszę. Mam dość tej pieprzonej roboty.

Dyżurująca pielęgniarka wróciła na swoje stanowisko, a Rick posłał jej swój najbardziej ujmujący, chłopięcy uśmiech.

– Co słychać, Aileen?

– Teraz wszystko dobrze. Przecież tu jesteś. Może przyszedłeś, żeby mnie wreszcie stąd zabrać?

– Nie tym razem. Dziewczyna mi nie pozwoli.

– Rzeczywiście. Zapomniałam. Jak tam życie rodzinne?

– Nie jestem jeszcze pewien, ale jak będę coś wiedział, to dam ci znać.

– Masz jakiś interes?

– Chodzi mi o tych dwóch facetów – położył przed nią na biurku portrety pamięciowe Kolumbijczyków. – Czy Dusty była już z tym u ciebie?

– Detektyw Dustin? Nie widziałam jej tu dzisiaj. Ich zresztą również nie. Chodzi o rannego od kuli?

– Nie. Jeden z nich ma najprawdopodobniej poparzoną twarz.

– Zostaw mi to. Dam ci znać, jeśli się tu pokażą.

Młoda dziewczyna siedziała w fotelu na kółkach nie opodal Ricka i płakała. Miała podarte ubranie, rankę na czole oraz krew na dolnej wardze i kolanach.

– Co jej się przytrafiło? – spytał Jim.

– Chyba wpadła pod samochód. A jej chłopak ma szkło powbijane w stopy. Właśnie mu je wyciągają. Udana randka, nie ma co. A skoro już mowa o randce, to z niczym ci się to nie kojarzy? – spojrzała czule na Ricka.

– Nie było chyba aż tak źle, co?

Ciemnowłosy chłopak, o którym mówiła pielęgniarka, leżał twarzą do dołu na stole zabiegowym, za następnym przepierzeniem, częściowo osłonięty parawanem. Lekarz zajmował się troskliwie jego stopami. Przy stole stała Terry Lou Mitchell. Miała zwężone oczy i niepewny wyraz twarzy. Zasypywała pacjenta pytaniami i pisała raport. Na widok Ricka Terry wyszła z za parawanu. Jej twarz pojaśniała. W tej samej chwili automatyczne drzwi rozsunęły się i do izby przyjęć wtargnęło czworo ludzi: mężczyzna i kobieta w średnim wieku, dwudziestoletni chłopak i młoda dziewczyna, bardzo podobna do nastolatki siedzącej w fotelu na kółkach, która na ich widok zaczęła zawodzić.

– Mamusiu, mamusiu – jęknęła, po czym otworzyła ramiona, a jej matka i siostra natychmiast do niej podbiegły.

Jej ojciec i brat rozejrzeli się dookoła, klnąc głośno po hiszpańsku, zobaczyli chłopaka na stole zabiegowym i ruszyli do ataku.

– O rany – powiedział Jim.

Terry Mitchell, powstrzymała ich, wykonując taki gest, jakby dyrygowała ruchem.

– Wasza córka nie jest poważnie ranna. To, co się stało, nie jest jego winą. On też uległ obrażeniom – powiedziała. – Właśnie jest w trakcie zabiegu. Nie przeszkadzajmy lekarzowi.

Mężczyźni niechętnie odeszli, wciąż miotając przekleństwa pod nosem.

– Co się, u diabła, stało? – zapytał Rick.

– Trudno powiedzieć – Mitchell mówiła cicho, cedząc słowa. – Szlag ich trafił, bo przez tego chłopaka ich ukochane szesnastoletnie maleństwo nie wróciło na czas do domu i w dodatku uległo wypadkowi. Ci młodzi biesiadowali na tej niewielkiej plaży w Key Biscayne. Chyba trochę pili, a może robili nawet jeszcze co innego. Chłopak twierdzi, że poranił sobie stopy, kiedy gonił jakiegoś natręta. Ona mówi, że bardzo się przestraszyła, pobięła za nimi i została potrącona przez tajemniczy samochód, którego kierowca nie zatrzymał się i uciekł. Nie może opisać tego auta. Nie zapamiętała numerów – policjantka miała sceptyczną minę. – Bóg jeden wie, co naprawdę się wydarzyło. Oni chyba sami nie są pewni, a nawet gdyby byli, nic by nie powiedzieli. Znasz przecież takie dzieciaki.

– Tak – potwierdził Rick. – Sam kiedyś taki byłem.

Odwrócił się, już gotowy do odejścia. Spieszyło mu się na komendę, bo chciał przeczytać akta Macka dotyczące zabójstwa w sklepie nocnym.

Przy odrobinie szczęścia mogły mu pomóc odnaleźć zabójcę, który nie zostawiał przy życiu tych, którzy mogliby go rozpoznać.

Rozdział dziewiętnasty

Alex zrozumiał już, dlaczego ośrodek miał tak wielu zwolenników. Nie była to jedynie sala gimnastyczna, ale przede wszystkim fabryka snów. Gogusie w sali Nautilusa rozciągający i wzmacniający mięśnie trenowali nie tylko ciała, ale również wyobraźnię. Alex obserwował ich oczy wpatrzone w lustra i odbite w nich własne sylwetki. Był przekonany, że widzieli w nich zamiast siebie Rocky'ego albo Rambo. A kobiety pyszniły się wokół w swoich drogich kostiumach do ćwiczeń, napinały mięśnie, robiły skłony i patrzyły jak w transie na swoje odbicie w szklanych taflach, przekonane, że wyglądają jak tancerki z kabaretu Boba Fosse'a. Teraz Alex ujrzał dokładnie to, czego mu brakowało – pulsujące lona osłonięte przez skąpe kostiumy, włosy wijące się w ledwo przykrytym bawełnianym materiałem krocza. Nigdy nie sądził, że pot może być tak podniecający. Widocznie zależy to od tego, kto się poci i gdzie ściekają krople.

Dziś był tu po raz pierwszy i zdecydował, że nie ostatni. Wyjąwszy kilka sflaczałych miłośniczek sportu, doświadczonych ciężko przez prawo grawitacji, można tu było obejrzeć wspaniałe wręcz przedstawicielki gatunku ludzkiego, nacieszyć się widokiem ich gibkich ciał, głębokich wdechów, wyćwiczonych mięśni i sterczących sutek. Te, które trenowały najbardziej zapamiętane, najwyraźniej zupełnie nie potrzebowały ćwiczeń. Instruktorzy byli również godni uwagi. Na przykład Barry ze swym porozumiewawczym uśmiechem, w legginsach, które opinały się na nim, jakby były namalowane, albo te piękne kobiety, giętkie i wspaniałe zbudowane, które tańczyły lub biegały wokół. Alex nie wiedział już sam, która z nich bardziej go podnieca: ta mała Latynoska z makijażem

odpowiednim na scenę w Vegas, kwicząca jak mała świnka, podnosząc wysoko nogi i kręcąc biodrami, czy też może Tawny Marie, główna instruktorka.

Ależ ona miała ciało! Silna, smukła i zwinna przypominała panterę, a zachowywała się tak, jakby trenowała komandosów. Ciepłym, gardłowym, silnym głosem zachęcała swych podopiecznych do bardziej energicznych wysiłków. Gdy tak na nią patrzył, nie miał wątpliwości, że miałby ochotę ją przelecieć. Wyglądała jak dziki Indianin – gibka, muskularna, ze spadającymi na ramiona czarnymi włosami. Pomyślał, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby wykorzystwała to, czym mógł się pochwalić. Wyobrażał sobie, jaka by była; silna, wytrzymała, kontrolująca każdy ruch. Ta wizja zapierała mu dech bardziej niż wykonywane ćwiczenia. Cholera – pomyślał. Może przecież dowiedzieć się, gdzie ona mieszka, i przyjść z niespodziewaną wizytą. Poprosić o prywatną lekcję lub zaproponować, że sam udzieli jej konsultacji. Bardzo spodobał mu się ten pomysł. Zainteresował go bardziej niż powód, dla którego w ogóle tutaj przychodził, czyli śledzenie tej dziwki.

Starał się na nią nie patrzeć, bo jej widok przyprawiał go o taką wściekłość, że nie mógł ani sensownie myśleć, ani ćwiczyć, a niedobrze by było potrącić kogoś w czasie aerobiku. Niech to szlag – pomyślał. Aerobik numer trzy. Ci, którzy to wytrzymają, zasługują na nagrodę w postaci czerwonego serduszka. Wszystkie ćwiczenia bowiem miały za zadanie wzmocnić układ krążenia. Miał nadzieję, że jego wysiłki przyniosą pożądane skutki.

Zanim się tu pojawił, obserwował Laurel i Dusty, które akurat przebywały w tym samym pomieszczeniu. Były takie świadome swej

wzajemnej obecności, a jego w ogóle nie dostrzegały. Udawały, że nie zwracają na siebie uwagi, choć nie było to łatwe. A miały wiele ze sobą wspólnego. Obie okazały się na tyle głupie, żeby pozwolić się oszukiwać temu samemu mężczyźnie.

W lustrzanej sali trudno było na nie, nie patrzeć. Widział je wszędzie gdzie spojrzał. Ich zwielokrotnione w setki postacie, rzędy głupawych twarzączek okolonych jasnymi włosami. Emanujący z nich gniew doprowadzał go do szaleństwa. Wziął głęboki oddech, usiłując przywrócić jasność myślom, otoczony dziesiątkami, tysiącami odbitych w lustrach sylwetek.

Pomyślał, że Laurel i Dusty mają wszakże jeden wspólny powód do radości. Jeśli są razem, każda z nich może być pewna, że ta druga nie przebywa w tym czasie w towarzystwie Ricka. Uśmiechnął się. Nawet im nie przyjdzie do głowy, że wtedy on zajmuje się jakąś inną dziwką. Ten facet pieprzyłby się nawet z wężem, gdyby udało mu się go przytrzymać.

Gliny nigdy nie wstawiły się monogamicznym stylem życia – pomyślał Alex. Zastanawiał się, dlaczego tak wiele kobiet ma ochotę pójść do łóżka z Rickiem, i nie wiedział, czy przyciąga je jego penis czy pistolet. Bo na pewno nie intelekt. Może po prostu fascynuje je śmierć i niebezpieczeństwo. Dlatego prostackie kapele rockowe mają tyle samo zwolenniczek co gwiazdy tej muzyki. Pistolet jest symbolem śmierci i seksu, dlatego właśnie jest atrakcyjny dla kobiet.

Spojrzał na Dusty i doszedł do wniosku, że ona na pewno zabiera ze sobą broń do łóżka. Kocha spluwy. Może by jej tak pokazać parę sztuczek z pistoletem? Z pewnością byłaby zachwycona. Robiła teraz pompki, wydychając powietrze przez okrągły, różowy otwór ust. Ma doskonale

rozwinięte płuca – pomyślał. Zaraz wyskoczą jej z kostiumu. Alexowi bardzo podobały się te mokre plamy, zakola potu – jedna na plecach, a druga między piersiami. Są mężczyźni, którzy z pewnością uznaliby jej mocno umięśnione pośladki i ręce za seksowne. Dla niego była zbyt silnie zbudowana. Te wszystkie kobiety są pozbawione wdzięku – pomyślał. Chciałby zobaczyć, jak jakiś punk usiłuje wyrwać im torebkę. Przeżyłby szok.

Nie mógł nie myśleć o Laurel. Wizja jej ciała budziła w nim wściekłość i agresję. Z przyjemnością poszarpałby ją na strzępy, wyrwał z niej to, co Rick najbardziej kocha w każdej kobiecie, i patrzył, jak umiera. Seks, a następnie śmierć. Chciałby zobaczyć wyraz jej twarzy w chwili, gdyby wszystko zrozumiała. Musiał jakoś zdradzić jej swoją obecność. Nie mógł się powstrzymać. Może zostawić dla niej liścik miłosny? Zwróciłby na siebie uwagę i wsadził kij w mrowisko.

Zajęcia powoli dobiegały końca. Dzięki Bogu – przemknęło mu przez myśl. Tawny Marie z pewnością chce nas wszystkich wykończyć. Odplaci jej pięknym za nadobne pewnej nocy, kiedy najmniej się będzie tego spodziewać. Wcale nie była zmęczona. Co za kobieta! Powinno się jej zlecić odbicie zakładników. Sprowadziłaby wszystkich bezpiecznie do domu i biada każdemu, kto usiłowałby jej przeszkodzić.

W samą porę położyły się na matach na podłodze. Kiedy się postarał, widział je obie dokładnie, leżące płasko na plecach z rozszerzonymi nogami, w pozycji, którą te głupie suki lubiły najbardziej, patrzył, jak unoszą w górę pośladki i ruszają biodrami. Dusty zarumieniła się z wysiłku. Policzki Laurel zaróżowiły się leciutko, ale jej twarz była spokojna, jakby dziewczyna leżała w trumnie.

Może ten liścik spełni swoją rolę i narobi zamieszania. Chciał, żeby się bała jak diabli, nim umrze.

Rozdział dwudziesty

Nabazgrany czerwonym długopisem na odwrocie karty klubowej liścik spoczywał teraz w kieszeni płóciennej torby gimnastycznej. W tej samej przegródce Laurel trzymała prawo jazdy i kluczyki do samochodu.

ZABIJĘ CIĘ, TY DZIWKO.

Ogromne litery u dołu strony jako pierwsze przykuły jej uwagę. Ten, kto był autorem listu, przyciskał długopis do kartki tak mocno, że aż podarł się papier.

Mam nadzieję, że stoisz teraz niedaleko szafy. Masz w niej swoje zdjęcie z tym dupkiem.

Oczy Laurel powędrowały ku drzwiczkom schowka. Na fotografii zrobionej czwartego lipca była ona wraz z Rickiem. Bawili się i śmiali, a on usiłował wciągnąć ją do wody.

Tym razem nikogo nie będziesz pieprzyć. To ja cię będę pieprzyć. Najpierw wypruję z ciebie flaki. A jak cię położę w kostnicy, wszyscy się będą zastanawiać, kto cię tak urządził. Wyobraź sobie, że będziesz leżeć na zimnym stole, z wydłubanymi oczami, posiniaczona, z zakrwawioną cipką. Już się nie mogę doczekać. Dziś, jak patrzyłem na twoją dupę, ledwo dałem radę utrzymać go w spodniach. Do zobaczenia

List podpisano literą A.

Laurel okręciła się na pięcie, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje. Ale w pobliżu nie było nikogo, oprócz Dusty, która właśnie wyłoniła się spod prysznic, zrelaksowana, owinięta w ręcznik, z mokrymi włosami. Spojrzała zdziwiona, na skupiony wyraz twarzy Laurel i uśmiechnęła się. Dziewczyna okręciła się na pięcie i wybiegła z szatni. Dusty goniła ją wzrokiem.

Wciskając gaz do dechy, Laurel wjechała na podjazd, rozpryskując żwir, wysiadła z samochodu i wpadła jak burza do domu frontowym wejściem. Zwykle spokojny Chuckles, kot syjamski, przestraszył się tak, że zrejterował pod krzesło. Kiedy Laurel pokazywała Rickowi list, drżała jej ręka.

– Niech to szlag – powiedział, nie całkiem jeszcze rozbudzony. – Kto, do cholery?...

– To ty jesteś detektywem – odparła. Na nogach miała reeboki, poruszała się niemal bezszelestnie i ssała kciuk. Była bardzo przestraszona. – Najpierw Rob, a teraz to.

– Co tam się dzieje? Inne też dostały takie listy?

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Niech to szlag – powtórzył, przetarł oczy i sięgnął po levisy. – Pojedziemy tam.

Rick prowadził, a Laurel siedziała cicho obok niego z zaciśniętymi ustami.

– Takie rzeczy, niestety, dosyć często się zdarzają ładnym kobietom – pocieszał ją. – Ale – dodał natychmiast ponuro – nie życzę sobie, żeby przytrafiały się tobie. Ten dupek nieźle ode mnie oberwie, jak go dostanę

w swoje ręce.

Spotkali Dusty, która właśnie wychodziła z ośrodka z torbą gimnastyczną przewieszoną przez ramię. Miała wciąż mokre włosy i zaciesała je gładko do tyłu. Wyglądała pięknie w białym podkoszulku i szortach. Emanowała z niej siła.

– Rick! Zdecydowałeś się wreszcie rozruszać kości? Muszę to zobaczyć na własne oczy!

– Co o tym myślisz? – pomachał jej listem przed nosem.

Miała nic nierozumiejący wyraz twarzy, więc Rick zwrócił się do Laurel:

– Pokazałaś to Dusty?

– Nie – powiedziała cicho Laurel, kręcąc głową. Wyczuła lekkie zniecierpliwienie w głosie Ricka i dodała: – nikomu go nie pokazywałam.

Dusty przeczytała pobieżnie list i wzniosła oczy do nieba.

– Gdzie był? W samochodzie?

– Nie – odparła chłodno Laurel. – W mojej torbie.

– Aha – mruknęła z namysłem Dusty, jeszcze raz przeczytała kartkę i spojrzała na Laurel z trudnym do rozgryzienia wyrazem twarzy. – Miałas jakieś zadrażnienia z facetem z recepcji albo parkingowymi? A może ktoś się do ciebie podwalał i powiedziałaś mu coś do słuchu? Jakiś instruktor albo członek klubu?

Laurel zaprzeczyła.

– Nie wiesz przypadkiem, czy inne kobiety dostały również takie listy?
– zapytał Rick.

Dusty pokręciła głową. Mark Hamilton, kierownik ośrodka, również nie wiedział nic na ten temat. Niski, krępy mężczyzna, który stanowił

świetną ilustrację powiedzenia, że szewc bez butów chodzi, siedział za dużym biurkiem, stojącym na środku nowocześnie urządzonego, pomalowanego, na biało, dość wąskiego gabinetu. Przebiegł wzrokiem anonim, zagryzł dolną wargę, a na jego twarzy pojawił się groźny wyraz.

– Nigdy przedtem nic podobnego się tu nie wydarzyło – oświadczył. – A nie zatrudniałem żadnych nowych pracowników.

Wstał, i przeciskając się z trudem obok swych gości, poklepał mocno wystający brzuch.

– Mam tu tyle pracy, że nie starcza mi czasu na trening – powiedział wstydliwie i zawołał Tawny Marie.

Wkroczyła do gabinetu krokiem rasowej klaczy, która właśnie odbywa rundę honorową. Na jaskrawy kostium i połyskujące legginsy zarzuciła białą, podobną do togi sukienkę mini. Włosy upięła z tyłu, przytrzymując je klamrą w kształcie motyla. Jej gładka skóra nie nosiła nawet najmniejszego śladu makijażu, białe zęby lśniły w czarującym uśmiechu.

– Co porabiasz, Riek? Ostatnio w ogóle cię tu nie widuję – spojrzała na inne obecne w pokoju osoby i przeniosła, wzrok z powrotem na niego. – Przyszedłeś służbowo?

Jej duże brązowe oczy o ciepłym spojrzeniu stały się jeszcze większe, gdy skończyła czytać list.

– Faj, ohyda – skomentowała, marszcząc nos. – Jakiś zboczony psychopata!

– Nie chodzi tu wyłącznie o obsceniczną treść – wyjaśnił jej Rick. – Muszę to potraktować poważnie, po pierwsze dlatego, że taka jest moja praca, a po drugie, prowadzę sprawę o zabójstwo i jak dotąd nie udało mi się wykryć sprawcy, a zostało ono dokonane w moim bezpośrednim

sąsiedztwie. Nikt poza Laurel nie otrzymał takiego listu, więc sprawa wygląda jeszcze poważniej. Czułbym się o wiele lepiej, gdyby ten świr podłożył podobne liściki miłosne do wszystkich toreb gimnastycznych. Dlatego muszę się dowiedzieć, kto i dlaczego to napisał. Nie sądzę, żeby wyjaśnienie tej sprawy okazało się szczególnie trudne. Z pewnością autorem anonimu jest mężczyzna, który brał udział w dzisiejszych porannych zajęciach. Ogranicza to liczbę potencjalnych sprawców do facetów, którzy w nich uczestniczyli – zawiesił głos, gdyż zauważył, że Tawny Marie i Dusty wymieniają znaczące spojrzenia.

– Nie było żadnych facetów na treningu, Rick – powiedziała cicho Tawny Marie.

W drodze do domu, Rick zirytował się bardzo, kiedy Laurel spytała go wprost, w jaki sposób poznał Tawny Marie.

– W ośrodku sportowym, kochanie. Pomagałem organizować treningi dla policjantów biorących udział w spartakiadzie. Ona koordynowała wszystkie prace i zrobiła świetną robotę.

– Umawiałeś się z nią?

Poczuł przyływ gniewu i zamknął oczy.

– Nie – skłamał, przypomniawszy sobie ostatnią rozmowę z Jimem. – Może kiedyś postawiłem jej drinka.

– A czy...?

– Absolutnie nie.

Milczeli, dopóki nie znaleźli się na wysypanym białymi kamykami podjeździe, w cieniu płóciennego zadaszenia.

– Masz jakieś zdanie na temat tego listu, skarbie?

– Czuję się jak debil. Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś, że były tam same dziewczyny?

– Nie zwróciłam na to uwagi – odparła, wyraźnie zmieszana, a jej słowa nie zabrzmiały zbyt przekonywająco.

– Nikt nie zachowywał się dziwnie, nie zaczepiał cię?

Spojrzała na niego znienacka.

– Czyżbyś jeszcze się nie domyślał?

Z jej zielonozłotych oczu znikło przerażenie. Teraz stały się szare i pojawiła się w nich zimna pewność. Głos miała ostry jak brzytwa, mówiła z przekonaniem.

– To ty jesteś detektywem – patrzyła na niego śmiało, unosząc arogancko podbródek.

– Chciałbym, żeby wszyscy o tym zapomnieli – odparł ponuro i tylko trochę żartobliwie.

– Wiem, kto to zrobił. Wiem, kto chce mnie nastraszyć.

– Dobra – powiedział. – Teraz przynajmniej nie stoimy w martwym punkcie.

Zaparkował, ale nie wyłączył silnika, chcąc, żeby wciąż działała klimatyzacja. Obrócił się do niej na skórzanym siedzeniu i przybrał wyczekujący wyraz twarzy.

– A więc kto, kochanie?

– Jedyna osoba w grupie, która mnie zna i nie lubi – zrobiła krótką pauzę. – Dusty.

– Chcesz powiedzieć, że... Daj spokój. Ona nie zrobiłaby nigdy czegoś takiego. Możesz mi wierzyć. Masz to jak w banku. Nie wolno ci tak myśleć.

– A jednak tak myślę, choć wcale tego nie chcę – powiedziała z naciskiem. – Zawsze mówiłeś, że ważny jest motyw i sposobność. Nikt poza nią nie ma motywu. I na pewno miała sposobność. Przecież tam była.

– Absurd – oświadczył krótko i wyłączył zapłon. – Jest tam wielu takich czubów, którzy po prostu wybierają sobie ofiarę i niepotrzebny im żaden powód. Albo wiedzą, że ja jestem gliną.

Nie odezwała się.

– Dlaczego? – zapytał. – Nie zrobiłaby czegoś tak głupiego. Ona jest policjantką, na miłość boską, policjantką i przyjaciółką.

– Ale nie moją. Jest o mnie zazdrosna, bo mieszkasz ze mną – powiedziała głośniejszym i trochę piskliwym głosem.

– W życiu nie słyszałem większej bzdury. Dusty jest moją partnerką, pracujemy razem – tłumaczył martwym głosem, jakby był już u kresu sił.

Otworzył drzwi i wpuścił do samochodu wilgotny upał, który w ciągu kilku sekund wypełnił wnętrze auta, zamykając ich w swym zapierającym dech uścisku.

Laurel siedziała dalej nieruchomo i była bardzo rozdrażniona. Rick obszedł wóz dookoła, otworzył drzwiczki po stronie pasażera i położył delikatnie lewą dłoń na karku dziewczyny.

– Chodź, kochanie. Na pewno istnieje jakieś inne wytłumaczenie. Wysiadła i zadrżała mu w oczy, uśmiechając się lekko.

– Zrobię ci omlet. Potem mam masę innych zajęć. Muszę coś upiec i zająć się ogrodem.

Patrzył za nią, stojąc z tyłu, z opartymi na biodrach rękami, potrząsnął głową i wszedł do środka.

Rick uznał wprawdzie oskarżenie za niebyłe, lecz tej nocy zauważył w komisariacie, że brakuje jednego z trzech długopisów, które Dusty przypinała zawsze do zewnętrznej kieszeni dużej, skórzanej torby. Były tylko dwa. Czy ten brakujący miał czerwony wkład? Próbował sobie przypomnieć. Jeśli list do Laurel był po prostu idiotycznym kawałem, który spowodował to całe zamieszanie, Dusty na pewno wyrzuciłaby długopis. Zezłościł się sam na siebie za to, że w ogóle rozważa taką możliwość. Natomiast koncepcja, według której list do Laurel mógł być jakoś powiązany z zabójstwem Roba, nadal wydawała mu się godna rozważenia.

Wreszcie dotarły na jego biurko materiały zgromadzone przez Macka Thomasa, który zajmował się zabójstwem pakistańskiego sprzedawcy ze sklepu całodobowego. Przejrzał je i bardzo go rozczarowały.

– Tu nic nie ma – stwierdził mocno zdegustowany Jim, potrząsając pustą papierową kopertą z napisem „Dowody”. – Nawet nie przesłuchali faceta, który pracował w tym samym sklepie, kiedy Pakistańczyk miał wolne. Nie zapytali go, czy ktoś się tam czasem nie pętał, czy nie było jakiejś draki albo próby rabunku, której nie zgłosili na policji. Nie dowierzam Maćkowi. To przecież morderstwo pierwszego stopnia, a niejedno śledztwo w o wiele drobniejszej sprawie było prowadzone z większą starannością.

Wiatr walił o szyby jak jakiś wściekły bokser. Sztormowa pogoda zawsze bardziej dawała się we znaki na wyspach. Laurel zatrzasnęła drzwi i zaszlochała głośno. Jestem sama – pomyślała – i tak nikt mnie nie słyszy. W jej szafach znajdowały się jakieś ubrania, nie przypominała sobie, aby

je kiedykolwiek kupowała, takie, których nigdy by nie włożyła na siebie, bezkształtne, bawełniane suknie domowe, skórzana mini. Nie pamiętała tyłu wydarzeń, było tyle zagadkowych rzeczy do wyjaśnienia, luk w czasie, których nie miała czym wypełnić, wymazanych ze świadomości godzin. Usiłowała połączyć się z nimi wielokrotnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni, ale coś zawsze stawało jej na przeszkodzie. Teraz udało jej się wreszcie wybrać numer.

– Mama? – ledwo mogła wymówić to słowo, głos łamał jej się wyraźnie.

– Co się stało, Laurel? – w głosie matki również słychać było drzenie.

– Znowu coś się dzieje. Nie pamiętam. Tracę poczucie czasu – ręka, w której trzymała słuchawkę, trzęsła się.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Mamo?

– Jesteś pewna? – spytała tamta z troską i rezygnacją.

– Oczywiście, że tak!

– A co na to Rick?

– Przecież on nic nie wie! – krzyknęła histerycznie Laurel i zaczęła płakać.

– Spróbuj się uspokoić. Staraj się nie martwić. Wiesz, że to zawsze pogarsza sprawę. Może – w tym słowie wyraźnie pobrzmiwała nadzieja – jeśli on się nie domyśla, nie dzieje się nic poważnego.

– Ależ dzieje się. Dzieją się straszne rzeczy. Ogarnia mnie szaleństwo – jęknęła, kołysząc się na krześle.

– Nie używaj tego słowa, Laurel. Nigdy. A szczególnie nie przy Ricku. Bądź silna i weź się w garść. Bardzo z tobą źle?

– Nie wiem, ale boję się. Mam powiedzieć Rickowi?

Głos matki brzmiał bardzo niepewnie.

– Uważam, że to niezbyt dobry pomysł. A ty?

– Znienawidziłby mnie. Nie chcę go stracić.

– W takim razie nic mu nie mów. Gdybyście byli małżeństwem...

– Ale nie jesteśmy! Co mam robić?

– Twój ojciec nie czuje się dobrze. Jeśli mam być szczerą, ja również nie jestem okazem zdrowia. Przyjazd do ciebie będzie od nas wymagał ogromnego wysiłku, ale – westchnęła – powiem mu i spróbujemy się pojawić jak najszybciej.

– Jak najszybciej, mamo! Błagam! Tak mi przykro.

– Mnie również – odparła matka zmęczonym tonem. – Sądziliśmy, że jesteś szczęśliwa.

– Byłam, ale potem zaczęły znowu dziać się te wszystkie okropne rzeczy, tak samo jak kiedyś. Może nawet gorsze – Laurel pożegnała się z matką, opuściła głowę i zaczęła szlochać.

Płacz powoli ustawał.

Kilkanaście minut później Alex podniósł głowę i wybrał ten sam numer. Matka Laurel podniosła słuchawkę już po drugim dzwonku. Powiedział jej, żeby przestała się wtrącać i pilnowała własnego nosa.

– *Zostań w domu i przestań nam wchodzić w drogę. Zrozumiałaś?*

Minęło parę minut i zatelefonowała Harriet. Pogodnym głosem oświadczyła pani Trevelyn, że wszystko jest w porządku i w obecnym stanie rzeczy ich wizyta nie ma sensu.

– *Jeśli rzeczywiście jesteś pewna, że nie jesteśmy ci potrzebni... – w*

zmęczonym głósie matki Laurel pojawiło się wahanie, ale i ulga zarazem.

Harriet jeszcze raz zapewniła ją, że wszystko jest w porządku, po czym zwołała wszystkich na konferencję. Stan Laurel mógł obrócić się przeciwko nim.

– Jest zupełnie rozstrojona. Zdaje sobie sprawę, że ma luki w pamięci. Nie możemy tak bardzo mącić jej w głowie.

– No i co z tego? Mam to w nosie – Marilyn strzeliła gumą do żucia i skrzyżowała nogi. – Po tym wszystkim, co dla niej zrobiliśmy!

– Chodzi o nasze wspólne dobro – przekonywała ją Harriet. – Jeżeli jeszcze bardziej się przestraszy, sprowadzi nam na kark rodziców albo przyzna się Rickowi ze łzami w oczach, że jest wariatką. W obu przypadkach kiepsko się to skończy. Rick ją wyrzuci i stracimy dom.

– Niech ten sukinsyn lepiej uważa – powiedział złowrogo Alex, przemierzając pokój. – A doktor też mi się nie podobał.

– Nie zdobyłaby Ricka, gdyby nie ja – dodała z dumą Marilyn. – Przecież to właśnie mnie poznał.

– Tylko dlatego, że prowadziłem samochód – Alex postukał palcem w pierś, świadom, że również odegrał tu ważną rolę. – Nie zapominajcie o tym.

– Tak, ale jak usłyszałeś syrenę, dałeś nogę i zostawiłeś mnie za kierownicą – przypomniła Marilyn. – Spodobałam mu się. Potem zadzwoniłam do niego. Laurel zobaczyła go po raz pierwszy, kiedy już randka trwała w najlepsze.

– Żałuję, że nie mogłam zobaczyć jej miny. Zorientowała się nagle, że karmi Ricka ostrygami w restauracji i w ogóle nie pamiętała, jak się tam znalazła.

– *On lubi, kiedy ona robi się nagle taka zmieszana i zakłopotana. Uważa, że to słodkie, i powinniśmy się z tego cieszyć – odezwała się Harriet. – A przy okazji, Alex. Naprawdę uważam, że następnym razem, kiedy popadniesz w tarapaty, powinieneś sam wybrnąć z sytuacji, a nie zostawiać sprawy do załatwienia komuś z nas.*

– *Ale wtedy wyszło nieźle, prawda? Chociaż może masz rację, powinienem być zostać i odstrzelić mu tyłek. Nie bylibyśmy teraz skazani na tego drania. A poza tym – podniósł głos – kto to mówi, do cholery? Zostawiłaś wtedy Laurel w kuchni z maszynką do kawy, z którą nie umiała sobie poradzić. Przecież miałaś dbać o takie rzeczy.*

– *Myślałam, że to świetny żart – zachichotała Harriet. – Najwyższy czas, żeby ta cholerna niezdara nauczyła się takich rzeczy. Zbiera pochwały za wszystko, co robię, a nie potrafi nawet zagotować wody.*

– *Ale właśnie ty głędzisz bez przerwy, że powinniśmy przestać ją straszyć.*

– *Tak, ale ty wszystko nam popsujesz, jeżeli się nie uspokoisz. Ten list, który do niej wysłałeś, był naprawdę idiotyczny.*

– *Naprawdę? Co w takim razie powiesz na swój temat, głupia zdiro? Uważasz, że to, co zrobiłaś z tym kotem, było normalne? Właśnie ty mogłaś wszystko spieprzyć. Rick był już na podjeździe, a Laurel zobaczyła kłaki w zlewie. Ten cholerny zwierzak mieszkał w domu obok.*

– *Tak samo jak Rob Thorne. A ten przebrzydły mały stwór chciał zrobić mi bałagan w kuchni – pisnęła Harriet. – Nigdy na to nie pozwolę.*

Jennifer zaczęła zawodzić.

– *Widzisz, co narobiłeś – rozgniewała się Harriet. – Obudziłeś małą! Marilyn zabrała się do polerowania paznokci i stwierdziła z żalem, że Rick*

nie zajmuje się nią dostatecznie często, bo nigdy nie ma go w domu.

– I dobrze, bo gdyby było inaczej, nie mógłbym nigdzie wychodzić – stwierdził Alex. – Znowu myślicie tylko o sobie.

– Dobrze, że w ogóle ktoś tutaj myśli – syknęła Harriet z głębi tunelu. – Co byś zrobił, gdyby złapał cię Thorne albo ten dzieciak na plaży? Pocałowałbyś ich w usta? A może zostawiłbyś którąś z nas, żeby się tym zajęła.

– Daj spokój. Załatwiłem sprawę, prawda?

– Tak, z właściwą sobie nonszalancją. Taką samą, z jaką porzuciłeś po całej sypialni biżuterię, którą ukradłeś Corleyom. Na szczęście ja ją znalazłam, a nie Laurel albo Rick.

– Ona nie wiedziałaby nawet, co to jest – prychnął Alex. – Dobrze oboje wiemy, że ta laska prochu nie wymyśli.

– Ale Rick wiedziałby aż za dobrze. Narobiliśmy sobie kłopotów.

– Skoro już mowa o kłopotach, uważam, że Marilyn powinna trzymać się z daleka od Barry'ego, Jak przychodzi trenować. On może sobie pomyśleć, że nawiązał z nią bliższą znajomość i kiedyś powie coś takiego, co zupełnie zaskoczy Laurel. To zbyt niebezpieczne. A w dodatku on zna Dusty. Z tą dziwką trzeba, zrobić porządek.

– Chryste, i tak już mam za mało seksu! – jęknęła Marilyn. – Jak tylko poznałam tego ogiera, który mieszkał tuż koło nas, od razu go zastrzeliłeś. Moje życie osobiste należy wyłącznie do mnie.

– Akurat! – powiedział Alex. – Twoje sprawy to nasze sprawy, a poza tym Barry to pedał.

– Wcale nie! – wrzasnęła Marilyn.

– Masz rację co do Dusty – odezwała się Harriet w zadumie. – Pieprzy

się teraz gdzieś z Mickiem. A co będzie, jeśli Rick porzuci dla niej Laurel? Trzeba z nią naprawdę zrobić porządek.

– Przynajmniej raz się zgadzamy – odparł Alex radośnie.

Wiatr smagał bezlitośnie drzewa rosnące za oknami komisariatu, a ciężkie powietrze zwiastowało deszcz, choć wbrew zapowiedziom meteorologów nie spadła dotąd ani jedna kropla. Jak zwykle się pomylili.

– Mają radar, barometry, cholera wie, co jeszcze, i nigdy nie udaje im się trafić – burczał Jim. – Jakbym tak usiadł w oknie jakiegoś wysokiego budynku w mieście i miał do tego lornetkę, na pewno wiedziałbym, jaka będzie pogoda. Chociaż nie jestem żadnym naukowcem, zrobiłbym lepszą robotę niż te wszystkie półgłówki.

Całe Karaiby obejmował tropikalny niż i meteorolodzy próbowali ustalić, czy przyniesie ze sobą pierwszy o tej porze roku huragan Armando. Detektywi rozmawiali wciąż o lukach w raportach Macka, kiedy otrzymali pierwsze tej nocy wezwanie. Jakiś facet chciał wyskoczyć z okna Jackson Memorial – dużego szpitala okręgowego.

Zostawili nieoznakowanego plymoutha przed izbą przyjęć, a w drzwiach spotkali Aileen. Opuściła ją charakterystyczna pogoda ducha i dziewczyna była przygnębiona.

– Szóste piętro – oznajmiła i poprowadziła ich do windy.

Porządkowy trzymał dla nich otwarte drzwi.

– Kto to jest, do cholery?

– Pacjent – wręczyła Rickowi kartę. – Starszy facet, nazywa się Albert Klonsky. Przyjeliśmy go tutaj na badania. Ma trochę kłopotów z sercem, rozedmnę płuc i cierpi na lekką depresję.

– To jest chyba oczywiste – stwierdził Rick i jego głęboko osadzone szare oczy na sekundę napotkały jej wzrok.

Usta Aileen drgnęły leciutko, jakby dziewczyna miała ochotę się uśmiechnąć.

– Wracajcie cali i zdrowi – powiedziała, podnosząc kciuki w górę, nim odgrodziły ich od siebie drzwi windy.

Rick chwycił za parapet i wychylił się na zewnątrz. Inni odsunęli się od otwartego okna. Zrogowaciałe stopy staruszka posuwały się krok za krokiem po betonowym występie, palce miał podkurczone, jakby chciał wczepić się w mur. Wokół szpitala hulał wiatr, który rozwiewał jego rzadkie włosy i oplątywał mu szlafrok wokół chudych kolan. Mężczyzna miał napięte mięśnie twarzy i wybałuszył oczy, jakby chciał dojrzeć otwarte okno bez odwracania głowy.

– Wyłączcie radia – szepnął Rick do ludzi za sobą. – Cześć, Al, witam pana, panie Klonsky – rzucił w powietrze. Mówił miłym głosem i brzmiało to szczerze. – Proszę zostać na miejscu i spróbować się nie poruszać.

Sześć pięter pod nimi jeździły samochody i wydawały się takie maleńkie. Klakson zabrzmiał jak krzyk szybującego w powietrzu ptaka. Człowiek na występie stał przez chwilę sztywno, spojrzął na Ricka, wziął głęboki oddech i posunął się parę kroków w bok. Miał zupełnie zrezygnowany wyraz twarzy, tak jakby ten jeden krok, który rzuciłby go wprost w objęcia szalejącego wiatru, był całkowicie pozbawiony znaczenia.

– Zostaw mnie w spokoju – poprosił cichym, drżącym głosem, który dochodził do Ricka jak echo.

– Nie dzieje się nic strasznego, ojczulku. Każdy ma takiego mola, co go gryzie. Ale wszystko może się zmienić.

Po policzkach staruszka potoczyły się łzy, a jego wychudłe ręce powędrowały do przodu, jak u nurka, który ma zamiar zeskoczyć z pokładu.

– Spokojnie, Al – Rick wbił wzrok w mężczyznę, jakby mógł w ten sposób zatrzymać go na miejscu, i zrzucił sportową kurtkę. Wręczył ją Jimowi, razem z pistoletem. – Idę tam – powiedział cicho i rozluźnił krawat.

– Co ty chcesz zrobić, do cholery? Zwariowałeś? – szepnął chrapliwie Jim.

– Boję się, że on naprawdę skoczy.

Dusty trzymała radio przy uchu i nagle syknęła coś przez zęby.

– Rick – prosiła nagłym szeptem – zaczekaj na straż pożarną. Przyjadą z całym sprzętem.

– Za ile?

– Piętnaście minut.

– Za długo. Przygotowania zajmą następne pięć. Ten facet nie będzie czekać.

– Na miłość boską...

Rick wyszedł przez okno na zimny, wąski pas betonu. Wiatr okazał się silniejszy, niż się spodziewał, i huczał mu teraz w uszach jak ocean.

– Ja za tobą nie pójdę – ostrzegł go Jim. – Wiesz, że mam lęk wysokości.

Rick przycisnął swoje sto siedemdziesiąt funtów do fasady budynku,

starając się nie patrzeć w dół. Nie bał się wcale, kiedy zdecydował się wyjść przez okno, a teraz tego żałował. Czy taki schemat przewijać się będzie przez całe jego życie? Przypomniawszy sobie, że jest ubrany w swój ulubiony garnitur, ten sam, w którym zdał egzamin na sierżanta. Pomyślał, że nie chce go zniszczyć. Wilgotne, przenikliwe powietrze smagało mu plecy i przywoływało wspomnienia. Miał osiem lat, wujek z Vermont pokazywał mu, jak się zostawia ślady anioła na śniegu. Trzeba było położyć się na wznak z rozpostartymi ramionami. Leżał tak więc i patrzył w niebo o kolorze kredy i w blade, zmęczone słońce, które nie grzało. Był przekonany, że to nie może być ta sama ognista kula, rozpalająca do białości chodniki w Miami, gdzie słońce stanowiło obietnicę życia w mieście położonym nad morzem, które rozsadzała zieleń, gdzie drzewa nie były nigdy pozbawione liści, gdzie krajobraz był zawsze bujny i żywy. Ale teraz nastała ciemność i Rick odczuwał chłód w okolicy pleców, które pokryły się potem, mimo że w otaczającym go labiryncie budynków szalał wiatr.

Tuż obok rozległ się trzepot skrzydeł – jakiś gołąb przestraszył ich obu.

– Nie podchodź bliżej – ostrzegł go staruszek zdesperowanym głosem.

– Muszę – oświadczył Rick, chociaż wiedział, że wcale nie musi.

Trudno by mu było znaleźć takie polecenie na liście obowiązków. Inni skrytykowałiby go zapewne ostro za ten pomysł, gdyż z reguły nie robili nic, co wykraczałoby poza ramowo określone wzorce. Ale czasem trzeba postępować zgodnie z instynktem. I bywa to nieraz złe.

Stary człowiek patrzył na niego.

– Chcę umrzeć – jęknął.

– Rano będziesz mówił co innego. Życie zawsze wydaje się o wiele

przyjemniejsze, gdy wszędzie słońce.

– Nie. Zostaw mnie w spokoju.

– Wiesz, jak wyglądają ludzie, którzy skoczyli albo spadli z wysokości?

Czaszka im pęka i wygląda jak rozłupane jajko.

Starzec nie przejął się specjalnie taką perspektywą, – A co będzie, jak zmienisz zdanie w drodze na dół? Kiedy już będzie za późno? Co się stanie, jeśli, się nie zabijesz, ale zostaniesz kaleką do końca życia?

Człowiek w lichym, szpitalnym szlafroku skierował wzrok na ciemny i mglisty horyzont. Rick wysunął kajdanki zza paska i włożył jedną bransoletkę na swój prawy przegub, po czym wyciągnął wolno rękę i opasał drugim kółkiem owłosiony przegub mężczyzny, tak że znalazło się ono tuż obok plastikowej obrączki szpitalnej. Słyszając charakterystyczny odgłos mężczyzna zachwiał się lekko, jakby właśnie miał zamiar skoczyć lub spaść.

Rick zadrżał i wstrzymał oddech.

– Spokojnie. Nie denerwuj się.

Usłyszał przytłumione przekleństwa w radiu w pokoju za sobą.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał starzec.

Rick nabrał powietrza w płuca. Czuł, jak wali mu serce.

– Nie wiem – odparł szczerze. – Ale wiem natomiast, że nie mam przy sobie klucza do kajdanek. Dokądkolwiek byśmy teraz poszli, przyjacielu, zrobimy to razem.

– Dlaczego? – Al wyciągnął szyję i po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy. – Mogłeś się zabić. Nie powinieneś był tu przychodzić. Chcę umrzeć.

– A ja nie. Nie wierzę poza tym, że ty tak naprawdę tego chcesz. Może

jest ktoś, z kim chciałbyś porozmawiać? Postaramy się go tu sprowadzić.

– Nikomu na mnie nie zależy – z jego pomarszczonej twarzy widać było wyraźnie, że Al lituje się nad sobą. Z oczu pociekły mu łzy. Wiatr smagał im kolana, szlafrok starca powiewał jak prześcieradło na lince do suszenia bielizny.

– Mnie zależy, Al. Mam też kogoś, komu zależy na mnie. Myślę, że w twoim życiu też jest ktoś taki.

Mężczyzna usiłował wytrzeć nos w poły szlafroka, ale kajdanki krępowały mu ruchy.

– Chodźmy do środka, wypijmy po filiżance kawy i pogadajmy o tym.

– Nie mogę – Al zadrżał. – Mam zupełnie zdrętwiałe nogi. Kręci mi się w głowie.

Chryste – pomyślał Rick. Tylko nie teraz. W dole pod nimi stały policyjne samochody, migając światłami. Wóz ratowniczy straży pożarnej z żółtą poduszką powietrzną był już najprawdopodobniej w drodze. Rick widywał strażaków podczas ćwiczeń, trenujących skoki na duże, żółte balony. Skakali nawet z piątego piętra, a Rick przypomniał sobie, jak ogarniało go wówczas uczucie ulgi, że nie jest strażakiem.

Miał wrażenie, że wiatr staje się coraz silniejszy, wciąż pobrzmiwał mu w uszach jego ostry świst. Starzec zachwiał się i szarpnął dłoń Ricka, przykutą do jego dłoni.

– Rób głębokie wdechy i wypuszczaj wolno powietrze. Wolno. Teraz zrób parę kroków w tę stronę. Małych kroków. Ostrożnie. Pomogę ci utrzymać równowagę.

– Boję się – jęknął Al.

– Ja też, ale musisz mi pomóc. Mam trzydzieści sześć lat i zamierzam

się ożenić. Ona ma na imię Laurel. Zapomniałem ci powiedzieć, że mamy ustalić datę ślubu.

– Chcesz się z nią związać?

– Tak. Kocham ją, Al, a ona mnie potrzebuje. Pomóż mi doczekać miodowego miesiąca. No chodź, teraz, małe kroczyki, w bok, w bok. Raz, dwa. Raz, dwa. Dobrze. Równiutko, jak w balecie, ale bez kankana, Al, bez kankana.

Bosa stopa mężczyzny cofnęła się i zamarła w bezruchu.

– Myślisz, że przyjechała telewizja?

– Nie. Reporterzy już dawno krzyczeliby, żebyś skakał. Nie dostarczaj nikomu darmowej sensacji. Jesteś żonaty?

– Inaczej nie byłoby mnie tutaj.

– Grzeczny chłopiec. Zostało ci trochę poczucia humoru. Jesteś w porządku. Wracajmy do środka, tam jest cieplej. Jeszcze tylko parę kroczków.

– Nie mogę. W jaki sposób wejdziemy z powrotem przez okno?

– Skoro udało nam się wyjść, uda nam się również wejść. Nie bój się. – Rick wyciągnął rękę do okna, chwytając lewą dłonią wewnętrzną framugę, a staruszek ostrożnie posuwał się za nim. – Dobrze, Al. Włóż teraz jedną nogę do środka. Ostrożnie. Ktoś ci pomoże. Ja wejdę za tobą.

Rick dojrzał w oknie niemal łysą głowę Jima, usłyszał czyjś ciężki oddech i zrozumiał, że to on sam tak dyszy.

Al uniósł nogę. Pomarszczona, ubrudzona stopa przez chwilę niepewnie kołysała się w powietrzu. Wtedy Jim chwycił mocno kostkę mężczyzny, a Dusty wychyliła się i objęła go mocno w talii. Z dołu dobiegł ich aplauz i wiwaty policjantów, strażaków oraz personelu

szpitala. Jim i Dusty z wolna wciągali Ala do środka, gdy nagle staruszek machnął gwałtownie rękami. Kajdanki pociągnęły prawą rękę Ricka, a jego stopy straciły oparcie.

Wisiał teraz w powietrzu, wczepiony kurczowo w parapet lewą dłonią. Zebrani w dole ludzie jęknęli, po czym zaczęli krzyczeć z przerażenia.

Dusty, Jim i mundurowy trzymali mocno Ala, który wrzasnął głośno, gdy ramię wyskoczyło mu ze stawu, a stopy uniosły się gwałtownie w górę. Policjanci, sapiąc i dysząc jak zapaśnicy, walczyliby utrzymać wiotkie ciało staruszka.

– Nie puszczaj! – wykrztusiła Dusty.

– Lina! – wrzasnął Jim. – Niech ktoś przyniesie linę, prześcieradło, cokolwiek! – W drzwiach za nim kłębili się w panice zdezorientowani ludzie.

Mężczyzna wrzeszczał jak opętany, bo obrączka kajdanek wbijała mu się w przegub z siłą, jaką nadawał jej cały ciężar uczonego z drugiej strony Ricka.

Rick widział tylko ciemne niebo i pionową, stromą fasadę budynku. Pod nogami miał jedynie pustą przestrzeń. Usiłował znaleźć jakikolwiek punkt oparcia. Bezskutecznie.

Odczuwał potworny ból w prawym ramieniu. Lewa dłoń zsunęła mu się z parapetu, ale Jim schwycił go za przegub. Był to mocny, pewny chwyt. Rick usłyszał odgłos ciała uderzającego o ciało, który brzmiał jak kłaśnięcie.

Dwaj mężczyźni trzymali Ala. Dusty złapała Ricka za ramię, tuż nad łokciem i starała się go unieść z pomocą Jima. Rick przetoczył się przez parapet, po czym cała trójka zwała się na podłogę, klnąc, dysząc i

usiłując oswobodzić się z wzajemnych uścisków.

W oczach Dusty lśniły łzy, ale nie płakała.

– Ty sukinsynu – wymamrotał Jim, podnosząc się z podłogi. – Nigdy więcej tego nie rób – dodał gromkim głosem, ale gdy siadał ciężko na szpitalnym łóżku, trzęsły mu się ręce.

Dusty zagryzła wargi i wykrzywiła z bólu twarz na widok zranionego, pokrwawionego przegubu Ricka, gdy uwalniała go z kajdanek.

– Dobra – powiedziała, udając obrażoną. – Co chciałeś zrobić, do cholery? Żebyśmy wszyscy dostali zawału? – drzenie głosu zdradziło jej prawdziwe uczucia.

Pielęgniarze odciągnęli Alberta na bok i założyli mu kaftan bezpieczeństwa. Płakał i usiłował rozetrzeć obolałe ramię. Rick, wciąż jeszcze otumaniony, siedział na podłodze. Sanitariusz i Dusty chcieli mu pomóc się podnieść. Odsunął ich i wstał powoli o własnych siłach.

– No nie! – wykrzyknął, gdy spojrzał na swoje ubranie. – Zniszczyłem taką ładną koszulę.

Aileen rozcinała szczątki koszuli Ricka, przygotowując go do zdjęcia rentgenowskiego, a Dusty trzymała jego płaszcz i broń.

– Zupełnie jak dawniej – powiedziała pogodnie pielęgniarka. – Pamiętasz, jak wtedy spadłeś z motocykla?

– Nie spadłem – zaprotestował, badając delikatnie swój przegub. – Wpadłem tylko w poślizg przez tę plamę oleju na szosie, kiedy goniłem faceta w skradzionym samochodzie.

– Jasne – odparła. – A przypominasz sobie ten upadek z DuPont Building?

– Wiedziałem, że nie bez powodu mam lęk wysokości – stwierdził Rick. – Ale nie rozumiem, o jakim upadku mówisz. Po prostu załamały się pode mną schody przeciwpożarowe, kiedy ścigałem podejrzanego.

– Pewnie – zgodziła się Aileen. – A to pamiętasz? – z uśmiechem połaskotała starą bliznę w kształcie półksiężyca, blisko cał pod obojczykiem.

– Zawsze byłem ciekawa – wyrwało się Dusty – skąd ją masz?

– Nóż – wyjaśniła Aileen, unosząc brew. – Wtedy udało mu się złapać podejrzanego.

– Będzie miał nauczkę – stwierdziła Dusty.

Kobiety wymieniły między sobą spojrzenia, które mówiły wyraźnie, że łączył je podobny związek z tym samym mężczyzną.

– To zmowa – jęknął Rick. Potarł obolałe ramię i skrzywił się. – Nawet nie odczytałyście mi moich praw.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego nie wtajemniczyłeś mnie w te swoje pieprzone plany matrymonialne? – spytał Jim, kiedy wsiadali do samochodu. – Macie ustalić datę, tak? Zwierzasz się obcym, a przed przyjaciółmi milczysz jak grób?

– Powiedziałbym wszystko, byle tylko powstrzymać faceta od tych kaskaderskich wyczynów – odparł Rick z głupią miną. Jego ramię, na szczęście niezłamane, spoczywało na temblaku. – Chciałem nawiązać z nim kontakt.

– Dla mnie to brzmi jak pobożne życzenia – stwierdził Jim.

– Nigdy nic nie wiadomo – odparł pogodnie Rick. – Może to wcale nie

jest taki głupi pomysł.

Siedząca na tylnym siedzeniu Dusty nie odezwała się.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Obrażenia Ricka przestraszyły Laurel tak bardzo, że najpierw się rozplakała, ale potem szybko wróciła do siebie i przystąpiła do pracy. Dom wypełnił się zapachem ciętych kwiatów – powoju, lawendy i szaławii z ogrodu. Ich woń zmieszała się z pobudzającym apetyt aromatem dolatującym z kuchni. Dziewczyna przytulała do siebie Ricka i pieściła go, zapowiadając, że jej specjalny deser jajeczny uleczy każdą ranę. On zaś z przyjemnością łykał słodką, gładką, kremową masę.

Sądził, że ma już wszystko, co mu jest potrzebne do szczęścia, póki nie usłyszał odgłosu prymitywnych bębnów dochodzącego z głośników stereofonicznych. Laurel wparadowała dumnie do sypialni z uwodzicielską miną. Miała na sobie czterocalowe szpilki, które widział u niej po raz pierwszy. Pomalowała usta i paznokcie na krwistoczerwony kolor i już się nie wstydziła, jak to często dotąd bywało, odsłonić piersi, a nawet nasmarowała je czymś błyszczącym. Poza szpilekami i żółtą różą za uchem miała na sobie tylko bokserskie spodenki Ricka i coś, co pobrzękiwało pod spodem. Była to niespodzianka, pierwszy prezent, który dostała od niego na Walentynki, kiedy dopiero zaczynali się spotykać – łańcuszek i metalowy pas cnoty. Średniowieczni rycerze najprawdopodobniej zamykali damy swego serca w takich urządzeniach, nim odważyli się wyruszyć na krucjatę. Groźne, małe ząbki okalające otwór wejściowy zostały tak zaprojektowane, by poważnie okaleczyć śmiałka, który próbowałby się przez nie przedrzeć. Rick czuł się wtedy bardzo głupio, bo podarunek wprowadził Laurel w zakłopotanie, a nawet nie bardzo wiedziała, do czego służy. Teraz najwyraźniej się domyśliła.

Znowu odgrywała przed nim jakąś rolę. Świetnie. Uwielbiał to. Kołysała biodrami i twierdziła, że ma na imię Marilyn. Dokuczała mu przy tym strasznie i domagała się, żeby odnalazł zagubiony klucz. Była tak podniecona, że chciała nawet uprawiać zabawy seksualne z jego pistoletem. Odebrał go jej, kiedy pośliniła lufę.

– Nie, nie – zaprotestował. – To nie jest zabawka. Wielu ludzi odniosło rany, bo igrało z bronią. Już nieraz wzywano mnie na miejsce wypadku, gdy „nienaładowana” broń wypalała w tajemniczy sposób. Wygięła buzię w podkówkę.

Uśmiechnął się.

– Wstyd by mi było tłumaczyć później, w jaki sposób straciłem klejnoty rodzinne.

– Możemy go rozładować – zachichotała.

– Chryste! Jest nabity? Byłem przekonany, że go opróżniłaś.

To odkrycie niemal wywołało u niego erekcję, ale nie był jeszcze całkowicie gotów. Laurel zarzuciła lśniące włosy na ramiona i zwilżyła wargi.

– Myślałam, że lubisz niebezpiecznie żyć.

– Oczywiście, że tak, ty wariatko – powiedział, wyjmując kule.

Wsunął broń pod łóżko, a naboje porzucił na dywan.

– Chodź no tu – powiedział, wyciągając do niej ramiona. – Pokażę ci, jaki potrafię być groźny.

Obudził się i stwierdził, że pokój został posprzątany, gdy spał. Usłyszał warkot sokowirówki, poczuł zapach kielbasy i poszedł na bosaka do kuchni. Laurel była już ubrana, włożyła fartuszek z koronką i wyrabiała

ciasto. Zauważył ze zdziwieniem, że nawet przemalowała paznokcie na inny kolor.

– Przygotowałam sok pomarańczowy – oznajmiła z uśmiechem.. – Masz ochotę na gofry?

– Czy wiesz, że jesteś zadziwiającą kobietą? – wtulił twarz w jej kark. Pachniała wanilią.

Usiadł przy stole, wypił sok i kawę, po czym powtórzył jej wszystkie kłamstwa, którymi uraczył Ala, żeby zwabić go z powrotem do środka. Odwróciła się do niego przerywając miksowanie i spojrzała mu prosto w twarz z poważną miną.

– Nabierałeś go czy naprawdę myślisz o małżeństwie?

Kawa była wspaniała, słońce wpadało do środka przez okna, wszystko wokół niego jaśniało. Życ, nie umierać.

– Jim powiedział, że to moje pobożne życzenia.

Uśmiechnęła się i wróciła do miksera, nie spuszczać jednak z niego wzroku.

– Ma rację?

Tam, za oknem otarł się o śmierć, choć nigdy by się do tego głośno nie przyznał. Kiedy uda się oszukać śmierć, zaczyna się inaczej myśleć o życiu.

– Bardzo pragnę dzieci – powiedział rzeczowo. – Boże, niektórzy faceci w moim wieku wychowują już nastolatki....

Przerwał mu okrzyk bólu. Laurel sparzyła się o gofrownicę. Rozejrzała się nieprzytomnie, po czym spojrzała na pęcherz na palcu.

– Posmaruję masłem – powiedziała, krzywiąc się.

– Zaczekaj, przecież mówiłaś niedawno, że aloes najlepiej goi

oparzenia. Chyba włożyłaś go do lodówki. Prawda, kochanie?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w zegar kuchenny w kształcie dzbanka do kawy, który wisiał wysoko na ścianie nad zlewem.

– Spiesz się – szepnęła.

– Nie – Rick zerknął na swój zegarek. – Chodzi idealnie. Znalazł starannie zapakowany i oznaczony napisem aloes w pojemniku na warzywa, tuż obok avocado i dyni. Oderwał kawałek mięsistego liścia i posmarował jej palce lepkim sokiem. Oparzenie nie jest groźne, ale z pewnością bolesne – pomyślał. Oczy Laurel zaszyły mgłą.

– Mam nadzieję, że to nie przez naszą rozmowę – zażartował.

Wyglądała tak, jakby nie wiedziała, o czym on mówi.

– Ledwo wspomniałem coś na temat, dzwonów weselnych i dzieci, a ty od razu wsadziłaś rękę do gofrownicy. To już lepsze, niż gdybyś miała włożyć głowę do piecyka.

– Och, Rick! – rzuciła mu się w ramiona i przytuliła go mocno, a głos drżał jej z emocji. – Pobierzmy się natychmiast! Tak bardzo cię potrzebuję.

Płakała.

– Spokojnie – odparł, lekko zdumiony. – Nie będziemy robić niczego na łapu-capu. Chciałem tylko powiedzieć, że powinniśmy się zastanowić nad przyszłością naszego związku – dodał i ucałował jej poparzone palce. – Lepiej się czujesz, kochanie? – Skinęła głową, ale milczała. Była bardzo blada. Nic dziwnego – pomyślał. Musi być niewyspana. Odnosił wrażenie, że zachowuje się z rezerwą, a nawet jest przestraszona. Zapewne potrzebuje czasu, żeby się oswoić z myślą o małżeństwie. Pomyślał, że on sam również musi się zastanowić. Trochę się przeląkł. Jak to się stało, u

licha? Rzucił się głową w dół, nie mając nawet takiego zamiaru. Zobowiązał się, nim zdołał zyskać pewność, że jest gotów to zrobić. Zwykle bywał ostrożniejszy. Czuł niepokój, choć nie bardzo wiedział, dlaczego.

Jej nastroje zmieniały się jak w kalejdoskopie. W godzinę później znowu buszowała po kuchni i nuciła jakąś wesołą melodię.

Rozdział dwudziesty drugi

Następnego dnia Laurel zaproponowała, że ogoli Ricka, ponieważ nie odzyskał jeszcze pełnej sprawności w zranionej ręce.

– Niepotrzebna ci prawa ręka, dopóki masz mnie – nalegała.

– Jesteś pewna, że potrafisz?

– Oczywiście – odparła z przekonaniem. Wytarła ręce o fartuch i zawiązała mu ręcznik na szyi jak śliniaczek. – Kilka razy goliłam ojca, kiedy nie mógł sam tego zrobić, i jakoś przeżył.

Posadziła Ricka na niskim kuchennym stołku obok zlewu z twarzą owiniętą w gorący ręcznik. Sama usadowiła się za nim, na wyższym taborecie, tak że mogła opleść go w talii gołymi nogami.

Rick przyniósł wcześniej z łazienki krem i maszynkę do golenia, ale nie skorzystała z nich. Obok miseczki z parującą wodą, na suchej bawełnianej ściereczce położyła pędzel z włosia, z marmurkowym uchwytem, oraz brzytwę o wyprostowanym ostrzu.

– Skąd to masz?

– Już ich używałam. Jestem staroświecka i uważam, że są najlepsze.

Oparł się o miękkie ciało dziewczyny i pozwolił jej odgrywać rolę fryzjera, a ona nakładała mu na policzki ciepłą mydlaną pianę. Lubił, gdy tak się o niego troszczyła.

– Mam nadzieję, że ta brzytwa jest wystarczająco ostra.

– Wszystkie narzędzia, którymi się posługuję, są takie. Nie ma nic gorszego niż tępe ostrze.

Przymknął oczy, gdy powiodła brzytwą po prawej stronie jego twarzy, muskając podbródek. Sprawiała wrażenie osoby, która wie, co robi.

– Wiesz, Rick – powiedziała, wycierając brzytwę o krawędź miseczki.

– Sądzę, że powinniśmy postawić płot i odgrodzić się od Singerów.

– Dlaczego? – mruknął, starając się nie poruszać. Goliła ostrożnie przestrzeń między nosem a górną wargą.

– Wiem, że Ben i Beth są twoimi przyjaciółmi, ale, jak mówi poeta, nic nie wzmacnia lepiej przyjaźni niż dobry płot.

Znów mruknął coś pytająco.

– Zanim ich kot się zapodział, Benjie bez przerwy się tu kręcił. Teraz mówią coś o szczeniaku dla małego. To dziecko nie usiedzi ani minuty na swoim podwórku – ciągnęła poirytowanym tonem. – Łazi mi po grządkach, a w ogródku z ziołami znalazłam jego łopatkę. Trudno pogodzić się z tym, że ktoś niszczy coś, co z takim trudem hodujemy. Nie ma żadnego powodu, żeby bez przerwy przychodził tutaj bez zaproszenia.

Ostrze uderzyło o krawędź miseczki i zadźwięczało jak mały dzwoneczek.

– To przecież dziecko, kochanie. Nie może wyrządzić dużych szkód. Któregoś dnia będą się tu bawić moje dzieci. Nie widzę różnicy – poczuł, że jej nogi coraz mocniej zaciskają się wokół jego talii. – Myślałem, że lubisz Benjiego. On zachowuje się tak, jak wszystkie maluchy w jego wieku. Bałaganią, plują i wszystko psują – mówił z uśmiechem, dopóki znów nie poczuł ostrza na twarzy.

Przechyliła mu stanowczym ruchem głowę do tyłu i powiodła ostrzem brzytwy po gardle. Trzymała go przy tym tak mocno nogami, wbijając mu kolana w żebra, a kostki w splot słoneczny, że czuł się nieprzyjemnie. Nigdy przedtem nie zauważył, że ma tak mocno umięśnione nogi. Przestał mu się podobać ten cały pomysł z goleniem.

– Spokojnie – mruknął przez zęby.

Chciał wstać i uciec, ale bał się zrobić jakikolwiek gwałtowny ruch, bo wciąż czuł brzytwę na gardle.

– Przecież chcemy tylko postawić płot, żeby chronić nasz dom – syknęła.

Nie widział jej twarzy, ale zdecydowanie nie przypadł mu do gustu ton jej głosu. Wybrała fatalny moment na kłótnię o ogrodzenie. Chciał pochwycić jej rękę, w której trzymała brzytwę, ale w tej samej chwili ostrze skaleczyło mu podbródek.

– Och! – powiedziała. – Mówiłam ci przecież, żebyś się nie mszał.

Pomacał dłonią twarz i zakrwawił sobie palce. Laurel uwolniła go z uścisku, zsunęła się z taboretu i przyniosła mu wilgotny ręcznik.

– Cholera – zaklął.

– Dlaczego się wierciłeś? Prosiłam cię przecież. No, już dobrze – mówiła teraz kojąco. – Biedny Rick.

Skaleczenie nie było groźne, ale bardzo krwawiło. Przyciskając ręcznik do podbródka, poszedł do łazienki, żeby zdezynfekować ranę.

– Ostrożnie! – zawołała za nim Laurel z zaniepokojeniem. – Uważaj, żebyś nie poplamiał wykładziny i czystych ręczników.

Zespół Ricka miał się zająć następną tajemniczą sprawą. Było to morderstwo bez podejrzanych, popełnione bez użycia broni palnej. Wezwanie otrzymał w godzinę po incydencie z brzytwą, a więc musiał wcześniej niż zwykle spotkać się z przyjaciółmi. Bolała go ręka, podbródek wciąż lekko krwawił, ale nie chciałby ominęła go wstępna faza dochodzenia. Połknął więc cztery aspiryny i pojechał do komisariatu.

Pogoda była zmienna i wietrzna. Gdy przejeżdżał przez groble, zobaczył, że na wodzie tańczą białe boje. Złowieszcze niebo rozjaśniło się nagle i odbite w wodach zatoki promienie zachodzącego słońca zupełnie go oślepiły. Opuścił daszek przeciwsłoneczny i, walcząc z bólem ręki, usiłował wygrzebać ciemne okulary ze schowka. Kiedy tylko je nałożył, jaskrawoniebieski kolor wody i nieba zamienił się w burzową szarość. Zrzucił więc okulary i cisnął je na siedzenie obok.

Pogoda w Miami zmieniała się błyskawicznie. Tak jak niektórzy ludzie – pomyślał.

W kuchni trwała ożywiona dyskusja. Wszyscy jej uczestnicy byli podenerwowani, więc wkrótce ich debata przerodziła się w chaotyczną wymianę zdań. Harriet bardzo chciała ujrzeć Laurel w roli panny młodej. Wtedy ten dom naprawdę stałby się ich własnością. Niezależna Marilyn nie chciała nawet słyszeć o trwałym związku. Obie były zdecydowanie przeciwne dzieciom. Tego ranka Laurel wyrzuciła pigułki antykoncepcyjne, ale Marilyn wyłowiła je z popielniczki. Dla pewności połknęła dwie tabletki postanawiając, że wywoła prawdziwą sensację, gdy tego lata włoży bikini. Harriet oświadczyła stanowczo, że żaden bachor nie będzie się jej pętał po domu i niszczył grządek. Benjie był wystarczającym utrapieniem; doszła do wniosku, że musi coś z tym fantem zrobić.

Plany Alexa również nie obejmowały powiększenia rodziny. Krzyczał, że ta dziwka Laurel myśli wyłącznie o sobie i własnym szczęściu. Zawsze nienawidził zarówno jej, jak i beztroskiego stylu życia, jaki prowadziła kosztem ich wszystkich.

Jedynie małej Jennifer podobała się perspektywa przyjscia na świąt dziecka. Uszczęśliwiała ją nadzieja, że wreszcie będzie miała się z kim, bawić, ale nikt nie podzielał jej radości.

– Słuchajcie – powiedział Alex – ten pomysł z małżeństwem wcale nie jest taki zły.

– Nie jestem kurą domową i nie zamierzam nią zostać – sprzeciwiła się piskliwie Marilyn.

– Bądź rozsądna – przekonywała ją Harriet. – Jeśli weźmiemy ślub z Rickiem, zatrzymamy ten dom razem z moją kuchnią, ogrodem i nową kuchenką mikrofalową.

– A co byście powiedzieli na to, żeby pozbyć się Ricka i zatrzymać to wszystko dla siebie?

Wszyscy skupili uwagę na słowach Alexa.

– Wczoraj niewiele brakowało, żeby coś mu się przytrafiło, no nie? Policjanci giną na służbie. Stale się o tym słyszy. Dlatego pomyślałem sobie tak: a co będzie, jak Rick się ożeni i zginie w trakcie pełnienia obowiązków?

W Miami jest takie towarzystwo, które spona wierzytelności hipoteczne za wdowy po glinach. Świetny interes, nie? Poza tym one dostają odszkodowania i dożywotnie renty. Nieźle, co? A gliny często rozstają się z tym światem. Tak to już jest. Nie powiem, żebym się zmartwił. Ale – ostrzegł Harriet, która słuchała go ze wzmożoną uwagą – nie próbuj żadnych sztuczek tutaj, w domu. To musi się stać, jak Rick będzie na służbie.

– A ty będziesz zadowolony dopiero wtedy, kiedy całkowicie pozbawisz mnie seksu – jęknęła Marilyn.

– Słuchaj – uspokajał ją Alex. – Jak on kopnie w kalendarz, będziesz mogła umawiać – się z kim chcesz.

– Nawet z Barrym?

– Jasne – odparł. – Ale stracisz tylko czas. Ten facet to pedał.

Marilyn otrząsnęła się z niesmakiem i przez chwilę myślała o czymś intensywnie.

– Dobrze mi w czerni – oświadczyła w końcu.

Jennifer zaczęła płakać.

– Lubię Ricka i nie lubię broni. Chcę się bawić Benjem.

– I znowu doprowadziliście ją do łez – powiedziała Harriet. – Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni. Wiecie, że Rick robi tu strasznie dużo zamieszania, a w dodatku nigdy nie pomaga mi w domu. Jak już się go pozbędziemy, będę wreszcie mogła postawić ogrodzenie i zamówić nowe franki, te – cieniutkie i przezroczyste. Ale co z Laurel? Zostanie sama i będziemy z nią mieli kłopot.

– Tak – powiedział Alex. – Widzisz przecież, że jest coraz słabsza. Jej również będziemy mogli się pozbyć.

– Bądź ostrożny – ostrzegła go Harriet.

– Pracuję nad tym – odparł. – Nie martw się. Tymczasem, póki nie dostaniemy forszy z odszkodowania, zdobędziemy trochę dolców w inny sposób. Mam już plan.

– Teraz gadasz do rzeczy – pochwaliła go Marilyn. – Wypiję za to. Pofrunęła jak na skrzydłach do barku, wyjęła z niego butelkę bourbona Ricka i naląła sobie podwójnego drinka.

Trochę później Laurel znalazła się sama w kuchni. Czuła dziwny smak

w ustach. Butelka bourbona stała na ladzie i Laurel zastanawiała się, skąd się tu wzięła. Rick nigdy przecież nie pił przed pracą. Spojrzała na zegar. Ostatni raz sprawdzała czas parę minut temu, a wedle tego zegara upłynęły ponad dwie godziny.

Płacząc, zmywała jak oszalała czerwony lakier z paznokci, kiedy pojawiła się Marilyn, włożyła skórzaną minispódniczkę i wyszła na poszukiwanie prawdy o Barrym.

Rozdział dwudziesty trzeci

Musieli nie tylko złapać mordercę, ale również ustalić tożsamość ofiary. Była nią kobieta znaleziona na brzegu rowu melioracyjnego, który znajdował się tuż przy osiedlu mieszkaniowym położonym niedaleko autostrady.

Nieoczekiwane wydarzenie przyciągnęło tłumy. Wielu kierowców tamowało ruch, który o tej porze i tak już był nasilony. W miejscu, gdzie popełniono zbrodnię, wciąż przybywało ciekawskich, więc sprzedawcy hot dogów, napojów i lodów również się tam zebrali, żeby przy okazji trochę zarobić.

Jim prowadził, ale ani kogut na dachu, ani wystawiona przez okno odznaka nie ułatwiła im dostępu do tego miejsca. Cała ulica i sąsiadujące z nią zaułki były zablokowane przez samochody pozostawione tam przez kierowców, którzy bali się, że może ich ominąć coś ważnego.

– Zaczynajcie wypisywać im wszystkim mandaty – polecił Jim jednemu z mundurowych, który usiłował bezskutecznie kierować mchem, stojąc wśród trąbiących nieustannie klaksonów i miotanych przekleństw.

– Przecież niektóre z nich należą do reporterów – sprzeciwił się policjant, który miał czerwoną twarz i półksiężycy od potu pod pachami.

– To świetnie – warknął Jim. – Zaczynaj od nich.

– Widzę, że jesteś w doskonałym humorze – powiedział z przekąsem Rick. – Chyba zdajesz sobie sprawę, jak zachowują się dziennikarze, kiedy dostają mandaty.

Jim uśmiechnął się na samą myśl o tym. Powiódł wzrokiem po rozpalonych z ciekawości twarzach. Wszystkie były teraz wpatrzone

wyczekująco w detektywów.

– Po co tu przyjechaliśmy, do cholery? – spytał. – Dostarczyć im rozrywki?

Zamknął samochód i mrugnął do Dusty.

– Chodźmy teraz złożyć uszanowanie gościowi honorowemu. Zwłoki przykryte były prześcieradłem, prawdziwym prześcieradłem, a nieużywaną zwykle przez policjantów papierową płachtą. Policjant w mundurze, potężny facet w średnim wieku, najwyraźniej dobrze odżywiony, był bardzo zadowolony z siebie. Uśmiechnął się do nich na powitanie.

Od razu poczytali to za zły znak. Policjant odsunął prześcieradło takim ruchem, jakby odsłaniał przed nimi dzieło sztuki.

Garderoba zmarłej była elegancka i z pewnością kosztowna. Na pięknie utrzymanych paznokciach u rąk i nóg błyszczał brązowy lakier. Na serdecznym palcu prawej ręki lśniły oprawione w złoto szmaragdy, a na lewej pysznił się pierścionek z brylantem.

Brakowało natomiast głowy.

Na chwilę zapanowało całkowite milczenie. Potem rozległy się okrzyki i zaczęły trzaskać migawki aparatów fotograficznych. Niektórzy brali dzieci na barana, żeby mogły się lepiej przyjrzeć.

– No – powiedział Jim do policjanta – gdzie ona jest?

– I tu mnie masz, Jim – odparł policjant w stopniu sierżanta. – Nigdzie jej tutaj nie widzę.

– Cholera jasna! Tego się właśnie obawiałem.

Wiele osób wychylało się niebezpiecznie z balkonów sąsiedniego bloku.

– Zasłoń ją – polecił cicho Jim.

Sierżant zakrył trupa prześcieradłem, a oburzony tłum zaczął gwałtownie protestować.

– Cudowni ludzie – stwierdziła Dusty. – Dlaczego to akurat na nas padło?

– Pewnie zasłużyliśmy sobie na wyróżnienie – odparł Rick.

– Więcej tu luda niż na festynie czwartego lipca – powiedział Jim.

– My musimy na nią patrzeć – odezwała się cicho Dusty. – Płacą nam za to. Ale niektórzy przyprowadzili tu dzieci. Spójrzcie na te twarze!

Ludzie parli naprzód, ocierali się o żółte policyjne taśmy, uśmiechali się, a w ich oczach błyszczało podniecenie. Dusty odwróciła się i patrzyła przez chwilę, jak srebrny odrzutowiec przedziera się przez chmury gdzieś na wschód od lotniska międzynarodowego w Miami.

– A więc nie możemy porównać jej uzębienia z kartotekami dentystycznymi, ale mamy odciski palców, odzież, biżuterię i wiele innych wskazówek, które mogą umożliwić identyfikację – podsumował Rick.

Myślał na głos, mówił beznamiętnym tonem. Zawsze w ten sposób reagował na śmierć przybierającą, czasem groteskowe formy. Im większa była okropność, z jaką się stykał, tym bardziej stawał się oficjalny, jakby podejmowane przez niego rutynowe działania stanowiły jedyną ochronę przed emocjami towarzyszącymi zwykle szaleństwu i śmierci.

– Dlaczego właściwie zabrali głowę?

– Jakiś rytuał? Sekta religijna? – sugerowała Dusty.

– Zwykle kradną z cmentarzy potrzebne im części ciała – powiedział Jim. – Zawsze to mniej ryzykowne niż morderstwo.

– W takim razie mamy do czynienia z psychopatą – stwierdziła Dusty

bezbarwnym głosem.

– Pewnie masz rację – zgodził się Rick. – Jak myślisz, Jim, gdzie może być ta głowa?

– Pojęcia nie mam. Trzeba wysłać nurków, żeby sprawdzili kanał, a potem przeszukać teren. A może ktoś zostawił ją sobie na pamiątkę? Mam nadzieję, że w taką pogodę nie trzyma jej na kominku. Ale mogę się założyć, że się znajdzie.

– Taaak – potwierdziła Dusty ponuro, bynajmniej nieuradowana taką perspektywą.

– Nie widzę żadnych innych obrażeń – stwierdził Rick, unosząc róg prześcieradła zdrową ręką. – To nie jest czyste dęcie. Brzegi rany są poszarpane. A może na przykład aligator...

– Niewykluczone – poparła go Dusty. – Jeśli uderzono lub postrzelono ją w głowę, krwawiła, a aligator natychmiast by to wyczuł. Nie wiem tylko, czy ostatnio pojawiały się jakieś aligatory tak daleko na wschodzie.

– A więc jeśli została zastrzelona, kula tkwi w brzuchu zwierzaka – powiedział Jim.

Nagle spoza groźnych, burzowych chmur wyjrzało palące, popołudniowe słońce. Stojący w jego promieniach policjanci dostrzegli natychmiast okrągły przedmiot, który poszybował wysokim łukiem ponad trupem. Ze wzniesionymi do góry głowami i otwartymi ustami śledzili jego lot, usiłując wypatrzeć coś w oślepiającym blasku słońca. Jedenasto, może dwunastoletni chłopiec chwycił to „coś” w pędzie i pobiegł dalej krzycząc radośnie, a za nim pognało sześciu innych malców.

Detektywi przymrużyli załzawione oczy i skoncentrowali wzrok na tej okrągłej rzeczy, którą chłopiec trzymał teraz tak mocno w dłoniach.

Była to piłka futbolowa.

– Muszę się napić: – oświadczył Jim.

– Chyba wariuję – powiedziała Dusty.

– Nie – zaprzeczył Rick. – To nie my wariujemy. To Miami.

Już w kostnicy doktor Lansing stwierdził, że cięcia dokonał amator, ale całkowicie wykluczył aligatora czy też jakiegokolwiek inne zwierzę.

– Może to zbrodnia z miłości – teoretyzowała Dusty.

– Skąd ten pomysł? – spytał Rick.

– Wiesz przecież, co uczucia robią z człowiekiem – odparła, przyglądając się metkom na ubraniu zmarłej.

Rick natomiast ukradkiem sprawdził, z jakiej firmy pochodził notatnik Dusty, a gdy go otworzyła, odkrył, że niektóre zapiski zostały zrobione czerwonym atramentem.

– Właśnie miałem do was dzwonić, żeby potwierdzić nasze przypuszczenia co do podejrzanego w tej sprawie z kung-fu w Overtown – powiedział Lansing.

– Który przebywa ostatnio za kratkami – dokończył Jim.

– O co jest oskarżony?

– O zabójstwo.

– Możecie o tym zapomnieć.

Doktor wytarł ręce o fartuch i zdjął okulary. Popatrzył na nie pod światło, uważnie przyglądając się soczewkom. Dusty, która stała najbliżej Lansinga, zauważyła, że szkła są upstrzone drobnymi plamkami krwi i drobinkami kości.

– Kto ma chusteczkę? – spytał doktor.

Nikt się nie odezwał. Lansing wzruszył ramionami, wytarł okulary o fartuch i z powrotem włożył je sobie na nos.

– Mieliliśmy rację. Tego faceta zabiła kokaina czy też, jak wolicie, nieszczelny kondom. Nie doznał żadnych obrażeń oprócz tych, które powstały w wyniku upadku, już po jego śmierci.

– Co to za głodne kawałki, do cholery? – zirytował się Jim.

– Przecież on nie zachowywał się jak człowiek w stanie agonalnym – przypomniała Dusty. – Chciał zatłuc naszego podejrzanego na śmierć.

– Objaw typowy dla psychozy kokainowej – wyjaśnił doktor.

– Odzyskaliśmy więc cennego informatora – skonstatował z zadowoleniem Rick.

– Jeśli w ogóle będzie jeszcze chciał z nami pracować – dodała Dusty.

– Nie zapominajcie, że on siedzi teraz w więzieniu i wcale nie cieszy się z tego, że pomagał policji.

– Przejdzie mu. Bardzo nas wszystkich lubi – pocieszył ją Jim.

Kapitan wezwał ich do komisariatu, żeby odpowiedzieli na pytania dziennikarzy dotyczące trupa bez głowy.

– Wszystko po kolei – powiedział Rick.

Zawiadomił więzienie okręgowe, że Sly wychodzi i mają przygotować jego rzeczy.

Sly wszedł do pokoju przesłuchań powłócząc nogami. Był zupełnie załamany i wyglądał jak zbity pies. Gdyby miał ogon, z pewnością by go pod siebie podkulił.

Usiadł w milczeniu i patrzył na nich z wyrzutem.

– No i jak cię tu traktowali, J. L.? – Rick uśmiechał się. Dusty również.

Nawet Jim usiłował nadać swej naburmuszonej twarzy bardziej przyjacielski wyraz.

– Widzę, że macie powody do radości – stwierdził J. L. ponuro. – Chcecie oskarżyć mnie jeszcze o jakieś inne przestępstwa, wbić więcej gwoździ do trumny?

– Wręcz przeciwnie – powiedział Rick. – Mamy dla ciebie dobrą wiadomość. Właśnie rozmawialiśmy z prokuratorem okręgowym i oskarżenie zostało wycofane. Możesz się już stąd wymeldować i wracać do domu. Nie zabiłeś go.

J. L. przymrużył powieki, jakby chciał lepiej zrozumieć jego słowa. Stuknął paznokciem w stojącą między nimi brudną popielniczkę.

– Zwalniacie mnie? Mogę stąd wyjść?

Detektywi potwierdzili.

– Nie jestem o nic oskarżony?

– Nie – powtórzył Rick.

– I nie zabiłem go?

– Było dokładnie tak, jak mówiłeś. Nie zrobiłeś mu żadnej krzywdy.

– Masz szczęście, że jesteśmy kumplami. Zrobiliśmy wszystko, żeby ci pomóc – dodał Jim.

Z wodnistych oczu J. L. nadal nie znikał wyraz czujności.

– Kto go zabił? – zapytał niemal od niechcienia.

– Nikt – odparł Rick. – Przedawkował kokainę. Miał zapas, zupełnie jak wielbłąd. Narkotyk przedostał się do organizmu i zabił go.

J. L. skoczył na równe nogi lekkim, wdzięcznym ruchem. Nawet w zdefasonowanym więziennym ubraniu wydał się nagle wyższy i silniejszy niż człowiek, który wszedł tutaj parę minut wcześniej. Ugiął kolana i

przykucnął, przybierając typową dla kung-fu pozycję. Przymrużył oczy, a dłonie jego zaczęły najpierw wolno, a potem coraz szybciej zataczać prowokujące kręgi.

Przerwał przez wzgląd na wciąż siedzących w pokoju detektywów.

– Kokaina? – zapytał.

– Tak – potwierdził Rick. – Przedawkowanie narkotyków.

– Nadal szukamy dwóch Kolumbijczyków, którzy porwali trupa, żeby odzyskać towar – powiedział Jim. – Jeden z nich ma najprawdopodobniej poparzoną twarz.

Sly podszedł zawadiackim krokiem do drzwi, ale odwrócił się jeszcze do nich z poważną miną.

– Nie mówcie nikomu o tych narkotykach, dobrze?

– Idziemy – powiedział znudzony strażnik.

J. L. przyglądał mu się przez chwilę z wyniosłym wyrazem twarzy, po czym odprawił go słowami:

– Nawet ten, który jest nieco powolny, może odkryć światłość i zjednoczyć się z naturą.

– Co to miało znaczyć, do cholery? – spytał Jim, kiedy już zamknęły się za nimi drzwi. – Wymyślił to na poczekaniu – odparła Dusty.

– Powinien zostać dziennikarzem. Znam taką jedną gazetę, w której na pewno dostałby pracę.

– Skoro już o tym mowa, musimy złożyć oświadczenie dla prasy – przypomniał Rick.

Nie mieli wiele do powiedzenia. Zmarła była białą kobietą w średnim wieku, prawdopodobnie około czterdziestki, ubraną w elegancką odzież w rozmiarze dziesiątym. Miała nieco ponad pięć stóp i cztery całe wzrostu,

ważyła około stu trzydziestu pięciu funtów i zginęła najprawdopodobniej na parę godzin przedtem, zanim została znaleziona. Przyczyna śmierci nie została dokładnie ustalona. Motywem zbrodni przypuszczalnie nie był rabunek, ponieważ zabójca nie zabrał cennych pierścionków ani zegarka. Wygląd kobiety nie pasował do żadnej z ostatnio zaginionych osób. Każdy, kto mógłby pomóc w ustaleniu tożsamości zmarłej, powinien zgłosić się na policję. Głowy nie znaleziono.

Wiadomość ta znalazła się na pierwszych stronach wszystkich wieczornych gazet i w wydziale zabójstw rozdzwoniły się telefony. Policjanci jednak nie otrzymali żadnych pożytecznych wskazówek, które pomogłyby im w identyfikacji zwłok. Zamiast tego tonęli w powodzi informacji pochodzących od wariatów, psychopatów, detektywów amatorów oraz ludzi, którzy sądzą, że zmarła może być ich od dawna zaginioną krewną lub przyjaciółką. Mieszkańcy Miami obdarzeni zostali nazbyt bujną wyobraźnią. Pobudzona grą świateł, dobrym nastrojem lub paroma głębszymi fantazja wielu z nich kazała im sądzić, że widzieli tajemniczy pakunek, który być może krył w sobie zaginioną głowę zamordowanej. Pewien mężczyzna przysięgał, że widział, jak pies sąsiada zagrzebuje na podwórku jakiś podejrzany przedmiot. Wszyscy ci ludzie dzwoniли na policję.

Liczba fałszywych alarmów bombowych spadła niemal do zera, natomiast coraz więcej osób widziało gdzieś głowę. Żartownisie byli w swoim żywiole. Popularna rozgłośnia radiowa ufundowała nagrodę dla słuchacza, który zgadnie, gdzie i kiedy znajdzie się głowa. Najbliższy prawdy uczestnik konkursu miał otrzymać zaproszenie dla dwóch osób na rejs statkiem, podczas którego planowana była zabawa w morderstwo.

– To wszystko jest chore – powiedział Jim między jednym telefonem a drugim. – Pamiętam, że kiedyś Miami było zupełnie normalnym miastem.

– Ja też – westchnął Rick w zadumie. – Wiesz, jak byłem jeszcze dzieckiem, można było chodzić do wszystkich klubów jazzowych w Overtown, słuchać czarnych muzyków i nie bać się, że ktoś podepcze ci twarz. Jeździło się wzdłuż Collins Avenue, wypatrywało wielkich posiadłości na drugim brzegu i widziało wodę.

– Tak było, zanim wybetonowali kanion – zauważył Jim. – Jeśli ktoś nie wie, że była tam woda, nigdy by się teraz tego nie domyślił. Miałeś szczęście.

– Tak – potwierdziła Dusty. – Żałuję, że nie pochodzę z tych stron.

– A skąd pochodzisz? – spytał z naciskiem Rick.

– Ze Środkowego Wschodu – odparła, biorąc do ręki słuchawkę.

– To wiem. Z Iowa, prawda? A dokładniej? – nalegał.

– Z takiego małego miasteczka – odparła i zaczęła wybierać numer.

– A jak się ono nazywa? – kontynuował Rick, ale Dusty już rozpoczęła rozmowę.

– Mam tu coś dla ciebie – wtrącił Jim, wręczając jej wiadomość z całego stosu informacji, który podzielili między sobą. – To od twojego nowego adoratora.

Wiadomość pochodziła od Terrance’a McGee.

– Miło sobie ostatnio gawędzili – powiedział Jim i mrugnął do Ricka, który miał bardzo zamyślony wyraz twarzy. Potem chrząknął i wytarł głośno nos. – Cholera, znowu dostałem uczulenia. Założę się, że to przez te pieprzone drzewa.

Dusty rozmawiała właśnie z jakąś starszą kobietą, która dzwoniła już

wcześniej, żeby zaofiarować swoją pomoc. Kobieta twierdziła z przekonaniem, że widziała kiedyś w telewizji film, w którym też znaleziono ciało bez głowy. Nie wiedziała tylko, czy był to „Kojak” czy „Magnum”. Wpadła na pomysł, że policja może przecież zapytać w telewizji, jak rozwiązano tę zagadkę w serialu. Dusty podziękowała jej za sugestię. Gdy odkładała już słuchawkę, rzuciła okiem na wiadomość od Terrance’a McGee, westchnęła, umieściła kartkę na samym spodzie pliku i zaczęła telefonować dalej.

– Dziwne – stwierdził Rick. – Nie dzwonił nikt z rodziny zamordowanej. Sprawia wrażenie osoby, której ktoś powinien szukać, chyba że dopiero niedawno przybyła do Miami.

– Albo też jej najbliższy i najdroższy krewny, ten sam, który, logicznie rzecz biorąc, powinien zgłosić zaginięcie, jest zabójcą – spekulowała Dusty. – Szkoda, że na jej biżuterii niczego nie wygrawerowano. Uważam, że umieszczanie inicjałów na kosztownościach powinno stać się obowiązkowe dla ich właścicieli. Należałoby wprowadzić taki przepis – narzekała.

– Dlaczego mielibyśmy ograniczyć się do inicjałów? – burknął Jim zza biurka. – Uważam, że powinni grawerować imię, nazwisko, adres i numer polisy ubezpieczeniowej.

– Tak. I jeszcze listę potencjalnych wrogów – dodała Dusty.

– Oraz nazwiska i telefony najbliższych krewnych – uzupełnił Jim. – Bardzo ułatwiłoby to nam pracę.

– Rzeczywiście. Byłoby też miło, gdyby po wewnętrznej stronie uda mieli wytatuowaną informację na temat poprzednich zamachów na ich życie, jeśli takowe miały miejsce i...

– Uważam, że najwyższy czas, żebyśmy poszli coś zjeść – zaproponował Rick. – Jesteście w bardzo wojowniczym nastroju.

– Podobają ci się nasze pomysły? – spytał Jim i znowu kichnął.

– Nie.

– To niech cię diabli, ale rzeczywiście chodźmy jeść.

Usiedli przy stoliku w barze „Star Dust” przy Biscayne Boulevard. Dusty zamówiła kanapkę i mrożoną herbatę do picia. Jim poprosił o kotlet wieprzowy z ziemniakami, a Rick o domowy placek mięsny. Zamiast ziemniaków, które figurowały w karcie jako dodatek do tego dania, zamówił makaron z serem. Uśmiechnięta, rudowłosa kelnerka posłusznie przyjęła zamówienie i zniknęła w kuchni.

– Widziałeś? – spytała Dusty, zwracając się do Jima. – Komuś innemu zrobiłaby awanturę. Spójrz. W karcie napisali wyraźnie: „zamiany wykluczone”, ale nasz sierżant jest taaaki słodki, a poza tym biedak ma rękę na temblaku. Co za rozpuszczony bachor. Zawsze musi postawić na swoim.

– Trzeba sobie zasłużyć na takie traktowanie – powiedział Rick, wyraźnie dumny z siebie. – Znam Sheilę. Przychodzę tu już od jakiegoś czasu.

Dusty wzniosła oczy do nieba.

– Ta ruda kelnerka ma na imię Sheila. Słyszałeś, Jim? Rozumiesz, o co mi chodzi?

Jakieś dziecko przy stoliku obok zaczęło nagle wydzierać się wniebogłosy. Jego rodzice rozglądali się bezradnie wokoło, a dziecko darło się coraz głośniejszymi, czerwonymi na twarzy ze złości.

– Ma temperament – zauważyła z uśmiechem Dusty.

– Ciekaw jestem, czy to jest ten sam – powiedział Jim przez nos, wpatrzony w berbecia.

– Kto? – zapytał Rick.

– Ten dzieciak, który tak wrzeszczy – zaskrzeczał Jim. – Wszędzie go pełno. Przychodzi do każdej restauracji, można go spotkać w każdym kinie, w którym musisz zapłacić sześć dolców, żeby obejrzeć film. Gdzie się podziały opiekunki do dzieci? Czy rodzice już ich nie zatrudniają?

– Ci tutaj są prawdopodobnie stale zajęci pracą i dlatego ciągną go ze sobą wszędzie, gdzie się da, żeby ukoić wyrzuty sumienia – powiedział Rick. – Ja nie popełnię tego błędu, kiedy będę miał własne dzieci.

– Widzę, że starannie wszystko przemyślałeś – odezwała się cicho Dusty. – A w ogóle to cały dzień chciałam cię zapytać, co ci się stało w podbródek.

– Rzeczywiście. Wyglądasz, jakby dopadł cię jakiś łowca głów – dodał Jim.

– To przy goleniu – Rick miał głupią minę.

– Dopóki nie wyzdrowieje ci ręka, poproś Laurek żeby cię golila – podsunęła Dusty.

– Masz rację – wymamrotał bez entuzjazmu.

Mały tyran przy stoliku obok wymachiwał pulchnymi piąstkami i krzyczał coraz głośniejsze.

– Niech diabli wezmą hasło: „Moje NIE dla narkotyków”. Ja będę teraz lansował: „Moje NIE dla dzieci”. Dzieci powinny być zakazane – stwierdził Jim.

– Wypiję za to – Dusty uniosła szklankę z wodą.

Jej głos brzmiał wesoło, ale miała smutne oczy.

Rick pierwszy skończył kawę i poszedł zatelefonować. Wkrótce po znalezieniu ciała udało się ustalić, że odciski palców zamordowanej nie figurują w kartotece policyjnej okręgu Dade. Teraz zadzwonił do głównego rejestru, licząc na to, że poszukiwania w Ośrodku Informacyjnym przyniosły rezultaty. Jak zwykle, urzędnik kazał mu poczekać.

– Może coś mają – powiedziała Dusty z nadzieją.

Jim przytaknął i odstawił filiżankę z kawą.

– Jim, martwię się o niego. Nie sądzisz, że to wszystko za szybko idzie? Uważam, że Laurel jest trochę dziwna. A jeśli chodzi o ten list...

Jim przyglądał się Dusty przez chwilę, nim jej przerwał.

– Mówię ci jeszcze raz. Nie zaczynaj. Jeśli będziesz się zachowywać jak jędra i obmawiać Laurel, stracisz Ricka jako przyjaciela i nie będziecie mogli razem pracować. Na tym właśnie polega trudność, jak się ma babę za partnera. Będzie zawsze zazdrosna i zawistna.

– Nie o to chodzi, Jim. Przysięgam – patrzyła na niego szczerze. – Przyznaję, że jestem zazdrosna. Ale nie dlatego to mówię. Ona naprawdę jest dziwna. Uważam, że sama napisała do siebie ten list. Nie tylko... Podejrzewam, że Laurel utopiła kotka sąsiadów w zatoce. Szkoda, że nie widziałeś jej miny, kiedy zapytano ją, czy go widziała. Myślę, że ona jest po prostu chora.

– Tak. A w dodatku jest masowym mordercą i wykończyła Myszkę Miki. Daj spokój. To miły dzieciak. Ty po prostu nie możesz znieść, że cię dla niej porzucił. A nawet jeśli coś rzeczywiście jest z nią nie w porządku, lepiej będzie, jak Rick przekona się o tym bez twojej pomocy. To już duży

chłopiec. Uważaj, żebyś nie napytała sobie biedy. Bo tak się to właśnie skończy.

– Mówiłam poważnie – westchnęła i spojrzała przez okno na przejeżdżające ulicą samochody.

– Ja też. To dzieciak i kropka. Już nie pamiętasz, jak się człowiek zachowuje, kiedy ma tyle lat, co ona. Rick jest z nią szczęśliwy. Przynajmniej on jest szczęśliwy.

Spojrzeli z nadzieją na Ricka, który właśnie wrócił do stolika.

– Nie mamy szczęścia – powiedział, siadając. – FBI nic nie ma.

– Słuchajcie – odezwała się Dusty. – Jeśli kupiła ciuchy na Florydzie, istnieje szansa, że zaopatrywała się u Neimana Marcusa w Bal Harbour. Tam jest otwarte do późna. Może pójde tam i trochę się rozejrzę?

– Po prostu chcesz iść na zakupy – stwierdził Jim z naganą w głosie.

– Zawsze – odparła Dusty. – Ale nie dziś. A może ja pójde na sekcję, a wy skoczycie do Neimana Marcusa i opisze ją kupującym?

Mężczyźni szybko doszli do wniosku, że najlepiej będzie, jak Dusty pójdzie do centrum handlowego, Rick weźmie udział w sekcji, a Jim zatrudni rekrutów do odbierania telefonów.

Rozdział dwudziesty czwarty

To moja ulubiona pora roku – pomyślał Alex. Wspaniała, trochę niebezpieczna pogoda. Trudne do przewidzenia burze, z których każda przerodzić się może w zabójczy huragan uśpiony teraz gdzieś daleko na morzu. I jeszcze to specyficzne powietrze naelektryzowane, pod napięciem. W Miami jest chłodniej i przyjemniej w okresie późnego lata niż w większości innych miejsc w Ameryce. Najwyższa, zanotowana dotąd temperatura w mieście wyniosła trzydzieści pięć stopni C, a poza tym wieje wciąż orzeźwiający wiatr od morza.

Tak, tutaj jest najlepiej – dumał Alex – a dziś wieczorem trzeba zasadniczo zmienić swoje życie. Najwyższy czas zrobić zakupy, zakupy za pieniądze, które ułatwiają wszystko, łącznie ze sprawiedliwością.

Jechał na północ, dzieląc krętą wstęgę Collins Avenue z turystami, którzy przyjechali do Miami Beach po sezonie i wynajęli tu samochody. Nieprzerwany potok aut płynął tak w cieniu ogromnych położonych wysoko wież luksusowych, nowoczesnych budowli i staroświeckich hoteli, które wyglądały jak różowe pałace prosto z bajki. Stanowiły pozostałość czasów, kiedy co roku otwierano nowy, luksusowy hotel, zanim inwestorzy stali się chytry i zaczęli zaśmiecać krajobraz molochami. Błogosławieństwem byłoby, gdyby ta burza na Karaibach przekształciła się w straszliwy huragan – pomyślał Alex. Jedyne mocne uderzenie może oczyścić to miasto i spowodować konieczność jego przebudowy. Już raz tak się stało.

Wielki huragan z roku 1926 stanowił ulubiony rozdział Alexa w historii Miami. Nikt nie wiedział wtedy jeszcze wiele o huraganach oraz oku

cyklonu, po którym ustaje deszcz i cichnie wiatr. Zapada cisza tak martwa, jak uosobienie śmierci. Ludzie nie spodziewali się, że druga część katastrofy dopiero nadchodzi. Wielu z nich sądziło, że jest już po wszystkim i zdecydowało się wyjść, żeby obejrzeć skutki huraganu w Miami Beach. Już w 1926 roku mieszkańcy Miami uwielbiali przyglądać się katastrofom. Ci, którym udało się przeżyć huragan, zapakowali dzieci oraz babcię do fordów T i wyjechali na drewnianą groblę stanowiącą jedyny pomost do Beach. Setki samochodów jechały tak jeden za drugim, niemal zderzak w zderzak, kiedy żywioł uderzył po raz drugi. Po dziś dzień na piaszczystym dnie Biscayne Bay, między Miami a Beach, spoczywają zardzewiałe wraki aut oraz kości pasażerów.

Niektórym nauka przychodzi ciężko – myślał Alex. Woda, pogoda i samo to miasto potrafią zwieść każdego. Łagodne oko burzy, zalana słońcem plaża, krzyżące mewy, bujna zieleń miasta wyglądają tak kusząco, tak pogodnie, a w głębi serca są mordercami. Dokładnie tak, jak niektórzy ludzie. Na przykład ja. Fatalnie wyszło z tym Barrym. Mógłby przysiąc, że ten facet to pedał. No cóż, po dzisiejszym wieczorze Marilyn będzie wreszcie mogła pobuszować po sklepach i jakoś powetować sobie tę stratę. Świetnie się bawili, dopóki nie zjawił się on, Alex, i wszystkiego im nie popsuł. Doszedł teraz do wniosku, że może trochę przesadził. Ale była to kwestia urażonej dumy i instynkt władcy. Wcale zresztą tego nie żałował. Nikomu nie wolno niczego komplikować, dopóki Rick nie ożeni się z tą dziewczyną. Stracił trochę czasu, bo musiał dostarczyć pewien pakunek skorpionom i węzom zamieszkującym gęsty las porastający brzeg Biscayne Bay, ale teraz starał się to nadrobić. Lubił być zajęty.

Centrum handlowe. Wystawy snobistycznych sklepów pełne towarów

bez metek. Kolorowe trawniki, żywopłoty, dzwoniące fontanny, pnącza tropikalne zwisające z ogromnych wiszących koszy, wspaniały krajobraz i równie wspaniałe ceny, kawiarnie z ogródkami, gdzie kawa kosztuje cztery i pół dolara, Gucci, Saks i Neiman Marcus. Nie prowadzono tu wyprzedaży. Alex znał dobrze to miejsce, gdyż doszło tu kiedyś do małego nieporozumienia.

– Wróciłem – oświadczył, nie bardzo wiadomo komu. – Nie przyłapiecie mnie już na drobnej kradzieży. Tym razem zabiorę wam wszystko.

Parkingowi ubrani byli w czerwono-białe mundury i hełmy, tak jak policjanci na Bahamach. Oburzał go do głębi fakt, że trzeba dodatkowo płacić za to, żeby móc wydać tu pieniądze. Co za zdzierstwo!

Zresztą i tak nie powinien zostawiać samochodu na parkingu. Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby czekać, aż jakiś stary pryk podniesie rękę, wskazując mu, że może już jechać, kiedy będzie musiał się spieszyć. Nie chciał sobie nawet wyobrażać takiej sytuacji. Był bardzo niecierpliwy. Z konieczności. Mała uliczka w przylegającym do centrum Bay Harbor Island lepiej nadawała się do parkowania. Będzie musiał pamiętać, żeby wrzucić pieniądze do licznika. Takie drobiazgi bardzo się liczą. Zawsze trzeba sprawiać wrażenie praworządnego, zupełnie przeciętnego obywatela. Ta gra nazywa się oszustwo. Nic dziwnego, że tak łatwo utożsamiał się z tym miastem i chciał w nim pozostać. Do tej pory nie żył jeszcze na całego, ale sytuacja ulegała stopniowej poprawie. Stał się najsilniejszy, a siła wciąż przybywało.

Centrum handlowe, co najmniej dwupoziomowe, wraz ze swymi ekskluzywnymi sklepami przypominało pięknie oświetlony, kolorowy statek

wycieczkowy płynący po ciemnej rzece. Wzdłuż czteropasmowej Collins Avenue stały eleganckie, stare hotele i pyszniły się kondominia, odsunięte w głąb od ulicy, z oknami zwróconymi dumnie ku morzu. Za centrum handlowym wiły się wąskie, spokojne uliczki, a przy nich mieściły się domy i apartamenty należące głównie do ludzi, którzy przyjeżdżali tu w zimie, która oczywiście nie była szczytem sezonu turystycznego. O tej porze, tuż po zmierzchu, nikt nie spacerował tędy, a kierowcy spieszyli na północ, zmierzając w stronę Golden Beach i Hollywoodu, bądź zatrzymywali się na parkingu centrum, żeby otrzymać bilety od porządkowych.

Zadaszony, dwupoziomowy, tonący teraz w cieniu parking był tylko w połowie wypełniony. Nikt nie kręcił się w pobliżu. Nadeszła pora, żeby przybyli ludzie, na których tu czekał, jeżeli mieli zamiar zjawić się punktualnie. O wilku mowa. Ładnie polakierowana, czerwona ciężarówka przyjechała na miejsce o czasie. I o to chodziło. Teraz już nic nie mogło go powstrzymać. Kierowca postawił wóz na ukos od tylnego wejścia ekskluzywnego sklepu. Z ciężarówki wysiadł goniec, który śmiał się teraz z czegoś, co właśnie powiedział kierowca. Nie nosił munduru, nie miał nawet broni. Uważali widocznie, że tak jest dyskretniej. Alexowi wydało się to głupie. Goniec wyglądał zwyczajnie, miał około dwudziestu siedmiu lat, był dobrze zbudowany. Poszedł na tyły sklepu, okrążając budynek, przycisnął guzik, powiedział coś do domofonu i wszedł do windy.

Za jakieś dwanaście minut pojawi się tu z powrotem i będzie niósł torbę z całodziennym utargiem. Alex będzie czekał na niego, gdy wysiądzie sam z windy. Musi go dopaść, nim goniec ponownie znajdzie się w zasięgu wzroku kierowcy. Pociągало to za sobą ryzyko, ale Alex był szybki. Goniec musi oddać pieniądze i wylądować z powrotem w windzie żywy lub

martwy, kiedy zamkną się drzwi. A one nie otworzą się już, dopóki nie uruchomią ich strażnicy. Wtedy winda pojedzie na trzecie piętro i zanim ofiara zdąży wyjawić, co się stało, Alex wsiądzie już do samochodu. Kierowca ciężarówki nie będzie się niecierpliwił. Nabierze podejrzeń dopiero wtedy, gdy z wind wypadną uzbrojeni ochroniarze, ale nie stanie się to przed upływem pięciu minut. Wtedy lokalna policja również już będzie w drodze. Zablokują prawdopodobnie oba wyjazdy i autostradę Bay Harbor na zachód od Miami. O tej porze Alex będzie już zmierzał na południe i znajdzie się w zasięgu innego obwodu policyjnego, w obrębie Surfside, oddalonego zaledwie parę przecznic od centrum handlowego. To małe miasto z własną komendą policji ma zaledwie parę przecznic, a zatokę dzieli od morza nie więcej niż mila. Alex musi minąć dziewięć przecznic i trzy skrzyżowania, żeby wyjechać spoza jurysdykcji Miami Beach. Radia policyjne w tych okręgach pracują na różnych częstotliwościach, a więc policjanci z Surfside nie dowiedzą się o popełnieniu przestępstwa, chyba że ci z Miami uznają za stosowne ich o tym poinformować. Tylu gliniarzy, tyle komisariatów i tak słaba informacja. Słyszał wielokrotnie, jak policjanci na to narzekali.

Gdyby goniec się bronił i odmówił oddania pieniędzy, sprawy przybrałyby inny obrót. Jeśli zostanie zmuszony do użycia broni, kierowca może usłyszeć strzał, nawet w klimatyzowanej ciężarówce z włączonym silnikiem. Oczywiście może przypisać ten odgłos strzelającemu gaźnikowi, nie będąc jednak pewnym, skąd on pochodzi, bo z parkingu i wind docierają różne dźwięki. Kierowcom nie wolno wychodzić z wozów. Jeśli jednak ciekawość weźmie nad nim górę i wyjdzie, żeby sprawdzić? Ludzie nie zawsze postępują zgodnie z przepisami. Kierowca ma broń. Może

narobić kłopotów. Alex postanowił, że na razie jednak nie będzie się martwił. Ma jeszcze na to czas.

Czekając tak samotnie w ciemnościach, był zupełnie spokojny i pewny siebie. Serce biło mu mocniej niż zwykle i miał gęsią skórkę, ale nie odbierał tego w nieprzyjemny sposób. Przypomniawszy sobie, że nie wolno mu biec. Powinien raczej szybko iść. Pieniądze umieścił w torbie na zakupy, którą trzymał teraz pod pachą. Później pozbędzie się czeków i pieniędzy. W dalszym ciągu sprawdzał czas. Zostały jeszcze cztery minuty. Stanął na posterunku w cieniu kamiennej misy z filodendronem, zaledwie dwa kroki od drzwi windy. Broń ciążyła mu trochę i to go uspokajało. Za pasem miał nóż. Jeśli zostanie zmuszony do użycia broni, nie narobi hałasu, choć będzie to brudna i niebezpieczna robota. Gdy nie udaje się trafić przeciwnika w naprawdę czułe miejsce, można go tylko rozwścieczyć, a nie poważnie zranić. A nawet, jeżeli cios będzie celny, i tak potrwa to chwilę, nim ofiara stanie się zupełnie nieszkodliwa i upadnie. Alex nie mógł sobie pozwolić na żadną stratę czasu. Miał przy sobie swoją ulubioną trzydziestkęósemkę, która nigdy go nie zawiodła. Była przy tym taka przyjemna i bezosobowa. A poza tym nie brudziła rąk. Można całkowicie wyeliminować z gry przeciwnika, nie niszcząc sobie fryzury i nie gniotąc ubrania. Broń palna budzi respekt i pod jej wpływem ludzie gotowi są zgodzić się na wszystkie żądania. Nie podjąłby się zresztą całego tego przedsięwzięcia, gdyby jej nie miał.

Jeszcze dwie minuty. Za centrum handlowym powietrze stało, budynki nie dopuszczały tu wiatru od morza, a łomot urządzeń klimatyzacyjnych zagłuszał szum oceanu. Alex był wściekły, że nie widzi stąd bezkresu nieba. Ze swego stanowiska mógł jedynie dojrzeć pasek bezgwiezdnego

aksamitu. Na horyzoncie rozkwitał wielki błękit z ciemnymi, ołowianymi chmurami. Niewykluczone, że wieczorem się rozpada – pomyślał. Musi bardzo ostrożnie prowadzić, jezdnie bywają zdradzieckie, gdy spadną na nie pierwsze krople deszczu. Kiedy odrobina wody zmiesza się z warstwą benzyny i kurzu, którą pokryta jest nawierzchnia, droga staje się tak śliska, że zarówno samochód, jak i ślizgacz może wypaść z szosy lub przejechać na przeciwny pas. Nie była to najlepsza pora na stłuczki. Absolutnie nie najlepsza. Alex przypomniał sobie, że Rick opowiadał kiedyś o facecie, który napadł na bank, a później nie mógł się dostać do samochodu. Mówił też o małolacie, który włamał się do samochodu wyladowanego po brzegi skradzionym łupem. Chciwy złodziej pozostawił go na ulicy, a sam wrócił do mieszkania po więcej towaru. Innym razem pewien handlarz narkotyków telefonował właśnie z automatu, tak jak to oni mają w zwyczaju, kiedy nagle odwrócił się i zobaczył, jak jakiś nastolatek kradnie mu mercedesa, w którym była kokaina i sto dwadzieścia tysięcy dolarów. Nie zgłosił tego oczywiście policji i wszystko wyszło na jaw dopiero wówczas, gdy zwrócono uwagę na dzieciaka, wyrzuconego już wówczas ze szkoły, który płacił gotówką za motocykle kupione w prezencie dla przyjaciół. Właściwie małolat miał szczęście, że to gliny dopadły go wcześniej. Rick zawsze opowiadał w domu takie kapitalne historyjki. Alex doszedł do wniosku, że będzie mu ich brakowało, kiedy Rick rozstanie się z tym światem.

Jeszcze minuta. Wreszcie! Usłyszał, jak otwierają się drzwi automatyczne i zaraz potem zamykają z łoskotem, który przyprawił Alexa o drżenie serca. Teraz odgłos zjeżdżającej w dół windy. Właśnie! Głęboki oddech, czapka na oczy, broń w pogotowiu. Niech lepiej ten facet będzie

posłuszny, jeśli chce dziś wieczorem wrócić do domu. Sezamie, otwórz się! Goniec stał na samym środku, z lekko rozstawionymi nogami, wpatrzony wprost przed siebie, z torbą pod pachą, którą podtrzymywał od spodu prawą ręką.

Zamrugął, widocznie nieprzyzwyczajony jeszcze do zmiany oświetlenia, kiedy Alex wyłonił się tuż przed nim z ciemności.

– Co jest? – powiedział i zrobił krok do tyłu. Alex stanął w drzwiach, by uniemożliwić ich zamknięcie. Lufa pistoletu znajdowała się na poziomie serca mężczyzny. Alex dał mu znak, żeby oddał torbę. Goniec zawahał się. Alex odbezpieczył broń. Głuchy, metalowy dźwięk robił wrażenie. Facet otworzył usta, ale słowa uwięzły mu w gardle. Patrzył teraz wyczekująco na Alexa, któremu się to zupełnie nie podobało. Zacisnął palec na spuście. Goniec zauważył ten gest i uniósł prawą dłoń, jakby chciał go powstrzymać. Alexowi przypadł zdecydowanie do gustu przerażony wyraz oczu mężczyzny, który nie spuszczał teraz z niego wzroku, dokładnie tak, jak powinien.

Machnął szybko i niecierpliwie pistoletem. Mężczyzna oddał mu torbę, która była cięższa, niż się spodziewał. Chwycił ją mocno i cofnął się, odsłaniając drzwi. Wtedy zauważył, że goniec wykonał jakiś ruch. Dostrzegł to w jego twarzy, w zawziętości jego spojrzenia i zaciśniętej szczęce. Rzucił się do deski rozdzielczej, Alex sądził, że chce zapobiec zamknięciu drzwi, ale mężczyzna włączył alarm. Trzymał kciuk na przycisku, a syrena wyła przeraźliwie głośno. Sukinsyn! Gdy drzwi zaczęły się zamykać, Alex oddał dwa strzały. Sygnał alarmowy doprowadzał go do szaleństwa, a zasuwające się drzwi ograniczały mu pole widzenia. Człowiek w windzie rzucił się w lewo, więc Alex chybił nawet z tak

niewielkiej odległości. Winda ruszyła.

Usłyszał za sobą krzyk. Niech to szlag! Skąd on się tu wziął? Strażnik w mundurze. Nie był to jeden z tych starych ramoli, ale młody, z rewolwerem w pochwie. Szedł szybko, teraz prawie biegł, a pojawił się akurat z tej strony, którą Alex zamierzał uciekać. Posuwając się szybko naprzód, odpinał pochwę. Alarm był tak głośno, że mógłby obudzić umarłego. Winda była cały czas w ruchu. Goniec wrzeszczał, żeby ktoś zadzwonił po gliny. Sukinsyn! – pomyślał Alex. Co za szkoda, że go nie zabił. Nie powinien był dopuścić, żeby drań wcisnął ten cholerny guzik. Jak tylko winda wypłuje go na trzecim piętrze, zbierze posiłki i zaraz – wszyscy wrócą na dół.

Ten cholerny ochroniarz z rewolwerem odcinał mu odwrót. Nie mógł uciekać inną drogą, obok ciężarówki. Kierowca był uzbrojony i miał radio. Alex nie wiedział, w jaki sposób poradzić sobie z ciężarówką. Ochroniarz też miał radio, przypięte do pasa. Nie, miał innego wyboru. Ruszył pędem wprost na niego. Ochroniarz zawahał się. Bał się strzelać pierwszy, bo jeszcze nie całkiem rozumiał, co się dzieje.

– Stój! Nie ruszaj się! – wrzasnął.

Znajdował się dość blisko niego.

Zabiję go jak psa – pomyślał Alex.

Wystrzelił. – Strażnik był wyraźnie zaskoczony. Zatrzymał się tak raptownie, że siłą rozpędu przeleciał jeszcze parę kroków do przodu, ale nie został ranny. Cholera – zaklął w duchu Alex i schował się za jednym z zaparkowanych tam samochodów. Nie widział ochroniarza, ale słyszał, jak nawija coś przez radio, a potem doszedł do niego odgłos zapalającego silnika ciężarówki. Winda na pewno zatrzymała się już na trzecim piętrze.

Za chwilę znowu zjedzie na dół. Musi się stąd wynosić. Uzbrojeni strażnicy mają na ogół za sobą krótkie przeszkolenie strzeleckie, ale nie potrafią zbyt wiele, chyba że służyli w policji. Bardzo trudno jest trafić w ruchomy cel. Ucieczka stała się najlepszym wyjściem. Jazda! Kątem oka dostrzegł reflektory ciężarówki. Pędził jak szalony, z torbą w jednej ręce i pistoletem w drugiej, szarżując na samochód, za którym skrył się ochroniarz. Przebiegając tuż obok niego, oddał kilka strzałów i pognął dalej w stronę następnego rzędu samochodów, za którymi chciał się schronić. Poczul zapach prochu i zobaczył przeszywający powietrze błysk. Strażnik był przerażony, usiłował schować jakoś głowę i wejść pod samochód, co tak zaabsorbowało jego uwagę, że nie miał czasu strzelić. Ale znajdzie czas – pomyślał Alex. I rzeczywiście. Strzela. Raz, dwa, trzy. Kretyn trafił prosto w zadaszenie parkingu i odłamki betonu pofrunęły w powietrze. Alex posuwał się teraz wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów, który ich od siebie odgradzał, zmierzając w kierunku zachodnim. Miał wrażenie, że znajduje się jeszcze bardzo daleko od własnego auta, a gdyby oni je zauważyli i jeszcze zapisali numery rejestracyjne, byłby ugotowany.

Wystrzelił cztery kule, jeszcze dwie i będzie musiał naładować broń. Jeśli strażnik natomiast nie przestanie szastać nabojami, jak do tej pory, a dysponuje standardowym rewolwerem, co było prawdopodobne, nie będzie miał innego wyjścia, jak zatrzymać się i ponownie załadować. Chyba że schował gdzieś drugi pistolet, w co Alex mocno powątpiewał. Rozległ się teraz taki dźwięk, jakby strażnik rozniósł w pył kilka samochodów naraz. A może trafił w zbiornik albo w chłodnicę? Wyraźnie słychać było plusk. Co jest, do cholery?! Co to za ludzie?! Zza budynku

wyłoniło się nagle siedem czy osiem osób. Przechodnie, ludzie robiący zakupy w centrum, wszyscy oni biegli teraz w jego kierunku. Ci cholerni mieszkańcy Miami są tak przyzwyczajeni do zbrodni, że w momencie gdy usłyszą strzały, nie uciekają, tak jak normalni ludzie, ale pędzą zobaczyć, co się stało. Są szaleni – pomyślał. Ochroniarz machał rękami i wrzeszczał do nich, żeby się cofnęli, odstawiając się w ten sposób przed Alexem i stwarzając mu okazję do strzału. Teraz gapie zaczęli krzyczeć i przepychać się w panice, usiłując schować się za rogiem. No, trochę lepiej – przemknęło Alexowi przez myśl – ale jednak są stuknięci.

Musiał przystanąć, żeby złapać oddech. Będzie mógł przy okazji pozbyć się monet, które tak obciążały torbę. Zobaczył, że w jego kierunku, z powiększającą się wciąż kałużą, płyną strumyczki jakiejś cieczy. No jasne, benzyna. Ktoś miał pełny bak. Pożar mógł go stąd uwolnić. Ogień odwróciłby uwagę wszystkich na czas, który był mu potrzebny, żeby wydostać się poza teren i przebiec krętą uliczką w dół do samochodu, zaparkowanego nie opodal. Naciśnie spust i tyle go będą widzieli.

Zachował ostrożność i odskoczył. Słusznie, bo benzyna buchnęła takim płomieniem, że mógł się poparzyć. W nogi! – pomyślał: Ogień skakał między nim a strażnikiem i windą. Pożar wkrótce ogarnie cały parking, nie ma gdzie się rozprzestrzenić. Teraz nikt go nie zobaczy. Płomienie powstrzymają nadbiegających ludzi. Przy odrobinie szczęścia wydostanie się stąd w parę sekund. Musi tylko przebiec kawałek nieosłoniętym pasem jezdni i będzie bezpieczny. Cholera! Z przeciwka wyjechała ciężarówka i przekraczając dozwoloną szybkość zbliżała się do niego w zastraszającym tempie. Kierowca wystawił przez okno rękę, w której trzymał broń. Za kogo on się uważa, do diabła? Za Wyatta Earpa?

Jasny szlag! Dogania go! Nie da rady! Zaraz padną strzały. Będzie musiał rzucić torbę. Przecież o to właśnie chodzi kierowcy, o tę cholerną torbę. Tu jest pies pogrzebany – pomyślał Alex. Odczepi się ode mnie, jak rzucę mu forszę. Szybko się połapie, że nie może czekać i wrócić po nią później. Bo i gdzieżby? W centrum handlowym roito się od ludzi, dookoła biegali jak opętani policjanci i strażacy. Nie znalazłby nawet złamanego centa, gdyby nie zabrał jej od razu.

Cholera, wszystko na nic. No, dobra. Otworzył torbę i rzucił ją tak, że spadła prosto w światło doganiających go reflektorów. Wtedy zaczął uciekać jak oszalały. Za sobą usłyszał pisk hamulców i wycie syren. Gliny i strażacy nadjeżdżali ze wszystkich stron. Teraz w dół. Dobrze, że włożył buty do joggingu. Na ulicę. Idź spokojnie. Nie możesz się teraz zatrzymać i zacząć sapać ze zmęczenia. Weź głęboki oddech. Zdejmij czapkę, schowaj chustkę.

Zobaczył swój samochód stojący w połowie przecznicy i usiłował powstrzymać drżenie kolan. A cóż to? Kobieta, starsza pani z psem na smyczy.

Pewnie gdzieś tutaj mieszka – pomyślał. Nie ma przy sobie torebki. A pies żwawo skakał przy jej nogach. Co za cholera?! Najwyraźniej dostrzegła go i zaczęła przechodzić na drugą stronę ulicy. Miała okulary na nosie, ubrana była w podomkę, pod którą najprawdopodobniej kryła się koszula nocna.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odparł, usiłując stanąć poza kręgiem światła rzucanym przez latarnię. Bo cóż innego mu pozostało?

– Co się stało? Słyszałam jakieś straszne zamieszanie w centrum.

Rozsadzała ją ciekawość. Oczy błyszczały z podniecenia. Czy ci ludzie nigdy się nie zmienią? Trzęsły mu się kolana, chciał uciekać, ale nie mógł. Nie spartol teraz niczego – upominał się w myślach, usiłując nadać swym sówom zwyczajne brzmienie i opanować drżenie głosu. Przystanął, przechylił głowę i odparł:

– Chyba wybuchł tam pożar.

– Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stało – powiedziała i spojrzała na niego wyczekująco. – Jesteśmy sąsiadami? Nie przypominam sobie...

– Nie, odwiedzam kogoś – zrobił kilka kroków w tył. Kobieta wzięła pieska na ręce. Alex miał wrażenie, że są do siebie bardzo podobni: błyszczące, duże ślepia, siwiejące pyski. Oboje zwrócili spojrzenie w kierunku, dochodzącego aż tutaj, rosnącego harmideru w centrum. Dobrze – pomyślał. Nie miał wcale ochoty zawierać z nią bliższej znajomości ani tym bardziej zabijać jej oraz psa i jeszcze bardziej się stresować. Ale nie chciał również, żeby zobaczyła, do którego samochodu wsiada i którądy odjeżdża.

– Chyba można wszystko dokładnie zobaczyć z tego wzniesienia. Wychodzi akurat na parking.

– Och, dziękuję! Chodź, Pookie – postawiła psa na cztery łapy i oboje podreptali w stronę, z której dobiegało wycie syren.

Alex błyskawicznie zabrał klucz z tylnego koła i szybko wyprowadził samochód z przecznicy, kierując się na południe. Oddychał ciężko. Był zupełnie roztrzęsiony. Tym razem był o krok od klęski. Co innego strzelać do ludzi, a co innego być narażonym na odwet z ich strony. Niektórzy nie traktują zbrodni wystarczająco poważnie – pomyślał. I na tym polega problem. Albo są tak zahartowani, albo tak znużeni, że nie reagują na

polecenia człowieka, który trzyma w ręku broń. Każdy chce walczyć. W odpowiedzi można ich jedynie zastrzelić. Teraz już wiedział, co powinien był zrobić. Na miejsce przestępstwa zmierzał właśnie wóz policyjny z Surfside. Najeżdżała również straż pożarna z włączoną syreną. Jak oni dostaną się na parking? Alex zjechał na bok. Każdy dobry obywatel wie, że należy przepuścić pojazd na sygnale. Cóż, schodził z placu boju bez centa w kieszeni, ale przynajmniej o własnych siłach. Poniósł nieznaczną porażkę, a powinno było się udać.

To wszystko przez nich – pomyślał Alex. Oni są winni. Przeszkadzają mi w myśleniu i realizacji planów. Był na nich wściekły. Wciągali go na dno. Teraz już był pewien, że będzie musiał się z nimi rozprawić. Wszystko zmieni się na lepsze, kiedy ich uspokoi. Na zawsze.

Rozdział dwudziesty piąty

Zanim Jim dotarł do komisariatu, kichnął potężnie kilka razy. Miał czerwone oczy, które swędziały go boleśnie, więc cały czas je przymykał. Poza tym bolała go głowa. Przeklinał przy tym człowieka, który wpadł na wspaniały pomysł, żeby sprowadzić *melaleukę*, gatunek drzew australijskich na Florydę na początku dwudziestego wieku. Ludzie nazywają je papierowymi, z powodu rodzaju kory. Ich bujne, białe kwiaty przyczyniły się do tego, że drzewa te zrobiły furorę jako roślina ozdobna. Dla alergików stanowiły jednak przekleństwo i w okazały sposób uszczuplały zawartość ich portfeli. *Melaleuka*, która nawet nie mogła się poszczycić amerykańskim rodowodem, powodowała nieopisane męki i kłopoty – myślał Jim z odrazą – podobnie jak wielu innych nie rodowitych Amerykanów, którzy nie mieli nic wspólnego z Florydą ani ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki w ogóle.

Jedyni rekruci, którzy zgłosili się na ochotnika do przyjmowania telefonów, ledwo mówili po angielsku, albo byli zbyt głupi, by odróżnić świra od pomocnego obywatela, który chce przekazać ważną wiadomość, lub też wroga publicznego numer jeden. Tak więc, okazali się całkowicie bezużyteczni, ale i tak Jim wybrał najlepszych z grupy, która niewątpliwie uczęszczała do najgorszej klasy w akademii policyjnej.

Gdy wszedł do biura, co zwykle nie zostawało przez nikogo zauważone, powitany został z podejrzaną serdecznością. Mack Thomas przewodził zebranim i czatował przy swoim biurku, żeby wygłosić wcześniej przygotowaną kwestię:

– Kiepsko wyglądasz, Jim. Nie masz czasem kłopotów z głową?

– Z głową – powtórzył, kiedy nie uzyskał odpowiedzi.

– Rozumiesz, o co mi chodzi? – zarechotał z własnego dowcipu.

Jim sapnął, sięgnął po chusteczkę i zorientował się, że zostawił ją w samochodzie. Pociągając nosem przetrząsnął biurko Dusty w poszukiwaniu kleenexów. Znalazł je w dolnej szufladzie. Dobra dziewczynka, prawdziwa harcerka – pomyślał. Zawsze ma wszystko na swoim miejscu.

Zwykle oferowała jednorazowe chusteczki szlochającym krewnym ofiary lub aresztowanym, których ruszyło sumienie. Czyniła to z powagą, bez słowa. Mimo kolorowych, pastelowych kwiatków na pudełku, przeniósł je na swoje biurko, nie zwracając uwagi na zebranych nad nim jak sępy detektywów, i wytarł głośno nos.

– Nie przejmuj się, Jim. Ty przecież nigdy nie tracisz głowy – zażartował policjant z wydziału włamań, wywołując salwę śmiechu zebranych.

– Kto inny ją stracił – dodał jego kolega.

– Podobno zawsze miała głowę na karku – powiedział Mack. – A słyszałeś może o tym łowcy głów, który...

Jim odsunął krzesło i poszedł do szatni. Zajęte zatoki ciążyły mu jak kamień. Był pewien, że po ostatnim ataku *melaleuki*, jaśminu, czy też innego świństwa, które zamieniło jego głowę w ołowiany balon, schował w szafce spray do nosa.

Najpierw zrobił siusiu, zapiał suwak, umył ręce i zerknął w lusterko wiszące nad umywalką. Wyglądał koszmarnie. Miał czerwony nos i spuchnięte oczy. Doszedł do wniosku, że musi trochę odsapnąć, zanim zajmie się najbardziej interesującymi wiadomościami ze stosu, który tego

popołudnia gwałtownie się rozrósł. Na co komu potrzebna ta idiotyczna głowa? – dociekał, czując, jak ogarnia go irytacja. Może sprawca należał do jakiejś zwariowanej sekty? Wielu takich przybyło do Miami. Byli imigrantami z południa, wyznawcami Voodoo, obrządków Santerii, składali zwierzęta w ofierze, kradli kości z cmentarzy. Jim przypomniał też sobie o sekcje, która w latach siedemdziesiątych obcinała ludziom głowy. Ci jednak karali w ten sposób współwyznawców, którzy tracili wiarę i chcieli odejść, a nie elegancko ubrane panie w średnim wieku. Jim miał głęboką nadzieję, że nie jest to początek jakiejś nowej mody i zaczął się zastanawiać, dlaczego wszystko zaczyna się właśnie w Miami. Pocieszał się, że Rick, który bierze udział w sekcji, przyniesie mu jakieś ciekawe nowiny. Wytarł ręce, wrzucił papierowy ręcznik do kosza i wszedł do pomieszczenia obok, w którym znajdowały się szafki, po czym zaczął gmerać w kieszeni w poszukiwaniu klucza.

Był sam. Duszny pokój wydał mu się jeszcze bardziej ponury niż zwykle. W pomieszczeniu bez okien znajdowała się tylko jedna jarzeniówka, teraz najwyraźniej przepalona. Jedyne spod drzwi prowadzących do toalety sączyła się cienka smuga światła, zasłonięta jednak rzędem wysokich, metalowych szafek. Odnalazł swoją i próbował otworzyć ją w ciemnościach. Toporne metalowe drzwi zacięły się. Wściekły, grzmotnął w nie i gwałtownie je szarpnął.

Zamek odskoczył. Coś okrągłego i owłosionego stoczyło się z półki ponad jego głową i spadło wprost na niego. Na czerwonych ustach widniał groteskowy grymas. Oczy patrzyły w dal niewidzącym spojrzeniem. Jim odskoczył do tyłu, uderzając plecami o stojące za nim szafki. Czuł, jak wali mu serce. Coś, co leżało na półce, spadło z łomotem na podłogę,

przetoczyło się kawałek dalej, podskakując, i zamarło w bezruchu.

Jim usiłował zaczerpnąć powietrza, serce galopowało mu w piersi jak koń wyścigowy, zawahał się, rozejrzał dookoła, zrobił mały krok naprzód, pochylił się i zerknął na to okropieństwo.

– Sukinsyny... – mruknął, wciąż oddychając bardzo ciężko, i kopnął maskarę z całą siłą, jaką zdołał z siebie wykrzesać. Zrobił to dość niezręcznie i został wyrzucony w przód siłą rozpędu, tak że o mało nie upadł. Maskara toczyła się po podłodze, wreszcie uderzyła o szafki i zatrzymała się w miejscu.

– Skurwiele! – ryknął Jim. Czuł się, jakby właśnie połknął jabłko Adama. – Gliny, cholera jasna!

Umył twarz, pozbierał się jakoś i ruszył z powrotem do biura, trzymając delikatnie swoje znalezisko za kępkę długich włosów. Tocząc wzrokiem po pokoju, usiłował wysledzić, którzy policjanci usiłują za wszelką cenę zachować powagę.

– Doskonały żart – oznajmił i położył szkaradzieństwo na biurku. – Dobra – wrzasnął z rękami na biodrach. – Który idiota wpadł na ten pomysł?

Zawsze się zastanawiał, dlaczego turyści kupują te niesmaczne pamiątki – twarze Indian z uszami z muszli, a oczami i ustami wymalowanymi na brązowych kokosach. Wiedział natomiast, dlaczego ktoś kupił konkretnie tę ohydę.

– Mnie to nie ruszyło – skłamał, kiedy otoczyli jego biurko. Zniżył głos. – Moim zdaniem powinniśmy to podłożyć w damskiej szatni. Baby posikają się ze strachu.

Mack podniósł od niechcienia słuchawkę jednego z ciągle dzwoniących

telefonów, na które już nikt nie reagował.

– To Rick – oznajmił.

Jim wcisnął świecący się guzik i podniósł słuchawkę. W głosie Ricka pobrzmiwało napięcie.

– Słyszałeś o Bal Harbour?

– Nie, co jest?

– Strzelanina, pożar i chyba jeszcze wybuch w centrum handlowym.

– Chryste! Przecież Dusty tam pojechała. Miałaś od niej jakieś wiadomości?

– Nie, nie mogę jej złapać przez radio.

– Cholera! Może coś się jej przytrafiło? Nie wiesz, czy na miejscu były jakieś gliny?

– Nie. Mam bardzo niedokładne informacje. Dopiero je zresztą dostałem. Jeden miał tam, jak zwykle, regularną służbę i dostał wezwanie. Przyjedź tu natychmiast i ruszamy na miejsce. Bardzo się o nią martwię.

– Wyjrzyj przez okno, to zobaczysz, jak wjeżdżam na parking – Jim wkładał już kurtkę. Nie znalazł wprawdzie sprayu do nosa, ale doszedł do wniosku, że jakoś przeżyje. Mijając biurko Dusty rozejrzał się dookoła i ponieważ nikt na niego nie patrzył, włożył jej do szuflady kokosową głowę, twarzą do góry, dokładnie tam, gdzie przedtem leżały kleenexy.

Przebijali się przez ulice na sygnale, z kogutem na dachu, a na skrzyżowaniach włączali syrenę. Mimo wielokrotnie powtarzanych prób wywołania jej przez radio, Dusty nie dawała znaku życia.

– To zupełnie do niej niepodobne. Chryste Panie, mam nadzieję, że nic się jej nie stało – powiedział nerwowo Rick.

– Może wysiadły jej baterie albo radio gdzieś spadło.

– Mogła je zgubić w czasie pościgu.

Jim kłął na czym świat stoi i wymijał kierowców, którzy nie reagowali na sygnały, a Rick opowiadał mu o sekcji. Nie miał zresztą wiele do powiedzenia. Bezgłowa Jane Doe, bo takie nadano jej tymczasem imię, miała bliznę po operacji wyrostka, co mogło pomóc w ustaleniu jej tożsamości. Lansing ocenił jej wiek na jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat.

Na miejscu zastali jeszcze pięć wozów strażackich. Ogrodzone sznurem centrum handlowe, oświetlone migającymi, czerwonymi i niebieskimi światłami, sprawiało surrealistyczne wrażenie. Roilo się tam od policjantów. Detektywi mignęli odznakami i poprosili o rozmowę z kimś, kto dowodzi akcją, szukając cały czas wzrokiem jasnych włosów Dusty.

Szef Bal Harbour, przysadzisty facet po sześćdziesiątce, zachowywał się wstrzemięźliwie, ale jednocześnie widać było po nim, że jest ciekawy, po co przyjechali.

– Nie macie, chłopcy, wystarczająco dużo roboty po swojej stronie zatoki?

– Nasza partnerka prowadziła tu dochodzenie w sprawie popełnionej w mieście zbrodni, nie możemy się z nią skontaktować, więc kiedy usłyszeliśmy, co się tu dzieje, pomyśleliśmy, że bierze udział w akcji – wyjaśnił Rick.

Szef milczał przez chwilę, a później powiedział, umyślnie cedząc słowa:

– Jest taki zwyczaj, że zawiadamia się policję lokalną, kiedy prowadzi

się dochodzenie na jej terenie. – Znów urwał. – Nie pamiętam, żebym otrzymał taką informację od waszej partnerki – zakończył z głośnym westchnieniem.

– Detektyw Dustin chciała się tylko trochę rozejrzeć – odparł Rick. – Próbowała zidentyfikować ofiarę przestępstwa na podstawie jej ubrania. W oczach szefa rozbłysło zainteresowanie.

– Chodzi o tę kobietę bez głowy? Zajmujecie się tą sprawą?

– Niestety, tak – potwierdził Rick.

Szef był szczerze rozbawiony.

– Jak sądzicie, dlaczego ktoś zabrał tę głowę?

– Dobre pytanie. Może się dowiemy, kiedy uda nam się zidentyfikować zamordowaną.

– Macie jakieś powody, żeby sądzić, że ta kobieta mieszkała w naszej okolicy? – zapytał szef. – Nie zgłaszano tu ostatnio żadnego zaginięcia.

– Nie. Myśleliśmy tylko, że może kupiła tu ubranie. Nie widzieliście naszej koleżanki? Taka wysoka blondynka, około trzydziestki.

Nie odwracając spojrzenia od detektywów, szef zawołał przez ramię do swoich ludzi:

– Widział no który policjantkę z miasta?

Nie uzyskał odpowiedzi. Nieufni policjanci z peryferyjnej dzielnicy gapili się na niego bezmyślnie i widać było jasno, że nie chcą, żeby ktokolwiek mieszał się w sprawy przestępstw popełnionych na ich terenie.

– Jeśli tu była, prawdopodobnie dała nogę, kiedy się zaczęło. Pewnie nie chciała się w to mieszać – zaśmiał się rubasznie. Zawtórowało mu kilku policjantów.

– W takim, razie w ogóle tu nie dotarła – głos Jima zabrzmiał jak zgrzyt

noża po szkle.

Nienawidził tych idiotycznych kłótni z lokalną policją, do których dochodziło zawsze, gdy musieli działać poza obrębem miasta. Dym sprawił, że jeszcze bardziej rozbolały go oczy. Potarł nasadę nosa i starał się głęboko oddychać.

– Co tu się stało? – spytał Rick, rozglądając się dookoła i ignorując ostentacyjnie ostatnią uwagę szefa Bal Harbour.

– Napadnięto na gońca, który właśnie wychodził z windy. W torbie miał całodzienny utarg od Farnswortha. Bandyce prawie się udało, ale napatoczył się tam ochroniarz, który pracuje dla centrum. Doszło do wymiany ognia, kule trafiły w parę samochodów, jedna z nich prosto w zbiornik z benzyną i wybuchł pożar. Kilka aut spłonęło.

Rick miał skupiony wyraz twarzy, zmarszczył brwi.

– Goniec był w cywilnych ciuchach czy miał mundur? – zapytał.

– Był zwyczajnie ubrany. Dopiero od niedawna noszą normalne ubrania. A jak na to wpadłeś?

– Wiem to z biuletynu, czytali nam go na odprawie. Ochrona w bardziej eleganckich sklepach i magazynach zdecydowała, że jest lepiej i dyskretniej, jeśli personel przewożący pieniądze nie nosi mundurów.

– A więc ktoś był dobrze poinformowany – powiedział szef z namysłem.

– Podejrzany uciekł?

– Tak, ale najpierw porzucił torbę z pieniędzmi. Sortują teraz forszę, ale chyba jest wszystko: około sześćdziesięciu tysięcy. Nie zabrał nawet centa.

– Macie rysopis?

– Biały, młody, kurtka, niebieskie dżinsy, czapka baseballowa, ciemne okulary, niebezpieczny jak cholera, biega jak zając.

– Opis auta?

– Nie mamy.

– Odciski palców?

– Torba przeszła przez wiele rąk. Dotykał jej kierowca ciężarówki, który ją podniósł, a potem z pół tuzina ochroniarzy i personel sklepu.

– Fatalnie – westchnął Rick. – A jaką miał broń? Jakiego kalibru?

– Rewolwer. Goniec twierdzi, że kaliber 38 z obciętą lufą, taki jakim często posługują się detektywi. – Spojrzał przymrużonymi oczami na Ricka, potem przeniósł wzrok na Jima. – Technicy wyłuskują teraz kule z samochodów i windy. Takie rzeczy nie zdarzają się tu często – dodał z łagodnym wyrazem twarzy. – Żyjemy wśród spokojnych ludzi, bogacze spędzają tu zimy. Pilnujemy im domów i jachtów. Nie lubią rzucać się w oczy, my również nie. To pasuje raczej do waszej strony zatoki. Madę jakieś sugestie?

– Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby zrobił to któryś z naszych ptaszków – przyznał Rick, ignorując złośliwości szefa. – Skontaktuję się z wydziałem włamań, zobaczę, czy ktoś przypadkiem nie skojarzy im się z tą sprawą i poproszę w laboratorium, żeby porównali analizę balistyczną z raportami w aktualnie prowadzonych przez nas sprawach. Może coś dopasują.

Szef skinął głową z poważną miną.

– Paskudna sprawa, ale mogło być o wiele gorzej. Ktoś mógł zginąć, nawet jakiś przypadkowy przechodzień mógł oberwać – przerwał na chwilę, po czym powiedział: – Ciekaw jestem, co też się przytrafiło waszej

partnerce?

– Również chciałbym to wiedzieć – powiedział Rick. – I na pewno się dowiem – dodał natychmiast. – Proszę dać nam znać, jeżeli będziemy potrzebni.

Pożegnali się.

– Co za palant – mruzczał Jim, gdy wracali do samochodu. – Pan na włościach, psia jego mać! Nie trafiłby do domu, gdyby ktoś pozdejmował oznaczenia z ulic. Słyszałeś te jego pieprzone uwagi na temat Dusty? I aluzję co do rodzaju broni?

– Trudno się mu dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że aż trzydziestu policjantów z Miami zostało w ciągu ostatnich dwóch lat postawionych w stan oskarżenia, a jeden jest na najczarniejszej liście FBI. Ten facet nas nie zna, nie wie, czy może nam ufać. I gdzie, do cholery, jest nasza partnerka?

Jim chrząknął i długo wycierał nos.

– Dobre pytanie – sapnął. – Tu jest telefon. Może złapiemy ją w domu.

Rick wzruszył ramionami, wrzucił monetę do automatu i wybrał numer Dusty. Nie musiał szukać go w notesie. Po dwóch dzwonkach usłyszał głos Dusty w słuchawce: „Nie mogę teraz podejść do telefonu – mówiła spokojnie, wyważonym tonem – ale będę bardzo zawiedziona, jeśli nie zostawicie wiadomości po sygnale”. Rick odczekał chwilę, nasłuchując, po czym odłożył słuchawkę. Zerknął na zegarek.

– Jest w domu – powiedział z ulgą.

– Dlaczego z nią nie rozmawiałeś?

– Włączyła sekretarkę – wyjaśnił Rick.

– To skąd wiesz, że jest w domu?

– Są ludzie, którzy rejestrują rozmowy przy pomocy sekretarki, ale nie mogą się oprzeć pokusie i zdejmują słuchawkę z widełek, żeby sprawdzić, kto dzwoni. Ona tak właśnie zrobiła. Poza tym usłyszałem bicie zegara w tle. Godzina się zgadza – mówił Rick i nagle wściekł się: – Co się, do diabła, dzieje z tą kobietą? Dlaczego poszła do domu, zamiast pracować? Dlaczego nie odpowiada na wezwania przez radio? Pędzimy jak wariaci na sygnale i pakujemy się w niezręczną sytuację, bo sądzymy, że coś jej się stało na służbie!

– Może w ramach zajęć poszła z kimś do łóżka? – zasugerował z namysłem Jim. – Z kim się teraz...

– Nie wiem – odparł Rick szorstko. – Z tego, co mówiła, z nikim.

– Eee, ktoś chyba korzysta z takiego wspaniałego ciała, nie sądzisz? – Ransom spojrzał pytająco na Ricka.

– Pewnie masz rację.

– Dlaczego mówisz tak, jakbyś był zazdrosny?

Rick wzruszył niecierpliwie ramionami i pokręcił głową.

– Trudno czasem zrezygnować ze starych nawyków.

– Masz zamiar dać jej nagane?

– Oczywiście. Przecież jestem jej przełożonym. Nie mogę udawać, że nic się nie stało, choćbym nawet chciał. Ale najpierw powinienem wysłuchać, co ona ma do powiedzenia na ten temat. Muszę wiedzieć, co się dzieje, do cholery.

Wsiedli do samochodu i Jim włączył stacyjkę.

– To, co dziś się wydarzyło, jest bardzo dziwne, Jim. Coś zdecydowanie nie gra. Mam takie przeczucie.

Kiedy weszli do komisariatu, Dusty siedziała przy biurku, jak gdyby

nigdy nic, i rozmawiała przez telefon. Nie patrzyła Rickowi w oczy.

Kiedy tylko odłożyła słuchawkę, Rick wskazał jej kciukiem oszklone drzwi.

– Musimy porozmawiać.

Jim patrzył zza biurka, jak Dusty niechętnie wstaje i idzie za nim jak niegrzeczna dziewczynka, która została wezwana do dyrektora. Myślał chwilę, po czym wyjął kokos z szuflady jej biurka i wrzucił go do kosza. Na jego miejsce włożył z powrotem paczkę z chusteczkami, wypchawszy sobie uprzednio kilkoma z nich kieszenie. Będą jej potrzebne – przemknęło mu przez myśl. Nienawidził, gdy kobiety płaczą. Westchnął. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała teraz Dusty, był sztubacki kawał, choć Jim miał straszną ochotę go zrobić. Bardzo lubił się z nią droczyć i przekomarzać. Przypominała mu trochę Molly, była odważna i miała silną osobowość. Marzył o tym, by zostać jej pocieszycielem, ale wiedział, że Dusty nigdy się nim nie zainteresuje. Nie był ogierem ani kobieciarzem, tak jak Rick.

Przejrzał wiadomości telefoniczne i znów westchnął, gdy zobaczył, że dwie z nich zostawił Terrance McGee. Na szczęście zaadresował je do Dusty. Na jednej z nich widniał dopisek: „Mówi, że już wszystko w porządku”.

Jim uniósł brew. Dzięki Ci, Boże, i za to. McGee nie myśli już, że ktoś go truje. Może pogawędki z Dusty dobrze mu zrobiły. Miał nadzieję, że Rick nie potraktuje jej zbyt surowo. Sam Pan Bóg wie – myślał – że nie zawsze jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być. Praca ustawicznie przeszkadza w życiu prywatnym, więc jeśli raz życie prywatne przeszkodzi w pracy, dziury w niebie nie będzie. Miała tylko pecha, że

wpadła. Ale któż mógłby przypuścić, że dojdzie do strzelaniny akurat tam, dokąd miała pojechać?

Zajrzał ciekawie za oszklone drzwi. Rick zamknął je za sobą starannie i zasiadł za biurkiem, przybierając władczą postawę. Dusty przycupnęła na krześle na wprost niego. Jim zauważył z zadowoleniem, że nie płacze. Przynajmniej jeszcze nie. Trzymaj się, dzieciaku – myślał, milcząco podtrzymując ją na duchu, dopóki nie dostał kolejnego ataku kichania.

– Co się z tobą dzieje, do cholery? – zapytał Rick ze złością. – Zawsze można było na tobie polegać, Co cię opętało?

– Zgoda. Nie pojechałam do centrum. Mam... – zawahała się i ciągnęła zmęczonym głosem – ... mam zły dzień i musiałam odpocząć. Źle zrobiłam, wiem. Możesz udzielić mi nagany albo nawet mnie zawiesić. Rób, co do ciebie należy – patrzyła gdzieś poza niego, koncentrując wzrok na pojedynczym oknie, za którym było już całkiem ciemno.

– Gdzie byłaś? – naciskał.

Wyraźnie zwlekała z odpowiedzią. Czekał.

– Jechałam do Bal Harbour, ale poczułam się okropnie. Byłam zupełnie przybita, wyłączyłam radio i po prostu pędziłam przed siebie. Zostałam na autostradzie, minęłam roгатki i jechałam dalej. W Palm Beach zawróciłam, i tyle.

– Korzystałaś ze służbowego auta poza granicami okręgu bez zezwolenia?

Przytaknęła z westchnieniem.

– Wspaniale. Co dalej?

– Byłam w domu i doszłam do wniosku, że muszę się jakoś pozbierać,

więc wróciłam tutaj. W drodze dowiedziałam się, co wydarzyło się w centrum. Gdybym znalazła się na miejscu, być może nie dopuściłabym do tego. Bardzo mi przykro.

– W restauracji wydawało mi się, że czujesz się dobrze.

Rick przyjrzał jej się uważniej. Był wkurzony na Laurel po porannej przygodzie przy goleniu i zdał sobie nagle sprawę, że porównuje obie kobiety. Choć różnego rodzaju gry i ciągłe zmiany podniecały go bardzo, doceniał również wartości stałe i nienaruszalne. Przynajmniej zawsze był pewien Dusty. Gdy tak się o nią martwił w drodze do centrum, zrozumiał, że fakt jej istnienia przyjmuje za rzecz oczywistą. Choć widywał ją codziennie, ostatnio wcale jej się nie przyglądał. A było warto. Czesła się teraz inaczej, miała dłuższe, bardziej falujące włosy. I opalone kolana. Najładniejsze kolana w całym komisariacie. Dusty patrzyła teraz na niego łagodnie i smutno.

– To sprawa osobista, sierżancie.

– Daj sobie spokój z tym sierżantem, dobra? Rozmawiasz ze mną. Słuchaj – kontynuował, gestykułując gwałtownie – jeżeli miałaś randkę, to zrozumieć. Zdarza się każdemu.

Zacisnęła usta, a na policzki wypłynął jej rumieniec. Oparła się o krzesło, założyła nogę na nogę i zaciągnęła się papierosem.

– Mogę tylko powiedzieć, że zazdroszczę temu facetowi – powiedział, przyglądając się jej uważnie.

– Nie było żadnego faceta – odparła i machnęła niecierpliwie nogą. – Nikogo po tobie nie było.

Ku swemu zdziwieniu odczuł nagłą ulgę. Naprawdę był zazdrosny. Wiele go z nią łączyło. Więcej niż z Laurel.

Z kolei nigdy nie byłby w stanie wyobrazić sobie Dusty w roli idealnej żony, która krząta się po kuchni, a na biodrach ma fartuch, a nie pas z rewolwerem.

– Lubię, kiedy tak się wściekasz. Podnieca mnie to – prowokował.

– Nie wierzę ci – odburknęła ze złością i spojrzała w sufit. – Słuchaj, pierwszy raz mi się coś takiego zdarza...

Rick przesunął trochę krzesło, żeby lepiej widzieć długie nogi dziewczyny, i utkwił wzrok w jej wygiętej stopie, po czym przeniósł go na łagodną linię łydki.

– Jest jeszcze coś, co muszę z tobą wyjaśnić. Prosiłem cię, żebyś porozwoziła portrety pamięciowe tych Kolumbijczyków po szpitalach. Zrobiłaś to?

– Byłam we wszystkich klinikach w mieście, sierżancie.

– Myślałem, że pojedziesz najpierw do okręgowej izby przyjęć. To by miało sens. A jednak gdy zjawiliśmy się tam z Jimem w sprawie tego rannego sprzedawcy, okazało się, że u nich nie byłaś.

– Uważałam, że ci faceci pojawią się najpierw w szpitalu, gdzie będą mogli porozumieć się po hiszpańsku. Kiedy dostaliście wezwanie do szpitala okręgowego, byłam pewna, że będziecie pamiętać o portretach, więc wykreśliłam to miejsce ze spisu.

Usatysfakcjonowany tą odpowiedzią Rick potarł twarz dłońmi.

– Chcesz porozmawiać z doktorem Feiglemanem?

– Wysyłasz mnie do psychiatry? – postawiła obie stopy na podłodze i wyprostowała się, jak struna na krześle. Miała oburzoną minę. – Słuchaj, mam po prostu za sobą parę kiepskich dni. Każdemu może się zdarzyć.

– Nie chcę, żebyś sądziła, że wolno ci wykorzystywać naszą znajomość

– odezwał się cicho Rick.

– Niczego nie wykorzystuję – odparła ze złością, zagryzając dolną wargę. Miała wspaniałe zęby.

– Dobrze – powiedział. – Skoro już to ustaliliśmy, może miałabyś ochotę spotkać się ze mną... może na drinka?

Przyjrzała się pytająco, w milczeniu, jego twarzy i odnalazła w niej odpowiedź.

– Ty nie żartujesz.

– Oczywiście, że nie – nie spuszczał z niej wzroku.

Odetchnęła głęboko, wstała raptownie z miejsca i podeszła do drzwi.

Odwróciła się do niego, z ręką na klamce.

– Wolę ciebie od tego konowała. To na pewno lepszy pomysł – powiedziała drżącym głosem.

– Każda pomoc gwarantowana.

– Okropny jesteś – stwierdziła. – I bardzo mi się to podoba.

– Możemy spotkać się u ciebie? Wołałbym zachować to w tajemnicy. Nawet przed Jimem.

Skinęła głową i wyjrzała na zewnątrz. Odchrząknął i popatrzył wokół z poważną miną.

– Cóż. Chyba nie warto sobie dłużej strzępić języków, detektywie Dustin. Przynajmniej na razie – dodał z uśmiechem. – Dokończymy później. Przyniosę wino.

– Tak jest, sierżancie – powiedziała z animuszem. Wymaszerowała z gabinetu z podniesioną głową. Jim docenił fakt, że nie płacze, choć wyraźnie trzęsły się jej ręce. Co za dziewczyna – pomyślał. Po godzinie Rick powiedział Dusty, że może iść do domu. Jim zauważył, że wymienili

spojrzenia. Dusty promieniała. Cholera jasna – przemknęło mu przez głowę.

– Kryj mnie, Jimbo – poprosił Rick pół godziny później. Wezwij mnie, jeśli naprawdę nie będzie innego wyjścia. W przeciwnym wypadku, nie zamierzam tu wracać. Muszę się zająć pewną sprawą.

– W Pigeon Plum?

– Tego nie powiedziałem.

Jim wzruszył ramionami.

– Wiesz już, co się stało Dusty?

– Nic wielkiego. Wszystko będzie w porządku – stwierdził z przekonaniem Rick.

– A jeśli zatelefonuje Laurel?

– Powiedz jej, że miałem wezwanie.

Jim westchnął. Trochę z zazdrości, trochę ze zmartwienia. Ci młodzi nigdy się niczego nie uczą.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, stary.

Rick już tego nie słyszał. W pośpiechu wybiegł do windy i naciskał właśnie przycisk.

W kwadrans później na biurku Jima zadzwonił telefon. Podniósł więc słuchawkę i natychmiast tego pożałował. Starał się nadać swym słowom zwyczajne, serdeczne brzmienie.

– Nie, nie ma go tutaj. Wyjechał na wezwanie. Ja zostałem tu, bo muszę dokończyć robotę papierkową.

Zapytała, kiedy Rick wróci do komisariatu.

– Chyba jest bardzo zajęty. Może się już tu nie zjawić. Zobaczysz go pewnie prędzej ode mnie. Jeśli się odezwie, powiem mu, że dzwoniłaś.

Wszystko w porządku?

Powiedziała, że tak, i odłożyła słuchawkę.

Kilka minut później sekretarka w średnim wieku odebrała telefon do Dusty.

– Chyba wyszła, ale zaraz sprawdzę. Przysłoniła dłonią słuchawkę i zawołała do Jima: – Czy Dusty wróci tu jeszcze?

Jim pokręcił przecząco głową, sekretarka powiedziała do słuchawki:

– Nie, już poszła do domu.

Jim obrócił się na krześle.

– Kto poszukuje Dusty? – zapytał.

– Nie wiem – odparła. – Nie pytałam o nazwisko.

– Jakiś znajomy głos?

– Może – sekretarka miała zakłopotaną minę.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Trudno powiedzieć.

Jim pokręcił głową z niesmakiem i wrócił do pracy.

Alex odłożył słuchawkę. Osobiście miał to wszystko gdzieś, ale ważne było, żeby wiedzieć, co ten sukinsyn knuje. Laurel niepokoiła się bardzo, gdy nie mogła porozumieć się z Rickiem. Jak zwykle, przestraszona i osamotniona, chciała, żeby ją upewnił, że wraca niedługo do domu. Gdy Laurel zdenerwowała się jego przedłużającą się nieobecnością, pojawiła się zaraz Harriet, która chciała się dowiedzieć, gdzie podziewa się Dusty i czy ich domostwo jest zagrożone. Marilyn wściekła się na samą myśl o tym, że Rick może się teraz kochać z kim innym. Jennifer zaczęła pochlipywać, bo zawsze się bała, ilekroć inni zaczynali się złościć. Harriet

zapropozowała, żeby Alex zatelefonował do komendy i poprosił Dusty do telefonu. Fakt, że zarówno Dusty, jak i Rick wyszli, a Alex nie wylapał w nadajniku żadnej wiadomości o przestępstwie popełnionym rzekomo tego wieczoru, utwierdził ją tylko w podejrzeniach. Otworzyła leżącą obok aparatu oprawną w skórę książkę telefoniczną na literze D, jak Dustin, i wybrała numer.

Dusty odebrała już po pierwszym dzwonku. Mówiła podnieconym, gardłowym głosem. Nie był to głos kobiety, która zamierza spać samotnie tej nocy. Dwukrotnie powtórzyła: halo. Harriet odwiesiła słuchawkę. Adres był: 1560 Pigeon Plum Circle, Grove. Alex zgodził się tam pojechać.

Rick zaparkował dyskretnie po przeciwnej stronie ulicy, tak że tył samochodu znajdował się w cieniu, a tablica rejestracyjna ze służbowym numerem nie rzucała się w oczy przechodniom. Rosnące podniecenie mieszało się w nim z poczuciem winy. Wydawało mu się, że minęło bardzo wiele czasu od chwili, gdy był z nią ostatni raz. Sam się sobie dziwił, ale nie wyobrażał sobie, że mógłby teraz być gdzie indziej. Mimo że Laurel była tak spontaniczna i pomysłowa w sprawach seksu, a przy tym okazała się tak wspaniałą panią domu, Rick tęsknił do silniejszych wrażeń. Pragnął bardzo kobiety, która dzieliłaby z nim wszystkie lęki i frustracje, takiej, która rozumiałaby tragedie i czarne komedie wystawiane na ulicach Miami tak samo dobrze, jak on sam. To, że tak bardzo jej pragnął, powodowało wciąż narastający w nim konflikt wewnętrzny. Zawsze próbował unikać poważnych związków z kobietami, które żyły gdzieś na pograniczu cierpienia, podobnie jak on. Ci, którzy stykali się z

ciemną stroną życia i śmierci, mieli w jego oczach jakiś defekt. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie są oni w pełni ludźmi, ponieważ okrucieństwo, z jakim musieli się codziennie stykać, uczyniło z nich psychicznie skrzywionych. Jego matka była prostoduszną kobietą, której główne zajęcie polegało na tym, żeby uszczęśliwiać męża. On również tęsknił, by mieć przy sobie kogoś takiego. Laurel – młoda, pozbawiona ambicji zawodowych, wymagająca opieki, wydawała mu się idealną kandydatką na żonę. Pomyślał, że chyba zwariował, skoro doznaje tylu sprzecznych uczuć. To nie miało sensu. Ale wiedział jednocześnie, że wszystko, czego w danym momencie pragnie i potrzebuje, ukryte jest między długimi nogami pewnej kobiety.

Zadzwoił do drzwi i poczuł rosnącą erekcję.

Otworzyła natychmiast, przyćmione światło z korytarza lśniło w jej jasnych włosach. Miała na sobie długą, czarną, zasnurowaną z przodu suknię domową i jej widok zapierał mu dech w piersi. Poczul ucisk w gardle, kiedy na nią spojrział.

– Witaj, niebieskooka.

Wpadła prosto w jego ramiona, jakby tam było jej miejsce.

– Tak się cieszę, że cię widzę – szepnęła.

Rick już zdejmował kurtkę. Dusty wzięła do ręki butelkę.

– „Asti Spumante”, pamiętałeś...

– Ja wszystko pamiętam – rozluźniał krawat. – Dlatego tu jestem.

– Przyniosę kieliszki – odwróciła się. – Telefonowałeś?

– Nie, dlaczego?

– Ktoś zadzwonił i położył słuchawkę.

– Hmm. To na pewno Jim. No, chyba że kto inny cię sprawdza – uniósł

brew do góry.

– Jim?

– Tak, myślę, że jest na naszym tropie. Nic się przed nim nie ukryje.

Wyjątkowo bystry z niego facet.

Przyciszył odbiornik, tak żeby mogli tylko słyszeć, czy są jakieś wiadomości, postawił go na stoliku od kawy i usiadł w fotelu z różowym obiciem.

– Co ty wyprawiasz? – zaśmiała się, trzymając w rękach kieliszki.

Rick zdejmował buty.

– Pan Casanovą, co?

Był wyraźnie zażenowany.

– Może się okazać, że nie mamy zbyt wiele czasu. Jeśli coś się wydarzy, natychmiast dostanę wezwanie.

Stała naprzeciwko niego i uśmiechała się łagodnie. Na twarzy jej malowała się słodycz.

– Nie szkodzi – powiedziała. – Wystarczy nam nawet mało czasu.

Otworzył szampana. Korek poleciał gdzieś za sofę. Dusty roześmiała się trzpiotowato.

– Może wypijemy to gdzie indziej? – zaproponował.

– W kuchni? – zapytała błyskotliwie.

– Nie, cudowna idiotko. W takim pokoju z łóżkiem. – Dla mnie to brzmi nieźle.

– Ostrożnie – powiedział, kiedy byli już w drzwiach sypialni. – Nie pobrudź mi szminką koszuli.

– Jasne – odparła smutno i porozpinała mu guziki.

Wspaniale było tak leżeć nago na jej łóżku. W jednym ręku trzymał

kieliszek szampana, drugą podłożył sobie pod głowę i patrzył jak długa, rozsznurowana suknia zsuwa się z jej ramion i spływa na podłogę, rozlewając się jak atrament wokół jej stóp.

– Jeśli coś jest tak wspaniałe, nie może być złe – szepnął jej do ucha.

– Myślałam, że już nigdy nie będziemy razem. Tak się cieszę, że tu jesteś.

Jej usta i piersi smakowały słodko. Rick oderwał się od nich nagle i uniósł głowę. – Co to było?

– Może to koty buszują przy śmietniku – odparła ochryłym z podniecenia głosem.

– Nie ruszaj się – powiedział, całując ją w szyję. – Zaraz wracam. Stał przez chwilę nagi w świetle księżyca i wyglądał przez okno.

Widział jedynie aleję za domem i śmietnik. Nic poza tym. Odwrócił się, spojrział na jej ciało zalane księżycową poświatą, zasunął zasłony i wpadł prosto w jej otwarte ramiona. Przy odrobinie szczęścia mieli czas aż do świtu.

Rozdział dwudziesty szósty

Wyniki ekspertyzy balistycznej uderzyły w nich jak pocisk już następnego popołudnia. Kule wyjęte ze spalonego eldorado, zaparkowanego za centrum handlowym w Bal Harbour, i z windy, na tyłach centrum, wystrzelone zostały z tej samej broni, z której zastrzelono Roba Thorne'a i pakistańskiego sprzedawcę ze sklepu nocnego.

Dzień obfitował w rewelacje. Zebrali się wcześniej i otrzymywali coraz to nowe informacje. Kobieta bez głowy nazywała się najprawdopodobniej Jonina Vandermay. Zatrudniony przez nią księgowy zgłosił zaginięcie bogatej wdowy. Zatelefonował do jej snobistycznej posiadłości w Sunset Island, kiedy nie przyszła na umówione spotkanie. Gospodyni, rodem z Jamajki, poinformowała go, że pani Vandermay nie pojawiła się w domu przez dwie ostatnie noce. Choć ta trudna do wyjaśnienia nieobecność zupełnie nie pasowała do jej chlebodawczyni, gospodyni nie powiadomiła policji z wielu powodów. Po pierwsze, pani Vandermay była bardzo niemilą kobietą i służąca odpoczywała z ulgą od jej ciętego języka. Po drugie, gospościa przebywała w Stanach nielegalnie.

W dniu, kiedy widziano ją po raz ostatni, pani Vandermay od rana dawała się we znaki gosposi i pokojówce. Wyjechała z domu, jak zwykle około jedenastej, swoim jaguarem w kolorze szampana. Miała zamiar odwiedzić wynajmowane przez siebie apartamenty i skontrolować pracę administratorów. Jej wizyty były zawsze bardzo uciążliwe zarówno dla mieszkańców, jak i pracowników. Tym razem sprawy przybrały inny obrót i pani Vandermay już nie wróciła do domu.

Los wreszcie się do nich uśmiechnął, a niesamowite wyniki ekspertyzy

balistycznej wprawiły ich w podniecenie. Mieli nadzieję, że tym razem zabójca popełnił błąd.

Jim utwierdził się w swoich podejrzeniach co do Ricka i Dusty. Dostrzegł od razu, jak bardzo się starają na siebie nie patrzeć.

– Wreszcie złapaliśmy drugi oddech – powiedział.

– Tak, ale niestety to nie moja zasługa. Jestem na siebie wściekła – narzekała Dusty. – Wiecie przecież, jak każdy glina marzy, żeby wkroczyć nagle do akcji i wreszcie się wykazać? Czasem taka okazja zdarza się tylko raz w życiu. Cóż – powiedziała i widać było wyraźnie, że się wstydzi – ja miałam taką okazję i zmarnowałam ją, bo pozwoliłam sobie na jakieś bzdurne humory.

– Ale dziś czujesz się chyba o wiele lepiej – odparł Jim z wymuszonym uśmiechem. – Nie przejmuj się. Gdybyś tam pojechała, też mogłabyś żałować. Czasem takie rzeczy obracają się na dobre.

– Tak – Rick zatarł ręce i spojrzał na Dusty. – Dobrze jest mieć szczęście.

W odpowiedzi obdarzyła go spojrzeniem, które mogłoby skruszyć metal.

Jim udał, że tego nie widzi. Rozpalony wzrok i przyspieszone oddechy przypominały mu stare, dobre czasy sprzed pojawienia się Laurel.

On i Rick postanowili jeszcze raz pojechać do centrum handlowego, a Dusty miała się zająć sprawą pani Vandermay.

Doktor Lansing zamierzał porównać zdjęcie rentgenowskie płuc zamordowanej z kliszą, która znajdowała się wśród innej dokumentacji zdrowotnej zmarłej. Chciał w ten sposób ostatecznie potwierdzić identyfikację zwłok. Uważał to za czystą formalność. Ubranie i opis

ofiary, jak również czas jej zniknięcia zgadzały się. Niecałą godzinę temu Dusty rozesłała ogólnokrajowy komunikat o zaginionym jaguarze, który stanowił własność zmarłej. Odnalazł go policjant ze służby patrolowej. Samochód stał przed domem z mieszkaniami do wynajęcia w Miami Beach, który należał do zamordowanej.

Podczas gdy Dusty podążała śladami Joniny Vandermay, Rick i Jim odwiedzili centrum handlowe. Ich wkład w dochodzenie był teraz znacznie większy niż zasługi lokalnej policji.

Rick, Jim i dwaj detektywi z Miami studiowali uważnie kwity sprzedaży wydane w poszczególnych stoiskach ustalając w ten sposób listę klientów, którzy odwiedzili centrum poprzedniego wieczoru, a więc mogli być świadkami zajścia. Już przesłuchali wstępnie roztrzęsionego ochroniarza i uzbrojoną załogę ciężarówki w osobach gońca i kierowcy. Wyniki tych rozmów bardzo ich rozczarowały. Cała trójka przysięgała, że nie widziała napastnika na tyle dobrze, żeby móc współpracować w tworzeniu portretu pamięciowego. Detektywi podrzucali im różne pomysły, żeby wyłović jakiegokolwiek informacje, tkwiące być może w ich podświadomości. Ale już wkrótce stało się zupełnie jasne, że takich danych nie zdobędą. Było dosyć ciemno, a wszystko działo się z oszałamiającą szybkością.

– Na pewno jest ktoś, kto go widział – powiedział Rick, kiedy już parkowali samochód. – Niemożliwe, żeby miał aż tyle szczęścia. Dobry Boże, przecież to wszystko wydarzyło się w centrum handlowym. Na pewno przyjechał samochodem i gdzieś się tutaj kręcił, zanim zaczęła się ta cała afera. Przyjechał tu, potem odjechał. Ktoś musiał zauważyć tego sukinsyna. Być może ta osoba nawet nie zdaje sobie sprawy, kogo czy też

co widziała. Ale znajdziemy takiego świadka.

Poczynione postępy dodały im obu energii. Zniechęceni nieprzynoszącym efektów śledztwem w sprawie Thorne'a, natrafili wreszcie na jakiś godny zainteresowania trop. Jim nawet jakby trochę mniej kichał i sapał.

Rozmawiali z portierami stojącymi przed hotelami, mieszczącymi się przy tej samej ulicy, oraz personelem pomocniczym zatrudnionym w kawiarenkach należących do centrum, ale bez rezultatu.

– Ten facet nie jest chyba niewidzialny – złościł się Rick. – Na pewno ktoś go zauważył.

– Wykończy mnie ten upał – zrzędził Jim, ocierając chustką twarz. – Mózg mi się gotuje. Mam nadzieję, że szybko na coś natrafimy.

Rick był całkowicie zdeterminowany.

– Wrócimy tu o dziewiątej z posiłkami. Musimy zobaczyć, kogo tu można spotkać dokładnie o tej samej porze. Będziemy zatrzymywać ruch, przechodniów, pracowników centrum kończących pracę, facetów, którzy przyjeżdżają tu po żony codziennie o tej samej porze – mówił z błyskiem w oku, który świadczył o wytrwałości decydującej o tym, że Rick był więcej niż dobrym detektywem. – Jeśli to nic nie da, wrócimy znów za tydzień i powtórzymy te wszystkie zabiegi dokładnie o tej samej porze. Wszyscy mamy jakieś przyzwyczajenia. Może nasz świadek jada tutaj albo raz w tygodniu ogląda wystawy.

– Jeśli jest w ogóle jakiś świadek – powiedział Jim, który czuł wyraźnie, jak strużka potu spływa wzdłuż jego ciała i tworzy małą kałużę w okolicach pasa.

– Jest – powiedział Rick. – Musi być.

– Możesz na mnie liczyć, stary.

Dusty szybko doszła do wniosku, że ani przerażonej gospodyni Joniny Vandermay, ani jej pokojówki nie można traktować jak podejrzanych. Obie były przegrane, ponieważ śmierć ich chlebodawczyni oznaczała dla nich utratę pracy. Na podstawie rozmów ze służącymi i księgowym Dusty uformowała sobie obraz pani Vandermay jako kobiety, która bez żadnych ograniczeń wydawała pieniądze na siebie, natomiast była wyjątkowo skąpa dla innych. Dusty zdecydowała, że przeprowadzi dochodzenie w domu, obok którego został znaleziony jaguar, porozmawia z radcą prawnym zmarłej, żeby ustalić, kto jest jej głównym spadkobiercą, a także zdobędzie w hipotece listę wszystkich nieruchomości, jakie znajdowały się w jej posiadaniu.

W domach z mieszkaniami do wynajęcia mieszkali ludzie, którzy również zajmowali się sprawami administracyjnymi. Mieli z tego tytułu trochę obniżony czynsz i całą masę kłopotów. Ich praca była stale kontrolowana. Wdowa Vandermay ubrana w ciuchy z najdroższych magazynów mody, w szpilkach za trzysta pięćdziesiąt dolarów, starannie uczesana, w dopasowanej do stroju biżuterii odwiedzała, swoje posiadłości i pięknie wymanikiurowanym palcem wskazywała na sącząca się z kranu wodę lub zapaloną niepotrzebnie żarówkę, twierdząc, że to może kosztować ją majątek. Dostrzegała od razu, że krzewy wymagają przycięcia, a chwasty wyrwania, choć byłaby najszcześliwsza, gdyby nie musiała płacić nikomu za wykonanie tej roboty. Jeśli już została zmuszona do tego, żeby płacić, chciała przynajmniej zminimalizować straty i dać śmiesznie małe wynagrodzenie nielegalnemu imigrantowi, któremu

zależało na jakimkolwiek zarobku. Tacy ludzie byli przeważnie zbyt zastraszeni, żeby narzekać na wysokość zapłaty.

Policjant z patrolu motocyklowego, który znalazł jaguara, stał teraz obok auta i czekał na techników z laboratorium. Nie odkryto żadnych oczywistych śladów, dzięki którym można byłoby jakoś powiązać auto ze zbrodnią – nie znaleziono krwi ani też uszkodzeń pojazdu. Samochód był zamknięty i prawidłowo zaparkowany. Na półeczce leżały drobne monety do automatów parkingowych i telefonicznych. Na siedzeniu pasażera była zwinięta gazeta „Wall Street Journal”, katalog sprzedaży wysyłkowej oraz notes zawierający terminy spotkań. Dusty postanowiła, że obejrzy te rzeczy dokładniej, kiedy technicy skończą swoją robotę. Nie odkryła w aucie żadnych śladów walki.

W bliźniaczo do siebie podobnych dwupiętrowych budynkach znajdowały się apartamenty wybudowane najprawdopodobniej u schyłku ery Art Deco. Ich okna rozmieszczone były na wprost siebie i wychodziły na zbyt krótko przystrzyżony, wypalony przez słońce trawnik, który miał żółtobrązowy kolor. Kiedyś udekorowano go dodatkowo dwiema palmami kokosowymi, po jednej z każdej strony. Jedna z nich wciąż tam stała, wysoka i piękna, a jej liście szemrały cicho na wietrze. Druga uschła, a martwy pień nigdy nie został usunięty. Nie posadzono również w to miejsce żadnego innego drzewa. Ten brak zieleni zakłócał symetrię budynków w płowóżółtym kolorze.

Porządnie przycięty żywopłot okalał wykładany płytkami chodnik. Na końcu każdego budynku umieszczona była klatka schodowa z różowymi poręczami. Framugi przeszklonych drzwi pomalowane zostały na ten sam łososiowy kolor. Pod frontowymi oknami obu budynków szumiała

zamontowana tam klimatyzacja. Na ścianie przyległej do pierwszego mieszkania widniał kwadrat dwunastu metalowych skrzynek pocztowych. Dusty zapukała do lokalu numer jeden. Parę chwil później zza drugiej pary drzwi wyjrzała starsza kobieta.

Dusty mogła ze swego miejsca dosłyszeć nadawane teraz wiadomości telewizyjne. Pokazała odznakę i przedstawiła się.

– Wiem, dlaczego pani tu przyszła – oznajmiła kobieta. – Właśnie mówili o tym w telewizji. Czy rzeczywiście o nią chodzi?

– Identyfikacja nie została jeszcze potwierdzona, ale najprawdopodobniej ofiarą zbrodni padła pani Vandermay. Czy może mi pani powiedzieć, jak długo tu pani mieszka?

– Pierwszego listopada minie osiemnaście lat – kobieta mówiła martwym, pozbawionym wyrazu głosem.

– Czy ten dom był własnością pani Vandermay, kiedy się pani tu wprowadziła?

– Kupiła go dziewięć, może dziesięć lat temu.

– Może mi pani poświęcić parę minut? Niewiele wiemy o zamordowanej. Jestem pewna, że będzie nam pani mogła pomóc.

Słychać było szcęk odsuwanego łańcucha, potem odgłos otwierania podwójnych zamków. I tak na niewiele się to przyda. W oknach są przecież żaluzje – pomyślała Dusty.

– Strasznie dziś gorąco. Niech pani wejdzie do środka.

Kobieta sprawiała wrażenie wyblakłej, miała jasne, bezbarwne oczy, kwiecistą podomkę i siatkę na różowych wałkach do włosów, a na lewej ręce plamy wątrobowe i obrączkę. W nieskazitelnie wysprzątanym mieszkaniu nie widać było jednak śladu mężczyzny.

– Chyba nie mam wiele do powiedzenia – odezwała się kobieta, wskazując Dusty, żeby usiadła na żółtej kanapie. Ciekawość dodała nieco barwy jej bladym oczom. – Naprawdę obcięli jej głowę? Kto mógł zrobić coś takiego?

– Całkiem dużo mówią w tej telewizji – stwierdziła Dusty. – Właśnie usiłujemy wykryć sprawcę. Kiedy po raz ostatni ją pani widziała?

– Jutro minie tydzień. Przyjechała tu i powiedziała, że muszę zabrać kwiatki do mieszkania. Słyszała pani kiedyś coś takiego? – potrząsnęła wolno głową. – Jesteśmy na Florydzie. Ta nazwa oznacza: „pełna kwiatów”, a ona nie życzy sobie, żeby hodować rośliny przed domem.

– Dlaczego? – Dusty uniosła głowę znad notesu.

– Z czystej złośliwości. Mówiła, że chce, żeby wszystkie mieszkania wyglądały jednakowo. Jesteśmy na Florydzie – powtórzyła. – A mimo to żadnych roślin, żadnych kwiatów, żadnych zwierząt. Poprzedni właściciel zawsze wymieniał to, co się zużyło. Teraz wszystko jest już stare.

Pochyliła się nieco bardziej do przodu, a głos jej brzmiał teraz ostrzej.

– Co roku podwyższa czynsz i kaucję, ale nie inwestuje w ten dom. Na pewno ma pieniądze na koncie, które przynoszą odsetki, ale ona ich nie wypłaca, chociaż należą się najemcy z tytułu zamrożonej kaucji. Mało tego. Nigdy jej nie zwraca. Kiedy lokatorzy wyprowadzają się, zawsze znajdzie powód, żeby zatrzymać ich pieniądze. W zeszłym roku zmarła pani Braverman, ta z sąsiedniego budynku. Stało się to w miesiąc potem, jak podpisała nową umowę najmu. Pani Vandermay nie tylko zatrzymała kaucję, ale jeszcze w dodatku, no, niech pani sama zgadnie, co wymyśliła?

– Co? – zapytała Dusty, zastanawiając się, kto tu właściwie zadaje pytania.

– Zaskarżyła agencję najmu, żeby dalej płaciła jej czynsz, chociaż od razu znalazła nowego lokatora. Może pani zapytać wszystkich moich znajomych – mówiła, obracając w palcach plastikowy guzik przy dekolcie podomki – a potwierdzą na pewno, że ja nigdy nikogo nie obmawiam i nie mówię o nikim źle, ale ona naprawdę nie była miła. Nigdy nie mieliśmy przez nią dobrego administratora. Wszystkich doprowadzała do szału.

– A może widziała pani we wtorek, jak pani Vandermay parkuje auto.

Kobieta myślała chwilę, splótszy usiane palcami pod brodą.

– Nie jestem pewna, czy to był wtorek czy środa. Wydawało mi się, że słyszę jej głos i stukot obcasów, ale równie dobrze mógł to być ktokolwiek inny. Nie wyjrzałam na korytarz. Zawsze starałam się jej unikać, a tu w dodatku działa klimatyzacja, w telewizji nadawali „Geraldo” i niewiele dochodzi z zewnątrz.

– Czy pani Vandermay miała przyjaciół w tym budynku?

– Mnie przynajmniej nic o tym nie wiadomo.

– A może wrogów? Nie pokłóciła się z nikim ostatnio?

Kobieta milczała chwilę. – Nie znam nikogo, z kim by się nie kłóciła – powiedziała. – Węszyła po mieszkaniach nawet pod nieobecność lokatorów. Mówiła, że ma do tego prawo, bo to jej własność.

– A po co tutaj wtedy przyjechała?

– Trudno powiedzieć. Pewnie tak sobie. Zobaczyć, co słyszać, i trochę narozrabiać. Może po pieniądze, bo o nich myślała zawsze, jeśli istniał jakikolwiek sposób, żeby je zaoszczędzić albo wyłudzić. A może chciała się przekonać, czy usunęłam kwiaty sprzed budynku. Jeszcze zanim umarł mój mąż – ciągnęła – nie była aż taka okropna, ale od tamtej pory stała się bardzo nieuprzejma. A każdy się boi wyprowadzić, bo wie, że nie dostanie

z powrotem kaucji, chyba że zaskarży ją do sądu. Ale kogo stać na adwokata?

Dusty zamknęła pióro i wręczyła kobiecie wizytówkę.

– Gdyby przyszło pani do głowy coś, co może okazać się dla nas pomocne, gdyby usłyszała pani coś ważnego albo doszła do wniosku, że o czymś mi pani nie powiedziała, proszę zadzwonić.

Kobieta zatrzymała ją przy drzwiach.

– Kto właściwie zarządza teraz budynkiem, jeżeli ona naprawdę nie żyje?

– Nie wiem, czy zostawiła testament. Jeśli tak, nie znam jego treści – odparła Dusty. – Prawdopodobnie sporo czasu zajmie potwierdzenie jego autentyczności.

– Myśli pani, że wzrosną czynsze? – spytała kobieta, schodząc już na ziemię. – Moja umowa wygasa w listopadzie.

Dusty wyszła na zewnątrz i stojąc w słońcu patrzyła na budynek. W niektórych sprawach o morderstwo trudno jest na początku znaleźć jakiś punkt zahaczenia. W tym przypadku było ich zbyt wiele.

Miała dobry nastrój, chociaż niewiele spała tej nocy. Rick z pewnością przekonał się już, że Laurel nie jest dla niego odpowiednią partnerką. Ostatnia noc dowiodła mu chyba, że ten związek nie ma szans. To się skończy, jeżeli już się nie skończyło – pomyślała. – A ja będę czekać.

Jej rozmówczyni wyszła za nią na słoneczny dziedziniec. Niosła wiklinowy kosz, a w nim kwiat z opadającymi liśćmi i kilkoma pączkami. Nuciała coś pod nosem.

Dusty uśmiechnęła się i wróciła pod skrzynki pocztowe, żeby spisać nazwiska lokatorów i numery mieszkań jedenastu pozostałych najemców

lokali w zachodnim budynku. Wieczorem wróci, żeby porozmawiać z tymi, których teraz nie ma w domu. Na skrzynce pocztowej przynależnej do lokalu numer sześć widniało nazwisko Terrance McGee. Czy mógł to być ten sam człowiek? Oczywiście. Dlatego właśnie ten adres wydawał się jej odrobinę znajomy.

Jaki ten świat mały – pomyślała. Poznam wreszcie Terrance’a McGee osobiście. Ależ zaszczyt! Prawdopodobnie nie ma go w domu. Pamiętała, że McGee pracuje w bibliotece, ale postanowiła do niego zapukać. Rick i Jim będą zachwyceni. Mieszkanie numer sześć znajdowało się na samym końcu korytarza na pierwszym piętrze. Był to południowo-zachodni, wystawiony na wiatr narożnik budynku.

Zapukała. Cisza. Po chwili zastukała jeszcze raz. Już miała odejść, kiedy za przekrzywioną żaluzją drzwi usłyszała, czy też raczej wyczuła jakiś ruch.

– Pan McGee? Pan Terrance McGee? – zawołała. – Tu detektyw Dustin, z wydziału zabójstw. Pamięta mnie pan?

Klamka poruszyła się i drzwi zostały otwarte na oścież. Mężczyzna był bosy, miał na sobie pogniecioną koszulkę z napisem COORS na przodzie.

– Dostała pani moją wiadomość – wykrzyknął z zadowoleniem. – Nie sądziłem, że przyjdzie pani osobiście.

Nosił okulary z grubymi szklami, miał dwudniowy zarost i uśmiechał się szeroko.

– Niech pani siada – zaproponował ochoczo, witając Dusty jak starą przyjaciółkę. – Niezbyt często miewam gości.

Zaprowadził ją do jadalni i poprosił, żeby usiadła przy okrągłym, dębowym stole. Mieszkanie było o wiele schludniejsze i lepiej

umeblowane niż większość garsonier, jakie miała okazję widywać przedtem. Gruby dywan w beżowym kolorze był miękki i puchaty.

– Chciałem, żeby pani dowiedziała się jako pierwsza – powiedział. – Nie byłem pewien, czy otrzymała pani moją wiadomość. Jest parę rzeczy, które chciałbym pani pokazać – dodał znikając w pomieszczeniu, które okazało się sypialnią.

Dusty piła chciwie chłodne powietrze. Mieszkanie było wygodne. Miała nadzieję, że McGee nie zacznie jej znów dręczyć swoimi paranooidalnymi podejrzeniami na temat truciciela, bo chciała zadać mu parę pytań o panią Vandermay. Wyłonił się, dokładnie tak jak się obawiała, z garścią wycinków gazetowych, listów i czymś, co wyglądało jak jakieś dokumenty prawne i ich kopie.

– Ale upał – powiedziała Dusty, wzdychając i odgarniając włosy z czoła.

– Może napije się pani czegoś? – zaproponował szybko.

– Z przyjemnością, jeśli nie sprawię kłopotu – odparła, układając przed sobą na stole notes i pióro.

– Piwa? Coli?

– Poproszę o colę.

McGee podreptał do umieszczonej z tyłu zielonożółtej kuchni. Dusty usłyszała pyknięcie puszki i charakterystyczny syk wlewanego do szklanki napoju z bąbelkami. Mężczyzna wyłonił się z kuchni i postawił przed nią do połowy napełnioną szklankę, a obok niej puszkę.

Przyciągnął krzesło i usiadł blisko niej po prawej stronie, uśmiechając się wyczekująco.

– To dziwne, że zastałam pana w domu – zaczęła Dusty. – Ma pan

wolny dzień?

– Wziąłem parę dni zwolnienia – odparł. – Muszę sobie jakoś z tym wszystkim poradzić. Widzi pani, pani koledzy nie znaleźli cyjanku ani żadnej innej trucizny w cukiernicy. Kiedy mi o tym powiedzieli, zrozumiałem, że mogą być tylko dwa wyjaśnienia tej sprawy. Albo stoi za tym kimś ktoś z policji albo ktoś stąd.

Dusty sączyła ciepłą colę. Odstawiła szklankę.

– Właściwie przyszedłem tu w zupełnie innej sprawie, panie McGee.

– Proszę mówić do mnie Terrance – zaproponował. – Tak jak przez telefon. Bardzo mi się to podoba.

Grube soczewki bardzo powiększały mu oczy. Uśmiechał się blado i niemrawo. Podsunął jej paczkę marlboro, a gdy odmówiła, sam zapalił papierosa. Ręce drżały mu lekko i Dusty zaczęła się zastanawiać, czy on zażywa jakieś lekarstwa.

Dlaczego ja mam szczęście akurat do takich facetów – pomyślała z ironią Dusty. Gdzie się podzieli tacy jak ten ogier z plakatu Marlboro, w ciasnych portkach, z przepaską na oku?

– Miałem nadzieję, że będzie pani zadowolona, jak się dowie, że rozwiązałem swoje problemy sam, bez niczyjej pomocy – mówił Terrance, łapczywie zaciągając się dymem i oblizując blade wargi. – Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, będę mógł wrócić do pracy.

– Przyszedłem tu w sprawie pani Vandermay. Sądzę, że wie pan, co się stało.

Przytaknął. Dusty wydawało się, że zachowuje przesadną obojętność wobec tej sprawy.

– Oczywiście – powiedział rzeczowo.

– Jak długo tu mieszkasz, Terrance? – spytała.

McGee był całkowicie pochłonięty przeglądaniem papierów. Szuka dowodów spisku – pomyślała ze smutkiem.

– Gdzie jest umowa najmu? Moja umowa? – denerwował się. Usiłował przesunąć krzesło nieco bardziej do tyłu, co okazało się dość skomplikowane ze względu na gruby dywan.

– Muszę ją pani pokazać.

– Jeśli to naprawdę konieczne... – nie dokończyła, bo McGee już zniknął w sypialni.

Dusty westchnęła, odłożyła pióro i zaczęła sączyć ciepłą colę. Wstała i zaniósła szklankę do słonecznej kuchni.

– Czy mogę sobie wziąć trochę lodu? – zawołała.

– Tak – odkrzyknął, w dalszym ciągu zajęty papierami – ale będzie lepiej, jeśli sam pani...

Nie zdążył dokończyć. Dusty bowiem otworzyła już lewą ręką drzwiczki zamrażalnika i spojrzała prosto w zamrożone oczy Joniny Vandermay. Jej rzęsy i włosy pokrywał szron. Z nozdrzy zwisały cętkowane na różowo sople.

Szklanka, którą Dusty dotychczas trzymała w prawej ręce, upadła na podłogę i rozbiła się w drobny mak, a cola zmoczyła buty. Okruchy szkła i bąbelki płynu przywarły do rajstop.

Dusty oderwała wzrok od oczu pani Vandermay.

– Och, Terrance – szepnęła, kręcąc głową, jakby chciała zaprzeczyć temu, co przed chwilą zobaczyła. Delikatnie zamknęła drzwiczki zamrażalnika, jakby zamykała trumnę.

Stał w drzwiach kuchni i był wyraźnie zażenowany, nawet

zawstydzony.

– Zostawiłem pani wiadomość – wyjaśnił – że sam załatwiłem sprawę – oświadczył triumfalnie. – Wreszcie złapałem ją na gorącym uczynku.

Dusty poczuła dreszcz na plecach.

– Nie mów nic, Terrance. Wcale nie musisz ze mną rozmawiać.

– Zostawiła ślady stóp i w ten sposób ją nakryłem – ciągnął uparcie.

– Ślady stóp? – Dusty usiłowała ocenić wzrokiem odległość, jaka dzieliła ją od stołu w jadalni, i oszacować, czy uda się jej tam dobiec, w razie gdyby McGee ją zaatakował. Torebka leżała na dywanie, tuż obok krzesła na którym siedziała. Broń i kajdanki były w środku.

– Na dywanie – oświadczył z dumą. – Kupiłem nowy dywan. Jest taki gruby, że widać na nim ślady. Widzi pani? – uniósł prawą nogę, żeby pokazać Dusty, o co mu chodzi. Rzeczywiście. W grubym włosiu widniał odcisk stopy, tak wyraźny jak na piasku. – Znalazłem jej ślady. Odciski szpilek. Tylko ktoś, kto miał klucz, mógł tu wejść i niepostrzeżenie wymienić cukier w cukiernicy, zanim zaniósłem próbkę do analizy. To ona mnie cały czas truła.

Twarz mu jaśniała, jakby stał się nagle Perrym Masonem, który znajduje się w centrum uwagi zebranych i tłumaczy im, kto naprawdę popełnił przestępstwo.

Dusty nie mogła się powstrzymać.

– Dlaczego? – spytała szeptem.

– Chciała odzyskać lokal – powiedział, jakby odpowiedź była zupełnie oczywista. – Kiedy już pięknie urządziłem mieszkanie, doszła do wniosku, że musi zdobyć je dla siebie, a była za skąpa, żeby się ze mną procesować. W przypadku mojej śmierci mogła je wynająć za o wiele wyższą cenę i w

dodatku zachować kaucję. Mogłaby jeszcze zmusić mojego agenta, żeby płacił czynsz do czasu wygaśnięcia umowy. W tym drugim budynku mieszkała kiedyś taka wdowa i...

– Pani Braverman, wiem – odparła łagodnie Dusty.

– Sama pani widzi! – wykrzyknął. – Wiedziałem, że mnie pani zrozumie. Pani koledzy nie wierzyli, że naprawdę mam kłopoty.

– Ale teraz z pewnością uwierzą – przyrzekła Dusty.

Nie zachowywał się gwałtownie. Pozwolił się po prostu zaprowadzić do komisariatu. Właściwie cieszył się nawet na spotkanie z Rickiem i Jimem.

– Ona miała wiele lokali do wynajęcia – powiedział szczerze. – Kto wie, ilu lokatorów wytruła? Raz nawet znalazłem w kuchni włos, taki jasny, z ciemnym odrostem. I właśnie dlatego – wskazał dłonią lodówkę – zachowałem dowód.

Jego przysłonięte okularami oczy powędrowały w kierunku włosów Dusty, jakby McGee dopiero teraz zauważył, że ona też jest blondynką. Dusty zrozumiała, o czym on myśli, i uniosła w górę dłoń.

– Przysięgam ci, Terrance. Jestem wszędzie blondynką, wierz mi. Roześmieli się oboje, a Dusty oczarowała go tak, że pozwolił sobie bez przeszkód nałożyć kajdanki.

– Uważam, że powinni sprawdzić, na co umarł jej mąż – powiedział. – To była niebezpieczna kobieta.

– Niektóre już takie są – zgodziła się Dusty.

Rozdział dwudziesty siódmy

Po obu stronach ulicy stały jasne domy z czerwoną dachówką, typowe dla południowej Florydy. Prowadziły do nich krótkie podjazdy, a okalały je niezbyt wielkie trawniki. Ta dzielnica willowa położona była na uboczu luksusowych hoteli, centrów handlowych, zgiełku i turystów tłoczących się na pobliskiej Collins Avenue. Domy stygły teraz w wieczornej ciszy, u schyłku kolejnego upalnego dnia. Wszelki ruch zamarł. Zamknięte okna, klimatyzacja i ryczące telewizory odgradzały mieszkańców od widoków i dźwięków ulicy.

W połowie domów paliło się światło. Jim uważał, że nie mają zbyt wielkich szans na znalezienie swojego świadka w jednym z nich. Walczył z nieposkromioną chęcią zdjęcia butów, bo wiedział, że nie uda mu się ich włożyć z powrotem na opuchnięte stopy. Zaparkowali nieoznakowany samochód na rogu ulicy. Rick sprawdził czas.

– To dobra pora – oznajmił. Odetchnął głęboko i powiódł wzrokiem w górę i w dół ulicy. – Którą stronę wybierasz?

– Tę – odparł Jim i westchnął. – Im mniej kroków, tym lepiej – pomyślał, zadowolony choć z tego małego udogodnienia.

Rick zaczął właśnie przechodzić na drugą stronę, bo chciał zacząć od przyozdobionego sztukaterią budynku na rogu ulicy, ale zatrzymał się nagle. Ktoś zmierzał w ich kierunku, starsza kobieta z psem na smyczy.

Gdy ruszyli w jej stronę, starsza pani zawahała się, pochyliła i wzięła pieska na ręce. W soczewkach jej okularów migzło światło latarni.

Ściskając psa w objęciach, odwróciła się i ruszyła szybko z powrotem.

– Proszę pani! – zawołał za nią Rick i pospieszył w jej ślady. Zerknęła

za siebie przez ramię, omiotła ich szybko wzrokiem i prawie zaczęła biec.

Rick ruszył za nią; w biegu wyjął odznakę i bez trudności pokonał dzielącą ich odległość na swoich długich nogach. Jim został w tyle. Kulał.

– Policja. Chcemy z panią porozmawiać.

Znowu na nich popatrzyła, zwolniła nieco kroku, ale nadal szła bardzo szybko naprzód. Rick dopędził ją, wyprzedził i posłał starszej damie jeden ze swych najbardziej rozbijających uśmiechów.

– Czy możemy z panią chwilę porozmawiać? Nie ma powodu do obaw, jesteśmy z policji.

Emanował dobrodusznym ciepłem i umiejętnością nawiązywania kontaktu z ludźmi, szczególnie z kobietami.

Upewniwszy się, że zagrożenie minęło, mały piesek zaczął przeraźliwie ujadać.

– Pookie – uspokajała go kobieta. – Bądź grzeczny. Postawiła go na chodniku, trzymając krótko na smyczy.

– Jaki wspaniały, mały obrońca – zachwycił się Rick, podczas gdy Pookie obwąchiwał podejrzliwie jego buty.

– To rasa lhasa apso – właścicielka pieska rozjaśniła się z dumy i okręciła się dokładniej płaszczem, żeby zakryć coś, co okazało się nocną koszulą.

Ten facet umie postępować z kobietami, trzeba mu to przyznać – pomyślał Jim, który stał za nimi i jeszcze sapał ze zmęczenia.

– Jesteście policjantami z Bal Harbour?

– Nie, proszę pani, z Miami. Interesują nas wydarzenia, które miały miejsce w centrum handlowym ubiegłego wieczoru.

Uśmiechnęła się, kiwając głową z widoczną ulgą i mrużąc oczy za

okularami.

– Bałam się, że pilnujecie tego nowego zarządzenia.

Obaj mężczyźni patrzyli na nią nic nierozumiejącym wzrokiem. Kobieta przyglądała im się podejrzliwie, jakby zastanawiała się, czy naprawdę są policjantami.

– Chodzi o te torebki i szufelki. Trzeba je nosić ze sobą, żeby sprzątać, no, rozumieją panowie, psie kupki.

– Psie kupki? – powtórzył Jim, a na jego twarzy wyraźnie malowało się zdziwienie. – Są tu policjanci, którzy tego pilnują?

– Oczywiście – przytaknęła. – Za pierwsze przewinienie płaci się grzywnę w wysokości stu pięćdziesięciu dolarów. Jeśli jest to już drugi raz, kara wynosi pięćset dolarów, a nawet można pójść do więzienia. Ja zawsze noszę szufelkę, zbieram kupkę Pookiego za dnia i zanoszę do domu – zapewniła ich, przybierając postawę obronną. – Ale wieczorem, kiedy robi się ciemno, jest mi trudniej, a poza tym Pookie zawsze załatwia swoje sprawy rano, po śniadaniu.

Detektywi jednogłośnie przytaknęli.

– Dla mnie to brzmi rozsądnie – powiedział Jim.

– Tak, sensownie – dodał Rick. – Czy wczoraj była pani tutaj, kiedy to się stało?

– Kiedy co się stało? – oczy kobiety patrzyły na nich dociekliwie spoza podwójnych szkieł.

– Strzelanina i pożar w centrum handlowym.

– Tak, wyszliśmy z domu na spacer, jak zwykle. Zawsze wychodzimy przed wiadomościami o dziesiątej. Nigdy nie widywaliśmy tu obcych o tej porze – powiedziała z pretensją. – Jak widać, okolica się zmienia.

Szła wolno przed siebie, prowadząc Pookiego na smyczy, obok nich wlekli się obaj detektywi.

Pookie zatrzymał się, żeby wykonać pewną czynność, do której potrzebny mu był pień palmy. Jego właścicielka zrobiła zatroskaną minę.

Detektywi zlekceważyli incydent.

– Czy zauważyła pani coś podejrzanego? – zapytał Rick.

– Słyszałam gwar, zamęt, syreny, a potem wozy straży pożarnej. Podeszliśmy tutaj bliżej, żeby zobaczyć, co się stało.

– My?

– Pookie i ja. On naprawdę nazywa się Księżę Pook Song.

– Czy widziała pani jakieś nieznajome osoby lub samochody w okolicy?

– Tylko jedną osobę, wracającą bez tchu z centrum, może do samochodu, bo chyba był zaparkowany gdzieś tutaj – powiedziała kobieta, zatrzymując się, żeby zerknąć na krawężnik, a potem na Pookiego, który właśnie lizał chodnik. Pociągnęła do siebie smycz.

– Przyjrzała się pani uważnie tej osobie?

– Pytałam tylko o to zamieszanie. Rozmowa nie trwała długo.

– Jak ten facet wyglądał?

– Ależ – kobieta potrząsnęła głową – to była kobieta, blondynka.

– Kobieta? – detektywi wymienili rozczarowane spojrzenia.

– Jak więc wyglądała? – zapytał Jim zmęczonym głosem.

– Z pewnej odległości zupełnie jak mężczyzna. Miała na sobie dżinsy, kurtkę, chyba niebieską, i tenisówki. Pod pachą trzymała czapkę baseballową, a w rękę niosła okulary przeciwsłoneczne.

Starsza pani otworzyła drewnianą furtkę i weszła na małe, ładnie

utrzymane podwórko. Rick zwilżył wargi i wyciągnął dłoń.

– Sierżant Richard Barrish – przedstawił się i dodał wskazując na Jima:

– A to jest detektyw Ransom. Chcielibyśmy jeszcze chwilę z panią porozmawiać, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Czy możemy wejść?

Jej dłoń wciąż spoczywała w jego dłoni. Zupełnie nie sprawiał wrażenia człowieka, który spędza w pracy jedenaście godzin pod rząd albo przez większość nocy baraszkuje z koleżanką z pracy. Książę odnalazł wreszcie swojego Kopciuszka.

– Proszę bardzo – powiedziała kobieta, patrząc mu w oczy. – Przygotuję mrożoną herbatę. To nie potrwa długo. Chodź, Pookie – powiedziała i wskazała im wejście.

Rozdział dwudziesty ósmy

Podejrzanie raziło go jak piorun, gdy jechał do domu. Już miał zamiar zawrócić w stronę Pigeon Plum, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar. Jeśli jego domysły miały okazać się słuszne, najgorszym możliwym posunięciem byłaby wizyta u Dusty. To absolutnie szalone – myślał, wystarczająco szalone, żeby było prawdziwe. Być może już popełnił zasadniczy błąd. Rick był na siebie wściekły i czuł się chory. Miał nadzieję, że Laurel będzie już spała, ale dojrzał w oknach światła i dosłyszał dźwięki z policyjnego radia, gdy tylko otworzył drzwi.

– Kogo ja widzę! – mówiła niemal agresywnym tonem.

– Co się tu... – zawahał się.

Laurel siedziała przed telewizorem. Ponownie skupiła uwagę na zapasach pokazywanych właśnie na jednym z kanałów. Miała na sobie jego koszulkę i niebieskie dżinsy. Pochylała się do przodu, z puszką piwa w jednej ręce i łokciami opartymi o uda. Wyglądała trochę wulgarnie i zdecydowanie niekobieco. Śledziła płonącym wzrokiem walkę na ekranie.

– Mam cię – powiedział Rick. – Teraz już wiem, kto wypija mi piwo.

Wpatrywał się przez chwilę w ekran.

– Nie wiedziałem, że interesują cię takie rzeczy.

– A co? Mam może oglądać opery mydlane? – spytała ochrypłym głosem. Nagle oparła się o fotel, ułożyła ręce na podpórkach, a twarz jej złagodniała. Popatrzyła na niego zaspanymi oczami.

– Rick – szepnęła i zerknęła na zegar. – Która godzina? – spytała, a głos jej brzmiał tak, jakby była trochę podchmielona.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Późno, kochanie. Powinnaś się położyć.

Przeszedł obok niej do kuchni i zdał sobie sprawę, jak słabo zna kobietę, z którą dzieli życie. Miał ochotę się napić.

Poszła za nim, spojrzała na koszulkę i zaczęła ją podświadomie upychać w dzinsach.

– Czy coś się stało?

– Skróciłem nocną służbę, bo muszę jutro bardzo wcześnie zacząć pracę.

Wziął butelkę bourbona z kredensu, przyjrzał się ze zdziwieniem poziomowi płynu w butelce, wlał alkohol do szklanki na wysokość dwóch palców i wychylił go z ponurą miną.

– Co się dzieje? – Laurel miała szeroko otwarte oczy i była przestraszona jak mała dziewczynka.

– Praca – powiedział. Potrząsnął głową i dolał sobie bourbona.

– Sprawa Roba?

– Tak, częściowo.

– W czym problem?

– Wszystko jest popieprzone.

– Wiesz już, kto to zrobił?

– Może. Nie. Nie wiem.

Podeszła blisko do niego, objęła go w talii, przytuliła twarz do jego piersi i zaczęła płakać.

– Boję się – powiedziała.

– Nie chciałem cię w to mieszać – odparł, odgarniając jej z czoła pasemko jasnych włosów. – Nie masz powodu do obaw, naprawdę.

– Ja już nie mogę być sama w nocy, Rick. Musisz coś zrobić. Nie

zostawiaj mnie.

– Cholera jasna, nie zaczynaj od nowa! Chcę teraz spokojnie pomyśleć.

Oderwał się od niej, zabrał drinka i wymaszerował tylnym wyjściem w ciepłą noc.

– Rick? – Laurel stanęła w drzwiach.

– Idź spać, dobrze? Muszę zostać sam chociaż na chwilę.

Siedział długo na krześle na werandzie, pielęgnując w sobie poczucie winy, sącząc drinka i patrząc przez wodę na miejski krajobraz na tle nieba. Wieżę Centrust i most Mertorial zalewała księżycowa poświata, która pojawiła się nad miastem jak opalizująca tęcza. Uwielbiał ten widok, który zawsze, aż do dziś, działał na niego kojąco.

„Jakże coś, co jest tak wspaniałe, może być złe?” Słowa te odbijały się echem w jego myślach. Z pewnością nie ma racji. Po prostu zwariował. Ale wszystko pasowało i układało się w całość. A jeśli to prawda?

Nie wrócił do domu, dopóki świt nie rozjaśnił nieba. Zdziwił się, że Laurel jeszcze nie śpi. Była zajęta i szorowała coś pracowicie w kuchni. Czuł zapach bielinki. Nie spojrzała na niego, więc poszedł spać – sam.

Rick już czekał w dziale personalnym, gdy rozpoczęto tam pracę. Wypisał parę informacji z kartoteki, poszedł na komendę i połączył się z departamentem policji w Jericho w stanie Iowa.

Słuchawkę podniosła kobieta, najprawdopodobniej urzędniczka z centrali. Po jej głosie można się było zorientować, że jest młoda i znudzona. Poinformowała go, że szef wyjechał do Sioux City po więźnia.

Rick przedstawił się i powiedział, że potrzebuje paru informacji.

– Obawiam się, że tylko szef może panu pomóc.

– Chodzi o policjantkę, która pracowała u was kilka lat temu.

– Szef wróci za jakiś dzień, dwa.

– Nazywa się Mary Ellen Dustin. W słuchawce na chwilę zaległa cisza.

– A więc jest w Miami.

– Pani ją zna?

– Nie poznałam jej nigdy osobiście, ale słyszałam o niej dużo. Jak wszyscy tutaj – w jej głosie zadźwięczało zainteresowanie i małą złośliwość.

– A może będzie mi mogła pani pomóc? – zaczął Rick, starając się znowu zdyskontować swój urok osobisty. – Wiem, że ciężko jest pracować dla komendy policji w małym mieście. Pewnie nikt pani nie pomaga?

– Oczywiście, że nie. Wszyscy wyszli na służbę.

– Na razie nie prowadzę żadnego oficjalnego śledztwa w tej sprawie – wyjaśnił cicho, przybierając poufny ton. – Widzi pani, czasem warto wiedzieć, z kim się ma do czynienia.

– Jasne.

– Musiała być niezłą policjantką, skoro tak dobrze pamięta pani jej nazwisko, choć nigdy nie poznały się panie osobiście.

– Nie wślawiła się pracą w policji – odparła słodko kobieta plotkarskim tonem.

– A więc na czym polegały jej zasługi?

– Nie pracowałam jeszcze tutaj, kiedy to wszystko się wydarzyło – powiedziała wolno – więc będzie lepiej, jeśli porozmawia pan z szefem – ciągnęła coraz szybciej, całkowicie porzucając oficjalny ton – ale prowadziła się z takim jednym żonatym, dzieciatym facetem. Trójką miłosny, te sprawy, rozumie pan? W końcu oni wszyscy zginęli, a ona

uciekła z miasta i już się od tej pory tu nie pokazała.

Rick zamknął oczy, a palce zacisnęły się mu na słuchawce.

– Co się stało? Czy to było zabójstwo? Aresztowano kogoś?

– Wielu ludzi uważało, że ktoś powinien być powędrować do więzienia.

Ale, jak już mówiłam, nie pracowałam tutaj, a teraz muszę kończyć. Proszę jeszcze zadzwonić i porozmawiać z szefem.

Rick słyszał wyraźnie radio w tle, ktoś powtarzał prośbę o wysłanie holownika.

– Proszę mi jeszcze powtórzyć, kiedy wróci?

– Za dzień lub dwa. Nie mówił dokładnie.

Dusty wróciła z sądu wkrótce potem. Była uśmiechnięta i zadowolona z siebie. Włożyła jaskrawą czerwoną bluzkę i białą kopertową spódnicę.

Sędzia zarządził ekspertyzę psychiatryczną w sprawie Terrance'a McGee, który tymczasowo przebywał w areszcie. Na jej widok Rick wsunął wcześniej przygotowane zdjęcia do górnej szuflady.

– Jim – szepnął do siedzącego naprzeciwko przyjaciela – nie mów nic Dusty o naszym świadku i w ogóle o tej sprawie. Nic.

– Dlaczego, do cholery? – warknął Jim.

Był bardzo zdziwiony. Podziwiał właśnie krój spódnicy Dusty, która odsłoniła kawałek nogi, przechodząc obok jego biurka.

– Cześć, chłopaki. Słyszałam, że macie świadka. Co to za bomba?

Rick uniósł gwałtownie głowę znad biuletynu FBI, który właśnie studiował.

– Kto ci, do cholery, o tym powiedział.

– Świerszcz za kominem. Jestem detektywem i pracuję tutaj,

pamiętacie?

– Nie cierpię, kiedy policjanci za dużo gadają o sprawach, którymi się nie zajmują – potoczył oskarżycielsko wzrokiem po dużym pokoju.

– O co ci chodzi? Masz zły dzień? Trzeba rzucić naszej bestii trochę surowego mięsa na pożarcie – zwróciła się do Jima, który odpowiedział jej uśmiechem.

Wyjęła z klapy świeżą, czerwoną różę, wstawiła kwiatek do filizanki, napełniła ją wodą i wróciła, nucąc pod nosem.

– Kiepsko wyglądasz – rzuciła, przechodząc obok biurka Ricka.

Nie odpowiedział.

– Niemożna powiedzieć tego o tobie – odezwał się Jim. – Wspaniale się prezentujesz.

– Czuję się wspaniale – zerknęła na Ricka, który nie odwzajemnił jej spojrzenia. – Szybko załatwiłam swoją sprawę, prawda?

Usiadła, skrzyżowała nogi i wyjęła dokumenty z teczki.

– Muszę z tobą o tym porozmawiać – powiedział nagle Rick.

– Tak jest sierżancie – Dusty uśmiechnęła się wyczekująco.

– Musiałaś przeżyć okropny szok, kiedy znalazłaś jej głowę w tej cholernej lodówce.

– No cóż, muszę przyznać, że od tej pory zawsze będę podejrzliwie przyglądać się swojej. Powiedzmy, że była to taka niezapomniana chwila, jakie zdarzają się czasem w naszym zawodzie – uniosła głowę i spojrzała Rickowi prosto w twarz. – Nie spałeś? – jej oczy odbijały jak lustro jego ponury wzrok.

– Musiałaś przeżyć cholerny szok – powtórzył, ignorując pytanie. – Chciałbym, żebyś poradziła się Feiglemana, jak się z tym uporać. Zamów

sobie wizytę, a teraz wracaj do domu, weź wolne na resztę dnia. Już to ustaliłem z pułkownikiem.

– To nie jest konieczne, Rick. Mam masę roboty papierkowej. Mam też nakaz rewizji i chcę pojechać do mieszkania McGee z technikami. Pan McGee przesyła wam pozdrowienia, choć zaczyna, żałować, że już nie może do was dzwonić.

Rick pokręcił głową.

– Mówię poważnie, Dusty. Idź do domu. Musisz ochłonać. Pojedź na plażę, poopalaj się, zrób cokolwiek. I porozmawiaj z psychiatrą.

Przenosiła wzrok z Ricka na Jima, który jednocześnie wzruszał ramionami, krzywił się i wywracał oczami.

– Jestem zawodowcem – powiedziała cicho. – Miło, że tak się o mnie troszczysz, ale ja bardzo często uczestniczę w sekcjach. Widziałam już wiele trupów, choć przyznaję, nigdy między paluszkami rybnymi kapitana Igloo a mrożonym indykiem, ale czuję się dobrze. A nawet fantastycznie, bo naprawdę szybko udało nam się z tym uporać.

– To jest rozkaz – słychać było wyraźnie w jego głosie, że nie ustąpi. Miał zniecierpliwiony wyraz twarzy. – Trochę wolnego i wizyta u lekarza są obowiązkowe, w przypadku gdy policjant brał udział w strzelaninie lub został ranny, a ja uważam, że to, co wczoraj przeżyłaś, mogło spowodować jeszcze większy uraz.

– Czy mogę z panem porozmawiać na osobności, sierżancie?

– Nie widzę takiej konieczności. Jesteśmy tu tylko we trójkę, a chyba nie mamy przed sobą sekretów, prawda?

Jim przeglądał papiery i udawał, że jest strasznie zajęty.

– O co ci chodzi, Rick? – zabrzmiało to cicho, intymnie.

Potrząsnął głową, miał nieprzenikniony wyraz twarzy, a wzrok wbił w jakiś punkt poza nią.

– To taka trochę dyskryminująca, protekcyjnalna gadka, prawda? – nie ustępowała Dusty. – Dobra, ale ja już wyrosłam z pieluch. Gdybym musiała latać do psychiatry za każdym razem, kiedy widzę trochę krwi, w ogóle nie nadawałabym się do tej pracy. A nadaję się świetnie. I wszyscy o tym doskonale wiemy. Co się dzieje? Czyj to pomysł?

– Wyświadczam ci przysługę. Weź wolne. Od zaraz.

– Ja też mogę? – spytał z nadzieją Jim, próbując rozładować napięcie.

– Nie – odparł Rick. – Ty zostajesz.

– Chcesz się mnie pozbyć?

Rick nie odpowiedział.

Cicho, bez słowa, pozbierała rzeczy i zatrzasnęła teczkę. Natychmiast potem, jak wyszła, Jim przysiadł na biurku Ricka.

– Teraz naprawdę się obraziła. Co ty wyrabiasz, do cholery?

Rick już zamierzał odpowiedzieć, ale zadzwonił telefon, więc podniósł słuchawkę. Telefonowano z portierni.

– Niech to szlag – mruknął do Jima. – Ona już jest na dole.

Dziesięć minut później pracownik ze służby publicznej, młody czarnoskóry mężczyzna ubrany w niebieską koszulę od munduru zaprowadził panią Violę Sneath do wydziału zabójstw na piątym piętrze. Kobieta ubrana była w zakardową suknię, w ręku ścisnęła torebkę wielkości tornistra i sweter. Mieszkańcy Miami zawsze, zabierają ze sobą swetry lub żakiety, nawet gdy panuje wielki upał, ponieważ w większości budynków działa klimatyzacja i jest bardzo zimno.

– Ooo – mruknął Jim, udając wielkie rozczarowanie – nie

przyprowadziła pieska.

Viola Sneath patrzyła czujnie zza swych przyciemnionych okularów i wbiła wzrok w Ricka, kiedy ten właśnie wstawał, żeby ją powitać.

– A więc to tutaj pan pracuje.

– Tak – uśmiechnął się Rick. – Czy ma pani ochotę na kawę?

– Chyba tak – odparła. – Tu jest dosyć chłodno.

Rick przytrzymał jej sweter i kobieta włożyła go na suknię.

– Śmietanką? Cukier?

– Jedno i drugie – powiedziała sympatycznie. – Pański człowiek przyjechał po mnie punktualnie o dziewiątej. Wozem policyjnym! Pookie strasznie na niego czekał – zachichotała jak pensjonarka. – Nie wiem, co sobie sąsiedzi pomyślą.

W sali przesłuchań pani Sneath miętoszyła wełniane nitki swetra.

– Już wam wczoraj mówiłam, chłopcy. Pewnie nie na wiele się przydam. Było bardzo ciemno, paliły się tylko latarnie. Mam nowe okulary. Nie jestem jeszcze do nich przyzwyczajona, a dodatkowo rozpraszało mnie to zamieszanie w centrum handlowym.

– Prosimy panią tylko, żeby się pani bardzo postarała. Często ludzie pamiętają więcej, niż im się wydaje. Czasem widok twarzy odświeża im pamięć. Nie spotyka pani wielu obcych w sąsiedztwie, a jest pani czujną i spostrzegawczą osobą. Niewykluczone, że zapamiętała pani tę kobietę lepiej, niż się pani wydaje. Proszę przejrzeć te zdjęcia bardzo wolno i uważnie przyjrzeć się każdemu z nich.

Kobieta, ułożyła pieczołowicie ręce na blacie stołu, jakby przygotowywała się do seansu spirytystycznego.

Rick rozłożył przed nią sześć zdjęć.

Pani Sneath obejrzała je uważnie, badając zarówno ujęcia zrobione en face, jak i z profilu.

– Nie – powiedziała wolno. Ta jest zbyt potężna, a ta z kolei ma zupełnie inne włosy.

– Proszę pamiętać – odezwał się Jim – że ludzie, a szczególnie kobiety zmieniają uczesanie, kolor włosów, a nawet potrafią odmienić całkowicie swój wygląd przy użyciu makijażu. Powinna się pani raczej skoncentrować na rysach twarzy.

Przytaknęła, zagryzając usta w skupieniu.

– Ta... ojej, czy to jest tatuaż? – spytała wbijając wzrok w kolejną fotografię, – Czy tu naprawdę jest napisane...

– Tak – odparł Jim ponuro.

W końcu oparła się o krzesło i potrząsnęła głową.

– Niema jej wśród nich.

– W porządku – powiedział cierpliwie Rick. – A tu? – wyjął kolejny zestaw zdjęć i układał je na stole, jedno po drugim, jakby rozdawał karty. Mięśnie jego twarzy drgały.

Pierwszy pakiet zawierał zdjęcia kilku włamywaczek oraz żon i narzeczonych znanych bandytów. Drugi zestaw składał się z fotografii mieszanych. Jedna z kobiet już nie żyła. Wsławiła się tym, że telefonowała po straż pożarną po rozniesieniu ognia w hotelach, żeby potem szydzić ze strażaków. Druga zapewne umrze wkrótce – była to prostytutka chora na AIDS. Następne zdjęcie przedstawiało matkę, która zrzuciła swoje dzieci z dachu jednego z budynków czynszowych w Miami. Na kolejnym widniała kobieta, która zamordowała swego brutalnego męża podczas snu, a na jeszcze innym włamywaczka, specjalizująca się w bankach. Szósta

fotografia przedstawiała policjantkę z wydziału zabójstw – detektyw Mary Ellen Dustin.

Oczy Jima rozszerzyły się ze zdziwienia, kiedy rozpoznał zdjęcie Dusty zrobione kilka lat wcześniej do legitymacji policyjnej, ale nie powiedział ani słowa. Viola Sneath zawahała się, po czym wzięła fotografię do ręki, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

– Ta wygląda znajomo – stwierdziła.

– Czy to jest ta kobieta? – zapytał Rick łagodnie.

– Mówiłam już panom, że nie mogę za nic ręczyć. Było ciemno, były syreny, miałam nowe okulary. Ale wyglądała trochę podobnie... Tak, myślę, że już widziałam tę twarz.

– Czy rutynowa konfrontacja, taka, w której biorą udział żywi ludzie, pomogłaby pani? – spytał Rick.

Viola Sneath westchnęła i szczerzej otuliła się swetrem.

– Naprawdę nie wiem – odparła zupełnie szczerze.

– Jestem bardzo pani wdzięczny za wszystko, co pani zrobiła. Odezwiemy się.

– Czyś ty kompletnie zwariował? – wybuchnął Jim, kiedy kobieta już wyszła. – Co tu się dzieje, do jasnej cholery, i dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

– Nie miałem kiedy, a poza tym sam nie byłem pewien.

– Ona jest nasza, to przecież policjantka. A ty twierdzisz, że... – te słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Rozejrzał się po pokoju, jakby świat wokół nich oszalał.

– Podzielam twoje uczucia, ale wszystko pasuje. Coś tu śmierdzi, a ona

zawsze była taka tajemnicza. Pojechała do centrum, ale nigdy tam nie dotarła. Za to bandyta przybył na czas.

– Ale to znaczy, że... ktoś kto napadł na centrum, jest również zabójcą Thorne'a i tego Pakistańczyka.

– Tak się składa, że to właśnie Dusty znalazła się pierwsza na miejscu brodni, kiedy zginął Rob. Miała wolne, kiedy sprzedawca oberwał kulkę, a każdym razem mogła to zrobić. A zabójca używał trzydziestkiósemki, a więc ulubionej broni detektywów.

– To nic nie znaczy. Połowa Miami posługuje się bronią takiego kalibru. A co z motywem? Dlaczego miałyby... ?

– Może chciała zabić kogoś innego tej nocy, kiedy zginął Rob?

– Kogo? – spojrzeli po sobie. – Nie – Jim pokręcił głową. – Bzdura.

– Mogła polować na Laurel. Wczoraj wieczorem myślałem, że Dusty zawsze ukrywała starannie swoją przeszłość. Za każdym razem gdy wypływał jakiś temat jej życia w Iowa, robiła się niespokojna i zamykała w sobie jak żółw w skorupie. Dziś rano tam dzwoniłem. Mam podstawy sądzić, że ona coś ukrywa, coś bardzo ważnego. Może naprawdę jest rąbnięta. Pamiętasz ten wulgarny list, który dostała Laurel? Myślę, że to Dusty go napisała. Uważam, że ona ma poważne problemy z...

– Z tobą w pierwszym rzędzie. Mówisz, że motywem jej działania była zazdrość, że być może wszystko to wydarzyło się dlatego, że porzuciła ją dla innej kobiety. Co ci daje prawo sądzić, że jesteś aż tak...

– W Jericho, w stanie Iowa, Dusty zamieszana była w pewien trójkąt miłosny. Parę osób wtedy poniosło śmierć. Z tego powodu opuściła miasto i przyjechała tutaj.

– Ale co się właściwie tam stało?

– Nie dowiem się, dopóki nie uda mi się skontaktować z tamtejszym szefem policji, a on wyjechał akurat z miasta.

– Nie kupuję tego – stwierdził Jim martwym głosem. – Porównywałś może charakter pisma Laurel z tym listem?

– O co ci chodzi, do cholery?

– Daj spokój. Nic do tej pory nie mówiłem, bo myślałem, że sam się domyślisz. Laurel jest wkurzona, bo pracujesz nocami, i to w dodatku z Dusty. Czuje się osamotniona. Takie małe dziewczynki chcą, żeby się nimi opiekować. Inaczej czują się samotne. Cały czas dostajemy lipne wezwania do gwałtów. Małe dziewczynki chcą, żeby zwrócić na nie uwagę. Czasem nawet udają, że ktoś im grozi.

– Pieprzysz! Nie Laurel!

– Chce, żebyś szybciotko przyjechał do domu i trzymał ją za rączkę.

– Daj spokój, Jim. Znam jej pismo. Ten list wygląda inaczej.

– Jesteś pewien? Wiesz przecież, że gliny miewają zaćmienia, kiedy chodzi o kogoś bliskiego.

– Odchrzań się! To ty jesteś ślepy. Ona była naprawdę wystraszona. Wiem, że jest młoda i trochę zaborcza. Czasem nawet wydaje mi się, że wcale jej nie znam. I uważam, że ona samej siebie nie zna. Ale tego rodzaju historie zupełnie do niej nie pasują. Nie wymyśliłaby czegoś takiego nawet za milion lat.

– Jasne. Laurel to prawdziwy anioł i dlatego wczoraj nocowałeś w Pigeon Plum.

– Tu cię boli, prawda, stary? – Rick wyciągnął przed siebie oskarżycielsko palec wskazujący. – Jesteś zazdrosny. Sam byś chciał się z nią przespać. Przyznaję, że mnie wczoraj poniosło – zrobił bezradny gest

ręką. – I dlatego teraz, być może, tkwię po uszy w gównie.

– Bo tam jest twoje miejsce, przyjacielu – Jim spojrzał mu prosto w oczy.

– Powinniśmy przekazać sprawę do wydziału spraw wewnętrznych.

– Co? Nie masz zamiaru przedtem z nią porozmawiać, wysłuchać, co ma do powiedzenia? – Jim nie wierzył własnym uszom.

– Nie możemy sobie na to pozwolić. Chryste Panie, dwaj ludzie nie żyją, Laurel jest najprawdopodobniej w poważnym niebezpieczeństwie, a podejrzana to nikt inny, jak nasza partnerka.

– Właśnie!

– Jim, mnie również na niej zależy. Aż za bardzo. Ale coś tu jest nie w porządku. Może się okazać, że nawet gorzej niż nie w porządku. Musimy to zgłosić do wydziału spraw wewnętrznych, żeby już nikt nie doznał żadnej krzywdy i żebyśmy nie wylądowali na dnie razem z nią. I tak mi się nieźle oberwie, jak się dowiedzą o wczorajszej nocy. Boże, ależ to był błąd.

– Więc jesteś zdecydowany sypać? Słuchaj. Pamiętaj, co ci mówiłem o policjantach i seksie. Pomyśl o tym – wściekły, zaczął mówić ciszej, gdy mijający ich Mack Thomas i jeszcze jeden policjant nastawili uszu, ciekawi tej płomiennej dyskusji. – Jesteś taki skory, żeby gnać do wewnętrznych, ale tak naprawdę niewiele masz do powiedzenia. Wyjdziemy na cholernych dupków. Wszystko przez to, że dręczy cię sumienie. Właśnie dlatego doznałeś tego niezwykłego olśnienia. Oni w pierwszym rzędzie sprawdzą, czy Dusty przypadkiem nie pieprzyła się z jakimiś innymi glinami. Sam się wkopiesz. Oberwiesz rykoszetem.

Wpatrywał się ponuro w Ricka, pozwalając, by jego słowa zapadły mu

w pamięć.

– Gdybym uważał, że Dusty naprawdę dokonała włamania i popełniła morderstwo, sam wpakowałbym ją za kratki w ułamku sekundy – łypnął na Macka Thomasa, który rozmawiał teraz przez telefon po drugiej stronie pokoju. – Znasz kogoś, kto nienawidziłby glin z zaszarganym kontem bardziej ode mnie? Porozmawiajmy o tym wszystkim rozsądnie i przyjrzyjmy się dowodom.

– Jest świadek, pani Sneath.

– Która mówi, że ta twarz wydaje się jej znajoma, ale nie może za nic ręczyć, bo było ciemno, pożar i jeszcze okulary... Chryste Panie, jej szkła mają takie soczewki, jak te lunety na Mount Palomar.

– Jim, powtarzam ci jeszcze raz, że to ty jesteś ślepy. Chcesz chronić Dusty, zależy ci na niej. Za jedną noc spędzoną z nią oddałbyś duszę diabłu. Ale ona zawsze ukrywała swoją przeszłość. Sam wiesz, że ludzie, którzy zostają policjantami, nie powinni tego robić. Istnieją pewne wzorce, schematy...

– Nie widzę problemu, postaram się dowiedzieć o szczegóły, to znaczy zrobię dokładnie to, co ty powinienesz być zrobić, zanim zacząłeś ją oskarżać. Jeśli masz rację, pierwszy ci ją przyznam, ale myślę, że wszystko da się jakoś wytłumaczyć, a ciebie poniosła wyobraźnia, bo masz popieprzone życie seksualne.

Rick otworzył już usta, żeby zaprotestować, ale Jim powstrzymał go.

– Wiem wszystko na temat twoich przeczuć, ale tym razem się mylisz.

– Tak czy inaczej, teraz kiedy jej tu nie ma, trzeba zacząć pisać raport do wydziału spraw wewnętrznych, gdyby się okazało, że musimy szybko ratować własne tyłki.

– To twoja decyzja, ale nie spiesz się tak. Ona się nigdzie nie wybiera. Kocha swoją robotę i Miami. A na twoim punkcie ma kompletnego bzika.

– Dzięki, stary – skrzywił się Rick. – Właśnie chciałem, żeby ktoś mi o tym przypomniał.

– Wielu lepszych od ciebie uważałoby się za szczęściarzy z tego powodu – odparł zjadliwie Jim.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Dusty zachowała się tak jak zawsze wtedy, kiedy miała kłopoty. Włożyła bawełnianą koszulkę, szorty i pojechała na plażę. Pogoda była momentami piękna, a chwilami groźna. Niebieskie niebo stawało się zielone morze przybierało ciemnobłękitną barwę, jak w kalejdoskopie. Ten dzień stanowił lustrzane odbicie jej ostatnich przeżyć – jasne momenty pełne namiętności i radości zmieniały się w tępy ból serca i cierpienie.

Najpierw była w doskonałym nastroju, bo uwierzyła, że nie straciła Ricka na zawsze, potem radość jej stała się jeszcze większa, ponieważ tak szybko udało się rozwiązać zagadkę śmierci pani Vandermay, a była to jedna z takich spraw, które wydają się na początku bardzo skomplikowane, a potem wszystko nagle zaczyna pasować i kawałki układają się logicznie w jedną całość. Powinna była wiedzieć, że taka passa nie może trwać wiecznie. Nie można stale wygrywać. Ale co, u diabła, dzieje się teraz?

Czuła się kompletnie zagubiona. Po tym jak spędzili ze sobą noc, była całkowicie przekonana, że Rick nadal będzie jej pragnął. Przynajmniej teraz, kiedy są tak blisko siebie i pracują razem. Dusty była realistką i wiedziała, że jeśli jej sytuacja zawodowa stanie się niepewna, zacznie to nieuchronnie rzutować na sprawy osobiste. Stanowili idealną parę, ale co z oczu, to i z serca. Co się dzieje? Czy zrobiła coś złego? Albo o czymś zapomniała? A może on ma wyrzuty sumienia? Lub kłopoty z Laurel? Absolutnie nie potrafiła go rozgryźć. Jim był chyba tak samo zdziwiony tym wszystkim, ale on już teraz pewnie wie, co się stało.

Nie mogła się powstrzymać. Zaparkowała czerwonego datsuna przy krawężniku, wrzuciła monetę do automatu i wybrała numer wydziału

zabójstw w nadziei, że Jim podniesie słuchawkę. Jeśli ktokolwiek inny podejdzie do telefonu, przerwie połączenie. Nie chciała, by rozpoznano jej głos i wymawiano jej imię, jeśli Rick mógłby to usłyszeć. Nienawidziła ludzi, którzy wykonują głuche telefony. Nienawidziła samej siebie.

Był to Jim, ale zamilkł, kiedy się odezwała.

– To ja – powiedziała stroskanym głosem. – Możesz rozmawiać?

– Nie bardzo.

– Jest tam gdzieś Rick?

– No jasne.

– Mam kłopoty?

– Możliwe, ale nie martw się – powiedział dość sympatycznym tonem.

– Cokolwiek by to było, jestem niewinna – jęknęła, przedrzeźniając reakcje niektórych podejrzanych.

Mruknął jedynie w odpowiedzi. Zrozumiała, że jest gorzej, niż się spodziewała.

– No dobra – ciągnęła z udanym ożywieniem. – Tak czy inaczej, wstaw się za mną, dobrze? Jesteś w dalszym ciągu moim kumplem, prawda?

– Możesz na mnie liczyć.

– Jadę na plażę – powiedziała wesoło i odłożyła słuchawkę. Miała ochotę się rozplakać. Zamiast tego wzięła głęboki oddech.

Zużyje trochę energii w inny sposób – spali zbędne kalorie, poćwiczy trochę serce i płuca, a przede wszystkim nie będzie o tym myśleć – zdecydowała, pociągając nosem. Szlag by trafił – pomyślała. Niezależnie od tego, o co chodzi, i tak się wkrótce dowie. Jak brzmiała ta modlitwa Anonimowych Alkoholików? „Obdarz mnie spokojem, abym mógł zaakceptować rzeczy, których nie mogę zmienić, odwagą potrzebną, żeby

zmienić rzeczy, które można zmienić i rozumem, abym potrafił je rozróżnić”.

Zdecydowała, że później weźmie gorącą kąpiel i zje wspaniałą kolację, może nawet sernik na deser i wcale nie będzie miała wyrzutów sumienia, jeśli tylko się postara. Do diabła, mam w końcu wolne – pomyślała i postanowiła cieszyć się każdą chwilą, żeby nie wiadomo co się działo. Przyciskając dłonie do tamy, oparła się o nią, rozciągając mięśnie ud, po czym opadła na piasek.

Pomyślała, że koloryt tego dnia przypomina obrazy Winsłowa Homera. Jaskrawe odcienie błękitu, przytłumione zielenie i plama szarości wzdłuż wybrzeża. Bieganie po plaży powodowało zawsze, że czuła się wolna i szczęśliwa.

Porywisty, północnowschodni wiatr wzbijał tumany piasku, co odstraszało skutecznie amatorów kąpeli słonecznych, tak że Dusty miała całą plażę praktycznie dla siebie. Patrzyła, jak przybrzeżne fale przybierają stopniowo fosforyzująco-zieloną barwę. Na bezkresnym horyzoncie, daleko na wschodzie białe baranki zbiły się w jedną kłębiastą chmurę.

Zaczęła biec na południe. Jej stopy zanurzały się w mokrym piasku, a wiatr smagał ją w plecy. Statek turystyczny, prawdopodobnie „Emerald Seas”, wypływał właśnie z portu w Miami na otwarte morze, kierując się na Bahamy, gdzie odbywać się będą rozmaite hulanki i swawole. Dusty uśmiechnęła się smutno. Kiedyś ona i Rick chcieli wyrwać się tam na weekend. Znaleźliby się daleko stąd, tam, gdzie piasek jest biały, nie ma telefonów, gdzie nie musieliby się z nikim spotykać ani przebierać do posiłków. Zaszyliby się na pustkowiu i pływali w krystalicznie czystej wodzie, opalali w promieniach tropikalnego słońca i kochali się. Co się

właściwie stało?

Pozwoliłaby wiatr i sól wymiotły cały ten rozgardiasz ostatnich dni z jej myśli, po czym skupiła całą swoją uwagę na uderzeniach stóp o twarde, mokry piasek, a w uszach pobrzmiwał jej tylko odgłos wiatru oraz własny oddech.

Włosy smagały jej twarz, a przed nią zaczęła majaczyć wieża South Pointe w stylu Art Deco. Odpędzała od siebie rozmyślenia o Ricku i komendzie, licząc frachtowce, łodzie oraz pojedyncze żagle wyłaniające się tam, gdzie morze spotyka się z niebem.

W jednej chwili pociemniało, ptaki rozproszyły się.

Ciemne, groźne, burzowe chmury kłębiły się na wschodzie, sunąc gładko naprzód, a ich przybycie zapowiadały głośne wrzaski mew. Kilku plażowiczów uciekło, ich ręczniki i koce powiewały szaleńczo na wietrze, przynoszącym ze sobą burzę. Letni piorun wykonał szaleńczego pirueta na niebie. Wiatr i spadająca gwałtownie temperatura ułatwiały oddychanie. Dusty biegła coraz szybciej, oddychając głęboko.

Powitała burzę bez strachu, nie miała ochoty zachowywać szczególnej ostrożności. Błyskawica znów rozświetliła niebo na zachodzie, tym razem bliżej, tuż nad Miami. Uderzy w to samo miejsce dwa razy, może nawet jeszcze raz i jeszcze raz. Przypomniała sobie mężczyznę, którego piorun trafiał częściej niż jakąkolwiek inną osobę na świecie. Był ogrodnikiem i przyciągał do siebie pioruny jak magnes. Uderzyły w niego siedem razy, zanim popełnił samobójstwo.

Piorun zabija na Florydzie więcej ludzi niż w innych stanach, ale w Miami istnieje o wiele większe prawdopodobieństwo, że zostanie się zamordowanym. Dusty zajmowała się w swojej karierze policyjnej

kilkoma przypadkami zgonów poniesionych w wyniku rażenia piorunem. Życie może okazać się tak samo śmiertelnie niebezpieczne i nieprzewidywalne jak miasto, które kochała. Cóż to takiego mawiał Jim o śmierci? Jest to ostatnia rzecz, jaka ci się przytrafia, choć równocześnie ostatnia, na jaką miałbyś ochotę. Przypomniała sobie mężczyzn, których burza dopadła na polu golfowym. Było ich chyba około dziewięciu. Wystarczyło jedno uderzenie. Monety, które jeden z nich miał w kieszeni, szerniały, spalone iskrą. Najgorszy wypadek – wspominała – miał miejsce nie opodal Ogrodów Japońskich, przy MacArthur Causeway. Szła tamtędy para turystów z sześciolatkiem. Robili zdjęcia. Chłopiec wybiegł do przodu, gonił wiewiórkę. Niebo było lazuruowo-niebieskie, choć na horyzoncie czaiła się już letnia burza. Piorun trafił w chłopca, rodzice ocaleli. Dziecko leżało przez kilka tygodni w śpiączce, potem zmarło. Przypomniała sobie innych, wyliczając ich z pamięci. Nastolatek niósł pudło z mikrofonem, który przyciągnął fatalne uderzenie. Starzec łowił ryby ze swojej łodzi. Błyskawica pobiegła po metalowej żyłce i wędce, którą trzymał w ręku.

Zszokowani ludzie, którym udało się przeżyć, opisywali jej to dziwne mrowienie i uczucie, że włosy na karku stają im dęba na ułamek sekundy przed porażeniem. Nie zabija napięcie, tylko natężenie. Czwierć ampera może skutecznie powstrzymać bicie serca.

Dusty przeczytała wszystkie biuletyny i broszury policyjne, w których doradzano mieszkańcom Miami, jak chronić się przed rozlicznymi niebezpieczeństwami, włączając w to śmiertelne zakusy Matki Natury. Jedna z nich zajmowała się piorunami i zalecała, żeby w razie burzy nigdy nie szukać schronienia pod drzewem, ale położyć się w rowie, twarzą do

dołu. Dusty nie zetknęła się nigdy z kimś, kto postąpiłby akurat w taki sposób. Wyobraziła sobie jednego z tych nieszczęsnych graczy w golfa, który woła do kolegów: „Hej, chłopcy! Burza idzie, trzeba położyć się w rowie!”

Ta myśl rozbawiła ją. I znowu błysk, tym razem bliżej, nad zatoką. Poza kontrolą – przemknęło jej przez myśl. Dlatego była taka zmartwiona. Miała wrażenie, że już nie kontroluje własnego życia. A przyzwyczajona była do ponoszenia odpowiedzialności za wszystko, co się dzieje. Po tym, co wydarzyło się wtedy w Jericho, przysięgła sobie, że zawsze będzie sprawować kontrolę nad sytuacją.

Skrećając przy South Pointe, zaczęła biec pod wiatr, ale nie zatrzymała się i ruszyła dalej na północ. Słone powietrze i lzy paliły jej twarz, mimo że cały czas była w ruchu, poczuła, że przeszywa ją chłód. Z przewalających się po niebie chmur lunęła w morze nieprzenikniona, szara ściana deszczu, dostrzegalna z nabrzeża. I nagle pojawiło się słońce, a wiatr przegnał przelotną nawałnicę na południowy zachód. Oddychając ciężko Dusty zobaczyła jasną zielono-żółtoróżową tęczę, rozciągającą się teraz szerokim łukiem na wschodzie, ponad butelkowo-zielonym morzem, które tuż przy brzegu przybierało barwę jasnego nefrytu.

Zwolniła kroku, żeby podziwiać feerię kolorów i oszałamiająco piękny widok. Padał lekki deszczyk, tak delikatny i słodki jak całusy dziecka. Czowała, jak oczyszcza i ogrzewa jej skórę. Popatrzyła w górę z niemym podziwem – tęcza podwoiła się i pyszniła teraz dumnie na horyzoncie.

Tu jest moje miejsce – pomyślała. W Miami, z tymi zadziwiającymi tęczkami, burzami i letnimi zachodami słońca. Podwójna tęcza stanowiła znak. Dusty umknęła przed burzą, czuła się silna i niepokonana. Nie może

być aż tak źle – powiedziała sobie w duchu. – Wszystko się dobrze skończy. Na pewno.

Zabrała ze sobą tę myśl.

Rozdział trzydziesty

Dusty szła bardzo niechętnie na spotkanie z doktorem Feiglemanem. Bała się tej wizyty, a jednocześnie była urażona. Dla niej rozmowa z psychiatrą była dowodem słabości. W Jericho, na farmie, na której dorastała, nikt nie narzekał, nie płakał ani też nie szukał pomocy, gdy sprawy przybierały zły obrót. Należało dawać sobie samemu radę z przeciwnościami losu i żyć dalej. Dusty jako osoba silna i zdyscyplinowana zachowywała wszystkie swoje kłopoty dla siebie.

Miała tylko nadzieję, że nie wszyscy koledzy dowiedzą się o jej sesji z psychiatrą. Feiglemanowi trudno by było zarzucić przesadną dyskrecję. Prowadził praktykę prywatną i był również konsultantem w departamencie policji. W gazetach często cytowano jego wypowiedzi na temat problemów psychicznych, z jakimi borykają się policjanci. Udzielał również wywiadów dla radia i telewizji. Nigdy nie wymieniał żadnych nazwisk, ale wszyscy wiedzieli, o kim on mówi i kogo przyjmuje w swoim gabinecie. Dusty nie chciała przysporzyć mu materiału do jednego z wielu artykułów, jakie pisywał do pism policyjnych i biuletynów FBI.

Feigleman nie umawiał się z policjantami w komisariacie, chcąc zagwarantować im poczucie intymności. Jego gabinet mieścił się w przychodni, ale było to niedaleko kompleksu budynków w gestii ministerstwa sprawiedliwości, a nie istnieje bardziej plotkarskie środowisko niż policjanci. Mówi się zwykle o starszych paniach – pomyślała Dusty – a najgorsze są gliny.

Wzdrygnęła się wewnętrznie, gdy poczuła dotyk wilgotnej i zimnej dłoni Feiglemana, kiedy się witali. Doktor miał porządnie utrzymane

wąsy, a na jego twarzy malowało się zainteresowanie, a nawet przesadna ciekawość. Wyjaśniła bez ogródek, że nie przyszła na to spotkanie dobrowolnie i że uważa je za zbędne.

– Aby rozwiązać nasze problemy – powiedział pogodnie doktor – musimy najpierw stanąć z nimi twarzą w twarz.

Dusty nie odpowiedziała, a on zaczął mówić, jak radzić sobie I nadmiernym stresem, konfliktami. Roztrząsał również temat ciągłego napięcia, w jakim żyją policjanci i jak się przez to spalają.

– Ludzie zmieniają się, kiedy zostają policjantami – stwierdził na zakończenie swego wywodu i splótł przed sobą dłonie. – Stają się twardzi i cyniczni. Z konieczności. Taka postawa pomaga im przetrwać, ale czasem łapią się na tym, że zachowują się tak zawsze, niezależnie od okoliczności, i wtedy powstaje problem.

– Gdybyśmy angażowali się emocjonalnie we wszystko, z czym stykamy się w pracy, wylądowalibyśmy w domu wariatów – stwierdziła Dusty.

– Czy czasem odczuwa pani strach?

– Oczywiście, że tak. Tylko głupcy nigdy się nie boją. Policjanci, którzy niczego się nie lękają i sądzą, że będą żyli wiecznie, albo tacy, którzy są nieustannie zadowoleni z siebie i wierzą w przeznaczenie, często odnoszą rany lub giną. Strach jest naszym najlepszym przyjacielem. Sztuka polega na tym, żeby go nie okazywać.

– Czy ma pani kłopoty osobiste, które są w jakikolwiek sposób związane z pracą?

– Lubię sama zajmować się własnymi sprawami.

Gdy tylko wypowiedziała to zdanie, zrozumiała że zrobiła to zbyt

szybko, zbyt obcesowo. Feigleman ucieszył się wyraźnie i pogroził jej palcem.

– To typowe dla subkultury, jaką tworzą policjanci. Problemy emocjonalne poczytywane są przez nich za słabości, a więc zagrożenie dla walczącego ze zbrodnią nadczołowieka, bo właśnie tak sami siebie postrzegają.

– Ja uważam tylko, że jestem dorosła – odparła słodko.

– Czy ma pani jakieś problemy z alkoholem?

– Piję czasem w towarzystwie, ale nie widzę tu żadnego problemu.

– Czy dużo pani pije?

– Wino do kolacji.

– Ile wina? – starał się, żeby zabrzmiało to zdawkowo.

– Doktorze, nie mam problemów z piciem, zapewniam pana.

– Czy zdarzają się pani takie poranki, kiedy nie może pani przypomnieć sobie, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru?

– Dobry Boże! Nie! Może czasem chciałabym nie pamiętać.

Nie mogła powstrzymać się przed tą samokrytyczną uwagą, choć wiedziała, że robi błąd.

Feigleman zapisał coś w rozłożonym przed sobą żółtym notatniku.

– Problemy z seksem?

– Wyłącznie jego brak. Jestem niezamężna, doktorze, i nie sądzę, żebym wkrótce miała zmienić stan cywilny.

– Czy ma pani jakieś problemy w nawiązywaniu kontaktów z mężczyznami?

– Nie tak wielkie, jak mężczyźni. Jak oni muszą się czuć, kiedy usiłują nawiązać znajomość z kobietą, która nosi broń, odznakę, a na dodatek

może wpakować ich do więzienia?

Podczas tej rozmowy o seksie Feigleman zacierał nerwowo ręce, wprawiając Dusty w zakłopotanie. Czekał najwyraźniej na coś perwersyjnego, coś, o czym mógłby napisać w następnym artykule.

– Jak układają się pani stosunki z ojcem?

– Wszystko było w porządku.

– Nie żyje?

– Mieszka w Iowa i pracuje na tej samej farmie, na której się wychowałam. Dawno już tam nie byłam.

– Dlaczego? Czy istnieje jakiś konkretny powód?

Zawahała się.

– Tak – odparła w końcu. – Kocham Miami.

– Tu jest zupełnie inaczej niż w Iowa, prawda? Pracuje pani w wydziale zabójstw. Jak radzi pani sobie z tymi wszystkimi okropnościami, z jakimi się pani styka na co dzień? Na przykład: otwiera pani lodówkę w mieszkaniu podejrzanego, a tam...

Dusty nagle zdała sobie sprawę, że ręce ma mocno splecione przed sobą i wygląda tak jakby była podejrzaną, a nie policjantką. Rozplotła je szybko i przez chwilę nie wiedziała, co z nimi zrobić. Żałowała, że nie wyraziła ochoty na kawę, którą chciał ją poczęstować, kiedy tylko przyszła. Mogłaby bawić się filiżanką. Ułożyła ręce skromnie na podolku.

– Jako profesjonalistce – zaczęła ostrożnie – nie wolno mi wyrażać uczuć takich, jak gniew czy odraza, ale ponieważ jestem człowiekiem, doznaję różnego rodzaju emocji. Staram się spożytkować tę energię na dodanie sobie motywacji, aby wykonać dobrze swoją pracę, rozwiązać sprawę, znaleźć zadośćuczynienie dla ofiary. Poza tym próbuję

rozładować napięcie na sali gimnastycznej. Chce pan zobaczyć moje bicepsy?

Feigleman uśmiechnął się i zrobił z palców piramidę.

– Aż tak panią onieśmielam? Zachowuje się pani jak uczennica wezwana do dyrektora.

– Może czuję się jak uczennica, która musi stawić się w dyrekcji bez żadnego powodu.

– Czy jest pani zadowolona z życia? Dobrze się pani wie?

– Prawie – powiedziała i uśmiechnęła się tęsknie. – Brakuje mi tylko jednej rzeczy, ale usiłuję ją zdobyć.

Kiedy wyszła już z gabinetu, doktor zerknął na notatkę, którą zrobił w swoim zeszycie. Przeczytał: „Przydałoby jej się dobre rżnięcie”. Zaśmiał się, wyrwał kartkę, zmiażdżył ją w kulkę i wrzucił do kosza.

Dusty weszła do pokoju z uczuciem ulgi, że jest już po wszystkim. Czekwała na nią wiadomość.

Telefonował J. L., który prosił ją o spotkanie „w ogrodzie z Grubasem”.

– Rozumie pani coś z tego? – spytała zdziwiona sekretarka, która przyjęła wiadomość.

– Tak – uśmiechnęła się Dusty. – Kiedy dzwonił?

– Dziesięć, może piętnaście minut temu.

Ogród Japoński na Watson Island położony był niedaleko od komendy, nieco za MacArthur Causeway. Został założony dla mieszkańców Miami przez japońskiego przemysłowca. Droga do niego zajmuje parę minut z

centrum. Jest to idealne miejsce na spotkanie z zaufanym informatorem. Świetnie położone i bezpieczne. Przychodzą tu głównie turyści. Mieszkańcy Miami rzadko odwiedzają jedną ze swoich atrakcji turystycznych.

Parkowi dodaje uroku mała, otwarta herbaciarnia i pagoda, ale jego punkt centralny stanowi ogromny, kamienny posąg Hotel, wcielenia szczęścia. Grubas. Jeśli poklepie się go po brzuchu, los odmienia się na lepsze.

Ogród stanowił jedno z ulubionych miejsc Sly'a. Ćwiczył teraz kung-fu na brzegu lśniącej sadzawki.

– Panno Dustin czy też może pani Dustin, albo detektywie Dustin – zaczął.

Jak zwykle popisywał się elokwencją, a ubrany był w białą koszulę rozpiętą pod szyją i białe spodnie.

– Po prostu: Dusty – westchnęła. – Już wystarczająco długo się znamy. Jeśli się odczytuje komuś jego prawa i pakuje go do kryminału, jest to dostateczna podstawa, żeby przejść z nim na ty.

– Rozmyślanie nad słabościami wszechświata może sprowadzić złą karmę.

– Cieszę się, że mamy wszystko za sobą. Nie masz żalu?

– To była tylko chwila w nieskończoności – szli razem przez mały mostek. – Ale ciebie coś wyraźnie trapi.

– Aż tak widać?

– Możesz ukryć wiele rzeczy przed światem, ale nie przed prawdziwym przyjacielem ducha.

Westchnęła głośno.

– To jest taka długa historia, że ani ty, ani duchy nie mielibyście ochoty jej słuchać.

Siedzieli na kamiennej ławce w cieniu srebrnych platanów.

– Może mógłbym rozświetlić jakoś dzień takiej piękności?

– Spróbuj.

– Przy okazji naszego ostatniego spotkania, odkładając na bok wszelkie związane z nim perturbacje, twój partner wspomniał o dwóch dżentelmenach z Kolumbii, z których jeden miał jakoby posiadać charakterystyczne oblicze.

– Masz na myśli osmaloną twarz? – Dusty zaczęła słuchać uważniej.

– Jesteś równie mądra, jak piękna.

– Wiesz, gdzie oni mogą być?

– Niezupełnie, aczkolwiek zwróciła moją uwagę pewna dama, która zapewne jest ich znajomą.

– Gdzie możemy ją znaleźć?

– W pracy, w motelu „Jolly Roger” i barze „Dream” przy Biscayne Boulevard. Ma na imię Kruszyna. Słyszano, jak dyskutuje z owymi dżentelmenami o pewnych przedsięwzięciach, zarówno przedtem jak i potem, gdy jeden z nich stracił owłosienie twarzy w pewnym niefortunnym wypadku. Owa dama dostarczała im rozrywki w miejscu, gdzie przez pewien czas przebywał jeden z moich znajomych. Był on jednak zupełnie niekomunikatywny. I miał kartkę przypiętą do palca u nogi.

– Bingo! Dzięki, J. L. – powiedziała Dusty gorąco.

– A teraz zdradź mi, jakaż to ciemna chmura rzuciła swój cień na twoje oblicze. Mam zabić może jakiegoś smoka lub też naprawić wyrządzone

krzywdy, by sprowadzić uśmiech na twą piękną twarz?

– Nie. Na razie wystarczy to, co powiedziałeś. Naprawdę mi pomogłeś. Resztą muszę zająć się sama. Ale tak czy inaczej, dziękuję.

– Jeśli przeznaczone ci jest szczęście – powiedział Sly, nie musisz się spieszyć.

Rozjaśniła się.

– Wiesz, chyba masz rację, J. L. I zaczyna mnie to martwić.

Powstrzymała chęć przytulenia go, bo nie chciała się ośmieszyć. Jego słowa – myślała – to drugi dobry omen w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Wszystko będzie w porządku – uspokajała samą siebie.

Poklepała na szczęście gruby brzuch uśmiechniętego posągu i wyszła z ogrodu.

Znaleźli Kruszynę zaraz po zapadnięciu zmroku. Zatrzymywała samochody na bulwarze. Widocznie interesy szły kiepsko w barze, i w którym było zaledwie dwadzieścia miejsc, a pracowało aż osiemnaście kelnerów.

I Kruszyna była burą blondynką ze świeżą cerą. Palila skręty i mówiła mieszaniną hiszpańskiego i kreolskiego, co wystarczało jej w zupełności, żeby porozumieć się z klientami. Miała na sobie obcięte džinsy i sznurowaną górę. Bardziej prowokacyjne stroje wyszły z mody na bulwarze z powodu ostatnich nalotów obyczajówki. W skromniejszym stroju można było udawać, że idzie się właśnie na zakupy, a nie szuka klientów. I tak właśnie zrobiła Kruszyna, kiedy przystanął tuż przy niej nieoznakowany samochód, akurat w chwili gdy konwersowała z kierowcą w średnim wieku. Wystraszony kierowca pospiesznie odjechał.

Kruszyna była sprytna, znała dobrze swój fach i miała co najmniej

dziewiętnaście lat.

– O co tu chodzi, do kurwy nędzy?! – zaskrzeczała. – Szłam sobie właśnie do sklepu po mleko i chleb. Ten facet pytał o drogę. Płacę podatki. Nie macie prawa mnie zatrzymywać, nie jesteście nawet z obyczajówki – wyła.

– Dobra, dobra. Szła do sklepu bez pieniędzy, dokumentów, bielizny, a za to z kondomami w kieszeni – stwierdziła Dusty, obszukując filigranową prostytutkę. – I jeszcze z tym – dodała, wyjmując jej zza paska ostry jak brzytwa otwieracz do pudełek, wielkości grzebienia, i podając go Jimowi. – Niezbędny przyrząd do robienia zakupów.

– Nigdy nie wiadomo, co ci się może przytrafić w kolejce – odparł Jim rozsądnie. – Zdaje się, że mamy tu do czynienia z tamowaniem ruchu, prostytutką i posiadaniem ukrytej broni – wyliczał Rick.

– A wydawało się, że to taka miła dziewczyna – westchnął Jim. – To fatalnie, że będziemy musieli wsadzić ją do paki.

– Nie uda się wam!

– Może nie będziemy musieli próbować – powiedział Rick.

Kruszyna była doprowadzona do ostateczności: miała czerwoną twarz i oczy pełne łez ze złości.

– Czego chcecie ode mnie, dupki?

– Tylko paru informacji.

– Odpieprzcie się.

– A fe – odezwał się Jim. – Będziemy musieli uzupełnić naszą listę o obrazę moralności publicznej i utrudnianie pracy funkcjonariuszom.

– Szukamy naszych przyjaciół – odezwała się Dusty. – Latynosów. Jeden z nich miał mały wypadek. Spalił sobie twarz.

– Tych dupków? – Kruszyna wzdrygnęła się na samą myśl.

– Sądziłam, że jesteście zaprzyjaźnieni.

– Nic nie powiem. To wariaci.

– Wiemy – odezwał się Rick. – Podaj nam tylko markę ich samochodu, adres i nazwiska.

Kruszyna otworzyła szeroko usta, potem jej zbyt błyszczące oczy zapaliły się na sekundę, jakby na wspomnienie czegoś niemiłego, i dziewczyna myślała przez chwilę.

– Nic nie powiem.

Zapewne doszła do wniosku, że lepiej będzie narazić się na pobyt w areszcie niż na gniew Kolumbijczyków.

– Dobra, niech cię szlag, młoda damo. Jedziemy na komendę – poinformował ją Jim.

Kruszyna wzruszyła chudymi ramionami, jakby nie zrobiło to na niej specjalnego wrażenia.

– Ale to nie wszystko – ryczał dalej. – Usadzę twój tyłek w areszcie za każdym razem, kiedy cię tu dorwę. A twoje dobre stosunki z innymi glinami też się skończą, bo nadam im sprawę i oni też będą na ciebie polować. Będziesz więc lądować w pierdlu nie tylko wtedy, kiedy ja znajdę się w okolicy, ale za każdym razem, jak się odważysz wysunąć głowę przez drzwi.

– Daj spokój, Jim, nie bądź taki – Rick spojrzał na Kruszyne i obdarzył ją swoim czarującym uśmiechem. – Powiedz nam po prostu, co wiesz, i możesz iść swoją drogą, kochanie.

– Nie jestem twoim kochaniem – mruknęła.

– Doliczmy jeszcze współudział w napadzie z bronią w ręku i

nielegalny transport zwłok – mówił Jim, wyliczając na palcach wykroczenia.

Kruszyna wyraźnie traciła panowanie, nad sobą, ale nie z powodu ich gróźb, ale zainteresowania, jakie wzbudzała ta scena wśród innych ludzi, znajdujących się na ulicy.

– Będę miała kłopoty, jak mnie tu z wami przyfilują. Aresztujcie mnie, ale szybko. Nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył w waszym towarzystwie.

– Bardzo mi się podobał ten wasz numer z dobrym i złym gliną – kpiła Dusty, kiedy Kruszyna powędrowała do aresztu tymczasowego dla kobiet.

– Szkoda, że nie zadziałał.

– Ale zadziała – odgrażał się Rick. – Poprosimy sędziego o trzy miesiące i znowu sobie z nią pogadamy.

– Ciekawa jestem, czy robiła ostatnio test na AIDS – dumiała Dusty. – Powinno się przebadać to biedactwo. Widzieliście, jaka jest blada? Ciekawa jestem, jak długo pracuje na ulicy.

– Możesz wpłacić za nią kaucję, zabrać ją do domu i zostać jej dużą siostrzyczką – powiedział Jim.

– Mam już w swoim otoczeniu wystarczająco dużo ludzi, którzy sprawiają mi kłopoty – odparła Dusty żartobliwie, zerkając na Ricka, który umyślnie stronił od niej przez cały wieczór. – Ale dzięki za radę.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Właśnie przyszedł z wizytą mały Benjie z przeciwka i Jennifer była nieprzytomna z wrażenia. Skakali razem po łóżku, rzucali w siebie poduszkami i ryczeli ze śmiechu. Zjedli ciasto, lody, a potem kolorowali obrazki kredkami Benjiego. Jennifer była bardzo zadowolona, bo wychodziła poza linię rzadziej niż Benjie.

Laurel bała się samotności. Zwykle z chęcią witała gości, nawet trzyletnich, ale teraz nie czuła się na siłach, żeby opiekować się dzieckiem. Wiedziała, że nie może przyjąć za nie żadnej odpowiedzialności. Była zbyt zdenerwowana, zbyt wiele się działo. Bała się nawet chodzić do centrum sportowego przez te okropne, przerażające sny o Barrym, instruktorem aerobiku. Kolejną torturę stanowiły pisma. Codziennie musiała wyjmować gazety ze skrzynki tak, żeby je schować przed Rickiem. Zaprenumerowała „Reader’s Digest” z katalogu, który oferował duży wybór pism. Wspomniała o tym i Rick nie zgłosił sprzeciwu, ale teraz była wręcz bombardowana przesyłkami. Przychodziły całe tuziny pism i paczek, dostała nawet różowy, plastikowy przyrząd służący do powiększania biustu. Wkładki do biustonosza nadeszły w zwykłym, brązowym papierze. Skórzany pas również. Na początku miała nadzieję, że to Rick robi jej kawały w złym guście, ale nic nie mówiła, bo w głębi serca знаła prawdę. On niczego nie zamawiał. Przesyłki adresowane były do niej. Rachunki również. Coraz częściej traciła poczucie czasu i bała się, że wariuje.

Chciała wykręcić się jakoś przed Beth, ale nie mogła. Ciężarna siostra Beth uległa niegroźnemu wypadkowi samochodowemu i zaczęła rodzić, a

jej mąż, który pracował jako agent ubezpieczeniowy, wyjechał z miasta w interesach.

Beth pojawiła się bez uprzedzenia. Trzymała za rękę Benjiego. Chłopczyk miał już na sobie piżamkę, a w ręku trzymał kredki i książeczkę do kolorowania.

– Nie sprawię kłopotu? – spytała Beth i powiedziała, że musi załatwić niecierpiącą zwłoki sprawę rodzinną. – Muszę jechać do szpitala do Sue. Nie mogę zabrać ze sobą dziecka, a Ben powinien pojechać zobaczyć, dokąd odholowano jej auto i czy jest poważnie uszkodzone.

Nie czekała nawet na odpowiedź.

– Naprawdę, Laurel. Nie wiem, jak sobie radziłam, zanim, ty się tu sprowadziłaś.

Uścisnęła synka i przykazała mu, żeby był grzeczny. Pokiwał głową poważnie.

– Nie płacze. Uwielbia tu przychodzić – szepnęła Beth. – Zadzwonię niedługo. Myślę, że jest śpiący. Zdrzemnął się tylko na chwilę dziś po południu.

Benjie pomachał mamie przez okno, po czym popatrzył wyczekująco na Laurel. A ona już była gotowa i niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

– Cześć, Benjie – szepnęła. – Nie ma już Laurel. Ja nazywam się Jennifer!

Chłopiec aż westchnął z zadowolenia i pobiegł, śmiejąc się, żeby poskakać po łóżku, jak na trampolinie.

– *Chcesz się bawić w policjantów – spytała Jennifer. Oboje byli*

umazani lodami czekoladowymi i mieli dość kolorowania.

– Tak, w policjantów – zgodził się Benjie.

Jennifer wiedziała dobrze, gdzie znaleźć stare mundury Ricka. Do niektórych koszul wciąż przypięte były odznaki w kształcie błyskawicy symbolizujące oddział policji drogowej. Pod nimi stały lśniące buty. Benjie włożył sobie na głowę czapkę policyjną Ricka. Prawie całkiem zasłaniała mu twarz. Uniósł ją w górę i wycelował pękaty palec w Jennifer.

– Pif-paf, jesteś trup!

Jennifer chwyciła się za piersi dramatycznym gestem i padła na podłogę. Dusili się ze śmiechu.

– Chcesz coś zobaczyć?

– Tak – powiedział Benjie, gotowy do każdej zabawy.

– Chodź – szepnęła.

– Dobrze – odparł cicho Benjie.

Poszedł na pakach za Jennifer do stolika nocnego po stronie Ricka. Jennifer wysunęła szufladę i podniosła wymięte podkoszulki.

– To Ricka – powiedziała z dumą.

– Oool – wykrztusił Benjie z podziwem.

Pistolet naprawdę robił wrażenie. Wykonany był z lśniącej stali nierdzewnej i miał obciętą lufę.

– Prawdziwy! – szepnął. – Mogę potrzymać?

– Dobrze – zgodziła się Jennifer – ale teraz ja włożę czapkę. Chłopiec oddał jej czapkę bez specjalnych protestów, zafascynowany już nową, lśniącą zabawką.

Z trudnością mógł utrzymać w swoich małych rączkach ciężki pistolet

Ricka – trzydziestkęósemkę Smith & Wesson z obciętą lufą. Broń przechyliła się ciężko na bok.

– Pif-paf! – krzyknął, celując w Jennifer.

Potem przyjrzał się poważnie lufie. Znowu wymierzył w Jennifer, trzymając broń tak jak kowboj, którego widział w telewizji. Dwoma kciukami, z wysiłkiem odwiódł kurek.

– Jezu Chryste! – krzyknął Alex, przyciskając Jennifer do ściany, tak żeby znalazła się poza linią ognia. Rzucił się na Benjiego i wyrwał mu broń. Chłopiec stracił równowagę, upadł i zaczął płakać.

– Mogłeś kogoś zabić. To nie jest zabawka dla dzieci – powiedział Alex.

– Chryste! – Przytrzymał kurek kciukiem i ściskając spust, pozwolił mu opaść. Otworzył komorę i wyjął z niej naboje, pięć kul, po czym popatrzył surowo na chłopca. – Prawdziwe pistolety są tylko dla dorosłych, takich jak ja, bo my wiemy, jak się nimi posługiwać – mówił ochryplym głosem. – Właśnie dlatego źle się dzieje w tym mieście. Nikt nie szanuje broni. Rozumiesz, mały?

Benjie przytaknął, ale nie przestawał płakać.

– Jennifer była bardzo niegrzeczna – ciągnął Alex. – Ona jest mądrzejsza. Jak ją zastrzelisz, będziemy mieli poważne kłopoty. Chcesz się jeszcze z nią bawić?

Benjie kiwnął głową, a łzy lśniły mu na policzkach.

– Dobrze, jeśli obiecasz, że nie będziesz dotykał pistoletu.

– Obiecuję.

Znów pojawiła się Jennifer. Kiedy Alex popchnął ją na ścianę, przestraszyła się bardzo i też płakała. Otarła łzy zaciśniętą piąstką.

– Nie będziemy się już bawić w policjantów.

Benjie potaknął z bardzo zdziwioną miną.

– Jak on się nazywa?

– Alex – odpowiedziała dziewczynka, krzywiąc buzię.

– On jest bardzo zły.

– Chcesz oglądać kreskówki?

– Nie ma teraz kreskówek – powiedziała, wydymając wargi. – Za późno. – Myślała chwilę i uśmiechnęła się nagle. – Znam inną zabawę, w całowanie.

Benjie miał się już teraz na bacności.

– Dobrze – powiedział niezbyt pewnie.

– W porządku – odparła, rozpinając ubranie. – Zdejmij piżamę, a ja przyniosę misia.

Rozdział trzydziesty drugi

Kruszyna nie mogła wprost uwierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę. Pracownik służb socjalnych, który usiłował namówić ją na test na AIDS oraz wzięcie udziału w kursach szkolenia zawodowego, zniknął tak szybko, jak się pojawił. Pewnie powiedziałam coś takiego – pomyślała radośnie. Teraz została sama w pokoju przesłuchań w areszcie tymczasowym dla kobiet.

Nie było tu wcale groźnie i ponuro ani nawet urzędowo. W ogóle nie zainstalowano krat. Na żółtych ścianach widniały kolorowe wzorki. Było to pogodne pomieszczenie, w którym zatrzymane, zwane przez strażników rezydentkami, mogły spotykać się bez przeszkód z adwokatami, ewentualnymi poręczycielami, rodzinami, a nawet z dziećmi. Z głośników płynęła muzyka, w każdym pokoju był kolorowy telewizor, salon piękności, w którym pracowały więźniarki. Można w nim było ułożyć sobie włosy, zrobić manikiur przed ewentualną wizytą gości lub oficjalnym wystąpieniem w sądzie. W ogóle nie było tu tak najgorzej. Nawet jedzenie smakowało zupełnie nieźle. Przyrządzały je więźniarki, odbywające praktyki kucharskie.

Tym, co Kruszyna ceniła sobie najbardziej w nowym systemie więziennictwa, było wysokie okno na pierwszym piętrze sali przesłuchań, gdzie mogła siedzieć bez żadnych przeszkód i czekać na strażniczkę, żeby zabrała ją do pokoju. Miała wrażenie, że będzie łatwo je otworzyć. Zamykało się zwyczajnie na klamkę, którą opuszczano, kiedy klimatyzacja nie była potrzebna i należało przewietrzyć pokój, w którym zarówno więźniarki, jak i ich goście często palili.

Kruszyna przyciągnęła drewniany stół do ściany. Na nim ustawiła krzesło i weszła na blat. Stojąc na krześle mogła bez przeszkód pracować nad otwarciem okna. Żaden problem – mruknęła do siebie. Kokaina wciąż jeszcze działała i dodawała jej energii, ale Kruszyna wiedziała, że to się wkrótce skończy. Nagle w jej głowie powstała myśl, że coś za łatwo jej idzie. Może te dupki zastawiały na nią pułapkę, bo chciały ją dodatkowo zrobić w próbę ucieczki. Doszła do wniosku, że popada w paranoję. Ludzie, którzy prowadzili to miłe więzienie, nie uczestniczyliby w takiej prowokacji. Pogwałciliby w ten sposób jej prawa.

Okno otworzyło się z gwałtownym skrzypnięciem i posypał się kurz. Teraz wystarczyło tylko mocno pochwycić górną ramę, unieść się nieco w górę i przerzucić nogę. Nie widać było żadnego systemu alarmowego, a przynajmniej tak jej się wydawało. Zawahała się, po czym usłyszała kroki na korytarzu znajdującym się pod nią. Teraz albo nigdy. Kruszyna oparła mocno stopę o siatkę i wykopała ją na zewnątrz. Alarm nie włączył się. W każdym razie ona nic nie słyszała. Siatka padając nie wydała żadnego dźwięku. Co za ulga – pomyślała. Chodnik nie dochodził do budynku. Na dole była tylko trawa i kwiaty. Krajobraz. Wspaniałe więzienie! Właściwie nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zostać tu dłużej, gdyby na zewnątrz nie czekały na nią dwie atrakcje: kokaina i jej facet: Jake the Snake.

Skok okazał się łatwy – Kruszyna musiała pokonać wysokość około dwunastu stóp. Przywarła do dolnej ramy okna, wysunęła nogi na zewnątrz i poleciała w dół, lądując bezgłośnie w rozkroku. Przebiegła przez ulicę, wyciągnęła kciuk i zatrzymała przyjaznego pracownika poczty, który właśnie wracał z pracy i tak samo jak ona udawał się na Boulevard.

Rozdział trzydziesty trzeci

Potem jak Benjie i Jennifer zasnęli, Harriet wyszła z łóżka, żeby posprzątać. Była wściekła. Ten cholerny bękart – myślała, wydmuchując dym z papierosa. Okruchy czerwonej kredki na dywanie. Plamy z lodów na szydełkowym obrusie. Pościel zmiętoszona, gościnne ręczniki wygniecione i mokre na podłodze w łazience. Toaleta zabrudzona, woda niespuszczona, mokry sedes. To była ostatnia kropla.

Wśliznęła się do kuchni i wyjęła sześciocalowy nóż rzeźnicki z pojemnika na ladzie. Myślała chwilę, po czym położyła go z powrotem na miejsce i sięgnęła po tasak. Uśmiechnęła się do swego odbicia w stalowej powierzchni i patrzyła przez chwilę z podziwem na zakrzywioną, wygodną rączkę. Tasak wyprodukowano ręcznie w Niemczech i było to jej ulubione narzędzie kuchenne. Tasak nigdy nie wymagał ostrzenia, ale i tak to robiła. Zaniosiła go do sypialni i delikatnie pchnęła drzwi. Benjie zwinął się na środku łóżka, poróżowiał na buzi i wyglądał jak aniołek. Ssał kciuk i miał zamknięte oczy.

Ogarnęła ją prawdziwa furia, kiedy zobaczyła, że ślina ścieka mu prosto na jej pikowaną kołdrę. Zacisnęła palce na rączce tasaka, po czym ręce jej opadły i westchnęła głośno. To nie był odpowiedni moment.

Nie mogła zrobić czegoś takiego teraz, gdy byli już tak bliscy celu. Tego rodzaju działanie, choć w pełni uzasadnione, zdenerwowałoby innych. Wbrew wszystkiemu Alex tolerował bękarta, a Jennifer byłaby niepokieszona, gdyby straciła jedyne gowarzysza zabaw. Marilyn wpadła we wściekłość po tym, co przytrafiło się Barry'emu, a poza tym zdenerwowała ją Laurel, która chciała zwrócić urządzenie do

powiększania biustu. Laurel przepakowała przesyłkę, zaadresowała ją i włożyła do torby. Marilyn odwinęła ją z powrotem i ukryła. Korzystała teraz z tego przyrzędu co wieczór, ściskając go w dłoniach i próbując wyćwiczyć mięśnie klatki piersiowej. Po zakończeniu gimnastyki stawała naga przed lustrem i przyglądała się swym piersiom pod każdym możliwym kątem, próbując dostrzec jakąkolwiek zmianę w ich wielkości.

Gdyby Harriet zrobiła teraz porządek z Benjiem, powstałoby zamieszanie, a Laurel straciłaby zupełnie panowanie nad sobą. Lepiej nie myśleć, jak mogłaby się zachować. Już i tak była zupełnie roztrzęsiona, szczególnie od tego momentu, kiedy będąc na poczcie opróżniła torbę w poszukiwaniu paczki, którą zamierzała zwrócić nadawcy. Harriet dostrzegła jej rosnącą histerię, która pogłębiła się jeszcze, gdy Laurel odkryła w szafie nową czarną suknię, całkiem odpowiednią na pogrzeb. Te pisma też wytrącały ją z równowagi z powodu rachunków do zapłacenia. W jaki sposób miała to niby zrobić? Cóż, to jej problem – pomyślała Harriet. Mam prawo prenumerować „Good Housekeeping”, „Home” czy też „Garden and Gourmet”. Alex zażądał „Sports Illustrated”, „True Detective”, „Popular Mechanics” oraz „Penthouse’a”. W takiej sytuacji Marilyn musiała dostać swoją „Playgirl”, „Cosmo” i „National Enquirer”. A biedna mała Jennifer prosiła tylko o „Jack and JM” oraz parę pism o bobrach i szopach. Nie było to zbyt wygórowane żądanie i Harriet pomogła jej wypełnić odpowiedni formularz.

Niechętnie odniosła tasak do kuchni i zaczęła kończyć sprzątanie. Wkrótce znajdzie czas, żeby usiąść spokojnie przy filiżance kawy i zatelefonować w parę miejsc. Na zmianę z Alexem wydzwaniała teraz do Tawny Marie o czwartej nad ranem. Gdyby nie Benjie i fakt, że w każdej

chwili mogła pojawić się tu Beth, mogliby pojechać do Pigeon Plum i sprawdzić, czy Rick i Dusty znowu to ze sobą robią. A niech się pieprzą na okrągło, póki jeszcze mogą – pomyślała wrogo. Wyjęła notatnik i zaczęła szkicować plany przerobienia gabinetu Ricka na szwalnię. Harriet nie mogła doczekać się zamążpójścia i zostania wdową po policjancie.

Wtedy będzie mogła zagarnąć to wszystko dla siebie.

Rozdział trzydziesty czwarty

Rick stał w drzwiach sypialni, patrząc, jak Laurel i Benjie drzemią słodko, przytuleni do siebie. Ten widok był szczególnie wzruszający, zwłaszcza po pełnym napięć dyżurze. Raport do wydziału spraw wewnętrznych był już gotów, ale nie został jeszcze wysłany. Wszystko to wydawało się niewiarygodne, ale w Miami cały czas dzieją się dziwne rzeczy. Nienawidził niepewności. Jego zwykle nieomylny instynkt, dzięki któremu był zawsze pewien czyjejs winy, tym razem zawodził. Stał zbyt blisko tej sprawy. Na dodatek miał zbyt wielkie poczucie własnej odpowiedzialności za to, co się stało. O wiele łatwiej jest zajmować się obcymi.

Zadzwoił telefon i Rick pospieszył, aby odebrać go w kuchni.

– Co takiego? Jesteś pewien? Niech to nagły szlag trafi! W jaki sposób, do cholery? Nie wierzę. Każ mundurowym przeszukać „Jolly Roger Dream Bar” i Boulevard od Dwudziestej Szóstej do Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy. Może ja wrócę na chwilę, żeby się zorientować, czy mamy szansę ją szybko dopaść. Cholera! To mi wszystko psuje. Potrzebowaliśmy jej.

Laurel i Benjie weszli do kuchni. Mieli oboje zaspane oczy, ale byli również ciekawi, co się stało. Laurel wciągała na siebie aksamitną podomkę. Rick odłożył słuchawkę.

– Przykro mi, że was obudził – wymamrotał.

– Która godzina? – patrzyła niechętnie na zegar. – Czy mówiłeś, że wracasz do pracy?

– Tylko na chwilę – odparł, ze złością spacerując po kuchni i pocierając

kark. – Zgubili nam aresztantkę. Pozwolili jej uciec. Niech to wszyscy diabli!

– Kawy?

– Tak – zobaczył, że Benjie przygląda mu się szeroko otwartymi oczami. – Posłuchaj mojej rady, Ben, i nie wyrośnij na policjanta. To zbyt denerwujące zajęcie.

– Lubię policjantów – odparł Benjie, patrząc z nadzieją na stojącą na blacie puszkę ze świeżo upieczonymi ciasteczkami.

Laurel naląła dwie filiżanki kawy i szklankę mleka. Chciała opowiedzieć Rickowi o wszystkich tych ubraniach, pismach, godzinach, których nie potrafiła odtworzyć, zdarzeniach, których nie mogła wytłumaczyć, ale wiedziała, że nie pora na to.

– Wszystko dlatego, że w tym areszcie urządzili klub, a nie więzienie. Nie wiem, co oni tam wyprawiają. Zabieramy tam tę... kobietę – powiedział, spoglądając na chłopca, który z uwagą słuchał każdego słowa – żeby zmiękła. A oni sobie wychodzą i zostawiają ją w pokoju przesłuchań z jakimś pracownikiem socjalnym, który po prostu zostawiają tam samą. Zanim zdążyli wysłać po nią kogoś, kto odprowadziłby ją do... apartamentu, przyciągnęła stół do okna, postawiła na nim krzesło, wlała na nie, otworzyła okno, wykopała siatkę i wyszła. Zanim ci kretyni zdążyli się zorientować, że nawiała, prawdopodobnie piła już piwo w Opa Locka.

– Chcesz powiedzieć, że wyskoczyła przez okno? – Laurel miała równie jak Benjie zdziwioną minę. – Jest ranna?

– To wcale nie było takie niebezpieczne. Niewiele ponad dwanaście stóp wysokości i lądowanie na trawie. A poza tym miała motywację. Ciekaw jestem, co zrobi Dusty, kiedy się o tym dowie. Ależ będzie

wkurzona!

Laurel podała Benjiemu owsiankę w miseczce. Chłopiec był najwyraźniej zawiedziony i bez przerwy spoglądał łakomym wzrokiem na ciasteczka. Laurel cały czas bacznie obserwowała Ricka, w nadziei że będą mogli wreszcie porozmawiać, kiedy ochłonie. Może jak Benjie pójdzie do domu – pomyślała.

Rick wstał od stołu, jeszcze dwukrotnie przemierzył długość kuchni, po czym wypił duszkiem resztę kawy.

– Pojadę tam i poszukam jej w stałych melinach; zanim gdzieś się przeniesie.

Potargał Benjiemu włosy wychodząc i zatrzasnął za sobą drzwi. Laurel skrzywiła się na odgłos wylatującego w powietrze żwiru. Rick zbyt szybko wycofywał samochód z podjazdu.

Wrócił dwie godziny później, z pustymi rękami, zestresowany i nie przestawał narzekać na brak odpowiednich zabezpieczeń w areszcie śledczym dla kobiet.

Rozdział trzydziesty piąty

Jim skrzywił się boleśnie, bo słońce wpadające przez okno na pięćdziesiątym pięttrze boleśnie raziło go w oczy. Przed pójściem do domu musiał jeszcze zatelefonować.

Słuchawkę podniosła sekretarka z komendy policji w Jericho i poinformowała go, że szef wrócił wprawdzie do miasta, ale aktualnie wyjechał na patrol. Quincy Berke oddzwonił czterdzieści minut później. Rozpoczął rozmowę od pytania o pogodę.

– Jest gorąco, wilgotno, paskudnie, a obywatele wykazują nadmiar energii – odparł Jim. – To samo, co zawsze.

– W Miami musi być fantastycznie. Nigdy tam nie byłem. Zawsze chciałem pojechać, ale po tym wszystkim, co czytam o was w gazetach, już nie jestem taki pewien – powiedział jowialnie.

– Ale jedna z pańskich znajomych odbyła tę podróż kilka lat temu i już nie wróciła.

– Pewnie mówi pan o Mary Ellen – zabrzmiało to entuzjastycznie. – Pracujecie razem?

– Ma pan na myśli detektyw Dustin?

– Jest detektywem. I co pan na to? Minęło już chyba ze sześć lat od czasu, kiedy poproszono mnie o referencje. Podejmowała wtedy staż w Miami. Potem już nikt nie dzwonił w jej sprawie, więc doszedłem do wniosku, że dostała pracę. Ostra dziewczyna. Wszystko u niej w porządku?

– Pracuje teraz w wydziale zabójstw i robi świetną robotę.

– W wydziale zabójstw? Wiedziałem, że daleko zajdzie. Nie utrzymuje

z nami kontaktu.

– Więc pracowała u was?

– Oczywiście. Była pierwszą kobietą, jaką przyjęliśmy do pracy. Od tej pory przybyło ich trochę, ale żadna nie jest taka ładna. W dalszym ciągu zawraca facetom w głowach?

– Jasne. Jej rodzice mieszkali w Jericho, prawda?

– I w dalszym ciągu mieszkają. Tom i Claire mają farmę piętnaście mil za miastem.

– Dlaczego wyjechała? Jim usłyszał, że szef wypuszcza głośno powietrze. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś przekłuł nagle balon.

– Widocznie chciała zwiedzić duże miasto – powiedział sztucznie, nieszczerze.

– Był chyba jeszcze jakiś powód. Jim zapuszczał przynętę, Berke dał się złapać.

– Czy ona ma jakieś kłopoty?

– Au was miała?

– Była chryja.

– Nie wspomniał pan o niczym takim w referencjach.

– Nie uważałem tego za stosowne. Sprawa miała charakter osobisty, pozostawała bez związku z pracą, jaką tu wykonywała.

– Co się wydarzyło?

– Przecież to już musztarda po obiedzie. Nie ma sensu grzebać w przeszłości. Mary Ellen ułożyła sobie życie i miła z niej dziewczyna. Jestem pewien, że nie byłaby zadowolona, gdybym zaczął wyciągać tamte sprawy na światło dzienne.

– Jakaś afera miłosna?

– Właśnie. Skandal już ucichł, a ludzie zapomnieli o wszystkim.

– Co się stało?

– To był policjant w stopniu porucznika. Pracował dla mnie. Dobry człowiek, tylko zbyt młodo się ożenił. Wie pan, takie wesele na łapu-capu. Pięć miesięcy po ślubie przyszło na świat dziecko. Ona była zawsze przewrażliwiona i strasznie zazdrosna. Mieli problemy. Potem żyli w separacji. A chłopak pracował razem z Mary Ellen i wie pan, jak to bywa.

– Tak, ale proszę mówić dalej.

– Nawiązali ze sobą poważny romans. Jego żona dostała szału. Nie mam pretensji do Mary Ellen, była młoda, facet żył w separacji. Mieszkał sam, w przyczepie. Cały czas powtarzał, że bierze rozwód, ale nigdy nie złożył papierów. Odwiedzał dziecko, chyba dlatego żona miała nadzieję, że do niej wróci. Zawsze zawracała mu głowę w pracy, bo tylko w ten sposób mogła nawiązać z nim kontakt. Kiedyś nawet poprzecinała mu opony w samochodzie patrolowym, tuż przed komisariatem – szef zachichotał na to wspomnienie. – Żeby zwrócić na siebie uwagę, straszyla go samobójstwem. Pewnego wieczoru zatelefonowała na komendę i pojechał do niej. Prawdopodobnie chciał ją powstrzymać przed zrobieniem czegoś głupiego. Zaciągnęła go chyba wtedy do łóżka. W końcu byli małżeństwem, do cholery! Wygląda na to, że kiedy przysypiał, wzięła jego pistolet i strzeliła mu prosto w skroń. Potem zabiła dziecko i sama odebrała sobie życie. Znaleźliśmy ją ułożoną w poprzek jego ciała, a obok broń.

– Nikt nie miał wątpliwości, że to było morderstwo i samobójstwo? – skrzywił się Jim.

– Ja nie. Ale ludzie gadali, robili złośliwe plotki.

– Że Dusty miała coś z tym wspólnego?

– Tak. Żona tego faceta kompletnie oszalała. Zanim pociągnęła za spust, zatelefonowała na komisariat i powiedziała, że Mary Ellen groziła jej i jej rodzinie. Ale Mary Ellen miała wtedy służbę, do cholery! Pomagała odholowywać wrak z autostrady. Nie była nawet w pobliżu ich mieszkania. Lekarze sądowi potwierdzili tezę o morderstwie i samobójstwie. Żony innych policjantów zawsze traktowały ją oziębło. Może pan sobie wyobrazić, co się działo, kiedy znaleziono ciała. Nie mogła już dłużej tu mieszkać. Kochała swoją pracę, ale żyjemy w małym miasteczku i inne kobiety po prostu nie życzyły sobie, żeby pracowała z ich mężami. Tak samo uważali ludzie związani z kościołem. Jej rodzice byli zawsze bardzo niezadowoleni z tego, że spotyka się z żonatym mężczyzną. Oni też jej dopiekli.

– To już wszystko?

– Nie wystarczy? Zrobił się tu cholerny skandal. Prawdopodobnie dlatego postanowiła schronić się w jakimś dużym mieście. Miami to nie jest Jericho, co bardzo mnie zresztą cieszy.

– Mnie również – odparł Jim.

– Jak ona się miewa?

– Jest wspaniała. Wręcz fantastyczna.

– Wyszła za mąż?

– Nie.

– Jeśli wspomni pan jej o naszej rozmowie, proszę powiedzieć, że pytałem o nią i życzę jej wszystkiego najlepszego.

– Oczywiście, szefie.

Jim siedział przy biurku i uśmiechał się. Odkrył tragiczną tajemnicę

Mary Ellen Dustin, ale nie rozumiał zupełnie, dlaczego Rick wpadł w taką panikę. Cała reszta jego podejrzeń okaże się na pewno równie bezsensowna. Wiedziony przeczuciem, znów sięgnął po słuchawkę.

Prescott Williams wszedł do pokoju pięć minut później swoim charakterystycznym, leniwym, miękkim krokiem rodem z Overtown. Poruszał ramionami i biodrami jakby w rytm muzyki w stylu rap. Była to złagodzona wersja jego zwykłego stylu bycia. Nie chciał specjalnie rzucać się w oczy na komendzie, żeby nie podpaść starszym rangą, białym policjantom, którym mogłoby się nie podobać jego zachowanie. Williams wychował się na ulicy, cudem udało mu się trzymać z dala od kłopotów, został strażnikiem w wieku lat osiemnastu, a po ukończeniu dwudziestu jeden miał nadzieję rozpocząć naukę w Akademii Policyjnej. Uśmiechnął się radośnie do Jima, który w środku aż jęknął. Jim miał głęboką nadzieję, że będzie już dawno na emeryturze, kiedy Williams dostanie odznakę i broń.

Pokazał mu teraz, żeby usiadł.

Prescott przysiadł na krześle z pogodnym wyrazem twarzy.

– Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu przyprowadziłeś tu kobietę, świadka z Bal Harbour.

– Tak, tę staruszkę z psem – uśmiechnął się.

– Poznałeś Pookiego.

– Tak, mówiła, że tak się właśnie nazywa. Napadł na mnie, szczyrzył zęby i dobrałby mi się do tyłka, gdybym go nie zawołał.

– Tak, życie w ogóle jest niebezpieczne, Prescott. Co się wydarzyło, kiedy przyprowadziłeś ją na komisariat?

– Nic – zachnął się Williams. – Co ona nagadała? Przywiozłem ją tu, jak pan kazał – wiercił się niespokojnie na krześle.

– Nic nie nagadała. Wszystko jest w porządku. Nie denerwuj się. Posłuchaj mnie teraz. To ważne. Chcę zobaczyć, czy sprawdzasz się jako dobry obserwator, detektyw, rozumiesz? Opowiedz mi wszystko, co zaszło, od momentu kiedy zostawiłeś samochód na parkingu.

Prescott przyjrzał się uważnie Jimowi spod w półprzymkniętych powiek. Założył nogę na nogę, oparł się o krzesło i zaczął się gapić w sufit. Myślał wyraźnie nad wyzwaniem z zaciśniętymi ustami. Potem wychylił się do przodu, a stopy oparł mocno o podłogę.

– Wjeżdżamy na parking, nie, starsza pani wysiada przy windzie, bo nie ma miejsca na samochód. Ci faceci z oddziałów specjalnych zawsze zabierają miejsca – wyjaśnił obrażonym tonem. – Wiedzą, że im nie wolno, ale i tak to robią, bo to blisko windy. – Prescott znów wpatrywał się w sufit przez dobre dwadzieścia sekund ze zmarszczonymi brwiami. – Parkuję, idę spotkać się ze staruszką przy windzie, wsiadamy i jedziemy na portiernię – popatrzył na Jima, wyraźnie czekając na aprobatę, a on pokiwał z uznaniem głową. – Wpisujemy się na portierni, nie, staruszka pokazuje dokumenty, dostaje identyfikator i przypina go sobie do sukienki. Telefonuję na górę do sierżanta, tego, co mnie po nią posłał, i zawiadamiam, że już jesteśmy.

– I co dalej? Przypomnij sobie wszystkie szczegóły, dokładnie, kogo widziałeś, z kim rozmawiałeś, co się wydarzyło.

– No, wtedy mieliśmy mały problem – powiedział, wyraźnie zawstydzony. – Nic takiego, ale zapomniałem karty do windy jadącej do wydziału zabójstw. Zostawiłem w samochodzie. Ale już dzwoniliśmy na

górze, że zaraz będziemy, a ja znam sierżanta i wiem, że on nie lubi czekać. Więc rozglądam się za kimś z kartą. Winda się otwiera i wysiada z niej ta blondynka, detektyw, ta postawna, wie pan. Ma duże... – wykonał znaczący gest. – Spieszy się bardzo i jest mocno wkurzona. Ale pytam, czy nie dałaby nam klucza, bo chcemy się dostać na górę. Ona patrzy na mnie, na staruszkę, odwraca się, wracamy do windy, ona wkłada kartę, ja przyciskam guzik i jedziemy na górę.

– Czy one rozmawiały ze sobą?

Prescott miał niemądrą minę.

– Kobieta detektyw z blond włosami ze staruszką. Rozmawiały ze sobą?

– Nie – Prescott wzruszył ramionami. – Chyba starsza pani powiedziała: „dziękuję”, czy coś takiego, chciała być miła, ale detektyw... chyba nazywa się Dustin, mruknęła tylko „nie ma za co” i poszła. Widać było, że jest zdenerwowana i bardzo się spieszy.

– Jesteś pewien, że to była detektyw Dustin.

– No jasne, przecież ją znam. Kiedyś, jak zacząłem tu pracować, podrzuciła mnie do domu. Miła kobieta. I ma ładne nogi.

– Będiesz kiedyś wspaniałym policjantem, Prescott – pokiwał głową Jim.

Williams wyszedł z pokoju jeszcze bardziej tanecznym niż zwykle krokiem.

Ale mam nadzieję, że nie za mojego życia – pomyślał Jim. Oparł się o krzesło.

– Podejrzana oczyszczona z zarzutów – powiedział głośno. Zabójca wciąż nie został znaleziony i przebywał na wolności, ale przynajmniej

Rick nie zrobił z siebie idioty i nie poleciał do wydziału spraw wewnętrznych. Sprawdził czas. Rick pojechał do domu po bezskutecznych poszukiwaniach Kruszyny na Boulevard. Jim wybrał jego numer.

– On już śpi – powiedziała Laurel. – Mam go obudzić?

– Nie, to nic pilnego. Spotkam się z nim wieczorem.

Rozdział trzydziesty szósty

Niepokój i zdenerwowanie nie pozwoliły Dusty zasnąć. Roznosił ją wyjątkowo nieprzyjemny rodzaj energii. Przemierzając pokój wzdłuż i wszerz doszła do wniosku, że może zrobić wrażenie na Ricku jedynie wówczas, jeśli zachowa się całkowicie profesjonalnie. A nawet jeśli jej się to nie uda, odzyska przynajmniej godność. Jeżeli nie może mieć jego miłości, a była to bardzo bolesna perspektywa, chce przynajmniej cieszyć się jego szacunkiem. Pokaże mu, jaki z niej detektyw. Posiadała jeszcze wiele dumy. Ubrała się, pojechała do centrum sportowego i wybrała półtoragodzinne, wyczerpujące zajęcia Tawny Marie, które polegały na ćwiczeniach z ciężarkami. Miała wrażenie, że Tawny Marie nie błyszczy tak jak zwykle. Miała zupełnie puste oczy. Po zajęciach Dusty poznała powód tej zmiany.

– Barry nie pokazuje się już od dwóch dni, nie podchodzi nawet do telefonu, więc musiałam wziąć za niego zajęcia, a na dodatek jakiś zboczeniec wydzwaniał do mnie co noc – wyznała Tawny Marie.

– Gada świństwa?

– Tak, ale w ogóle to wszystko jest jakieś dziwne. Najpierw odkładał słuchawkę, jakby się pomylił, teraz słyszę szepty. Mówi przerażające, obrzydliwe rzeczy.

– Zdaje się, że mnie jedyną to minęło – Dusty wygięła zabawnie usta w podkówkę. – Czuję się niedoceniona.

– Nie ma się z czego śmiać – Tawny Marie wyglądała tak, jakby miała ochotę się rozplakać. – Nie znoszę wyłączać telefonu, ale muszę się kiedyś zdrzemnąć. Bardzo nieprzyjemnie jest o czwartej nad ranem, kiedy jesteś

sama i nie masz pojęcia, kto wygaduje te zboczone świństwa. Wczoraj słyszałam jakieś głosy w patio. Kiedy zapaliłam światło, ktoś uciekł.

– Przepraszam, nie chciałam z ciebie żartować, Tawny. Przypuszczam, że włączyły mi się mechanizmy obronne.

– Sądzisz, że to ma jakiś związek z centrum. Może dzwoni do mnie ta sama osoba, która napisała ten ohydny list do dziewczyny Ricka?

– Pojęcia nie mam – Dusty zamyśliła się głęboko, jakby szukała czegoś efemerycznego. – Umawiałaś się kiedyś z Rickiem – spytała.

– Tak, ale dawno temu. Był naprawdę boski. A ty?

– Też. Prawdziwy krętacz z niego. Myślę, że byliśmy po prostu łatwymi zdobyczami. Uważasz, że Laurel wie?

– Raczej nie, chyba że sam jej powiedział.

– Nie sądzę.

– Widzisz jakiś związek?

– Nie wiem. Może. Dzwoniłaś do centrali? Niewykluczone, że potrafią ustalić, kto cię niepokoi.

– Nie chcę robić takiego szumu. Marzę tylko, żeby to się wreszcie skończyło.

– Pójdę dziś wcześniej do pracy. Muszę dokończyć pewną pilną pracę. Porozmawiam z naszym łącznikiem z centralą telefoniczną i dowiem się, co można ustalić. Jak myślisz, gdzie jest Barry?

– Nie mam pomysłu. To nie w jego stylu, żeby tak po prostu nie przyjść. Do nikogo się nie odezwał. Lepiej by było dla niego, żeby miał dobre usprawiedliwienie.

W komisariacie panował spokój, jak zwykle w sobotnie popołudnia. Dusty zamierzała dokończyć robotę papierkową w sprawie pani Vandermay i przejrzeć materiały dotyczące sprawy Roba Thorne'a i sprzedawcy ze sklepu nocnego. Na biurku znalazła prośbę o zebranie ochotników do pracy w ochronie dwóch zebrań politycznych, jakie miały się odbyć w Święto Pracy. Szef życzył sobie, żeby mniejszości były dostatecznie dobrze reprezentowane, gdyż zebrania miały być transmitowane przez telewizję.

Niespecjalnie uradowana taką perspektywą, zaczęła się zastanawiać, czy Rick i Jim również zostali zwerbowani do tej akcji. Jeśli tak, zdecydowała się pójść. Sprawdziła, czy na biurku Ricka jest też takie zawiadomienie. Grzebała w stosie papierów i nagle rzuciło się jej w oczy jej własne nazwisko pisane na maszynie. Wyjęła kartkę ze stosu. Zobaczyła żółty druk używany przy pisaniu raportów do wydziału spraw wewnętrznych w swojej własnej sprawie. Serce stanęło jej w gardle. Poczowała, że ma miękko w kolanach, gdy czytała kilkakrotnie raport. Wyrazy i zdania zdawały się wyskakiwać z papieru: „... możliwość, że detektyw Dustin jest podejrzana o dokonanie dwóch zabójstw, a także napadu z bronią w rękę i próby zabójstwa... świadek... podobieństwo do fotografii... „

Szaleństwo, kompletne wariactwo. Rozumiała teraz zachowanie Ricka. Jak mógł ją podejrzewać? Znał ją przecież, ona go kochała, mieli tyle ze sobą wspólnego. Miała ochotę wrzeszczeć i walić pięściami o ściany. On naprawdę myślał, że jest do tego zdolna. Chciała rozwalić mu biurko i porozrzucać wszędzie papiery. Drżąc na całym ciele, usiadła na krześle Ricka i przeczytała wszystko jeszcze raz. To nie był żart. Dlaczego Jim nic

jej nie powiedział? Byli pewnie zajęci śledzeniem mnie – pomyślała.

Musi porozmawiać z Rickiem. Sięgnęła po słuchawkę, zawahała się, czuła gonitwę myśli i rosnącą panikę. Rozejrzała się po pokoju, jakby chciała się upewnić, kto w nim jest, i pomyślała, że musi natychmiast wyjść. Wydział spraw wewnętrznych zawiesi ją do czasu zakończenia dochodzenia w jej sprawie. Tego wymagała procedura. Departament przeżywał jeszcze kompromitację związaną z zawieszeniem i aresztowaniem policjantów posądzonych o związek z handlem kokainą. Zostali wyrzuceni z pracy i oskarżeni o zbrodnie, od handlu narkotykami począwszy, na włamaniu i morderstwie skończywszy. Zawieszenie wchodziło w zakres działań oficjalnych i stawało się faktem znanym opinii publicznej. Ktoś zawsze dawał cynk prasie. Do końca życia będzie się za nią wlec ta historia, będzie czuć się jak na widelcu, a jej kariera i reputacja znajdą się w poważnym niebezpieczeństwie. Nigdy nie można się całkowicie wypłatać z takiej sprawy, nawet jeśli zostanie się całkowicie oczyszczonym z zarzutów. Nie mogła tak po prostu odejść i zacząć gdzie indziej. Nie mogła próbować jeszcze raz układać sobie życia. Dokąd miałyby pójść? I co miałyby robić? Z takim podejrzeniem, z takim obciążeniem nigdy nie będzie już mogła pracować jako policjantka. Nigdzie. Rozejrzała się trwożliwie wokół siebie. Automatycznie, zupełnie bezmyślnie wkręciła, kartkę do maszyny. Ręce jej drżały, gdy wystukiwała prośbę o kilka dni urlopu na załatwienie pilnych spraw rodzinnych.

Z bijącym sercem zostawiła podanie na biurku Ricka. Drugi egzemplarz przeznaczyła dla porucznika. Czuła się jak złodziej w nocy. Policjant z portierni, który pomachał do niej, gdy wchodziła do budynku, być może miał natychmiast zawiadomić wydział spraw wewnętrznych o

jej przybyciu. Ktoś mógłby właśnie być w drodze do niej z decyzją o zawieszeniu w ręku. Prawie biegła, szybko wsiadła do windy i wcisnęła guzik na najniższe piętro, unikając w ten sposób przejścia przez główny korytarz i portiernię, po czym poszła wciąż jeszcze zupełnie roztrzęsiona do samochodu. Czuła, że nie panuje już nad sobą i ma węzeł zamiast żołądka. Wszędzie, ze względów bezpieczeństwa, zainstalowane były kamery, sterowane z konsoli. Ktoś może ją obserwować. Musiała się uspokoić i trzeźwo myśleć. Pojedzie do domu, zabierze parę rzeczy i zamelduje się w motelu. Tam zastanowi się, co robić.

W myślach wciąż pojawiały się jej obrazy aresztowanych policjantów. Każde aresztowanie znajdowało miejsce na pierwszych stronach gazet. Tłumy reporterów chciały zdobyć zdjęcie, na którym byli koledzy prowadzą glinę w kajdankach, robią mu zdjęcia do kartoteki, pobierają odciski palców i wtrącają do więzienia.

Wyjechała z garażu, zerkając niespokojnie we wsteczne lusterko. Musiała myśleć racjonalnie. Nigdy nie istniała żadna poszlaka, która pozwalałaby sądzić, że zabójca jest kobietą. Jak można było wziąć ją za mężczyznę, do diabła? Rick i Jim znaleźli świadka po inwigilacji w centrum handlowym. Teraz już wiedziała, dlaczego Rick był dla niej taki chłodny, a nawet jej unikał. Wtedy właśnie to się zaczęło. Wszystko dlatego, że nie pojechała do centrum handlowego, tylko jeździła w kółko bez celu, litując się nad sobą i słuchając bluesowych piosenek przez walkmana, zamiast włączyć policyjne radio, oplakując Ricka, bo najpierw niemal zginął, a potem zaczął opowiadać o Laurel i płodzeniu dzieci.

Czy ona kiedykolwiek nabierze rozumu? Co jest z nią nie w porządku? Inne kobiety zakochują się, a potem żyją długo i szczęśliwie. A ona,

proszę, trzydziestka na karku, zakochana zaledwie dwa razy i dwa razy ponosi klęskę.

Rick nie jest złym człowiekiem – pomyślała. Może zepsuły go kobiety, ale stara się postępować uczciwie. Była pewna, że potrafi go przekonać o swojej niewinności i wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Zabić Roba Thorne'a? Chryste! Tego uroczonego chłopca? Fakt, że Rick i Jim mogli choć przez chwilę rozważać poważnie taką możliwość, wydał jej się zupełnie nie do pomyślenia.

Kochała tych chłopaków. Rick i Jim byli dla niej jak rodzina, tym bardziej że własnej już nie miała. Ale teraz czuła, że ta nowa rodzina obraca się przeciwko niej i zaczyna ją oskarżać. Miała uczucie *deja vu*. Już raz tak było, wtedy w Jericho. Mój Boże, czego jej brakuje, skoro nie potrafiła wzbudzić miłości, zaufania i lojalności tych, których kochała?

Skierowała się autostradą na zjazd prowadzący do Pigeon Plum. Najpierw przejedzie obok swego domu i sprawdzi, czy nikt na nią nie czeka. Może wydział spraw wewnętrznych wstrzyma się z podjęciem działania do poniedziałku? Poważnie w to wątpiła. Zarzuty były zbyt ciężkie. Cholera, ten czerwony samochód na pewno ją zdradzi. Zagryzła wargi ze złości. Nie mogą mi tego zrobić – pomyślała gorzko. Nie pozwolę im.

Rozdział trzydziesty siódmy

Jak mogłem tak się pomylić – Rick potrząsał z niedowierzaniem głową.

– Nie masz żadnych wątpliwości?

– Oczywiście, że nie – odparł Jim.

– Az tym facetem z Jericho pracowała, tak?

– Tak. Nic dziwnego, że nigdy o nim nie wspominała.

– Cholera, żona i dziecko. Żał mi skurczybyka, ale chyba był stuknięty.

– Mam wrażenie, że Dusty nie zmieniła upodobań co do mężczyzn.

– Gdzie ona jest, do cholery? – Rick przerzucał pocztę. – Spóźnia się. O rany! Spójrz tylko na to! – oparł się o krzesło, czytając dokument, który trzymał w rękach. – Od Dusty, prosi o urlop, bo musi załatwić nagłe sprawy. Od zaraz.

– Och nie! – jęknął Jim. – Przecież wiesz, że ona zawsze wcześniej przychodzi w weekendy. Gdzie jest ten raport, który miałeś zamiar wysłać do wydziału spraw wewnętrznych?

– Oryginał jest u mnie w biurku, ale chyba zostawiłem kopię w koszyku, wśród tych szpargałów – zaczął grzebać wśród stosu raportów i pism.

Jim miał zboląłą minę.

– Możemy się założyć, że jeżeli w ogóle go znajdziesz, będzie usiany odciskami jej palców.

– Nie ma go tutaj.

– Chryste! Zadzwoń do niej natychmiast. Nie powinieneś był zostawiać tego na wierzchu.

– Dusty, jeśli tam jesteś, odbierz – powiedział Rick do automatycznej

sekretarki. – Zadzwoń do mnie natychmiast. Do biura.

– Cholera – powiedział do Jima. – Ta kobieta już mi nigdy nie zaufa.

– Zapomnij o zaufaniu, błagaj o przebaczenie.

– To również oznacza, że znowu stanęliśmy w martwym punkcie w sprawie centrum. Jeśli nasz jedyny świadek jest tak podatny na sugestie, że wybiera zdjęcie danej osoby z pliku, ponieważ właśnie widział ją na dole dwadzieścia minut wcześniej, mamy poważne powody, żeby wątpić w jego wiarygodność.

– Niekoniecznie. Założę się, że widziała to, co widziała. Kobietę, może transwestytę. Myślę, że widziała blondynkę. Jakąś inną blondynkę.

– Musimy to jej jakoś wynagrodzić, Jim.

– Jak to my? Już ci mówiłem, że to twój problem.

Na ich zmianie nie wydarzyło się nic szczególnego. To samo, co zwykle. Dwie groźne strzelaniny w barach, śmierć z przyczyn naturalnych i samobójstwo przez powieszenie. Obaj telefonowali do Dusty za każdym razem, gdy mieli chwilę czasu. Ostatnia próba miała miejsce przed świtem. Odpowiadała im tylko maszyna.

– Chyba nie sądzisz, że potraktowała to wszystko tak poważnie, żeby... zrobić coś... no wiesz.

– Nie, ona jest opanowana – odparł Rick, ale przejechał przez Pigeon Plum, nim wrócił do domu. Nikogo tam nie było. Ani śladu samochodu. Nabazgrał: „Zadzwoń” na odwrocie wizytówki i zostawił ją w drzwiach wejściowych. Pojechał również do Southwind i sprawdził parking przy klubie sportowym. Może naprawdę coś się stało w jej rodzinie i pojechała na parę dni do Iowa. Poważnie jednak w to wątpił.

Gdy wrócił do domu, Laurel rozgniatała właśnie w dłoniach liście mięty, a ciepło jej skóry wydzielalo intensywny aromat ziela.

Dziewczyna miała na sobie pasiasty fartuch i rękawice kuchenne. Jej twarz była zaczerwieniona, bo cały czas pilnowała potrawy, która była w piecyku. Coś bosko pachniało.

– Udziec barani – oznajmiła. – Podam go na zimno później. To klasyczny przepis – uśmiechnęła się z dumą. – Jest bardzo chrupiący i wszystkie soki zostają wewnątrz do czasu, gdy się go pokroi.

– To brzmi wspaniale – dotknął jej policzka i powędrował do łazienki. – Dusty nie dzwoniła, prawda?

Laurel wyprostowała się i popatrzyła za nim.

– Nie, Rick – odparła. – Nie miałam od niej wiadomości. Nie pracowała w nocy?

– Nie. Wzięła sobie trochę wolnego. Nastąpiło pewne nieporozumienie i może sądzić, że ma kłopoty w pracy – ziewnął. – Muszę się przespać, ale jeśli ona zadzwoni, obudź mnie. Chcę z nią porozmawiać.

Laurel stanęła w drzwiach łazienki. Miała zatroskaną minę.

– Te kłopoty to nic poważnego, prawda?

Rick był wyraźnie zawstydzony.

– Nie, ale ona ma powody, żeby sądzić inaczej. To wszystko moja wina. Dlatego powinienem z nią porozmawiać. Może jest zmartwiona. Więc obudź mnie, dobrze?

– Oczywiście – powiedziała.

Zdjął koszulę i podkoszulek. Widziała, jak napinają mu się mięśnie na plecach.

– Może mógłbym jeszcze chwilę poczuwać – oznajmił, a w jego oczach

kryła się konkretna propozycja. – Jeśli zostaniesz tu i będziesz mnie zabawiać.

Laurel była szczerze zdziwiona tą sugestią.

– Gotuję coś na kuchence i muszę tego dopilnować – odparła szybko i uciekła do kuchni.

W parę chwil później Marilyn przejęła pałeczkę od Harriet. Rozebrała się i porzuciła ubranie po całej kuchni. Zostawiła jedynie fartuch. Zawiązała go w talii, włożyła szpilki, wzięła z lodówki pojemnik z bitą śmietaną i pomknęła do sypialni. Rick zasypiał już prawie i myślał o Dusty, kiedy usłyszał syk aerozolu i dotyk czegoś zimnego na najbardziej intymnych częściach ciała. Zapomniał o Dusty, pomagając zdjąć fartuch zmysłowej kobiecie o zielonych oczach.

Śnił później, że jest w raju, a tam fruwa pełno kłębiastych chmurek i aniołów z żółtymi włosami i kosmatymi skrzydłami o słodkim smaku.

Harriet była w kuchni, gdy Dusty zatelefonowała około czwartej po południu.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Laurel, ale czy możesz poprosić Ricka? Muszę z nim porozmawiać.

Jej głos brzmiał poważnie, wyczuwało się w nim napięcie.

– Ojej, Dusty. On śpi i zostawił mi ścisłe instrukcje. Nie wolno mi go budzić nawet dla papieża – mówiła przeproszającym tonem.

Dusty westchnęła.

– To ważna sprawa.

– Wiem, mówił mi, że masz kłopoty. Na chwilę zapadła krępująca cisza.

– To sprawa służbowa – powiedziała Dusty trochę zagniewanym tonem.

– Oj, znasz przecież Ricka – odparła pogodnie Laurel. – On mi wszystko opowiada. Mówił, że musi zobaczyć się z tobą osobiście.

– Jak się obudzi? – spytała Dusty z nadzieją.

– Och nie, nie dzisiaj. Mówił, żebyś nie przychodziła na komendę. Chce, żebyś przyszła tutaj. Jutro. Jutro wieczorem około siódmej.

– Czy będzie u was jeszcze ktoś z policji?

– Nie sądzę. Dlatego chce, żebyś przyszła tutaj.

– Dobrze – głos Dusty brzmiał niezbyt pewnie. – Zobaczymy się jutro o siódmej. Byłabym ci wdzięczna, Laurel, gdyby to wszystko zostało między nami.

– Oczywiście – odparła gorąco Laurel. – Lubisz placek z limonkami?

– Co? – spytała Dusty, zaskoczona tym pytaniem.

– Domowy placek z limonkami. Przygotuję go na tę okazję. Albo placek z orzeszkami. Nie piekłam go od wieków.

– Ależ nie kłopotz się tak bardzo. Nie przepadam za słodyczami. Nie zapomnij tylko powiedzieć Rickowi, że przyjdę.

– Nie zapomnimy. Jak moglibyśmy o tobie zapomnieć?

Rick obudził się o ósmej i spytał, czy telefonowała Dusty. Laurel powiedziała, że nie i w jej oczach widać było zdziwienie.

– Dlaczego pytasz? Miała dzwonić?

Rick spojrzał na nią ostro.

– Pamiętasz, mówiłem ci, że muszę z nią porozmawiać.

Laurel patrzyła przez chwilę bezmyślnie przed siebie, dopóki nie

zauważyła, że Rick jest naprawdę zdziwiony.

– Tak, rzeczywiście – przytaknęła. – Ale nie zadzwoniła.

– Jesteś pewna, że nie chcesz pojechać jutro ze mną i z Jimem? – spytał, nalewając sobie kawę. – Nie wrócimy zbyt późno.

– Jutro? – zaniepokoiła się.

– Jedziemy do Key Largo po łódkę jego sąsiada.

– O której?

Rick bardzo się zniecierplwił.

– Chryste Jezu! Czy tobie w ogóle zdarza się słuchać tego, co do ciebie mówię? Jutro po południu. Pamiętasz? Pytałem cię wczoraj, czy chcesz z nami pojechać, ale powiedziałaś, że masz robotę w ogrodzie. Opamiętaj się, dziewczyno. Weź się w garść.

– Przykro mi. Nic na to nie poradzę – krzyknęła i wybuchnęła płaczem.

– Boże, Rick! Coś jest ze mną nie tak!

– Daj spokój, kochanie. Nie ma problemu – powiedział delikatnie i przytulił ją do siebie. Czasem tylko trochę męczy mnie mieszkanie pod jednym dachem z roztargnionym profesorem.

Przejechał przez Pigeon Plum później, gdy był już w drodze do pracy. Jego wizytówka wciąż tkwiła w drzwiach.

Rozdział trzydziesty ósmy

Ogród wyglądał jak arras utkany z wielu odcieni zieleni na tle witrażu nieba. Czerwone pąki poinciany królewskiej pyszniły się tuż obok kaskady złocistych płatków, które pieścił teraz delikatnie popołudniowy wietrzyk. Harriet włożyła ogrodowe rękawice ze świńskiej skóry i panamę z szerokim rondem, które chronić ją miało od rażącego blasku słońca odbitego w wodach zatoki. To właśnie ona odrzuciła zaproszenie Ricka i odczuwała ulgę z powodu jego wyjazdu. Poprzysięgła sobie, że nie będzie tolerować żadnych roślin, które nie dają kwiatów ani owoców. Kiedy jednak przedstawiła Rickowi swoje plany, on stanowczo sprzeciwił się usunięciu paproci, które hodowała jego matka. Naprawdę, ta kobieta lubowała się w głupstwach. No cóż. Teraz matka przebywała w St. Petersburgu, syn był właśnie w drodze do Key Largo, a rządziła Harriet. Nucila, wylewając płyn niszczący chwasty na wszystkie pierzaste paprocie rosnące wokół skalnego ogródka, po czym westchnęła z zadowoleniem. Chwast, mówiła sobie, to po prostu roślina nie na miejscu. Jeśli orchidea kwitnie tam, gdzie zamierzasz hodować kapustę, staje się zwykłym chwastem.

Biedna Laurel. Dozna szoku, kiedy zobaczy, że wszystkie paprocie zwiędły. Telefonowała nawet do matki Ricka po radę, co do sposobu ich hodowli. Będzie oczywiście winić siebie, jak zwykle. Pomyśli zapewne, że przesadziła z nawożeniem. Cóż, kto tam będzie się nią przejmował. Metalowy sekator śpiewał, gdy przycinała ixorę. Było tyle do zrobienia. Wydawało się jej, że na liściach mango są ślady grzyba. Należy spryskać drzewo specjalnym roztworem zawierającym miedź. Może trzeba zrobić to

samo z awcado.

Odkryła już przyczynę, z powodu której skądinąd zdrowe ayocado nie dawało owoców. Drzewa mają zarówno męskie, jak i żeńskie kwiaty. Na niektórych, takich jak to, kwiaty rodzaju męskiego otwierają się tylko rano, a żeńskiego po południu. Aby owocować, drzewo takie musi mieć w pobliżu inne drzewo, z kwiatami odpowiedniego rodzaju, które otwierałyby się we właściwym czasie. Uśmiechnęła się na myśl o kłopotach seksualnych drzew.

Mają takie same problemy jak my – powiedziała do siebie i innych. Na chwilę oderwała się od pracy i spojrzała czule na dom. Postanowiła, że kiedy Rick umrze, każe stolarzowi zrobić skrzynki na kwiaty.

Obciąła pędy czereśni, aby zasadzić je w słonecznej, północnej części ogrodu. Od strony Singerów planowała posadzenie jakiejś kłującej rośliny, a najlepiej czegoś trującego, żeby Benjie trzymał się z daleka od jej ogrodu.

Jej nierdzewny rydel lśnił, kiedy pracowała tak na kwietnikach obsadzonych różowo-białymi niecierpkami i begoniami o połyskujących liściach. Cienie wydłużały się. Pomyślała, że pora kończyć. Najcięższa praca jednak była wciąż jeszcze przed nią. Musiała przenieść kilka donic z bromeliami na tył domu. Kwitły już, a ich błyszczące przylistki i kaskady kwiatów zapierały dech. Hiszpanie uważają je za symbol gościnności, co może tłumaczyć, dlaczego matka Ricka wystawiła je przed domem. Ale jeśli umieścić je z tyłu, obok sadzawki, będą widoczne zarówno z patio, jak i jadalni. Gliniane donice okazały się zbyt ciężkie i nieporęczne dla Harriet, przyszedł więc Alex, żeby jej pomóc.

Podniósł donicę i zaniósł ją na drugą stronę domu, jakby nic nie

ważyla.

– Proszę bardzo.

Benjie zajrzał do nich przez żywopłot i wyszedł na podwórko. Miał na sobie niebieski dres, a w ręku wiaderko.

– *Chyba nie masz zamiaru tutaj kopać, prawda, Benjie?*

– *Szukam łopatk.*

– *Myślę, że jej tutaj nie ma – Alex postawił donicę. – Byłeś grzeczny ostatnio?*

Benjie pokiwał głową z poważną miną.

– *Nie bawię się w policjantów. Gdzie jest Jennifer?*

– *Nie może teraz wyjść. Jest za dużo pracy. Mamy przed sobą ważny wieczór. Baw się ładnie.*

Postawił sobie donicę na ramieniu i ruszył w kierunku wody, a Benjie przeszedł przez żywopłot na swoją stronę.

Laurel wydawało się, że słyszy śmiech, ale nie wiedziała, skąd dochodzą dźwięki. Rozejrzała się wokół siebie, lecz nikogo nie zauważyła. Było jej gorąco i odczuwała pragnienie. Nic dziwnego – pomyślała, gdy zauważyła jaki ogrom pracy udało jej się wykonać. Upał sprawił, że była lekko zamroczone. Nie pamiętała nawet, że wyszła na zewnątrz. Postanowiła najpierw posprzątać poobcinane pędy i powyrywane chwasty, a później iść pod prysznic i odpocząć.

Odkręciła hydrant, skropiła wodą nadgarstki i spryskała twarz. Przestraszył ją jakiś nagły ruch w krzakach. Serce zaczęło walić, jak oszalałe.

– Benjie!

Miał duże, niebieskie, oczy i patrzył na nią niepewnie. Uśmiechnęła się słabo.

– Jak się masz?

Chłopczyk patrzył na nią uważnie, po czym odwrócił się w stronę zatoki z grymasem zdziwienia na twarzy. Po chwili znów spojrzał na Laurel, marszcząc brwi.

– O co chodzi, Benjie?

Miała nadzieję, że kiedyś ona i Rick też będą mieli synka. Może teraz uda im się wypożyczyć Benjiego i pojechać na wycieczkę do zoo, jak Rick będzie miał wolne. Próbowала sobie przypomnieć, kiedy to będzie i nachmurzyła się. Jaki dziś dzień? – myślała. Miała wrażenie, że wszystko się jej płące.

– Chcesz wejść i napić się czegoś zimnego? Może mleka albo soku pomarańczowego?

Benjie zignorował pytanie i znów zwrócił twarz w stronę wody, gdzie było coraz ciemniej, gdyż słońce zniknęło powoli za horyzontem.

– Co się stało, synku?

– Ten człowiek – odparł ponuro, a jego gładkie brwi znów się zmarszczyły.

– Jaki człowiek? – oczy Laurel powędrowały za jego spojrzeniem w stronę winorośli morskich i palm, które stały nad wodą.

Odwrócił się w jej stronę gwałtownie.

– Ten człowiek – powiedział i uniósł rękę, wskazując coś wyraźnie. Nie zobaczyła nic, prócz cieni wśród drzew i promieni słońca połyskujących w wodzie. Bromeliady. Skąd się tu wzięły? Doznała dziwnego wrażenia, bo przeszył ją chłód, choć temperatura wynosiła nadal około trzydziestu

stopni C.

– Jaki człowiek? Kogo masz na myśli? Ricka? Podniósł na nią oczy.

– Nie – przygryzł wargi. – Alexa. To ten zły.

Alex. A, tak jak w tym nagryzmołonym podpisie pod listem. Czy zamknęła tylne drzwi? Nie mogła sobie przypomnieć. A Rick ostrzegał ją, szczególnie po tym przerażającym liście, żeby zawsze, nawet wtedy, kiedy wychodzi tylko do ogrodu albo do sąsiadów, zamykała drzwi i zabierała ze sobą klucz. Przeszukała kieszenie, ale na darmo. Klucza nie było. W myślach dokładnie słyszała każde słowo zawarte w plugawym anonimie, jakby ktoś wypowiadał je na głos. „Zamierzam cię zabić”. Drżała ze strachu, mimo że wciąż świeciło słońce.

– Benjie – przykucnęła przy chłopcu i oparła mu ręce na ramionach. – Naprawdę widziałeś tu jakiegoś człowieka?

Chłopczyk zachichotał nerwowo, odsunął się od niej i zrobił krok w tył, spoglądając to na wodę, to na Laurel. Na jego okrągłej, zaciętej buzi pojawił się szelmowski wyraz, jakby mieli jakiś wspólny sekret.

– Gdzie jest Jennifer? – zapytał.

– Kto to jest Jennifer? Benjie, co ty wymyślasz? – Laurel odgarnęła mokry kosmyk włosów z twarzy. – Gdzie ty widziałeś tego człowieka?

Z czoła skapywał jej pot, choć czuła chłód w okolicach kolan. Zdała sobie sprawę, że mówi zbyt głośno i piskliwie, ale już ją to przestało obchodzić.

Chłopiec otworzył buzię i pokazał ząbki, białe i idealnie równe, jak ziarenka kukurydzy. Obserwował ją i czekał.

– Odpowiadaj, Benjie!

Laurel chciała schwycić go za ręce, ale jej dłonie były wilgotne, więc

wyrwał się jej z łatwością. Na jego twarzy po raz pierwszy pojawiło się przerażenie. Padł na nich cień i zasłonił popołudniowe słońce.

– Benjie? Nie przeszkadzaj Laurel, kiedy pracuje.

Beth mówiła do dziecka, ale patrzyła na Laurel z dziwną miną. Laurel wstała, zażenowana i zawstydzona. Uświadomiła sobie, że jest strasznie spocona i potargana. Beth wzięła Benjiego na rękę.

– Czas na kolację, młody człowieku. Laurel – dodała łagodnie – pracujesz zbyt ciężko. Nie przemęczaj się tak. Daj sobie z tym spokój. To robota dla ogrodnika.

Odwróciła się i poszła w stronę domu, nie wypuszczając z ramion Benjiego, który patrzył tępo przed siebie.

Laurel uklękła i pozbierała narzędzia. Wokół niej unosił się zapach ziemi i czegoś ostrego, nieprzyjemnego. Paprocie uschły. Boże, co się z nią dzieje? Zerwała się na równe nogi, wpadła do domu i trzęsącymi się palcami nakręciła zamiejscowy numer telefonu.

– Mamo – powiedziała przez łzy – myślałam, że przyjdziecie. Potrzebuję pomocy, proszę.

– Już do ciebie jedziemy – odparła matka Laurel smutnym, zrezygnowanym głosem.

– Dzięki Bogu – Laurel wśliznęła się do kuchni i usiadła, obejmując rękami kolana.

Kilka minut później Harriet wstała z krzesła, poprawiła ubranie i wybrała ten sam numer.

– Wszystko jest w porządku – oznajmiła szorstko. – Nie słuchajcie jej i nie jedźcie taki kawał drogi. Zadzwonimy do was za parę dni.

Dzwonek zadzwonił punktualnie o siódmej. Laurel miała bardzo zdziwioną minę.

– Dusty! Jak się masz?

– Czyżby Rick zapomniał o naszym spotkaniu? – Dusty była bardzo blada i zmęczona. – Nie widziałam jego samochodu na podjeździe.

– Jestem pewna, że jeśli jesteście umówieni, zaraz się tu pojawi. Wejź i usiądź.

Dusty czuła się bardzo niezręcznie. Wybrała krzesło o prostym oparciu w pobliżu okna.

– Co ci podać? Kawę? Może kieliszek wina?

– Nie, za wszystko dziękuję.

Laurel ruszyła w stronę kuchni, po czym zatrzymała się na chwilę. Kiedy zawróciła do pokoju, jej oczy i sposób trzymania głowy były zdecydowanie inne.

– Dusty, widziałaś moją kuchnię?

– Chyba nie.

– Chodź, musisz koniecznie zobaczyć – poprosiła.

Dusty spojrzała zrezygnowana przez okno, w nadziei, że zobaczy samochód Ricka, po czym niechętnie poszła za Harriet. Zostawiła torebkę na podłodze.

– To jest najlepiej urządzona kuchnia, jaką kiedykolwiek widziałam – powiedziała z dumą gospodyni. – Czy wiesz, że została zaprojektowana na zamówienie? Popatrz, kolory skąpane są w takim ciepłym blasku. To dlatego, że światło lamp przy suficie i kredensach pada na lady.

Dusty grzecznie skinęła głową.

– Wyposażenie jest absolutnie fantastyczne. Lodówka z zamrażarką –

Laurel otworzyła drzwiczki lodówki jak Betty Furness w telewizji. – Zwykły piecyk i kuchenka mikrofalowa. Spójrz, ile miejsca! – Zademontrowała specjalne, wysuwane szuflady na garnki i patelnie.

– Rzeczywiście jest wspaniała, Laurel – odpowiedziała niecierpliwie Dusty. – Jak myślisz, Rick szybko wróci?

– Oczywiście, że nie.

Dusty miała zdumiony wyraz twarzy. Przekrzywiła na bok głowę, jakby się przesłyszała.

– Tak, jak już mówiłam, kiedy zobaczysz ten dom, tę kuchnię, będziesz musiała zrozumieć, dlaczego nie mogę się narazić na ryzyko ich utraty. Przedyskutowaliśmy to i wszyscy doszliśmy do wniosku – powiedziała, wyjmując z pojemnika nóż do filetowania ryb i zwracając się w stronę Dusty z nisko opuszczoną ręką, w której lśniło ostrze – że nie możemy cię dłużej tolerować.

Nóż trafił Dusty w korpus, pod żebra.

– O Boże, Laurel! – nie czuła bólu, dopóki ostrze nie zostało wyciągnięte.

Upadła na jedno kolano, patrząc z niedowierzaniem na krew na rękę i ubraniu. Harriet wycofała się. Dusty wstała z trudem, krzywiąc się z bólu. Dławiąc łzy, ruszyła w stronę drzwi. Ale wtedy zastąpił jej drogę Alex. Miał uśmiech na twarzy, a w rękę pistolet.

Pół godziny później Beth zdawało się, że słyszy strzał. Przystanęła w pokoju i nasłuchiwała przez chwilę, ale przez następnych kilkanaście minut nie dotarł do niej żaden dźwięk. Wkrótce potem z podjazdu wyjechał samochód z rykiem silnika. Opony pisnęły na żwirze, a później wjechały z impetem na asfalt. Usta Beth zacisnęły się. Cóż to za

lekkomyślny i niebezpieczny sposób jazdy w okolicy, w której mogą bawić się dzieci. Samochód miał czerwony kolor i był to ten sam samochód, który widziała już wcześniej. Wybrała numer Laurel, ale było zajęte. Popatrzyła na wejście do domu i stwierdziła, że drzwi są otwarte na oścież. Wyszła w chłodny zmierzch, przeszła przez trawnik i pchnęła drzwi.

– Laurel? Jesteś tutaj?

Nie było odpowiedzi. Weszła dalej i zobaczyła, że dywan, ściany i kwiecistą sofę splamiła krew. Lampy, krzesła i stolik były poprzewracane. Zerknęła w dół i dostrzegła Chucklesa, kota syjamskiego, który leżał w rogu pokoju, cały skąpany we krwi. Przez jedną krótką chwilę wierzyła, miała nadzieję, że cała ta krew, którą widziała w mieszkaniu, płynie z martwego zwierzęcia.

– Laurel?

Jak w transie, z rozszerzonymi, nieprzytomnymi ze strachu oczami, poszła krwawym szlakiem przez wyłożony dywanem hol, aż do sypialni, i zajrzała do środka.

Jej krzyki odbijały się o ściany domu, gdy na złamanie karku biegła do wyjścia, aż wreszcie upadła na trawnik, targana mdłościami i płaczem.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Było wspaniale, zupełnie jak za dawnych czasów. Rick cieszył się, że Laurel z nimi nie pojechała. Było mu to potrzebne. A Jim nawet ani razu się nie poskarżył na złe samopoczucie na wodzie. Pili piwo, omawiali prowadzone przez siebie sprawy, a kiedy wrócili do zostawionego na przystani samochodu, Rick zaprosił Jima na kolację do domu.

W drodze minęli Pigeon Plum. Wizytówka Ricka wciąż jeszcze tkwiła w drzwiach.

– Ciekaw jestem, gdzie ona jest, u licha.

– Nigdy tak nie znikwała, nie mówiąc, dokąd się wybiera.

– Może zostawiła wiadomość w komisariacie – powiedział Rick. Kiedy jechali spokojnie przez autostradę, śmignął obok nich samochód policyjny.

– Ciekaw jestem, dokąd tak się spieszą? – zdziwił się Jim. Otrzymali odpowiedź na to pytanie, kiedy Rick parę minut później skręcił na wyspę. To, co ujrzeli, przypomniało im do złudzenia wieczór, kiedy zginął Rob Thorne. Budzące grozę, migające światła samochodów policyjnych, karetka z kostnicy, mężczyźni w mundurach odmierzający teren żółtą taśmą policyjną. Stała tam nawet kobieta w szoku, przytulona do męża. Tym razem była to Beth Singer. W pierwszej chwili Rick pomyślał, że coś się stało Benjiemu. Potem nagle zobaczył, że taśma rozciągnięta jest wokół jego domu, a porucznik idzie w stronę samochodu z grobową miną.

Podbiegła do nich Beth.

– Rick! To Laurel! To Laurel!

– Co się stało, do cholery – Rick wysiadł z auta. Czuł dziwną suchość w ustach.

– Chryste – jęknął stojący za nim Jim.

Mąż Beth złapał ją i kobieta odwróciła głowę, łkając na jego ramieniu.

– Co się tu dzieje? – szlochała. – Moje dziecko! Nie chcę, żeby mój synek tu się wychowywał.

– Przykro mi, Rick – odezwał się porucznik, kręcąc głową. – Nie możesz tam wejść.

Rick zignorował go i ruszył do wejścia.

– Laurel! Laurel!

Dwóch znajomych mundurowych zagroziło mu drogę. Patrzyli niepewnie na porucznika, oczekując dalszych instrukcji.

– To mój dom! Muszę wejść!

– Przykro mi, sierżancie.

– W takim razie będziecie musieli mnie aresztować! To mój dom, do jasnej cholery! – krzyknął, usiłując ich wyminąć.

– Chryste Panie, szefie, musi pan pozwolić mu wejść chociaż na chwilę.

– To nic nie da, Jim – chudy porucznik o ziemistej cerze przejechał ręką po włosach i ustąpił. – Idź z nim, ale nie pozwól mu niczego dotykać. Tam i z powrotem. To sprawa Domingueza i Taggerty’ego.

Mundurowi rozstąpili się.

– Sypialnia – rzucił szef i odwrócił się.

– Trzymaj się – mruknął Jim.

Gdy wchodzili do środka, trzymał Ricka za łokieć. Łóżko było splamione krwią, a na nim leżało ciało, przykryte kołdrą i pasiastym fartuchem. Widać było gołą, zakrwawioną nogę i pasmo jasnych włosów. Mózg przylgnał do zgniecionej poszewki.

Rick nie podszedł bliżej.

– Zabierz mnie stąd – szepnął. Był bledszy niż kiedykolwiek.

Jim wyprowadził go na zewnątrz. Tam Rick opadł na kamienną ławkę, tę samą, na której znalazł Laurel, kiedy zginął Rob Thorne. Jim zostawił go tam z łokciami na kolanach i twarzą wtuloną w dłoń.

Gdy wrócił do niego po rozmowie z szefem, zastał go w tym samym miejscu, w niezmienionej pozycji.

– Twoja sąsiadka, Beth, znalazła ciało i zobaczyła, że spod domu odjeżdża czerwony datsun.

Rick odjął ręce od twarzy. Oczy błyszczały mu mocno.

– Jest dużo czerwonych samochodów na świecie – stwierdził Jim. – Musimy jechać do komisariatu, złożyć zeznania.

– My?

– To rutynowa sprawa. Chcą, żebyśmy opowiedzieli im o pogroźkach, o tym liście. Chcą też wiedzieć, gdzie dzisiaj byliśmy. Interesuje ich każdy najmniejszy trop, na jaki możemy ich naprowadzić.

Rick wstał powoli, jak człowiek otumaniony środkiem przeciwbólowym. Jim poprowadził go w stronę wozu patrolowego.

– Nie – Rick strząsnął jego dłoń z ramienia. – Mogę prowadzić. Porucznik chciał interweniować, ale Jim powstrzymał go.

– Pojadę z nim. Spotkamy się na miejscu.

Jim siedział za kierownicą. Rick odezwał się tylko raz.

– Była taka młoda. Nawet się z nią nie pożegnałem. Jeszcze spała, kiedy wychodziłem dzisiaj rano.

– Wcześniej wyruszyliśmy – powiedział Jim.

Doktor Feigleman przechadzał się niecierpliwie po pokoju dochodzeniowym. Odpowiedział szybko na telefon, przynoszący tę smutną wiadomość. Odkąd rozpoczął współpracę z wydziałem zabójstw, tylko dwa razy pomagał policjantom, których bliscy zostali zamordowani. W pierwszym przypadku włamywacze zabili szwagra jednego z oficerów, w drugim siostra policjanta została zastrzelona przez psychicznie chorego, niedoszęłego kochanka. Ale teraz zamordowano dziewczynę detektywa z wydziału zabójstw w ich własnym domu. Przed wyjściem z domu upewnił się dokładnie, że detektyw sam nie jest podejrzanym w tej sprawie. Z jego punktu widzenia zabicie kogoś w czasie rodzinnej sprzeczki nie było ciekawym przypadkiem. Ale w komisariacie sprawdzono już jego alibi i stwierdzono z całą pewnością, że był na łódce i na przystani w towarzystwie innego policjanta. Lansinga czekała zatem bardzo ciekawa sprawa.

Kapelan policyjny czekał już w komisariacie. Ścisnął w rękę Biblię oprawną w skórę i przybrał uduchowiony wyraz twarzy. Jego obecność irytowała Feiglemana. Gdyby sierżant Barrish potrzebował obecności duchownego, zadzwoniłby do swego pastora, jeżeli go w ogóle miał. Kapelan i doktor nie odzywali się do siebie, czekając na Ricka. Nigdy zresztą nie byli w dobrych stosunkach.

Gdy Rick wysiadł z windy, wciąż jeszcze ubrany w sweter, dzinsy i gumki, obaj mężczyźni powstali z miejsc i ruszyli mu na powitanie.

– Synu – zaczął kapelan.

– Sierżancie – przerwał Feigleman – przede wszystkim trzeba ustalić...

Jim odsunął ich jednym ruchem ręki i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Do jasnej cholery! Ten człowiek stracił właśnie kogoś bliskiego.

– Właśnie. I dlatego tu jestem – odparł Feigleman. – Chcę mu pomóc, jak potrafię najlepiej.

– On potrzebuje słów pociechy i ukojenia – dodał kapelan. – Możemy się razem modlić.

– Później – uciał Jim obcesowo.

– Telefonują dziennikarze – poinformował go urzędnik w cywilnym ubraniu, który miał bardzo zmartwioną minę.

– Żadnych telefonów – przerwał Jim. – Żadnych dziennikarzy. Muszą zadowolić się oficjalnym oświadczeniem..

Mężczyzna w mundurze wprowadził do pokoju dwoje ludzi w starszym wieku. Kobieta płakała. Mężczyzna poruszał się z trudnością, o łasce. Rick pochwycił ich w objęcia.

– Jakim cudem dotarliście tutaj tak szybko?

Kobieta przytuliła się do niego, jakby tonęła, a on ratował jej życie.

– Laurel telefonowała wcześniej do mamy i mówiła, że potrzebuje pomocy. Wyruszyliśmy w godzinę później. Kiedy dotarliśmy na miejsce, powiedzieli nam...

– Prosiła o pomoc? – Rick był zaszokowany.

– Chcą, żebyśmy złożyli zeznania – odparł mężczyzna, nie patrząc mu w oczy. – Jak to się stało?

– Nie wiemy – odparł Jim.

Schwycił Ricka za ramię i zaczął mu szeptać do ucha. – Potrzebna jest oficjalna identyfikacja zwłok. Zostań tutaj z jej rodzicami. Zaraz wracam.

Rick skinął głową.

Feigleman i kapelan wciąż krążyli wokół nich, jak sępy. Feigleman

pisał coś w małym notesie.

Rozdział czterdziesty

Miriam siedziała w recepcji.

– Co za okropna historia – powiedziała współczująco.

– Pieprzone życie – stwierdził Jim.

– Jak się czuje Rick?

– Niedobrze z nim. Mieszkali razem. Nie wiem, jakie mieli plany. Nie mógł przewidzieć, że ją straci.

– A przynajmniej nie w taki sposób – powiedział Lansing, który wyłonił się właśnie z kostnicy i podszedł do nich. – Z tego, co widzę, denatka stoczyła zadętą walkę. Laurel była molestowana seksualnie za pomocą jakiegoś przedmiotu, prawdopodobnie pojemnika z lakierem do włosów. Wkrótce poznamy szczegóły. Teraz myją ciało.

– Musimy to wypełnić – wtrąciła szybko Miriam i zaczęła odczytywać głośno to, co wpisywał Jim do formularza leżącego przed nimi na biurku.

– Ja, Jim Ransom, dokonałem identyfikacji zwłok i stwierdzam, że zamordowana to Laurel Trevelyn, którą znałem od...

– Jak długo znał pan zmarłą?

I właśnie do tego się wszystko sprowadza – pomyślał, napotykać jej pytający wzrok. „Jak długo znał pan zmarłą?”

– Jakieś osiem miesięcy, ale pomagałem jej przy przeprowadzce do Ricka – przed oczami pojawiło mu się wspomnienie tego dnia, jakby oglądał film nakręcony amatorską kamerą. Wymazał ten obraz z pamięci. Na zawsze.

– Zanim pan wyjdzie, proszę to podpisać. Będę świadkiem – odezwała się Miriam i poklepała go po rękę, jak babcia, która chce właśnie podać

mleko i ciasteczka.

– Ona jest zupełnie zmasakrowana – powiedział Lansing, gdy wchodzili do kostnicy. – Dostała postrzał w twarz. Dobrze, że to ty przyszedłeś, a nie Rick albo ktoś z rodziny.

– Zrobiliśmy zdjęcia i byli już chłopcy z laboratorium. Wykonali laserowy odcisk ciała. Boże, ta maszyna to prawdziwa zhora. Ona leżała częściowo na prześcieradle wyciągniętym z łóżka, więc musieliśmy ją w nie owinąć, bo nie chcieliśmy, żeby doszło do jakiegoś zanieczyszczenia. W ten sposób nie zniszczyliśmy żadnych śladów. Odniosła ranę kontaktową. Ktoś przyłożył jej lufę do kości między oczami. Kula rozbiła czaszkę na proch. Możesz sobie obejrzyć skutek.

Leżała na nierdzewnym blacie o zagiętych bokach przyczepionych do dużej umywalki. W powietrzu unosił się zapach krwi, środka odkażającego i oleistej substancji miętowej służącej do mycia blatów. Jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, był szum wody płynącej z dwóch gumowych węzów. Woda spływała na blat i ściekała do umywalni przez dziurę na wysokości nóg.

Jej głowa spoczywała na fornirowanym czterocalowym podwyższeniu, dzięki któremu krew nie zbierała się w mózgu. Twarz została pozbawiona kształtu i zapadła się do wewnątrz jak dynia ze święta duchów pozostawiona zbyt długo na słońcu. Lester, pracownik kostnicy, podniósł gumowego węza, wziął gąbkę i delikatnie zmywał krew. Czerwony, a następnie różowy strumień odpłynął wraz z następną porcją wody.

Jim patrzył z zawodową ciekawością na ukazującą się powoli jego oczom ranę. Kula trafiła w lewe oko, zostawiając w tym miejscu pusty

oczodół. Prawe oko pozostało nienaruszone. Było duże i niebieskie. Niebieskie. Niebieskie. Jim zakołysał się na obcasach.

– Wzrost i waga? – jego głos brzmiał normalnie, ale zdradzał go wyraz twarzy i wzrok przenoszący się z długich nóg i wąskich bioder na duże piersi i jasne włosy.

Lester odłożył węża i sięgnął po kartę. Waga: sto dwadzieścia dziewięć funtów, wzrost: pięć stóp, sześć i pół cała.

– Doktorze, proszę powiedzieć Miriam, żeby podarła formularz, w którym stwierdzam, że to Laurel Trevelyn – powiedział Jim, zaciskając pięści. – To nie ona.

Lansing oniemiał ze zdziwienia.

– Proszę się dokładnie przypatrzeć. Zna pan tę kobietę.

Jim wyszedł szybko z kostnicy, a Lansing obszedł blat, żeby się lepiej przyjrzeć.

– O mój Boże – szepnął.

Jim jechał szybko z powrotem do komisariatu.

– Niech to jasny szlag! Cholera! – klął, waląc pięściami w kierownicę.

– Dusty! Miałaś rację!

Po twarzy spływały mu łzy.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Urzędniczka przerwała mu nieśmiało. – Wiem, że nie przyjmuje pan telefonów, sierżancie, ale to ktoś z rodziny.

Rick skinął głową, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. W miarę jak słuchał, podnosił przygarbione ramiona i prostował plecy. Mówił coś zbyt cicho, żeby inni mogli go usłyszeć, ale był wyraźnie zdenerwowany.

Do przechodzącej obok sekretarki dotarł tylko koniec rozmowy.

– Zaczekaj tam, dobrze? – prosił Rick swego rozmówcę.

Odłożył słuchawkę i wyszedł z biura. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Jim wszedł do pokoju z poszarzałą twarzą.

– Gdzie Rick? – zapytał.

– Myślałem, że ty mi to powiesz – warknął Dominguez. Niski, dobrze zbudowany detektyw był wściekły.

– Nie złożył zeznań. Był do niego telefon, obrócił się na pięcie i zniknął. Portier mówi, że wyjechał z parkingu jak szalony. Co tu się dzieje, do cholery?

– Przypuszczam, że odkrył to, co właśnie zamierzałem mu powiedzieć. Ciało w kostnicy nie należy do Laurel.

– Co takiego?

– Laurel żyje? – spytała jej matka słabym głosem, chwytając za krzesło, żeby się na czymś oprzeć.

– Tak. Na to przynajmniej wygląda.

– Kto w takim razie został zamordowany? – zapytał Dominguez.

– Dusty.

– Co za bzdura... Boże! – wyjąkał Dominguez.

Matka Laurel spojrzała na swego męża, kręcąc głową tam i z powrotem, jakby usiłowała czemuś zaprzeczyć.

– Powinniśmy byli to przewidzieć, powinniśmy byli – powtarzała w kółko.

– Co to znaczy? – zapytał Jim.

– Laurel zawsze miała... problemy – ojciec wymówił to słowo wyraźnie, jakby chciał nadać mu szersze znaczenie niż to, jakie mieściło się w jego definicji.

– Jakiego rodzaju problemy?

– Wie pan, że ona jest naszą adoptowaną córką?

Jim skinął głową.

– Nie ukrywała tego.

– Adoptowaliśmy ją dość późno. Miała sześć lat. Wiedzieliśmy, że przeszła piekło, ale my z kolei byliśmy pięćdziesięciolatkami, głupimi i pełnymi ideałów. Sądziliśmy, że możemy zrekompensować Laurel wszystkie krzywdy ofiarowując jej miłość i wszystko, co da się kupić za pieniądze. Ale to się nie udało. Zawsze mieliśmy kłopoty. Opiekowali się nią lekarze... Wszystko szło dobrze i dlatego sądziliśmy, że z takim mężczyzną jak Rick... – urwał.

– Innymi słowy, zwaliliście mu problem na głowę i wyjechaliście z miasta – Jim kontrolował każde słowo, ale patrzył na nich oskarżycielskim wzrokiem.

– Przeżyliśmy trudne chwile – usprawiedliwiała się kobieta. – Nie jesteśmy już młodzi.

– Gdzie on, do cholery, jest? – ryknął Jim do innych detektywów. –

Czy wziął ze sobą radio? Nadajnik był w samochodzie. Spróbuj go wywołać – powiedział do Domingueza i odwrócił wzrok od biurka Dusty, na którym stała filiżanka po kawie, a w niej zwiędnięty kwiatek. – Kto do niego dzwonił?

– Jakiś Alex – odparła sekretarka.

Rodzice zareagowali natychmiast.

– Laurel używała czasem tego imienia – odezwał się ojciec, unosząc nieśmiało dłoń do góry.

– Jadę do niego do domu. Może tam wrócił – powiedział Jim do Domingueza i skierował się do drzwi. – Każ wszystkim patrolom szukać ich obojga.

Feigleman, który wciąż tam jeszcze tkwił, patrzył na rodziców Laurel jak zaczarowany.

Rozdział czterdziesty drugi

Alex żałował, że nie widział miny Ricka, kiedy rozmawiał z nim przez telefon. Ten głupi dupek nie znalazłby nawet słonia w budce telefonicznej. Było mu głupio, że zostawił w domu taki bałagan, ale bardzo długo czekał na Dusty i trochę go poniosło. Wynagrodził jednak wszystko Harriet, bo pozbył się Ricka.

Ogród Japoński, położony na wietrznej wyspie, był cichy i pusty. Od chwili gdy Alex korzystał z automatu, widział tylko jakiegoś czarnego lalusia, który ćwiczył kung-fu przy fontannie. Jego okrzyki przypominały Alexowi beczenie kozy.

Zaparkował samochód Dusty przy ogrodzeniu, tak żeby żaden glina patrolujący okolice nie mógł zobaczyć tabliczki z numerem rejestracyjnym. Większości z nich nie chce się wysiadać z samochodów, szczególnie w taki upał. Rick obiecał, że przyjedzie sam. Przez telefon nie rozmawiali o Dusty, ale najprawdopodobniej Rick się już wszystkiego domyślił. Seks i śmierć. Rick i Dusty.

Alex chodził tam i z powrotem po drewnianym mostku, potem przeszedł przez kamienny mostek, obok pagody, minął latarnie i posągi w poszukiwaniu najlepszej pozycji. Zatrzymał się, żeby spojrzeć na łagodny i dobroduszny uśmiech brzuchatego Hotel, bóstwa przynoszącego szczęście. Wspaniale – pomyślał. Na metalowej tabliczce, pod posągiem, widniał napis: „Wcielenie Szczęścia”. Tu narodzi się jego nowe wcielenie, w którym będzie w stanie wszystko kontrolować.

Masa i ciężar pistoletu, który miał za pasem, dodawała mu sił. Wiatr szeleścił w srebrnych platanach i na przystani żaglówek w Yacht Clubie,

który znajdował się nie opodal. Alex słuchał dźwięcznego pobrzękiwania boi i zastygł w oczekiwaniu. Żaden wojownik – pomyślał – nie cieszył się nigdy bardziej z czekającej go walki. Wszystko, co wydarzyło się do tej pory, stanowiło jedynie preludium tego wieczoru. Już on pokaże temu cholernemu gliniarzu. Usłyszał samochód i zobaczył reflektory. Nadjeżdżał. Hotel uśmiechał się. Alex odwzajemnił uśmiech.

Trzasnęły drzwiczki samochodu. Tylko raz. W porządku. Przyjechał sam, tak jak obiecał. Dla Laurel, tej bladej pindy? Wkrótce jej też się pozbędziemy – pomyślał. Wiedział, że ma wystarczająco dużo siły.

Alex usłyszał przytłumiony odgłos kroków, ktoś biegł przez drewniany mostek. Wyraźnie się spieszył.

Wyjął pistolet i trzymał go w obu rękach za sobą.

Rick wbiegł do ogrodu. Nie był uzbrojony, miał tylko nadajnik, który znalazł w samochodzie. Ponieważ na początku nikogo nie zauważył, ruszył w stronę Hotel, miejsca spotkania, przy końcu krętej ścieżki.

Cienie wydawały się ciepłe i pachniały orientalnymi kwiatami, jaśminem, imbirem i granatami. Śmigła helikoptera widokowego przecinały powietrze po drugiej, południowej stronie autostrady. Centrum Miami lśniło srebrzyście i złociście, a wieża Centnist skąpana była w turkusowym błękicie tej lazururowej nocy. To noc dla kochanków – pomyślał.

Długo nikogo nie widział, aż wreszcie ją dostrzegł. Stała w dziwnej pozycji, z rozstawionymi nogami, podniesionym podbródkiem, rękami na plecach. Miała nieustraszony, chłopięcy wygląd, gdy czekała tuż na wprost posągu Hotel. Uśmiechała się. Mój Boże – pomyślał – po tym wszystkim,

co się stało.

Zbliżając się do niej, wyciągnął rękę.

– Och, kochanie.

Wyjęła broń zza pleców i przybrała postawę strzelecką, trzymając przed sobą pistolet w obu wyciągniętych rękach. Zawahał się tylko przez moment i szedł dalej.

– Nie możesz mnie zabić. Wszystko będzie dobrze. Jesteś chora, ale zaopiekuję się tobą. Przyrzekam.

Broń przesunęła się lekko, celując mu teraz prosto w pierś.

– Nie jestem uzbrojony. Nie mógłbym cię skrzywdzić. Spójrz. Pochylił się, położył nadajnik na trawie, potem wyprostował plecy i wyciągnął przed siebie puste dłonie.

– Nie możesz mnie zabić – powtórzył. Pokręcił głową i posłał jej swój najskuteczniejszy, chłopięcy uśmiech. – Do diabła, to przecież ja nauczyłem cię strzelać. Kochasz mnie, maleńka. – Szedł w jej stronę bez strachu.

Był blisko niej, kiedy Alex pociągnął za spust.

Rick zobaczył ogromny błysk i kłęb dymu, który zawisł na chwilę w powietrzu. Nie słyszał strzału. Kula przeszła przez jego prawy kciuk, roztrzaskując kość, trafiła w prawy bok i przeszła plecy. Siła uderzenia zwała go z nóg. Najpierw pomyślał, że jest tylko ranny w rękę, co spowodowało ogromny ból, ale gdy przetoczył się po trawie w poszukiwaniu osłony, poczuł ogień w piersiach i zaparło mu dech. Czuł się tak, jakby ktoś przebił go na wskroś rozgrzanym do białości pogrzebaczem.

Lufa zbliżyła się. Nie widział przed sobą nic innego, dopóki nie zjawił

się nagle J. L. Sly, który biegł w ich kierunku, krzycząc: – Nie!... Nie!

Alex zaklął ze zdziwienia, wymierzył w niego i wystrzelił dwa razy, a J. L. Sly zanurkował za drewniany mostek rozpostarty nad wyschniętym korytem rzeczki.

Przebite płuco Ricka przestało pracować. Zrozumiał, co się dzieje. Nie mógł oddychać i walcząc o każdy haust powietrza, zobaczył, że z ust leci mu krew.

Alex przyjrzał mu się pobieżnie i uciekł. Wtedy J. L. Sly wygramolił się z koryta rzeki i ruszył do niego, oddychając ciężko.

– Rany boskie! Oberwałeś! Oberwałeś!

– Umrę – wydusił z siebie Rick. – Umieram.

– Nie! – krzyknął Sly. – Co mam robić?

Rick zwijał się z bólu, dyszał i nie był w stanie odpowiedzieć.

Sly wypatrzył nadajnik na trawniku i złapał go.

– Mayday, Mayday – krzyczał, borykając się z guzikami. – Policjant ciężko ranny. Mayday!

Głos telefonistki był wyzuty z emocji.

– Wszystkie jednostki w pogotowiu. Proszę o podanie numeru identyfikacyjnego.

– Mayday! Proszę wysłać karetkę!

– Pan jest cywilem?

– Tak. Nazywam się Sly.

– Mówi pan, że znalazł pan rannego policjanta?

– Tak. To Rick. Rick Barrish. Ktoś go postrzelił. Proszę się pośpieszyć.

– Gdzie jesteście? – chłodny ton telefonistki nie pozwalał się domyślić, jak bardzo ponure miny mają policjanci, którzy zbierali się wokół jej

konsoli.

– W Ogrodzie Japońskim. Przy posągu Buddy. Pospieszcie się. On się dusi! Nie może oddychać.

Jim zawrócił z piskiem opon na Szosie Weneckiej, gdy tylko usłyszał rozmowę, postawił koguta na dachu i włączył syrenę.

– Jednostki są w drodze – powiedziała telefonistka. – Czy sprawca jest jeszcze na miejscu przestępstwa?

J. L. rozejrzał się dookoła przerażonymi oczyma.

– Nie, chyba nie.

– Jakie obrażenia odniósł policjant?

– Co jest do cholery? Wyślijcie karetkę! Mayday! – wrzasnął.

– Już jest w drodze.

Jakiś głos włączył się do rozmowy.

– J. L. Tu Jim Ransom. Już jadę. Jestem niedaleko, pewnie słyszysz moją syrenę. Gdzie dostał?

– Człowieku, on ma dziurę w piersi, strasznie krwawi. Pluje krwią.

– Odłóż nadajnik, J. L. Zdejmij koszulę. Złóż ją cztery razy i przyciśnij do rany, żeby powstrzymać krwawienie.

– Nie znam zasad pierwszej pomocy, nie jestem lekarzem – jęknął Sly.

– Zrób to. Na pewno potrafisz. Każdy musi czasem być bohaterem. J. L. Sly obiema rękami zerwał z siebie koszulę, odrywając wszystkie guziki, które pofrunęły w powietrze. Miał wrażenie, że ze wszystkich stron dociera do niego wycie syren. Gdy otoczyli go policjanci, wciąż jeszcze przyciskał Rickowi opatrunek do piersi i szeptał do niego.

– Proszę, proszę.

Jim odjechał karetką wraz z Rickiem, który był przytomny i odczuwał potworny ból, gdy gnali autostradą do szpitala. Syreny wyły, a prowadziła ich eskorta policyjna.

Rick zerwał na chwilę maskę tlenową. Był zdecydowany mówić.

– Boję się, Jim. Ona do mnie strzeliła. Powinieneś być ją widzieć. To był ktoś zupełnie obcy. Ktoś, kogo nie znam – zatchnął się. – Ja jestem wszystkiemu winien. Ona jest chora, a ja umrę. Nie pozwól, żeby spotkała ją krzywda – znów zalała go fala bólu.

Z kroplówką wbity w ramię, pod tlenem, w stanie szoku, cierpiąc straszliwie, Rick doznawał dziwnego uczucia *deja vu*, gdy przywieźli go do szpitala. Widział to wszystko już wcześniej z punktu widzenia pacjenta. Otwierające się gwałtownie drzwi, migające światła na suficie, karkołomna jazda na wózku po szpitalnym korytarzu. Oglądał takie sceny wielokrotnie przedtem w telewizji. Tylko że tym razem on pełnił rolę kamery. Nie chciał umierać, myśląc o telewizji.

Czekający już na niego komitet powitalny robił wrażenie. Cały oddział urazowy został postawiony na równe nogi. Trzy lub cztery pielęgniarki, czterech albo pięciu lekarzy i Aileen, która usiłowała zachować profesjonalny wygląd, ale miała łzy w oczach. Rick usiłował zdobyć się na uśmiech.

Nawet delikatne przenosiny na stół sprawiły mu niewysłowiony ból. Doktor stał za jego głową i badał mu pierś dłońmi osłoniętymi rękawiczkami chirurgicznymi. Obmacywał żebra, z góry do dołu, żeby znaleźć ranę. Nagle ręce zniknęły. Następnym razem, kiedy Rick je zobaczył, jedna z nich trzymała skalpel.

– Proszę się trzymać – powiedział doktor. – Nie mogę podać środka

przeciwbólowego, bo jest pan w szoku.

Zrobił nacięcie i wprowadził rurę do piersi. Wtedy powietrze dotarło do płuc i Rick był już w stanie oddychać. Wciąż odczuwał silny ból w klatce piersiowej i pulsowanie w dużym palcu, ale po raz pierwszy od chwili, gdy zobaczył przed sobą błysk, pomyślał, że może jednak nie umrze.

Cierpiał przy każdym najmniejszym ruchu, a teraz zabierali go do rentgena.

– Znajdź ją, Jim – szepnął. – Nie pozwól, żeby ją skrzywdzili. Ale uważaj na siebie. Będzie próbowała cię zabić. Jest mistrzynią ucieczki. Potrafi nawet wyśliznąć się z kajdanek.

– Zostaniesz z nim, Aileen?

– Przecież zawsze zostaję.

Jim znał tylko jedno miejsce, w którym mógł znaleźć Laurel. Był to dom na San Remo. Czerwony samochód stał na podjeździe, maska wciąż jeszcze była gorąca. Żółta policyjna taśma na drzwiach została zerwana. Ktoś na pewno wszedł do środka.

Z wyciągniętą bronią podszedł do drzwi. Były otwarte. Laurel klęczała i usiłowała przy pomocy gąbki i papieru toaletowego zmyć ślady krwi z dywanu. Podniosła na niego wzrok. Sprawiała wrażenie małej, bezbronnej dziewczynki.

– Jim. Wiesz, co tu się stało? – patrzyła na niego zupełnie martwo. Zniżyła głos do szeptu. – Gdzie jest Rick? Czy coś mu się stało?

Jim skinął głową.

– Tak. Jest ranny. Przysłał mnie po ciebie.

– Boże! Czy to coś poważnego? – miała bladą, przerażoną twarz, skóra na wystających kościach policzkowych napięła się. – Mogłam się

domyślić – dodała, wskazując szerokim gestem pokój wokół siebie – że stało się coś strasznego. Pracowałam w ogrodzie – mówiła wolno, jakby chciała sobie cokolwiek przypomnieć. – Wtedy przyszła Dusty...

– Zabiorę cię do szpitala. Co ty tu masz? Podniosła się już z kolan i stała obok otwartej szuflady.

– Szukałam tu czegoś i znalazłam wszystkie... te rzeczy. Nie wiem, kto je tutaj włożył.

Stos małych, wykrochmalonych serwetek i obrusów został odsunięty i odsłonił kominiarkę, gogle, męskie okulary przeciwsłoneczne, nóż myśliwski w futerale, garść losów na loterię, trochę gotówki, kameę i parę złotych kolczyków.

– To nie twoje rzeczy?

– Nie, nigdy ich przedtem nie widziałam – powiodła palcami po powiekach i przekrzywiła głowę, jakby słyszała coś, co tylko ona może usłyszeć. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– A to? – w widocznym miejscu, na stole w jadalni leżał pistolet. Popatrzyła we wskazanym kierunku.

– Och, to prywatny pistolet Ricka. Nie wiem, dlaczego go tu zostawił. Trzeba go schować. Nie powinien tak leżeć. Benjie, ten chłopczyk z sąsiedztwa, czasem przychodzi się tu bawić.

– Zajmę się tym – Jim schował już własną broń. – Jedziemy.

– Do szpitala?

– Tak.

Rozdział czterdziesty trzeci

Laurel czekała spokojnie w małej sali przesłuchań, wpatrując się bojaźliwie w podłogę. Przyłączył się do nich Dominguez.

– Kiedy zobaczę się z Rickiem? – zapytała.

– Później – odparł detektyw.

Piła kawę, nie okazała żadnej reakcji, kiedy odczytano jej prawa, i chętnie zrezygnowała z obecności adwokata.

– Powiedz nam, co się dziś wydarzyło – powiedział Jim.

Zmieszała się.

– Pojechałeś z Rickiem do Key Largo.

– Zgadza się. A co ty robiłaś?

– Pracowałam w ogrodzie. Później przestraszyłam się, bo Benjie zobaczył człowieka. Grożono mi – dodała, pochylając się do przodu. – Ktoś, kto mnie nienawidzi, cały czas robi te wszystkie rzeczy.

– To znaczy?

– Grozi mi, straszy, kradnie mi czas.

Detektywi wymienili spojrzenia.

– O której godzinie wyszłaś do ogrodu?

– Ja nie mogę połapać się w czasie. Niech Rick wam powie. Zawsze miałam z tym problemy.

– Rany boskie – jęknął Jim.

Rozmawiał z Dominguezem w korytarzu podczas przerwy.

– Ona już struga wariata.

– Może naprawdę gubi się w czasie, do cholery.

– Nie jest stuknięta – odparł Jim. – Zrobiła to z zazdrości. Nic dodać,

nic ująć. A teraz myśli o zatrudnieniu adwokata.

– A te wszystkie inne sprawy? Chłopak z sąsiedztwa, sprzedawca ze sklepu...

– Zaraz się dowiemy – przerwał Jim i weszli do środka.

– Dlaczego zabiłaś Dusty? – spytał wprost Jim.

– Dusty nie żyje? – mówiła przerażonym szeptem i pokręciła głową, jakby nie przyjmowała tego do wiadomości.

– Nie wierzę.

– Byłaś zazdrosna, prawda?

– O Dusty? Nie lubię jej, ale nie mogłabym zrobić jej nic złego.

– Zabiłaś ją, a potem próbowałaś zabić Ricka. Dlaczego?

– Zabić Ricka? To jakieś szaleństwo. Kocham go. Jest jedyną osobą, przy której czuję się bezpieczna.

– No cóż, on na pewno nie jest bezpieczny w twoim towarzystwie.

Zwinięta żałośnie na krześle, płakała, a szczupłe palce zasłaniały oczy.

Jimowi prawie zrobiło się jej żal.

– Wiemy, co zrobiłaś – pochylił się, zbliżając do niej twarz. – Właśnie przyszła ekspertyza balistyczna. Dusty, Rick, Rob Thorne i ten nieszczęśnik, sprzedawca ze sklepu całodobowego, imigrant z trójką dzieci, który ledwo wiązał koniec z końcem, zostali postrzeleni z tej samej broni. Był to pistolet Ricka, ten, który zostawiał w domu, kiedy szedł do pracy, ten sam, który w czarodziejski sposób zawędrował na stół w jadalni z twoimi odciskami palców. Nie położyła go tam Baba Jaga.

– Nie! Nie! – na chwilę jej oczy rozszerzyły się ze strachu, ale trwało to sekundę.

Uspokoila się i wyprostowała na krześle, przechylając głowę jak ktoś,

kto zachowuje pełną kontrolę nad sytuacją. Łokcie, do tej pory przyciśnięte sztywno do ciała, znalazły oparcie na poręczach krzesła. Jej lewa kostka zawędrowała na prawe kolano.

– Nie kupuję tych wszystkich cholernych bzdur – powiedziała niskim, ochryplym głosem. Zaciśnęła usta i zaczęła im grozić palcem. – Nie muszę rozmawiać z żadnymi pieprzonymi glinami. Mam potąd glin – powiodła palcem po gardle. – Żądam adwokata.

– Zdawało mi się, że zrezygnowałaś z prawa do adwokata – przypomniał Dominguez.

– Nie ja, dupku – wpatrywała się arogancko w Domingueza, a potem zwróciła się ironicznie do Jima: – Postaraj się o nowego partnera. Wszystkich po kolei tracisz.

– Dzięki tobie.

– Nie przyznajemy się do niczego, ale te skurwiele zasłużyły sobie na wszystko. Jeżeli Rick jeszcze żyje, mam, do cholery, nadzieję, że umrze, kwicząc jak świnia, tak samo jak ona.

Jim chciał już wstać z krzesła, ale powstrzymał go Dominguez.

– Porozmawiajmy na korytarzu, Jim.

– Zaobserwowałeś tę zmianę – mruknął, gdy byli już w połowie drogi do holu. – Te oczy? Miałem wrażenie, że rozmawiamy z kimś zupełnie innym.

Przerwał im policjant ze służby patrolowej.

– Jej rodzice są tutaj. Chcą, żeby Feigleman uczestniczył we wszystkich przesłuchaniach.

– Szlag by to trafił – warknął Dominguez.

– Może to nie jest taki zły pomysł – powiedział Jim. – Nie lubię

sukinsyna tak samo jak ty, ale on prawdopodobnie przejrzy tę grę. A jeśli nawet nie, przynajmniej się przekona, że respektujemy jej prawa.

Podszedł do nich Feigleman. Był bardzo przejęty.

– Ona z pewnością jest przestraszona – zaczął.

– Taka przestraszona, że klnie jak szewc i powtarza, że chce, żeby Rick umarł – odparł Jim, unosząc brwi.

– Trzeba na nią uważać – ostrzegł Dominguez.

Kiedy wprowadzili Feiglemana do środka, krzesło Laurel było puste. Wciśnięta w najdalszy kąt, kwiliła cicho, ssąc kciuk. Miała zmierzwione włosy i przerażone oczy.

– Chcę do domu – jęknęła dziecięcym głosem, tupiąc nogami. – Chcę mój kocyk!

– Boże Wszechmogący – westchnął Jim, całkowicie zde gustowany. – Co za przedstawienie. A nie mówiłem, doktorze?

Feigleman postawił na stole mały magnetofon i włączył nagrywanie.

– Przyszedłem, żeby ci pomóc – powiedział serdecznie. – Przysłali mnie twoi rodzice. – Uśmiechnął się. – Nie płacz. Chodź tutaj i porozmawiaj z nami. Wszystko będzie dobrze.

Jim obserwował pewnego siebie, zachowującego spokój lekarza. Jakim cudem może być dobrze? – pomyślał. Odwrócił się na chwilę, żeby się jakoś pozbierać, po czym znowu włączył się do sprawy.

Feigleman wyciągnął do niej łagodnie rękę i mówił różne miłe rzeczy. Przestała płakać, ale pociągała nosem, dostała czkawki. Nieśmiało wzięła go za rękę, wstała i wróciła na swoje miejsce.

– Wygodnie ci? – zapytał Feigleman.

Jim poczuł, że zbiera mu się na wymioty.

Skinęła głową.

– Chcę colę.

Miała okrągłe oczy w zielonym kolorze.

Feigleman spojrzał wymownie na detektywów.

Dominguez poszedł po napój.

Kiedy postawił przed nią colę, spojrzała na nią pogardliwie i stwierdziła, że nie uznaje tego rodzaju napojów. Wyprostowała się na krześle i wyglądała jak gospodyni domowa z przedmieścia. Powiedziała, że ma ochotę na kawę. Gdy podano jej filiżankę, spróbowała, przymknęła szare oczy i stwierdziła, że kawa jest okropna.

– Czy nikt tu nie potrafi zaparzyć kawy? Co za okropne miejsce! – oznajmiła, wysypując zawartość popielniczek do kosza na śmieci. Wytarła je potem starannie serwetką, a doktor przyglądał się jej uważnie. – Tych lamp nie odkurzano od lat – powiedziała z oburzeniem.

To była długa noc.

O świcie postanowiono umieścić ją w areszcie dla kobiet pod zarzutem usiłowania morderstwa i popełnienia morderstwa.

Francis Albert Feigleman doszedł do wniosku, że jest największym szczęściarzem na świecie. Rozmawiał wprawdzie z przybranymi rodzicami dziewczyny, ale prawdziwych podejrzeń, które teraz tak go pochłaniały, nabrał dopiero wówczas, gdy sam był świadkiem nagłych zmian osobowości i zachowania, jakie w niej zachodziły. Miał wrażenie, że zmienia się nawet kolor jej oczu i wygląd.

Choć miał za sobą nieprzespaną noc, był zbyt podniecony, żeby wrócić do domu. Poszedł więc do gabinetu, zaparzył sobie dzbanek kawy i usiadł

przy biurku, żeby przejrzeć notatki i taśmy, które nagrał w nocy.

Trevelynowie wiedzieli jedynie tyle, że wczesne dzieciństwo Laurel stanowiło jeden wielki koszmar. Kiedy miała trzy latka, jej matka popełniła samobójstwo. W dwa lata później jej ojciec został aresztowany pod zarzutem seksualnego molestowania córki. Poszedł do więzienia, a Laurel trafiła do dziadków, którzy winili ją o nieszczęście, jakie spotkało ich syna.

Gdy ojciec Laurel zginął w więzieniu, zabity przez współwięźnia, oddali Laurel pod opiekę państwa.

Jej przybrany ojciec był właścicielem dobrze prosperującego sklepu z meblami. Był żonaty, ale bezdzietny, tak więc on i jego małżonka przelali całą swoją miłość na samotną, małą dziewczynkę. Obowiązki rodzicielskie były dla nich trudne, ale stały się jeszcze trudniejsze, niż przewidywali, ponieważ Laurel okazała się dziwnym, nierównym dzieckiem.

„Miałam wrażenie, że tkwi w niej coś złego, jakaś skaza, która pojawia się nagle na powierzchni bez żadnego powodu” – powiedziała jej matka. Mimo całej swojej inteligencji i 146 punktów, zdobytych na teście, Laurel miała kłopoty w szkole i często sprawiała wrażenie oszołomionej. Na początku jesienno-zimowego semestru stawiała się w piątej klasie, choć ukończyła ją w poprzednim roku. Często nie mogła sobie przypomnieć znanych sobie dobrze ludzi, miała nagłe napady amnezji, depresji i dziecinnych zachowań, zupełnie niepasujących do jej wieku i stopnia rozwoju inteligencji. Bywała też błyskotliwa, kompetentna i pogodna, a nawet trzpiotowata.

W wieku dwunastu lat spędziła trzy miesiące w szpitalu. Przeprowadzono badania, czy nie cierpi na epilepsję, i poddano terapii

oraz psychoterapii, by wyleczyć ją z tych raptownych zmian nastroju. Wróciła do domu „wyleczona”, ale wkrótce wróciły stare objawy. Napady złości poprzedzały próby ucieczek bez celu, gdy zaczęła gwałtownie wkraczać w okres dojrzewania.

Jako nastolatka została dwukrotnie aresztowana przez policję. Złapano ją na kradzieży w sklepie w Bal Harbour. Usiłowała wynieść stamtąd rzeczy, których wcale nie potrzebowała, na przykład męską bieliznę. W drugim przypadku sprawa była o wiele poważniejsza, ponieważ po długim pościgu złapano ją za kierownicą skradzionego samochodu. Auto stanowiło własność sąsiadów. Na szczęście Laurel nie była wówczas pełnoletnia i dlatego nie założono jej kartoteki policyjnej. „Zawsze kłamała” – powiedziała matka. „Nawet gdy schwytano ją na gorącym uczynku, twierdziła, że to nie ona, że winien jest ktoś inny”. Kiedy była jeszcze mała, rodzice sądzili, że Laurel posiada „wymaginowanych towarzyszy zabaw”. Kiedy dorosła, doszli do wniosku, że jest chroniczną kłamczucha.

Po latach nieudanych prób, kiedy już wydali tysiące dolarów na adwokatów, terapeutów i testy, Trevelynowie usiłowali rozwiązać problem, inwestując pieniądze inaczej niż do tej pory. Doszli bowiem do wniosku, że jeśli dadzą jej wszystko, czego chce, nie będzie popadać w tarapaty. Tak więc kupili jej samochód, żeby już nie próbowała żadnego ukraść. Dawali jej pieniądze i karty kredytowe. Cały czas pchali najróżniejsze dobra w paszczę potwora, który zachowywał się coraz gorzej i był coraz bardziej nieszczęśliwy. Dobiegali siedemdziesiątki i stali na skraju wyczerpania nerwowego, gdy Laurel zaczęła wreszcie dochodzić do równowagi. Przez kilka miesięcy panował względny spokój, potem na

scenę wkroczył Rick i ich modły zostały wysłuchane.

Czekali w napięciu dnia, kiedy ze sobą zamieszkają. Wszystko się udało. Doszli więc do wniosku, że ich córka miała jedynie przejściowe kłopoty, z którymi się wreszcie uporała. Żyła bezpiecznie pod jednym dachem z człowiekiem, który na pewno potrafi sobie z nią poradzić i wydawała się szczęśliwa, więc rodzice odetchnęli z ulgą i przenieśli się do Orlando. Tam zbierali się wokół basenu z nowymi przyjaciółmi i cieszyli się zasłużoną emeryturą, rozmawiając o córce w Miami, czekając na wesele i, być może, wnuki, które mogliby rozpuszczać z bezpiecznej odległości. „Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, prawda, doktorze?” – spytał ojciec Laurel tonem, w którym kryła się prośba o potwierdzenie.

Feigleman słuchał bez przerwy taśm. Zatrzymywał je i odtwarzał niektóre fragmenty. To, co mówiła Laurel, brzmiało jak wypowiedzi różnych osób. Trudno mu było ukryć podniecenie. Postanowił, że sfilmuje następną sesję na kasecie video, żeby utrwalić zachodzące w niej zmiany wyglądu.

Rodzice Laurel, zupełnie roztrzęsieni i zmęczeni, zamieszkali w hotelu. Feigleman zerknął na zegarek i pomyślał, że jest jeszcze za wcześnie, żeby do nich dzwonić. Zaprosi ich na późne śniadanie albo lunch. Musi się upewnić, że mają do niego zaufanie i nie zatrudnią kogo innego. Ta sprawa musi stanowić jego wyłączną własność. Nabierał coraz głębszego przekonania, że spotkał się z wręcz wymarzoną przypadkiem. Przypadkiem tak rzadkim, że można dzięki niemu zrobić prawdziwą karierę.

Rozdział czterdziesty czwarty

Rick siedział na łóżku. Już nie był taki blady. – Wyglądasz o wiele lepiej – powiedział Jim.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś był przy tym, jak wyciągali mi rurę z piersi. Myślałem, że chcą wyssać mi płuco przez tę dziurę.

– Niedługo wrócisz do pracy.

– Kogo ty chcesz nabrać, Jim? Wiesz przecież, że nie mogę wrócić.

– O co ci chodzi? Za dzień, dwa idziesz do domu, a doktor mówi, że za dwa tygodnie będziesz zupełnie zdrow.

– W opinii wydziału nie odniosłem obrażeń w czasie pełnienia służby. Szef nie przyszedł mnie odwiedzić. Chyba wiesz, co to oznacza? Chryste, on zawsze odwiedza policjantów, wystarczy, że skaleczą się w palec u nogi. To, co przydarzyło się mnie i Dusty, traktują jako sprawę rodzinną, efekt trójkąta miłosnego. Jestem dla nich niewygodny.

– Dopiero zaczniesz być, jak dasz szefowi mikrofon do ręki.

– Widzę przecież, że coś się święci.

– To nie fair – powiedział z goryczą Jim. – To wszystko po prostu nie jest fair. Mam jeszcze coś. Znaleźli kolejne ciało.

– Jak to? Kogo?

– Barry'ego, instruktora aerobiku z ośrodka sportowego. Tego faceta z kucykiem. Tawny Marie go znalazła. Był poważnie okaleczony. Dziewczyna skłoniła gospodynię, żeby otworzyła drzwi.

– Chyba nie sądzisz...

– Sądzę. Ekspertyza balistyczna nie jest jeszcze skończona, ale na pewno strzelano z trzydziestki i mogę się założyć, że to ty jesteś jej

właścicielem. Opis ostatniej osoby, która odwiedzała Barry'ego, pasuje do Laurel. Miała na sobie skórzaną minispódniczkę. Znaleźliśmy taką w szafie.

– Co się tam wydarzyło?

– Nie żył już od ponad tygodnia. Widok był naprawdę nieciekawym.

Prawdopodobnie urządzili sobie balecik i wszystko wymknęło się spod kontroli. Ktoś posłużył się naprawdę ostrym narzędziem, żeby odciąć to, co odciął. Jeszcze tego nie znaleźli.

– Boże!

– Masz szczęście, że oberwałeś tylko kulkę w piersi. Zobaczysz – powiedział ponuro – że w więzieniu będą się z nią obchodzić jak z jajkiem, a potem najprawdopodobniej wyląduje w szpitalu. Wspomnisz moje słowa. Tymczasem zdążyli już spakować rzeczy Dusty i wysłać je do Iowa. Jej ciało również. Wydział nie oddelegował nawet nikogo na pogrzeb. Wszystko się po prostu skończyło. Straciliśmy dwóch najlepszych pracowników wydziału – pokręcił głową. – Coś tu jest nie tak. Powinienem był odejść już dawno temu.

– Hej, partnerze – Rick starał się, żeby to zabrzmiało pogodnie, ale mówił głuchym głosem. – Nie bądź taki ponury. Nie umarłem. Będę w pobliżu.

– Co zamierzasz robić?

– Nie wiem. Może zostanę prywatnym detektywem albo będę sprzedawał ubezpieczenia.

– No jasne – powiedział Jim szyderczo. – Dlaczego nie zamierzasz walczyć o swoje? Towarzystwo Policjantów pomogłoby ci.

Rick pokręcił głową.

– Zostało mi siedem lat. Siedem lat do emerytury i wszystko spieprzyłem. Naprawdę spieprzyłem.

– Tyle jest kobiet na świecie, a ty musiałeś wybrać akurat ją. Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

– Rozmawiałem z jej rodzicami. Zatrudnię Sloata, żeby ją reprezentował.

– Sloata? Tego sukinsyna?

– Powiedziałem im, że jest najlepszy.

– A może ty oberwałeś w głowę, co? Mam nadzieję, że to jednak przez te środki przeciwbólowe.

– Feigleman twierdzi, że ona jest chora.

– Jeszcze jeden skurwiel. Już się zaprzyjaźnił z jej rodzicami. Widzi ciekawy przypadek i swoje nazwisko w gazetach. A jej rodzice, po tym wszystkim, co zwalili ci na głowę... A Dusty? – zapytał gniewnie.

– Nigdy sobie nie wybaczę, Jim – Rick opadł na poduszki i odwrócił głowę. Patrzył w okno. – Nie mogę uwierzyć w to, że nie żyje. Czuję się tak cholernie winny. Ona była dobra, postępowała fair. Zrozumiałaby mnie. Pomóż mi przebrnąć przez to wszystko, dobrze?

– Jasne – odparł smutno Jim..

Później zatrzymał się przy kościele. Chciał pomyśleć. Było zwyczajne, puste popołudnie. Siedział tam dosyć długo.

Gdy przechodził przez ogród, żeby wyjść na ulicę, zawołał go młody pastor.

– Dostałeś moją wiadomość? Źle wyglądasz. Twój przyjaciele... Musi być ci ciężko.

Jim nie odpowiadał. Pastor dołączył do niego.

– To wszystko jest nie fair. Nie ma sprawiedliwości na świecie – powiedział w końcu Jim. – Całe życie stanowią część systemu, część problemu. Ten system jest niedobry. Nie działa. Zmarnowałem te wszystkie lata na jakieś gówno.

– Nikt nie obiecywał, że życie jest sprawiedliwe. Ale sprawiedliwość istnieje, jeśli nie na tym, to na tamym świecie. Wyższa sprawiedliwość – na twarzy pastora malowała się troska.

Stali razem w cieniu wysokiej, żelaznej bramy, między refektarzem a ulicą.

– Niektórzy nie chcą czekać tak długo. Może zresztą istnieje tylko to, co mamy tutaj.

– Nie wolno ci myśleć w ten sposób, Jim. Przecież wierzysz w Boga.

Jim podniósł oczy, a na jego twarzy pojawił się sardoniczny uśmiech.

– Jeśli istnieje Bóg, to chyba poszedł na piwo – rzucił.

Potem obrócił się na pięcie i odszedł.

Laurel została umieszczona w pojedynczej celi aresztu dla kobiet. Decyzję tę podjęto z wielu powodów. Między innymi obawiano się, że może napastować seksualnie współwięźniarki. Obserwowano ją również pod kątem próby samobójstwa, bo kiedy nie sprzątała maniakalnie celi bądź nie przeklinała strażników i nie zaczepiała innych kobiet, płakała histerycznie, jak dziecko.

Sloat zgodził się ją bronić po rozmowie, którą odbył z jej rodzicami i Feiglemanem. Spotkał się po raz pierwszy ze swoją klientką w pokoju przesłuchań, w areszcie. Feigleman był obecny przy rozmowie.

Kiedy wyszli potem na korytarz, ich twarze były tak rozpromienione jak u chłopców w Wigilię.

Rozdział czterdziesty piąty

Na rozprawę psychiatra i obrońca włożyli garnitury w prążki i jasnoniebieskie koszule, które dobrze prezentują się w telewizji. Sloat poinformował rodziców Laurel, że zasięgnie opinii biegłego psychiatry. Nie podał żadnych innych szczegółów, ponieważ nie chciał, żeby wytracono mu broń z ręki. Niszczycielskiej siły rozgłosu nie można powstrzymać.

Sloat zatarł ręce i omiótł wzrokiem salę sądową. Wyglądała dokładnie tak, jak lubił. Były tylko miejsca stojące. W rzędy zarezerwowane dla prasy nie udało się wcisnąć nawet szpilki. Typowi bywalcy rozpraw, czyli starsi ludzie znużeni już oglądaniem seriali, również stawili się licznie na sali. Przybyło też wielu policjantów.

Gdy pojawiła się Laurel, na sali zaszumiało.

Kosmetyczki z aresztu przeszły same siebie. Dziewczyna miała piękny manikiur, makijaż, obcięła włosy na krótko i w nowej fryzurze było jej bardzo do twarzy. Sloat poradził jej, żeby włożyła coś prostego i skromnego, a zatem Laurel i jej matka wybrały jasnoróżową sukienkę z haftowanym kołnierzykiem. Wyglądała w niej jak dziewczynka.

Jim stał w drzwiach i obserwował salę.

Proces przebiegał rutynowo. Laurel nie przyznała się do winy. Sloat zgłosił wniosek o umieszczenie jej w prywatnej klinice psychiatrycznej. Miała tam zostać przebadana i w razie potrzeby poddana stosownej terapii. Nie poprosił jednak o zwyczajowe trzydzieści do pięćdziesięciu dni, lecz nieokreślony czas.

Sędzia uniósł brwi. Sloat wyciągnął królika z kapelusza.

– Wysoki Sądzie. Mamy tu do czynienia z nietypową sytuacją. Zapewne wszyscy czytaliśmy opowieści takie jak: „Trzy twarze Ewy” czy „Sybil.

Na sali panowała kompletna cisza, kiedy Sloat wskazał swoją klientkę, połykując różowawym sygnetem.

– Oto właśnie taki przypadek. Doktor Feigleman przeprowadził badania wstępne i jest, tak samo jak i ja, przekonany, że mamy tu do czynienia ze zwielokrotnionymi zaburzeniami osobowości. Mamy również powód, by sądzić – przerwał, dla lepszego efektu – że w ciele tej młodej kobiety tkwi pięć różnych osób.

– Wynika to prawdopodobnie z jej straszliwych przeżyć z dzieciństwa – odezwał się Feigleman, który już nie mógł usiedzieć spokojnie.

– Jeśli chodzi o to, czy którakolwiek z tych osób jest winna zbrodni, to się jeszcze okaże. Natomiast ona, Laurel, nie jest winna – powiedział Sloat. – Ona nie wie nic, absolutnie nic na temat zbrodni, o które jest oskarżona.

– To jest choroba – dodał Feigleman. – Zaburzenia, które mogą zostać wyleczone – ciągnął, a jabłko Adama podskakiwało mu pod muszką. – W przeszłości zwielokrotnione zaburzenia osobowości mogły zostać poczytane za schizofrenię. Ale tak nie jest. Nie mamy tu do czynienia ze schizofrenią. Jest to o wiele rzadszy przypadek. Ona cierpi z powodu wojny, jaką prowadzą ze sobą osobowości zamieszkujące jej ciało. Każda z nich chce rządzić innymi, a zatem pojawia się, znika i znowu pojawia. Wszystko to odbywa się w sposób niezwykle gwałtowny.

Sędzia miał sceptyczny wyraz twarzy.

– I cóż według pana powoduje te zaburzenia?

– Wielokrotne urazy, jakie odniosła w dzieciństwie. Była najprawdopodobniej wykorzystywana seksualnie. Dziecko, które chce wyrwać się z tej okropnej, bolesnej pułapki, może tylko wycofać się z niej psychicznie. W ten sposób część osobowości wyodrębnia się, żeby stawić czoło przerażeniu i cierpieniu, a inna część pozostaje obojętna na wszelkie wydarzenia. Jeśli sytuacja powodująca uraz powtarza się wielokrotnie w czasie trwania istotnych faz rozwoju osobowości, mechanizm obronny włącza się z taką samą częstotliwością. To tłumaczy niewiedzę Laurel na temat tego, co się wydarzyło, podczas gdy inna część jej osobowości przejmowała kontrolę nad sytuacją. Stres przyspieszał dokonywanie się zmian.

– Ale mam również dobrą wiadomość – wtrącił Sloat, kiwając mądrze głową. – A mianowicie taką, że ta choroba jest uleczalna.

– Czy jest pan pewien?

– Tak – odparł dobitnie Feigleman. – Metoda leczenia nazywana jest terapią fuzyjną. Chciałbym rozpocząć ją jak najprędzej.

Sędzia zarządził badania, ale nie wyraził zgody na bezterminowość ich ukończenia. Pouczył Sloata i Feiglemana, że w ciągu dziewięćdziesięciu dni mają złożyć mu sprawozdanie, i zamknął rozprawę.

Dziennikarze ruszyli ławą w kierunku wyjścia.

Sala konferencyjna była wystarczająco duża, żeby pomieścić tłum, który wpadł do holu, pobłyskując fleszami aparatów fotograficznych. Sloat i Feigleman udzielali wywiadów z rozjaśnionymi z zadowolenia twarzami. Laurel została odesłana do aresztu dla kobiet w stanie absolutnego przerażenia. Jej rodzice byli obecni. Choć wyraźnie skrepowani okazywaną im uwagą, chętnie uczestniczyli w sprawie i starali się

wyjaśnić reporterom, że dziewczynka była wykorzystywana seksualnie na długo przedtem, zanim ją poznali.

Jim poszedł oglądać konferencję prasową na jednym z monitorów zainstalowanych w holu przez lokalnego sponsora.

Sloat opisywał stan Laurel jako formę pourazowych zaburzeń stresowych, podobnych do tych, jakich doświadczają weterani z Wietnamu.

Feigleman oświadczył, że Laurel Trevelyn w swym wcieleniu podstawowym nie pamięta odniesionych w dzieciństwie urazów. Inne natomiast osoby, tkwiące w jej ciele, są ich świadome, i wspomnienie to budzi w nich wściekłość i gniew, które stanowią przyczynę postępowania chorej.

Przeniósł wzrok na rodziców, w oczekiwaniu potwierdzenia. Skwapliwie przytaknęli.

– Jako małe dziecko, Laurel była wykorzystywana seksualnie przez swego naturalnego ojca. Istnieją dowody wskazujące na to, że człowiek ten terroryzował jej matkę. Laurel odkryła zwłoki matki w morzu krwi, w wannie. Kobieta podcięła sobie żyły. Dziecko nabrało przekonania, że jest odpowiedzialne za jej śmierć. Lekarz dziecka stwierdził później, że dziewczynka była wykorzystywana seksualnie i Laurel zeznawała przeciwko własnemu ojcu. Kiedy trafił do więzienia, władze zajmujące się sprawami nieletnich, postępując ze zwykle stosowaną przez siebie bezrozumną logiką, oddały już wtedy cierpiące z powodu urazu dziecko pod opiekę dziadków, którzy z kolei – doktor podniósł głos – winili ją o uwięzienie ojca, a później o jego śmierć. Kiedy dziewczynkę oddano do adopcji, ci dobrzy ludzie – ciągnął Sloat, wskazując rodziców Laurel –

pojawił się na horyzoncie, dali jej kochający dom i robili, co mogli, ale było za późno. Spustoszenia w jej psychice już się dokonały.

– Doktorze, jak to się dzieje, że molestowane seksualnie dziecko przyjmuje kilka osobowości?

Pytanie padło z ust młodej, czarnej kobiety, która trzymała mikrofon z nazwą stacji lokalnej.

– Osobowości takie zaczynają odłączać się od swego rdzenia, gdyż człowiek uruchamia mechanizm obronny, aby zachować poczucie bezpieczeństwa i zdrowie psychiczne. Bolesne doświadczenia rozpadają się na części, z którymi każda z nowo powstałych osobowości może sobie poradzić. Każda ma zupełnie inne, ale spójne cechy. Wyłaniają się na ogół wtedy, kiedy ofiara jest zagniewana lub znajduje się pod wpływem stresu.

– Doktorze, jest pan psychiatrą policyjnym i reprezentuje pan kobietę oskarżoną o zastrzelenie dwóch oficerów policji. Czyż nie zachodzi tu swoisty konflikt interesów? – Chudy, spięty młody człowiek w okularach w rogowej oprawie był reporterem porannej gazety.

Zawsze szukają dziury w całym – pomyślał ze złością Feigleman – zamiast skupić się tym, co naprawdę istotne.

– Absolutnie nie – odparł, zdejmując szkła, żeby sprawić bardziej szczere wrażenie. – Prowadzę praktykę prywatną i jestem jedynie konsultantem w wydziale zabójstw. Praca ta polega głównie na tym, że pomagam policjantom i osobom, które oni kochają. Laurel niewątpliwie spełnia te kryteria, ale, żeby uniknąć wszelkich wątpliwości, zrezygnuję z funkcji konsultanta dziś po południu, aby poświęcić więcej czasu i energii tej sprawie.

– Kim są te inne osobowości? Co je charakteryzuje? – dopytywała się

szczupła blondynka o włosach koloru miodu, wyciągając go z opresji.

– Oprócz Laurel, znaleźliśmy jeszcze cztery – odparł entuzjastycznie Feigleman, który odczuł wyraźną ulgę, gdyż pytania znowu zeszyły na właściwy tor. – Nie znaczy to, że nie ma ich więcej. Niektóre ofiary tej choroby posiadają nawet dziewięćdziesiąt dziewięć osobowości, z których każda jest zupełnie różna, ma inne cechy fizyczne, przybiera różne postawy, systemy wartości, używa odmiennego charakteru pisma, a nawet inaczej mówi. Mogą różnić się wiekiem, płcią, stopniem inteligencji. W tym przypadku osobowość, nazywana Alexem, jest typowym przykładem socjopaty i stanowi źródło wielu problemów mojej pacjentki.

– Ja spotkałem przestraszoną, małą dziewczynkę Jennifer i młodą flirtiarę, która nazywa siebie Marilyn – wtrącił Sloat widząc światło jupitera. – Jak również Harriet, kobietę, która jest ich gosposią. Potrafi świetnie gotować, sprzątać i prowadzić dom.

Jeden z reporterów, stojących w tłumie oblegającym drzwi, dostrzegł wyraz niedowierzania na twarzy Jima.

– Co pan o tym sądzi, detektywie?

– Pieprzenie. Mają dostać Oskara zaraz czy trochę później? To przecież absolutny cyrk. Niech no pan tylko spojrzysz na tych facetów! – powiedział gniewnie, zerkając na ekran, gdzie Feigleman i Sloat udzielali teraz wywiadu w tandemie.

Nad Miami zaświecił księżyc w pełni. Strzelanina rozpoczęła się wcześniej.

Wściekli właściciele sklepów, pracownicy i klienci uzbrojeni w butelki z wodą sodową, pistolety i telefony komórkowe odnieśli zwycięstwo w

krwawej strzelaninie z dwoma uzbrojonymi bandytami. Szef sprzedaży produktów rolnych został pobity na śmierć w walce o to, kto rozładuje transport cebuli z Teksasu. Wściekły mechanik, samochodowy zastrzelił klienta, który wstrzymał realizację czeku, bo był niezadowolony z usługi. Chory psychicznie weteran wojny wietnamskiej trzymał przez parę godzin na muszce właścicielkę podrzędnego hotelu i żądał rozmowy z prezydentem. Kubańskie gangi napadły na Portorykańczyków, czarnoskórzy Amerykanie walczyli z Haitańczykami, a biali robotnicy wojowali z czarnymi i Latynosami.

Policjanci ze zmiany popołudniowej musieli zostać w pracy po godzinach, a ci ze zmiany nocnej zostali wezwani wcześniej na służbę. Doniesienia o wystąpieniu Laurel na sali sądowej wraz ze sprawozdaniem z konferencji prasowej zajęły całą pierwszą stronę w wieczornym wydaniu dzienników. Kiedy Jim przyszedł na komendę z egzemplarzem gazety pod pachą, w pokoju zastał sekretarkę, która sprzątała biurko Ricka z przeproszącą miną.

– Porucznik mówi, że będzie nam potrzebne to miejsce. Musimy gdzieś usadowić pańskiego nowego sierżanta.

Wśród czekających na niego informacji o telefonach znalazła się również wiadomość od Sloata. Jim pogniótł kartkę i wrzucił ją do kosza na śmieci. Prawnik zadzwonił powtórnie pięć minut później.

– Przykro mi, że panu przeszkadzam, ale będę dziś wieczorem rozmawiał z moją klientką. Chcę to zrobić, zanim zostanie przeniesiona do szpitala, co nastąpi jutro rano. Rodzice nie wezmą udziału w spotkaniu. Są wykończeni. To był straszny dzień. Sędzia zasugerował, że ktoś od was powinien być obecny podczas mojej wizyty u Laurel ze względów

proceduralnych. Nie mamy nic przeciwko temu. Chcemy pokazać, że absolutnie nie kierujemy się żadnymi sugestiami obrony – przerwał na chwilę. – Zdaję sobie sprawę, że dzisiejsze rewelacje mogły was zaskoczyć.

– Tak – odparł Jim – a ja nie lubię niespodzianek. Rick również nie. Wyszedł ze szpitala i dziś po południu oglądał wiadomości. Wczoraj wieczorem rozmawiał z rodzicami Laurel. Nie wspomnieli nic na temat wielokrotnych zaburzeń osobowości.

– Oni również byli zaskoczeni. Wszystko działo się tak szybko, że doktor Feigleman i ja nie mieliśmy czasu, żeby poinformować rodzinę o naszym odkryciu. Jeśli jest pan zajęty – dodał, nieco zbyt uprzejmie – oczywiście, zrozumiem. Ale chcielibyśmy postępować zgodnie ze wskazówkami sędziego.

Jim westchnął i wziął ołówek do ręki.

– Proszę mi podać godzinę i miejsce spotkania. Zatelefonował do Ricka, wypełnił formularz, chwycił kawałek pizzy, która stanowiła jego pierwszy posiłek tego dnia, po czym odebrał wezwanie. Była to zwykła rutynowa sprawa, śmierć z przyczyn naturalnych. Pełnia księżycy – myślał, jadąc na miejsce – w mieście piekło, a oni dają taką banalną sprawę najbardziej doświadczonemu policjantowi w wydziale. Jeszcze jedna demonstracja intelektu kierownictwa. Wydział przypominał pociąg towarowy, który stacza się w dół, bo zabrakło w nim maszynisty. On, Dusty i Rick stanowili wspaniałą drużynę. Rozwiązali razem wiele spraw i spędzili ze sobą bardzo dużo czasu. Całe lata. Powinni byli przynosić nam mirrę i kadzidło – myślał. Zamiast tego, mają gdzieś, co się z nami stanie.

Powziął już decyzję, zanim dojechał na miejsce. Kiedy wróci do biura,

znajdzie odpowiednie formularze i wypełni papiery emerytalne. Dranie! Wywalili Ricka, a Dusty potraktowali tak, jakby jej życie nie miało znaczenia. Nie istniał żaden powód, dla którego miałoby mu zależeć na tej pracy. Kwalifikował się już do przejścia na emeryturę i wystąpi o nią. Zostanie mu tylko trzydzieści dni. Jeśli wliczyć w to przysługujący mu wkrótce urlop, może odejść w przyszłym tygodniu. Poza tym nie miał innych planów. Dawniej rozmawiał z Molly o tym, co będą robić, kiedy wreszcie przejdzie na emeryturę. Szkoda, że już za późno na realizację tych planów. Dwadzieścia siedem lat pracy i ileż musiał jej poświęcić. Czas, żeby odejść. Powinienem był to zrobić już dawno temu – myślał.

Wezwano go do starego, zniszczonego domu położonego w ciągle zmieniającym się sąsiedztwie. Stary człowiek mieszkał tu przez pięćdziesiąt lat i tu zakończył życie. Pośliznął się na posadzce w łazience. Ludzie w podeszłym wieku, którzy umierają z przyczyn naturalnych, przysparzają zmuśnej roboty papierkowej, zmuszają do wykonywania budzących odrazę czynności i przypominają policjantom, że oni również są śmiertelni. Takie sprawy nie wymagają od detektywów żadnych zdolności śledczych, a ponieważ tylu staruszków żyje i umiera samotnie, ciała ich leżą często całymi dniami nie znalezione przez nikogo i zajmowanie się takimi przypadkami jest zdecydowanie nieprzyjemne. I tak też było tym razem. Kiedy policjanci włamali się do wnętrza przez okno, muchy wskazały im miejsce, gdzie leżały zwłoki.

Sąsiadka nabrała podejrzeń i wezwała ich wieczorem, tuż zanim zapadł zmierzch. Nie widziała staruszka od paru dni, a przed domem nieustannie paliło się światło. Ubogi starzec, który ledwo wiązał koniec z końcem, nie marnowałby tak światła. Usiłował ograniczać wydatki. Nie kupował nawet

gazet, nie stać go było na zainstalowanie telefonu. Stwierdzono śmierć z przyczyn naturalnych.

W sypialni Jim znalazł zamkniętą metalową kasetkę. Nadawała się świetnie do przechowywania instrukcji pogrzebowych i testamentu. Z pewnością klucz był przyklejony pod spodem, tak żeby nie mógł się zgubić. Wielu samotnych, starych ludzi miało kłopoty z pamięcią. Jim otworzył kasetkę i znalazł album z fotografiami rodzinnymi, zrobionymi jeszcze przed II wojną światową. A pod albumem było coś, co zaparło mu dech w piersiach. Stosiki banknotów, setek i pięćdziesiątek, oraz papiery wartościowe. Tysiące, tysiące dolarów i metalowe pudełko zawierające złotą biżuterię, monety, stare srebrne dolarówki i zabytkowy, złoty zegarek kieszonkowy. Jeszcze jeden z tych, którym udało się przetrwać kryzys – pomyślał Jim. Jakże wielu z nich umiera, wciąż nie ufając bankom i upychając oszczędności całego życia w pudełkach na buty, pod podszewkami ubrań albo w materacu.

Jim odwrócił się, żeby wezwać mundurowego na świadka swego znaleziska i zaprząć go do pracy przy jego inwentaryzacji, ale zawahał się. Dlaczego właściwie krewni zmarłego, którzy najwyraźniej o niego nie dbali, mieliby zgarnąć teraz jego majątek? Takie pieniądze pozwoliłyby jemu i Rickowi założyć każdy interes, na jaki przyszłaby im ochota.

Żaden z nich nie przywłaszczył sobie nigdy nawet centa i do czego ich to doprowadziło? – myślał gorzko.

Poszedł do kuchni, znalazł dużą, brązową, podwójną torbę na zakupy, złożył ją i zaniósł pod pachą do sypialni. Wymizerowany policjant stał niedaleko frontowych drzwi i nos marszczył mu się od smrodu.

– Mam do ciebie prośbę – powiedział Jim. – Wydaje mi się, że karetka

zgubiła się gdzieś po drodze. Już powinni tu być. Może kierowca nie potrafi znaleźć tego adresu. Wyjdź na zewnątrz i sprawdź, czy nie czekają czasem przy Sixty Seventh Terrace, zamiast tutaj, przy Sixty Seventh Street.

– Myślałem, że dopiero co pan do nich dzwonił.

– Nie, już dawno powinni być na miejscu.

Policjant wzruszył ramionami i wyszedł z domu.

Serce waliło Jimowi boleśnie w piersi i trzęsły mu się ręce, kiedy ładował banknoty i metalowe pudełko do brązowej torby. Uwijał się jak w ukropie, bo sporo tego było. Na górze poukładał stare kwity, rachunki i gazety, żeby zasłonić zawartość. Wrzucił nieotwartą korespondencję, stare papiery i listy do kasetki. Obejrzy to wszystko spektakularnie na komisariacie w obecności świadków, na wypadek gdyby ktoś później zadawał jakieś pytania.

Wyniósł papierową torbę na zewnątrz, mijając przy tym dwóch policjantów, i postawił ją na przednim siedzeniu swego nieoznakowanego plymoutha.

– Pomóżcie mi i przynieście tu kasetkę, dobra?

Mundurowy wyniósł torbę na próg.

– Jeszcze nie zaglądałem do środka – oświadczył Jim – ale może natrafimy tu na jakiś ślad najbliższych krewnych. Otwórzcie to – podniósł album i zaczął grzebać w papierach, które pod niego wsadził. – Tak, musi tu być jakiś adres. Ktoś powinien pokryć kosztą pogrzebu – powiedział. – Nie chcemy przecież obciążać nimi podatników. Włóżcie wszystko do bagażnika. Zajmę się tym później w komisariacie. Tą torbą też.

Młodzi mundurowi skinęli głowami, zamknęli pudło i włożyli je

Jimowi do bagażnika.

– Boże, to ta cholerna pizza – skrzywił się Jim i przyłożył rękę do piersi, jakby chciał w ten sposób odpędzić zgałę.

Koniec z tą gumiąstą, wstrętną pizzą – pomyślał, siadając ciężko za kierownicą. Tak jest. Pora odpocząć. Dzięki Bogu za ten telefon od sąsiadki. O skarbie, jaki znalazł, marzyli wszyscy producenci narkotyków. Gdyby któryś z nich włamał się do domu, zabrałby wszystko.

Zastanawiał się, ile mogą być warte złote i srebrne dolarówki. Zmarły przechowywał je dziesiątki lat. Zatelefonuje do Ricka natychmiast po spotkaniu w areszcie. Najpierw powie mu, że przechodzi na emeryturę. Koniec. Już nigdy nie będzie oglądał ani wachał zwłok. Już nigdy nie będzie musiał patrzeć na robaki, ocierać krwi z butów i zaglądać w puste oczy trupów.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego staruszek nie wyprowadził się nigdy ze swojej nory w tej parszywej okolicy. Przecież stać go było na coś wspaniałego. Czasem – myślał Jim – zbyt kurczowo i długo czepiamy się czegoś z przyzwyczajenia. Dzielnica była wprost okropna. Kręcił głową, mijając całe rzędy rozpadających się domów i kamienic czynszowych. Ten staruszek miał szczęście, że nikt mu wcześniej nie poderznął gardła. Może dlatego, że nie wyglądał na takiego, którego warto byłoby napadać. Z pewnością nie wyjmował na ulicy złotego zegarka, żeby sprawdzić godzinę. W latach trzydziestych i czterdziestych to była bardzo ekskluzywna część miasta. Ale minęły te czasy. Przejeżdżał właśnie ulicami, gdzie zaczęły się zamieszki w 1980 roku i było tu wówczas okropnie.

Jego kariera dobiegła końca. Pieprzyć wydział zabójstw. I wszystkie

trupy! Niemal wypowiedział na głos te słowa, bo miał wrażenie, że Rick siedzi obok. Tak długo razem pracowali, że byli w stanie zgadywać, o czym ten drugi myśli. Wiedział dobrze, jak Rick skomentuje to, co on robi. Już słyszał jego głos:

– Jesteś tak samo zły jak oni. Przypomnił sobie pastora.

– Istnieje sprawiedliwość. Wyższa sprawiedliwość.

Niech to szlag! Nienawidził łajdaków i wszystkich, którzy byli z nimi w zмовie, niezależnie, po której stronie barykady się znajdowali. Westchnął głośno i zrozumiał, że nie chce stać się jednym z nich. Choć być może zawdzięczał ten niespodziewany majątek opatrności, być może na niego zasłużył, wiedział, że nie wolno mu tak postąpić.

Znowu westchnął. Jakiś dupek, krewny, którego staruszek obchodził tyle, co zeszłoroczny śnieg, odziedziczył niezłą fortunę. A on wstąpił do policji jako uczciwy człowiek i jako uczciwy człowiek z niej odejdzie. Pokręcił głową i prawie się uśmiechnął. Jak kretyn, to kretyn.

Ucisk w piersiach wzmógł się. Nie można się dobrze czuć w takim mieście. Opuścił szybę; żeby zaczerpnąć trochę powietrza, i odetchnął głęboko. Ból był tak potworny i intensywny, że ciało wymknęło mu się spod kontroli, a kolana same podskoczyły do góry i uderzyły w kierownicę. Już wiedział, co mu jest. Ale to przecież niemożliwe – pomyślał. Nie teraz. Nie teraz. Ból sparaliżował go zupełnie. Poczuł, że jego zaciśnięte kurczowo ręce wbijają się w kierownicę, a samochód zjechał na chodnik i rąbnął w słup telefoniczny.

Pieprzony atak serca. Miał nadzieję, że ból złagodnieje choć na chwilę, tak żeby mógł skorzystać z radia. Twarze – w ciemnościach na ulicy widział twarze. Ci ludzie widzieli, jak samochód zjechał z jezdni i uderzył

w łup. Sięgnął po nadajnik, który leżał tuż obok papierowej torby na przednim siedzeniu. Ale radio wyśliznęło mu się z ręki i spadło na podłogę, kiedy nadszedł następny paroksyzm bólu i wstrząsnął jego ciałem. Potrzebował pomocy. Wymacał na ślepo klamkę od drzwi i nacisnął ją na tyle mocno, na ile mu pozwalały opuszczające go siły. Drzwi otworzyły się na całą szerokość i pewnie by przez nie wypadł, gdyby nie przytrzymał go pas bezpieczeństwa. Widział twarze. Coraz bliżej, najpierw niepewne, zaciekawione, teraz już coraz śmielsze. Pomoc – sprowadzą pomoc. Stał przed nim chudy, buńczuczny nastolatek, najpewniej złodziej i łobuz. Ale on był przecież policjantem i potrzebował pomocy.

– Pomóż mi, wezwij karetkę – wykrztusił. – Policja. Wychudzona, młoda twarz z chytrymi, bezdusznymi oczami była już bardzo blisko.

– Policja – powtórzył chłopak.

Uśmiechał się i zdejmował Jimowi zegarek.

Detektyw dostrzegł błysk złotego zęba, kiedy wciąż uśmiechający się małolat sięgnął na przednie siedzenie po policyjne radio. Inne twarze również zbliżały się coraz bardziej i spoglądały na niego śmiało. Wszystkie drzwiczki samochodu były pootwierane. Jim poczuł czyjeś ręce na swoim ciele. Pistolet, portfel, odznaka. Duża brązowa torba zniknęła z siedzenia, podawano ją sobie teraz z rąk do rąk, aż w końcu dotarł do niego dźwięk przypominający westchnienie, a potem odgłosy szarpaniny. Hieny najwyraźniej walczyły między sobą o łup. Ostatnia myśl, jaka przebiegła mu przez głowę, dotyczyła butów. Zabierali mu buty.

Karetka z kostnicy przyjechała po zwłoki staruszka w półtorej godziny po wyjściu Jima. Dwadzieścia minut po zabraniu ciała mundurowi chcieli zameldować się przez radio. Ich wiadomość, którą chcieli przekazać do centrali, została zakłócona przez wtręty żartownisiów, którzy wyli i pokrzykiwali:

– Hej! Mamy wasze radio!

Słysząc było śmiechy i głośną muzykę. Nadajnik policyjny dostał się w niepowołane ręce. Tak się czasem zdarza. Zapominalscy policjanci zostawiają czasem nadajniki w restauracjach albo na dachach samochodów. Czasem radia bywają kradzione lub zgubione podczas pościgu. Obce głosy na policyjnych częstotliwościach oznaczać mogą również, że właściciel nadajnika znalazł się w tarapatkach i potrzebuje pomocy.

Telefonistce udało się jakoś przebić przez przekleństwa i obrazy miotane w eterze i zarządzić, żeby wszystkie jednostki natychmiast zameldowały się w centrali. Zgłosili się wszyscy pełniący służbę policjanci z wyjątkiem jednego. Jima Ransoma. Zanotowano adres, pod który go ostatnio wzywano i rozpoczęto poszukiwania.

Rick dowiedział się o wszystkim, kiedy przyszedł na komendę po swoje rzeczy. Chciał zaczekać na powrót Jima ze spotkania w areszcie dla kobiet. Przyłączył się do Domingueza i Macka Thomasa.

– Jezu, spójrzcie tylko na ten księżyc – odezwał się Dominguez, kiedy jechali pod adres, gdzie ostatnio wzywano Jima. Nad miastem wisiała ogromna żółta kula. – Mamy przed sobą ciężką noc.

– Zawsze tak jest – dodał Mack Thomas. Przejeżdżali obok miejsca, gdzie zaczęły się rozruchy w 1980 roku.

– Coś jest nie w porządku – powiedział Rick. – Jakoś strasznie tu cicho.

– Tak – zgodził się Dominguez. – Gdzie się wszyscy podziiali? Nikogo nie ma na ulicy.

– Gdyby tu były jakiegokolwiek ptaki, też by pewnie zamilkły. Tak zachowywali się osadnicy przed spodziewanym atakiem Indian – rzucił Mack, wodząc wzrokiem po dziwnie opustoszałych ulicach i zaułkach.

Rick jako pierwszy dostrzegł samochód.

– Czy to... nie, to nie może być jedno z naszych aut. Ale jest!

– O, kurde! – Dominguez zaklął i zahamował.

Z trudnością rozpoznali nieoznakowany wóz Jima. Pokrywa bagażnika i maska były podniesione, akumulator i tablica rejestracyjna zniknęły. Brakowało również opon i kół. Przez otwarte drzwi od strony pasażera wystawały blade, bose nogi. Martwy kierowca leżał rozciągnięty na przednim siedzeniu. Był zupełnie nagi.

Rick usiadł przy biurku Jima w komisariacie i zatelefonował stamtąd do jego zameężnej córki z Orlando. Poprosił ją, żeby powiadomiła Molly. Siedział tam później sam przez chwilę. Biuro było prawie puste. Wszyscy wyszli na służbę.

Urzędnik włączył wiadomości telewizyjne. Nadawano właśnie reportaż. Szef policji wyraził swoje głębokie oburzenie. Burmistrz wygłosił płomienną mowę.

– I czymże się stało to miasto – pytał – skoro takie hieny uliczne rabują zmarłych? Skoro oddany pracownik służb publicznych, oficer policji, który poświęcił całe swoje życie Miami, zostaje znaleziony przez sępy w ludzkiej skórze i pozostawiony na pastwę śmierci, jak zwierzę?

Rick pomyślał, że gdyby był wtedy z Jimem, mógł go uratować. Mógł również zapobiec temu, co stało się później. Cóż to takiego zwykle mawiał Jim? Nawet umarli nie są bezpieczni w Miami. Miał rację. Nie powinien był umierać samotnie. I nie umarłby – myślał. Byłbym przy nim, gdyby nie Laurel. Dusty również byłaby przy nim, gdyby nie Laurel. Przypomniawszy sobie, co Jim mówił o Laurel. W karetce pogotowia, po tym jak go postrzeliła w Japońskim Ogrodzie, kiedy Rick sądził, że umiera, a Jim trzymał go za rękę.

– Powinienem był tam być – złościł się – powinienem był się domyślić... ona wie wszystko.

Ona wie wszystko. Wszystko. Sprawdził czas. Badanie w areszcie dla kobiet dobiegało końca.

Choć zarówno doktor, jak i prawnik nie posiadali się z dumy, Laurel cały czas zagryzała wargi ze zdenerwowania. Siedziała naprzeciwko nich przy drewnianym stoliku w pokoju przesłuchań. Oni zaś odczuwali ulgę, że w końcu nikt z wydziału nie zdecydował się przyjść. Mogli rozmawiać swobodniej.

– Myślałam, że od razu zabiorą mnie do szpitala – odezwała się Laurel, a w jej głosie słychać było napięcie. – Nie chcę tu zostawać jeszcze jedną noc.

– Trzeba załatwić formalności – odparł Sloat. – Wyjdiesz stąd jutro z samego rana. Nie martw się. Sprawy nie mogły potoczyć się lepiej.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie wzbudziłaś zainteresowanie – dodał Feigleman.

– Już nas pytano o prawa autorskie do książki, telefonowali także z

Hollywood. Kiedy zbierzemy już wszystkie oferty, podpiszemy kontrakt – powiedział prawnik.

Laurel zachowywała się tak, jakby ich nie słyszała.

– A jak tam będzie?

– Gdzie?

– W szpitalu. Jutro.

– To prywatny szpital – uspokoił ją Feigleman. – Będziesz miała własny pokój, z kolorowym telewizorem, będziesz mogła uczestniczyć w różnych zajęciach artystycznych, jeśli wyrazisz taką chęć, a ja będę cię codziennie odwiedzał.

– Nie chcę iść do więzienia – zniżyła głos do szeptu i miała przerażoną minę.

– Nie pójdziesz – zapewnił ją Sloat z przekonaniem. – Nigdy. Jutro pożegnasz się z tym miejscem na zawsze.

– Dlaczego jest pan taki pewien?

Pochylił się do niej i omal nie rozpląnął w uśmiechach.

– Leczenie wielokrotnych zaburzeń osobowości polega na psychoterapii, osobnej analizie poszczególnych osobowości, a celem ostatecznym jest doprowadzenie do ich fuzji.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Czy wiesz, ile to może potrwać? – zapytał Feigleman. – Całe lata.

– W tym czasie – ciągnął prawnik – stan twojego zdrowia uniemożliwi proces. Prawo w stanie Floryda mówi jasno, że jeśli oskarżony po pięciu latach nie wróci do zdrowia, wszystkie zarzuty przeciw niemu zostają oddalone na zawsze. Ale to nie wszystko – przerwał i postukał starannie wymanikiurowanymi paznokciami w teczkę oprawioną w skórę. – Ja

odrobiłem pracę domową. Nawet jeśli doszłoby do procesu, co wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobne, masz szansę go wygrać na zasadzie istniejących precedensów. Pewien mężczyzna z Ohio, który posiadał dwadzieścia cztery osobowości, został uznany za niewinnego z powodu niepoczytalności, choć był oskarżony o porwanie, gwałt i obrabowanie trzech kobiet. W jeszcze innym przypadku uniewinniono pewnego Kalifornijczyka, który zabił swoją żonę. Lekarze przekonali przysięgłych, że zbrodni dokonało jedno z niezależnych wcieleń tego człowieka, a nie on sam.

– Młoda damo – powiedział Feigleman – nie ma powodu do zmartwienia.

– Chyba że o to, kto zagra ciebie w filmie. Będiesz ogólnie znaną postacią.

Obaj zaśmiali się, nie próbując nawet ukryć podniecenia.

Laurel wpatrywała się w podłogę.

Oczy pociemniały jej, gdy uniosła głowę. Oparła się łokciem o stół i podtrzymywała pięścią podbródek. Druga dłoń spoczęła na jej biodrze.

– A co się z nami stanie, jeżeli terapia zadziała? – spytał ochryply głos.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia, a Feigleman wahał się przez chwilę.

– Kiedy problemy każdej indywidualności z osobna zostaną rozwiązane drogą analizy, wszystkie zostaną wchłonięte w pojedynczą, dobrze skonstruowaną całość.

– A kto przetrwa i będzie rządził?

– Myślę, że odpowiedzieć na to pytanie będzie można dopiero po zakończeniu terapii – odparł doktor niespokojnie.

– Proszę pamiętać – dodał szybko Sloat, że dążymy do hospitalizacji i leczenia, a nie procesu i więzienia.

Jego klientka przytaknęła.

– Jeszcze coś. – Doktor i prawnik nadstawili uszu... – Jennifer chce misia i kocyk. Mówi, że inaczej nie zaśnie.

– Misia i kocyk – powtórzył adwokat z całą powagą i zapisał to w notesie.

Gdy spojrzął znów przed siebie, jego klientka siedziała wyprostowana na krześle. Patrząc z obrzydzeniem na wulgarne słowo, które jeden z poprzednich więźniów zapisał na obrusie, próbowała zetrzeć je chusteczką, po czym przeniosła wzrok na obu mężczyzn.

– A co z moimi prawami do domu? To mój dom.

Prawnik potaknął i znów zrobił notatkę.

– To nieco drażliwa sprawa, ponieważ nie byliście małżeństwem i związek wasz nie trwał zbyt długo.

– On mi wiele obiecywał – warknęła. – Żyliśmy ze sobą jak mąż i żona.

– Mam współnika, który specjalizuje się w tego rodzaju sprawach. Dopilnuję, żeby się tym zajął. Postaramy się o zabezpieczenie twoich interesów.

– Myślę, że chyba wszystko załatwiliśmy – wtrącił Feigleman pogodnie.

Sloat skinął głową i zamknął teczkę.

– To był długi dzień – powiedział.

Odsunęli krzesła. Laurel popatrzyła na nich w panice, potem powiodła oszalałym wzrokiem po kolorowych, jak z komiksu, malunkach na ścianie.

– Nie zostawiajcie mnie tutaj, proszę. Boję się – szepnęła.

– Jutro o tej porze będziesz już w swoim pokoju, z wygodami takimi jak w domu – pocieszył ją Feigleman. Wymawiał wszystkie słowa powoli, kojącym tonem.

– Oczywiście jest to miejsce starannie strzeżone – dodał Sloat. – W innym przypadku sędzia nie wyraziłby zgody, ale naprawdę jest tam wygodnie.

– Milutko – zawtórował mu Feigleman, a jego różowa skóra poczerwieniała pod krawatem.

– Nie odchodźcie – prosiła, na pół wstając i wyciągając do nich ręce.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajał ją Sloat. – W porównaniu z innymi zabójcami policjantów, masz naprawdę szczęście.

– Ja nie zabijam policjantów! – potrząsnęła głową i opadła z powrotem na krzesło.

– Oczywiście, że nie – potwierdził łagodnie Feigleman.

– Nie mogłaś nic na to poradzić – dodał Sloat.

– Przyjdę do ciebie jutro, jak już urządzisz się w szpitalu – obiecał doktor.

Nie odpowiadała. Zwinęła się na krześle i zaczęła płakać, jak skrzywdzone dziecko. Obaj panowie podeszli do drzwi, a Sloat przycisnął brzeczyk.

– Wpadniemy na drinka? – zaproponował adwokat.

– Oczywiście. Mamy wspaniałą okazję.

Strażnik wypuścił ich z zamkniętego pomieszczenia, odpiął kajdanki od pasa i przykuł lewy nadgarstek Laurel do poręczy krzesła.

– Zaraz po ciebie przyjdzie opiekunka – powiedział.

Laurel została sama w pokoju i płakała głośno nad swoim

nieszczęściem i beznadziejną sytuacją, w jakiej się znalazła. Nagle łyzy obeschły, a w pokoju zaległa cisza.

Zgięta w pół postać wyprostowała się i przeciągnęła. Prawa stopa wystukiwała niecierpliwie jakiś rytm o podłogę. Słysząc było pobrząkiwanie metalu, kiedy kajdanki opadły z uwięzionej dłoni. Teraz trzeba przejść przez pokój. Nikt tu nie idzie.

Przyciągnięty pod okno stół zaskrzypiał. Teraz krzesło. Klamka od okna. Pisanęły otwierane okiennice.

Alex wysunął nogi przez okno, przywarł na chwilę do zakurzonego parapetu i opadł na wilgotną trawę. Wylądował na dole w kucki. Znow był wolny, w tę księżycową, ciepłą noc. Powietrze pachniało skoszoną trawą i deszczem. Wziął głęboki oddech i przez chwilę łapczywie pił ten zapach. Wstał i otarł dłonie o dzinsy. Nikogo w polu widzenia. Czy oni wzięli go za idiotę? On dobrze wiedział, co może znaczyć taka terapia fuzyjna. Ten lekarz chce mnie zabić – pomyślał.

Ale nie będzie miał okazji. Alex wsłuchał się znowu w niekończące się szepty wśród palm. Ciemność zawsze dawała mu poczucie wolności, a szczególnie dziś. Ucieczka jest prawie tak samo podniecająca, jak włamanie – pomyślał. Nic odczuwał żadnych wyrzutów sumienia. Oni wszyscy byli tacy głupi.

Uśmiechnął się do tej myśli. Szedł szybko po malowniczej skarpie w kierunku ulicy, gdy nagle zastygł jak wryty w miejscu. Poczł, że ma gęsią skórę. Jego uśmiech zniknął, a oczy wpatrywały się w ciemność. Podniósł głowę i zaczął węszyć, jak przerażone, nocne zwierzę, które szuka źródła zagrożenia. Coś poruszyło się w krzakach między nim a ulicą. Znajoma

postać powoli prostowała się, a w ręku trzymała długi pistolet, który przedtem pozostawał ukryty w gęstych krzakach.

Niech to nagła krew – pomyślał Alex – tutaj się schował. Czekał na mnie. Usłyszał szcęk metalu, kiedy Rick wprowadził nabój do komory i przeładował remingtona, ulubioną, dwunastostrzałową broń policjantów. Nie ma dokąd uciec. Alex wolno potrząsnął głową.

– Zaczekaj! – krzyknął.

Bezlitosne oczy ani drgnęły.

Wszyscy krzyknęli, gdy noc rozjaśniła się nagle śmiertelnym błyskiem.